

Remigiusz

MRÖZ



Inne tonacje
ciszy



Inne tonacje
ciszy

Remigiusz
MRÖZ

*Inne tonacje
ciszy*

Copyright © Remigiusz Mróz, 2023

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2023

Redaktorka prowadząca: Zuzanna Soltysiak

Marketing i promocja: Greta Sznycer

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak

Korekta: Joanna Pawłowska, Anna Nowak

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: © Tomasz Majewski

Zdjęcie autora: © Olga Majrowska

Fotografie na okładce:

© Owaki/Kulla / Getty Images

© StockMediaProduction / Adobe Stock

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Fragmenty Pieśni Joana Brossy w przekładzie Marcina Murka (62 wiersze, Księgarnia Akademicka Cracovia, Kraków 2006, s. 42–43).

Wszelkie podobieństwa do prawdziwych postaci i zdarzeń są przypadkowe.

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-67891-07-3

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Spis treści

PRZEDMOWA

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

CZĘŚĆ DRUGA

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

CZĘŚĆ TRZECIA

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

POSŁOWIE

PO POSŁOWIU

*Dla wszystkich,
którzy nie chcą się mijać*

*Tylko cisza godna jest słów,
tylko w ciszy słowa znaczą to,
co się przez nie pragnie.*

– Wiesław Myśliwski, *Nagi sad*

Dym się porusza. I mijają dni.

– Joan Brossa, *Pieśń*

PRZEDMOWA

Nie lubię przedmów. Nigdy ich nie piszę, bo ilekroć trafiam na jakąś jako czytelnik, myślę sobie, że autor powinien zabrać się do roboty zamiast tracić czas na zbyteczne wstępy.

Niech historia broni się sama – tłumaczę mu. Pokaż, co dla mnie masz, człowieku, a autorskie enuncjacje zachowaj na posłowie, wywiady, artykuły, autobiografie czy inne formy wyrazu bez powieściowego sztafażu.

Rym w tamtym akapicie był tak samo zamierzony jak ta przedmowa, ale skoro już tu jesteśmy, to może powiem, o co mi chodzi i dlaczego w ogóle zdecydowałem się na ten wstęp.

Otóż powody są dwa. Po pierwsze wynika to z autorskiej predylekcji do przewrotności, a po drugie z osobistych inklinacji do trollowania.

Nie, tak naprawdę rzecz w czym innym. Otóż chciałem choćby ogłędnie zarysować proces powstawania tej powieści, wspomnieć o tym, że pisałem ją w wakacje 2014 roku – a zatem ponad pół roku przed ukazaniem się pierwszej Chyłki i rok przed pierwszym Forstem.

Chciałem ponadto napomknąć, że tamte wakacje spędzałem w Barcelonie. I dodać kilka refleksji związanych z tym, jak to jest, kiedy zasiada się do redagowania powieści, którą napisało się nieomal dekadę temu.

Zamiast tego jednak się zamknę.

Oto historia Aspen i Joyce'a.

Niech bronią się sami.

CZEŚĆ PIERWSZA

1

Jego głos wydobywał się z głębi nieistnienia, a ja nigdy wcześniej ani nigdy później nie słyszałam niczego podobnego.

Był niski, lekko chrapliwy i szorstki – a mimo to ten, kto nim operował, mówił cicho, dość nieśmiało, wyraźnie niepewny, czy w ogóle powinien się odzywać. Zdawało mi się, że opowiada o jakiejś dziewczynie, ale mimo że słyszałam słowa, nie mogłam poskładać ich w większą, logiczną całość.

Chciałam otworzyć oczy i przekonać się, do kogo należy głos. Chciałam zrozumieć więcej. Dowiedzieć się, kim jest ten człowiek, co robi przy moim łóżku i dlaczego monologuje, udając, że ze mną rozmawia.

Tym razem nie zdołałam. Odplynęłam z powrotem w nicość i nie miałam pojęcia, jak wiele czasu minęło, nim na powrót usłyszałam ten głos. Był kotwicą, która utrzymywała mnie przy świadomości. Stałym punktem, do którego wracałam.

Nie wiedziałam, jak nazywa się chłopak, który do mnie przychodzi. Nie miałam pojęcia, jak wygląda. Doskonale jednak zdawałam sobie sprawę z tego, że bywa w mojej sali dość często.

Za każdym razem, gdy go słyszałam, walczyłam z jakąś przemożną siłą, która nie pozwalała mi podnieść powiek. W końcu jednak się udało.

Kiedy otwierałam oczy, miałam wrażenie, jakbym wynurzała się z całkowitej otchłani. Jakby aż do tego momentu świat nie istniał, a ja dopiero się narodziłam.

Wróciła świadomość.

Wróciło poczucie kontroli nad własnym ciałem i umysłem.

Wiedziałam, że pierwsze, co teraz usłyszę, już na zawsze odcisnie mi się w pamięci jako nowy początek i jutrzienka całej mojej przyszłości.

– ...i wtedy kazałem mu wypierdalać, bo inaczej rozjebię mu ryj – powiedział chłopak.

Nie tak miało być. Zamrugałam niepewnie, jeszcze przez moment licząc na to, że jakimś cudem się przesłyszałam.

– Żebyś widziała jego minę – dodał.

Próbowałam zogniskować na nim wzrok, ale obraz nadal był nieco rozmazany. W dodatku wciąż szumiało mi w uszach.

Mogłam jednak powoli ocenić moją sytuację. Zgodnie z wcześniejszymi przypuszczeniami leżałam na szpitalnym łóżku, podpięta do miarowo pikającej aparatury. Sala była zalana bielą, a w powietrzu unosił się zapach środków antyseptycznych i chorób, które te miały zwalczać.

Na krześle obok siedział on.

Nie mogę powiedzieć, bym była zaskoczona jego fizjonomią, spodziewałam się tego. Wyglądał jak problem tylko czekający na to, by się zdarzyć.

Kontynuował swoją opowieść, ale nie potrafiłam się na niej skupić. Wbijał spojrzenie gdzieś za okno, zupełnie nieświadomy, że wreszcie udało mi się otworzyć oczy.

Dopiero kiedy lekko odchrząknęłam, nagle opuścił na mnie wzrok, jakby uprzytomnił sobie, że nie jestem zwłokami, tylko żywą osobą.

- O kurwa - wydusił.

Zerwał się na równe nogi, nim miałam okazję oszacować stosunek przekleństw do innych słów, które słyszałam z jego ust.

- O ja cię pierdołę - dodał, odsuwając się.

Wypuściłam powietrze przez usta, a potem cicho kaszlnęłam. Miałam wrażenie, jakby moje płuca były starym, zardzewiałym mechanizmem, który trzeba było dopiero naoliwić, by zaczął działać.

Chłopak wślepiał się we mnie z niedowierzaniem, a mnie przeszło przez myśl, że zachowuje się, jakby zobaczył ducha. Nie, raczej jakieś zombie lub klikaczy z The Last of Us. Zupełnie jakbym mogła go czymś zarazić.

Patrzyłam na niego bez słowa, ale bynajmniej nie dlatego, że nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie miałam pewności, czy moje struny głosowe poradzą sobie z artykulacją, a nie chciałam straszyć tego gościa charczeniem jak jakiś nieumarły twór.

- Nie na takie powitanie liczyłam - spróbowałam.

Człowiek, który jeszcze przed momentem był tylko głosem, potrząsnął głową, jakby budził się z jakiegoś snu. Zrobił kilka ostrożnych kroków moją stronę, a potem objął całe moje ciało wzrokiem.

- Ty żyjesz - oznajmił.

Znów cicho odkaszlnęłam.

- Tego jeszcze nie ustaliłam - odparłam, omiatając spojrzeniem salę. - Gdzie ja jestem?

- W szpitalu.

- Tyle widzę. Jakim?

Chłopak podszedł jeszcze bliżej, a potem dotknął ręką łóżka, jakby chciał poprzez nie przekazać jakiś impuls. Szybko jednak ją cofnął.

- Czekaj - rzucił nerwowo. - Pójdę po lekarza i...

- Gdzie jestem? - powtórzyłam.

Przesunął dłonią po włosach, odrzucając dość gęstą grzywkę na bok.

- W szpitalu na South Endzie - oświadczył. - Trafiłaś tutaj po...

- South Endzie?

Zmrużył oczy, jakby nie bardzo rozumiał, dlaczego muszę się upewniać.

- To miasto? - spytałam.

- Nie. Dzielnica.

Jego powieki zwięzły się jeszcze mocniej, a wzrok stał się bardziej pytający.

- Nie wiesz, w jakim mieście jesteś? - spytał.

- Przecież nie pytam dla jaj.

Zmarszczył czoło i przysunął sobie krzesło, z którego wcześniej zerwał się, jakbym nie tyle się przebudziła, ile zmartwychwstała.

- Jesteś w Hartford – oznajmił. – W Connecticut.

- I co tu robisz?

- Leżysz.

Wybałuszyłam oczy, wpatrując się w niego. Jego jedyną reakcją było jednak wzruszenie ramion.

- To miał być żart? – spytałam.

- Chyba tak.

- To chyba następnym razem dwa razy się zastanów – odparłam, próbując podciągnąć się do wezłowania. – Jak tu trafiłam?

Obrócił się w kierunku korytarza, jakby szukał kogoś, kto wyreczy go w roli informacji turystycznej.

- Halo – upomniałam się o uwagę.

- Miałś wypadek – odparł w końcu. – Przewieźli cię tu w stanie ciężkim jakieś dwa tygodnie temu.

- I od tamtej pory tu leżę?

- Na moje oko tak – potwierdził. – Raczej nie wyglądasz na kogoś, kto by dużo zwiedzał.

- Co?

Chłopak zaplótł dłonie z tyłu karku, a ja dopiero teraz uświadomiłam sobie, że nosi czarną, niemal całkowicie spraną koszulkę z napisem „1D”. Z boku biegł drugi, którego się obawiałam: „One Direction”.

Co jest? Obudziłam się na początku lat dwutysięcznych?

Jeżeli chciał kojarzyć się z Harrym Stylesem, powinien po pierwsze pozwolić na natychmiastową interwencję kosiarki na włosach, a po drugie zaznajomić swoją brodę przynajmniej z grzebieniem.

Naraz uświadomił sobie, że znów zerkam na jego T-shirt.

- Coś nie tak? – burknął.

- Słuchasz muzyki poniżej wszelkiej krytyki – oznajmiłam.

Unióś brwi, jakby nie miał pojęcia, skąd ten wniosek i dlaczego sformułowałam go akurat teraz. Właściwie sama tego nie wiedziałam. Było to jak jakaś automatyczna reakcja, nad którą nie panowałam.

Mój rozmówca nagle skrzyżował ręce na piersi i wyraźnie chciał jakoś odparować, nie dałam mu jednak okazji.

- Jaki wypadek? – rzuciłam.

- Samochodowy. O ile wiem, gdzieś na Asylum Hill.

- Że gdzie?

- Chyba na skrzyżowaniu Laurel Street z Farmington Avenue – odparł. – Ale może naprawdę powinienem kogoś...

- I co mi jest?

Czułam, jakbym zadawała najbardziej absurdalne pytania na świecie. A jednocześnie jakby były całkiem uzasadnione.

- Słuchaj...

- Słucham, ale niewiele mówisz – odparłam.

- Bo nie jestem lekarzem.

- Poważnie? Nigdy bym nie powiedziała.

- Nie wiem, co konkretnie się stało – mruknął niezrażony. – Po prostu wpadam tu co jakiś czas, żeby...

- Żeby co?

Rozkrzyżował ręce, wzruszając lekko ramionami. Jak długo do mnie przychodził? Dlaczego tu bywał? Kim w ogóle był ten człowiek?

- Sam nie wiem – odparł, bardziej do siebie niż do mnie.

Odpuściłam, bo zasadniczo nie to interesowało mnie najbardziej. Były inne pytania, wymagające natychmiastowych odpowiedzi.

- Jak się nazywasz? – wypaliłam.

Chłopak skrzywił się, jakbym starała się wyciągnąć od niego jakieś osobiste, nieprzeznaczone dla innych informacje.

- Grayson Joyce – oznajmił w końcu.

Nazwisko coś mi mówiło, ale miałam wrażenie, że tylko dlatego, iż doskonale wiedziałam, kto napisał *Ulissesa i Finneganów tren*.

- Od tego pisarza? – odezwałam się.

- O ile wiem, od mojego ojca. Ale dla pewności mogę popytać w rodzinie.

Podniosłam powoli rękę i przesunęłam dłonią po czole, natrafiając na pojedyncze przyklejone do niego kosmyki włosów. Najwyraźniej moja fryzura była stylizowana na entropiczny obraz chaosu we wszechświecie.

- Grayson Joyce... – powtórzyłam, jakbym tylko dzięki temu mogła zakodować.

- No.

- A ja?

Chłopak cofnął lekko głowę, jakbym uderzyła go między oczy.

- Co ty? – rzucił.

- Jak się nazywam? – spytałam.

Wyglądał, jakby nie był gotów przesądzić, czy robię sobie jaja, czy może rzucam mu jakieś wyzwanie. To się uśmiechał, to poważniał, przyglądając mi się analitycznie. W końcu znów się zbliżył i dotknął łóżka.

- Nie pamiętasz, jak się nazywasz? – zapytał niepewnie.

- Nie – odparłam. – Nie pamiętam niczego przed tym, jak twój głos wydobył się jakby z głębi nieistnienia.

Amnezja w obrębie pamięci deklaratywnej, a konkretnie jednego z jej dwóch podsystemów: amnezja epizodyczna.

Nie bredzę. Tak brzmiała diagnoza, którą postawił doktor Bearce – czyli lekarz ściągnięty przez Graysona zaraz po tym, jak wybiegł z mojej sali. Zanim ją jednak usłyszałam, musiałam przejść niezbyt fakultatywny, szybki kurs z funkcji magazynowych ludzkiego mózgu.

Dowiedziałam się, że pamięć zasadniczo dzieli się na dwa rodzaje: deklaratywną i niedeklaratywną. W tej drugiej znajduje się wszystko, czego nauczyliśmy się dzięki wykonywaniu jakichś czynności – na przykład jazda na rowerze.

Ta część pamięci była u mnie nietknięta. Problem leżał w deklaratywnej, która dzieliła się na semantyczną i epizodyczną. Jedna odpowiadała za ogólną wiedzę, na przykład taką, że Ulissesa napisał Joyce i że czytanie tej książki bez przypisów jest jak próba samodzielnego upieczenia croissanta, gdy do dyspozycji ma się tylko przepis na wołowinę wellington. Drugi podsystem, zwany pamięcią epizodyczną, stanowił właściwie odpowiednik autobiografii – która w moim przypadku stała się zbiorem pustych kartek.

Doktor Bearce przekazał mi wszystko, co należało, a potem próbował wyczerpująco odpowiedzieć na kanonadę pytań, którymi go ostrzelałam. Efekt był raczej mizerny, ale nie mogłam obarczać winą za to lekarza. Ta leżała gdzie indziej.

Personel zapewnił mnie, że już wezwano mojego prawnego opiekuna i ten niebawem się tutaj zjawi. Kiedy jedna z pielęgniarek zapytała, czego potrzebuję do tego czasu, moja odpowiedź mogła być tylko jedna.

Grayson Joyce zjawił się jakąś minutę później, a ja zrozumiałam, że przez cały ten czas czekał na korytarzu.

Zbliżył się z ostrożnością nieco mniejszą niż wcześniej, ale tym razem nie usiadł na krześle.

– Co jest? – rzuciłam.

Grayson nie odpowiedział, wyraźnie nie wiedząc, do czego piję.

– Jak byłam nieprzytomna, rozgościłeś się tu jak kuna na poddaszu – dodałam. – A teraz masz jakieś skrupuły?

– Wtedy wydawałaś się niegroźna.

Prychnęłam cicho i wskazałam mu wzrokiem krzesło. Przysunął je sobie, obrócił tyłem do mnie, a potem usiadł na nim okrakiem. Kiedy przełożył ręce przez oparcie, zobaczyłam, że po wewnętrznej stronie przedramion ma sporo tatuaży.

– Więc teraz wydają ci się niebezpieczna? – spytałam.

– Cóż...

– No?

- Nie wiesz, kim jesteś - odparł. - Więc zasadniczo możesz być każdym.

W sumie miał trochę racji. Mogłam okazać się psychopatyczną seryjną zabójczynią i nie mieć o tym najbłedszego pojęcia aż do momentu, kiedy poderżnęłabym mu gardło.

Zostawiłam jednak tę myśl dla siebie.

- Powiedzieli ci coś konkretnego? - spytał Joyce, niedbale zarzucając głową w stronę korytarza.

- Kilka rzeczy.

- Na przykład?

- Jak się nazywam.

- To już coś - skwitował Grayson. - Chyba że dostałaś imię po którymś dzieciaku Elona Muska. To może być problem.

- Nie - odparłam i nabrałam głęboko tchu.

Przedstawienie się nie powinno sprawiać mi tyle problemu, z jakiegoś powodu jednak słowa grzęzły mi gdzieś w gardle.

- Aspen Wakefield - oznajmiłam.

Joyce wyduł usta. Czekałam na bardziej wymowny komentarz, ale szybko się okazało, że liczyłam na zbyt wiele.

- I co to ma znaczyć? - burknęłam.

- Że twoi rodzice muszą naprawdę lubić narty.

- Co?

- Aspen. Ten ośrodek narciarski w Górach Skalistych, który...

- Tak, wiem - ucięłam.

- No chyba że to jakaś ksywa. Jak Berlin czy Tokio.

Chyba wydawało mu się to zabawne, bo kącik ust lekko, niemal niezauważalnie mu drgnął.

- Tyle masz do powiedzenia osobie, która przed momentem dowiedziała się, jak się nazywa? - zapytałam.

Grayson podciągnął nieco ręce przewieszzone przez oparcie i się wyprostował.

- A co byś chciała usłyszeć?

- Sama nie wiem.

- Zawsze możemy zostać przy twoim nazwisku - odparł. - Co ty na to, Wakefield?

To także brzmiało jak nie moje, ale uznałam, że teraz nie pora na oswojenie się z życiem osoby, która była mi całkowicie obca - i w której ciele najwyraźniej się znajdowałam.

- Czemu do mnie przychodziłeś? - spytałam. - Znamy się?

- Dopiero od jakichś dwóch tygodni.

- Więc wcześniej nie...

- Nie - uciął. - Dzisiaj pierwszy raz usłyszałem twój głos i zorientowałem się, że pozory mylą.

- Hm?

- Jak byłaś nieprzytomna, wyglądałaś na całkiem miłą i czarującą osobę.

Lekko wysunęłam głowę w jego kierunku, zupełnie jakbym mogła dzięki temu zakomunikować, jak duży błąd właśnie popełnił.

- Zaraz - rzuciłam. - Mam ci przypomnieć, kto kogo powitał słowami: „o kurwa, o ja cię pierdolę?”.

- Nie musisz - odparł. - Z naszej dwójki to nie ja mam problemy z pamięcią.

- Niewiarygodne...

- Poza tym to o pierdoleniu było figuratywne. Nie dosłowne.

- Super - pochwaliłam go. - To wszystko zmienia.

- Tylko mówię.

- A ja tylko sugeruję, że twoje słownictwo jest mniej więcej tak urozmaicone, jak kolory skóry u bohaterów *Przyjaciół*.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu, jakbyśmy rzucali sobie jakieś wyzwanie. Nie miałam pojęcia, z jakim typem ludzi na co dzień się zadawałam, ale liczyłam na to, że nie z takim.

- Sprawiasz wrażenie dość nienormalnej - ocenił Joyce.

- Co ty powiedziałeś?

Rzucił ręce, jakby oczywiste nie wymagało potwierdzenia.

- Obudziłaś się bez pamięci, nie mając najmniejszego pojęcia o tym, kim jesteś, a...

- To chyba niespecjalnie moja wina.

- Ano nie - przyznał łaskawie. - Ale chodzi mi o to, że zachowujesz się, jakby wszystko było w porządku.

- A jak mam się twoim zdaniem zachowywać?

- Nie wiem - odparł i podrapał się po karku. - Normalny człowiek byłby przerażony, miotał się, odchodził od zmysłów i...

- Czyli jestem nienormalna, bo zachowuję względny spokój?

Zastanowił się krótką chwilę, a potem po prostu skinął głową.

- Jezus Maria... - skwitowałam. - Skąd ty się w ogóle wzięłeś?

- Przyszedłem.

Zasadniczo nie sposób było temu zaprzeczyć. Powinnam być może pociągnąć ten wątek, dowiedzieć się, co Grayson w ogóle robi w szpitalu, bo raczej nie wyglądał na kogoś z personelu. Zamiast tego jednak pojawił się we mnie jakiś upierdliwy imperatyw, by się przed nim usprawiedliwiać.

- Nie jestem Szekspirem, żeby robić dramaty - odparłam. - Poza tym miałam trochę czasu, żeby się ze wszystkim oswoić.

- Znaczy?

- Przebudzałam się co jakiś czas.

- Raczej nie.

- „Raczej nie”? - powtórzyłam, imitując jego nieznośny sprzeciw, autorytarny ton. - A co ty jesteś, specjalista od monitorowania mojego stanu?

- Bywałam tu dość często - odparł jakby nigdy nic. - I ani razu nawet ci powieka nie drgnęła.

- Bo nie miałam władzy nad ciałem.

Joyce zmrzążył oczy, a pomiędzy nimi pojawiło się kilka niewielkich zmarszczek.

- Byłaś świadoma? - rzucił z rezerwą. - Słyszałaś, co się wokół ciebie dzieje?

Pytał w istocie o to, czy słyszałam, o czym ze mną rozmawiał - czy raczej o czym do mnie rozmawiał. Tak czy inaczej odpowiedź była przecząca. Wiedziałam, że ktoś przy mnie siedzi i często się odzywa, ale nie potrafiłam rozpoznać słów.

Byłam tylko ja i jedna wielka, bezbrzeżna pustka.

- Od czasu do czasu - skłamałam, bo ta wersja wprawiała go w wyraźny dyskomfort. - Ale nie przejmuj się. Twoje sekrety są u mnie bezpieczne.

- Mhm...

- Przynajmniej większość.

- Słuchaj...

- Posłucham chętnie - wpadłam mu w słowo. - O ile powiesz mi, co tu robisz i dlaczego tak często do mnie przychodziłeś.

Joyce przez moment się wahał, po czym nagle podniósł się z krzesła i przeszedł po sali. Wychylił się na korytarz, jakby się spodziewał, że ktoś przysłuchuje się naszej rozmowie, a potem wrócił do mojego łóżka.

- Umierasz? - spytałam.

- Co?

- Jesteś tu na jakimś oddziale paliatywnym?

- A wyglądam ci, jakbym tam pasował?

- No.

Przez moment zdawało mi się, że doceni tę uwagę nikłym uśmiechem. Coś w jego oczach zdawało się to zwiastować, ostatecznie jednak kąciki ust ani drgnęły. Dziwne. Ale jednocześnie zupełnie naturalne, jakby ten facet po prostu nie potrafił doprowadzić uśmiechu do końca.

- Poza tym, no wiesz... - podjęłam, bo Grayson z jakiegoś powodu postanowił milczeć. - Dziewczyna budzi się w szpitalu, poznaje chłopaka...

Nadal się nie odzywał.

- Gość zawsze potem okazuje się śmiertelnie chory czy coś - dodałam. - Co w gruncie rzeczy nie takie dziwne ani niespotykane. Każdy z nas umiera, znajdujemy się tylko w różnych fazach tego procesu.

O Jezu, w co ja się właśnie zapędziłam?

- O czym ty mówisz? - mruknął Joyce.

- O niczym.

Cofnęłam lekko głowę i objąłem wzrokiem szpitalną salę.

- To ci się wydaje sceną z jakiegoś zenującego filmu romantycznego? - rzucił ostrym tonem.

Najwyraźniej nie trzeba było wiele, by go w nim wyzwolić. A może chodziło o coś innego? Ale o co? Właściwie nie miałam na temat tego człowieka żadnych informacji, które pozwoliłyby poszukać odpowiedzi.

Pozostało mi jedynie wprowadzić rozmowę z powrotem na lekkie tony.

- Dobra - rzuciłam. - Skoro nie przyszedłeś tu romansować z nieprzytomną dziewczyną, to o co chodzi?

Joyce przez moment krążył po pokoju. Zatrzymał się przy progu i znów wyjrzał na korytarz, a kiedy z powrotem na mnie zerknął, na jego twarzy rysowała się wyraźna powaga. Właściwie sprawiał wrażenie, jakby naprawdę miał jakąś tajemnicę, którą się z nikim nie podzielił.

- Nie jestem przyjęty na żaden oddział - oznajmił.

Uniosłam nieznacznie brwi i postarałam się podciągnąć do wezłowania jeszcze bardziej. Wciąż byłam jednak tak słaba, że okazało się to daremne.

- Szukam czegoś - dodał Grayson.

- Czego?

Obejrzał się przez ramię i znów zawahał.

- Mniejsza z tym - rzucił. - W każdym razie przechodziłem obok twojej sali i...

Urwał, wyraźnie niepewny, jak skończyć.

Zobaczył piękną dziewczynę i nie mógł się oprzeć, by wejść do środka? Jakaś magiczna siła przyciągnęła go do mojego łóżka? Coś podpowiedziało mu, by ze mną został i czekał, aż się wybudzę?

Zbliżył się nieco i złapał za oparcie krzesła.

- Uznałem, że będziesz idealną wymówką - oznajmił.

- Że co?

- Pierwszego dnia udało mi się wejść na krzywy ryj - ciągnął. - Ale wiedziałem, że prędzej czy później zorientują się, że ani nie jestem pacjentem, ani nikogo nie odwiedzam. Kiedy zobaczyłem, że leżysz sama w godzinach odwiedzin i jesteśmy w podobnym wieku, to...

- O czym ty mówisz?

- O tym, że potrzebowałem alibi - odparł. - Ty wyglądałaś na idealne.

Zanim w ogóle zdążyłam dopuścić do siebie myśl o tym, jak beznadziejne było to, co właśnie powiedział, na korytarzu zapanowało jakieś poruszenie. Ani się obejrzałam, do sali wpadł starszy mężczyzna w koszuli z krawatem i narzuconym na to blezerem.

Nawet nie spojrzawszy na Joyce'a, dopadł do mojego łóżka. Chwył mnie za rękę, ale machinalnie ją cofnęłam, jakby jego dotyk mnie parzył.

- O Boże... - powiedział. - Aspen, ty naprawdę...

Zamiast słów zdołał wydusić z siebie jedynie łzy. Natychmiast otarł je wierzchem dłoni, a ja zrozumiałam, że zjawił się ten, kogo pielęgniarka określała mianem mojego opiekuna prawnego. Czyli nie rodzic, nie ktoś z rodziny.

- Przepraszam, ale... - zaczęłam niepewnie. - Kim pan jest?

Mężczyzna szybko przysiadł na skraju łóżka, jakby skracając dystans, mógł wyzwolić jakąś reakcję w mojej przepelnionej pustką pamięci.

- Prodziekanem - odparł.

- Słucham?

Cokolwiek to znaczyło, było nieistotne.

Zjawił się człowiek, który za moment miał mi powiedzieć, kim jestem.

Im bardziej Prodziekan się nade mną nachylał, tym większą ochotę miałam, by zerwać się z łóżka i uciec. Nie znałam go, nie wiedziałam, dlaczego tak na mnie patrzy ani jak na to zareagować. A patrzył, jakby właśnie zrozumiał, że jakimś cudem przetrwał cały sens jego jestestwa.

Przez głowę przemknęła mi niepokojąca myśl, że jestem jedną z tych dziewczyn poszukujących zaawansowanych wiekowo sponsorów. Ale chyba nie aż tak bardzo? Ten facet musiał mieć już ponad osiemdziesiątkę.

Czyli na moje oko był w wieku, w którym ma się tylko dwa wyjścia: albo idzie się do domu spokojnej starości, albo zostaje prezydentem najpotężniejszego kraju na planecie i zawiaduje całą jego polityką.

– Boże, Aspen... – powtórzył cicho. – Czy ty naprawdę nic nie pamiętasz?

Skrzywiłam się lekko, a mój wzrok mimowolnie uciekł w kierunku Joyce'a.

– Nie powiedziałałabym, że nic – zauważyłam. – Pamiętam na przykład, kto jest wokalistą Ghosta.

Prodziekan ściągnął cienkie, siwe brwi.

– Tobias Forge, znany też jako Papa Emeritus – dodałam, by uwiarygodnić swoje stanowisko. – Pamiętam też, że DC nie wypuściło nic na miarę Marvela, Gal Gadot narobiła sobie wstydu jakąś piosenką na początku pandemii, a Kanye West wystartował na prezydenta. Chociaż to ostatnie mogło mi się przyśnić.

Mężczyzna otworzył usta, ale przez moment się nie odzywał.

– Czy ty jesteś poważna? – spytał.

– A czy pan każde pytanie zaczyna od „czy?”.

Przez jego twarz przemknął wyraźny ból, jakby fakt, że się co do tego upewniam, stanowił pierwszy namacalny dowód mojej amnezji. Prodziekan przesunął dłońmi po zmęczonej twarzy, a potem powoli się zgarbił.

– Jestem twoim dziadkiem – oznajmił.

– Uff.

– Co „uff”?

– Nic – odparłam szybko. – I skoro jest pan moim dziadkiem, to czemu przedstawia się pan jako Prodziekan?

– Ponieważ tak na mnie mówisz.

– Ja? – rzuciłam machinalnie. – Niby dlaczego?

– Cóż... – odrzekł i ciężko westchnął. – Być może dlatego, że takie stanowisko piastuję w mojej placówce naukowej.

– Jakiej placówce? I czemu nie po prostu szkole albo uczelni?

Dziadek zrobił skwaszoną minę, jakbym zadawała mu pytania zgoła bezsensowne. Może tak było. Zamiast dowiedzieć się o szczegóły mojego życia, starałam się wyciągnąć z niego jakieś dyrdymały.

Zdawało mi się to jednak zupełnie naturalną reakcją wywołaną strachem. Bałam się tego, czego mogę się dowiedzieć. Obawiałam się, że to mi się nie spodoba. I byłam przerażona tym, że kiedy poznam Aspen Wakefield, okaże się, że ta dziewczyna nie ma ze mną nic wspólnego.

- Byłaś u mnie lata temu w odwiedzinach - podjął Prodziekan. - Zabrałem cię na wykłady i twoją aprobatę znalazło to, że moi studenci w ten sposób się do mnie zwracają. Później z jakiegoś powodu przyjęło się to w rodzinie.

- Studenci?

Dziadek skinął głową.

- Wykładałam na Trinity College - odparł, a potem spuścił wzrok. - Miałś rozpocząć tam naukę dwa tygodnie temu.

W jego głosie był tak duży ładunek smutku, że nie mogło chodzić wyłącznie o spóźnienie się na start roku akademickiego.

- I co się stało? - zapytałam.

- Czy lekarze ci nie mówili? Miałś wypadek.

Oni właściwie nie, zrobił to chłopak, który na dobrą sprawę nie miał prawa tutaj być.

- Tak, wiem - odparłam. - W miejscu, które się nazywa Asylum Hill.

Prodziekan nadal trwał ze ściągniętymi brwiami, ale napięcie rozlewało się na całą jego poznaną zmarszczkami twarz. Przypominał mi nieco tych aktorów starej daty, którzy byli jedną wielką chodzącą brudą, jak Eastwood czy Hopkins. Przy czym Prodziekan był raczej wagi tego drugiego.

- Na skrzyżowaniu Laurel Street z Farmington Avenue - dodałam.

Dziadek przez moment sprawiał wrażenie, jakby pozwolił sobie na cień nadziei, że zacznę sobie coś przypominać. Nie mogłam pozwolić na to, by zdążyła na dobre się zagnieździć.

- Ale nic mi te nazwy nie mówią.

- Tak, naturalnie, że nie... - odparł ze zwieszoną głową. - To pierwsze to dzielnica, w której mieszkamy.

Wreszcie jakiś konkret.

- Przy Laurel Street mieści się nasz dom - dodał Prodziekan.

- Czyli pan mnie wychowuje?

- Zazwyczaj nie zwracasz się do mnie per „pan”.

- No tak - odparłam i odchrząknęłam.

Oczy znów uciekły mi w kierunku Joyce'a. Opierał się plecami o ścianę, z rękoma skrzyżowanymi na piersi, i przysłuchiwał się wszystkiemu w milczeniu. Przelotnie pomyślałam o tym, by wyekspediować go na zewnątrz, ale w zasadzie był jedyną osobą na świecie, którą znałam.

- I nie, nie wychowuję cię, Aspen - odezwał się po chwili dziadek. - Robiła to twoja matka.

Powiedziałam wzrokiem na boki, jakbym mogła ją gdzieś tutaj znaleźć.

- Zginęła w wypadku - dodał przez ściśnięte gardło Prodziekan.

Zrobił to szybko, jakby chciał jak najprędzej pozbyć się ciężaru, z którym sobie nie radził. Jego oczy znów się zaszkliły, ale nie wyglądał mi na kogoś, kto tak po prostu mógłby się rozplakać. Cała ta jego surowość zdawała się temu przeczyć.

- Tak mi przykro - dodał.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Najwyraźniej dwa tygodnie temu straciłam nie tylko pamięć, ale także matkę. Niefortunnie, ale trudno było rozpaczać po kimś, kogo się nie znało.

- Więc mieszkaliśmy z tobą? - spytałam.

- Nie - odparł dziadek i pociągnął cicho nosem. - Jakkolwiek właściwie tak...

- To jak w końcu?

Nabrał głęboko tchu, a potem się wyprostował.

- Przyszłaś na świat w Prescott, w Arizonie - oznajmił.

- W Arizonie? To po drugiej stronie kraju.

Dla porządku skinął głową, ale wydawało mi się, że nie rejestruje już moich słów, zupełnie zanurzony w tym, co sam zamierzał powiedzieć.

- Mieszkaliście tam razem z matką przez prawie osiemnaście lat - podjął. - Wychowywała cię sama, bo twój ojciec... cóż, zasadniczo nawet nigdy nie dowiedziałem się, kim jest. Ani czy żyje. Ja i June nie mieliśmy najlepszych kontaktów, a ta odległość nie pomagała...

June. To imię mówiło mi tyle, ile dualizm korpuskularno-falowy w mechanice kwantowej. A jednak właśnie tak nazywała się kobieta, dzięki której znalazłam się na tym świecie.

Jaka była? Ile z siebie mi przekazała? Czy miałyśmy dobre relacje? Pytania się mnożyły, a ja nagle zechciałam wrócić do tego pierwszego momentu po przebudzeniu, kiedy wszystko było proste. Kiedy był tylko jego głos.

- Twoja matka urodziła się tutaj, ale krótko po szkole wyruszyła w świat... - podjął dziadek.

- Bywało, że nie dawała znaku życia przez pół roku, czasem dłużej. Wyrzucaliśmy to sobie, ale...

- Moja babcia żyje?

- Nie - odparł cicho Prodziekan.

- Jakies rodzeństwo?

Pokręcił głową.

- Więc mam tylko ciebie?

- Obawiam się, że tak.

No dobrze, ten człowiek sprawiał dość przyjazne wrażenie, więc chyba nie było się czym nadto przejmować. Im mniej ludzi, tym mniej problemów z zapamiętywaniem ich imion i twarzy.

- Mogło być gorzej - oceniłam.

Nie skwitował tego w żaden sposób.

- Podjęłyście decyzję o przeprowadzce, kiedy dostałaś się u nas do college'u - kontynuował Prodziekan. - To była wielka rzecz, wszak Trinity w tamtym roku zajął dwunaste miejsce w rankingu szkół nauk wyzwolonych „Forbesa”. I sześćdziesiąte drugie w tym ogólnym.

- Super. Gratulacje.

- Dziękuję – odparł dziadek, jakby nie wychwycił sarkazmu.

Trinity College. Coś mi to mówiło, ale po chwilowym zastanowieniu uznałam, że moje jedyne skojarzenie to uniwersytet w Dublinie, na który poszli bohaterowie *Normalnych ludzi* Sally Rooney.

Myśl, że lepiej pamiętam życie fikcyjnych postaci niż swoje, powinna mnie zaniepokoić, z jakiegoś powodu była jednak kojąca. Zupełnie jakbym nagle uzyskała potwierdzenie, że mam nieograniczoną liczbę przyjaciół.

Pamiętałam nie tylko Marianne i Connella, ale także Rue i Jules z *Euforii*, Lily i Atlasa z *It Ends With Us*, ojca z synem z *Drogi McCarthy'ego* oraz Dymitra, Iwana i Aloszę z *Braci Karamazow*. Może tyle wystarczyło? Może nie potrzebowałam więcej?

Jedno było pewne – czytałam i oglądałam dość szeroki wachlarz dzieł, inaczej pamięć nie wyrzuciłaby na jednym oddechu Colleen Hoover i tuza dziewiętnastowiecznej literatury rosyjskiej.

- Przyjechałyście stosunkowo niedawno – ciągnął przybitym tonem dziadek, wrywając mnie z zamyślenia. - Właściwie nie zdążyłem pokazać June, jak zmieniło się miasto, a ciebie zabrać do miejsc, w których twoja mama niegdyś spędzała tyle czasu...

Urwał i uniósł wzrok, jakby dzięki temu mógł sprawić, że oczy przestaną mu się szklić.

- Wyjechałyście rano, w pierwszy dzień roku akademickiego – dodał. - Od mojego domu do skrzyżowania z Farmington jest sto trzysta metrów.

Nie miałam wątpliwości, że przez te dwa tygodnie Prodziekan analizował wszystko, łącznie z tym, co by się stało, gdybyśmy pokonały ten krótki odcinek nieco wolniej lub szybciej.

- Od centrum nadjechał rozpędzony samochód – podjął dziadek. - Nie wiemy, co konkretnie sprawiło, że kierowca, zamiast zahamować na czerwonym świetle, przyspieszył. Uderzył w was z ogromną prędkością jakimś dużym pojazdem, półciężarówką, a potem zbiegł z miejsca zdarzenia.

Prodziekan odczekał moment, jakby się spodziewał, że to wyzwoli we mnie jakieś emocje. Była to dla mnie jednak zwykła relacja jakich wiele.

- Czy ty naprawdę nic nie pamiętasz? – spytał.

- Nic.

Pokiwał głową, ale tym razem w tym geście zdawała się kryć wdzięczność.

- Twoja mama walczyła o życie tu, w szpitalu – kontynuował. - Ty miałaś uraz głowy i barku, poza tym jednak twój stan był stabilny.

- Kiedy zmarła?

Pytanie samo wyrwało się z moich ust, choć odpowiedź zasadniczo nie mogła niczego zmienić.

- Kilkanaście godzin po przywiezieniu tutaj.

- Okej.

Co więcej mogłam powiedzieć? Na dobrą sprawę nie wiedziałam nawet, czy ten człowiek jest tym, za kogo się podaje. I czy aby nie konfabuluje. Nie było żadnej instytucji, która wystawiłaby mu poświadczenie prawdziwości.

Zapadła cisza, którą przerwał szmer, kiedy Grayson zmienił pozycję. Dziadek w końcu na niego zerknął i dopiero teraz zdawał się sobie uświadomić, że w sali jest ktoś jeszcze. Tylko lekko się skłonił, odpowiadając na podobny gest Joyce'a.

To potwierdzało, że się znali. I że obecność Graysona przy moim łóżku była dla dziadka tak normalna, iż nawet przez myśl mu nie przeszło, by poprosić go o wyjście. Ale jeżeli chłopak był przypadkowym gościem, który użył mnie tylko jako alibi, jakim cudem wkupił się w łaski Prodziekana?

- A on? - zapytałam, wskazując Joyce'a.

- Hm?

- Kim on jest? - dodałam.

Dziadek obejrzał się przez ramię, przez co nie widziałam, co zarysowało się na jego twarzy.

- To twój stary znajomy - wyjaśnił. - Grayson Joyce.

- Tak, wiem, jak się nazywa. Ale skąd go znam?

- Nie powiedział ci?

Kątem oka dostrzegłam, że Grayson nerwowo się poruszył.

- Nie - odparłam. - I wydaje mi się to dziwne, skoro mówisz, że przyjechałam do Hartford praktycznie w przeddzień wypadku.

Twarz Prodziekana zmarszczyła się jeszcze bardziej, a jego oczy przygasły.

- Tak... - odparł. - Znacie się sprzed lat.

- To znaczy?

Dziadek znów się obrócił, a Joyce odchrząknął nerwowo i zbliżył się do mojego łóżka. Wiedziałam, że za moment usłyszę dokładnie tę samą bzdurę, którą sprzedał dziadkowi, by ten pozwolił mu przy mnie siedzieć.

I tak się stało.

Grayson przekonał go, że poznaliśmy się za młodu, kiedy przyjechałam tu w odwiedziny. Popchnął mu, że mnie zapamiętał i kiedy mijał moją salę, coś kazało mu sprawdzić, jakie imię i nazwisko widnieje na karcie pacjenta.

Został na moment. A potem ten moment przeciągnął się tak, że ani się obejrzał, ktoś z personelu oznajmił, że pora odwiedzin dobiegła końca.

Prodziekan był zadowolony, że ktoś siedzi ze mną, kiedy on nie może. Mówi do mnie, stara się jakoś pobudzić mój umysł, zapewnia mi towarzystwo. Złoty chłopak, który przecież nie mógł w żaden sposób mi zaszkodzić.

I który nie miałby żadnego powodu, by kłamać.

Kiedy Joyce skończył przedstawiać swoją historyjkę, poprosiłam dziadka, żeby przyniósł mi trochę wody. Odczekałam moment, nim znikł w korytarzu, po czym zgromiłam Graysona wzrokiem.

Trudno było powiedzieć, jakiego komentarza się spodziewała. Ja w każdym razie miałam dla niego tylko jeden.

- Ty skurwysynu - rzuciłam.

Zamiast się zachnąć, nagle parsknął i pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Bawi cię to? - dodałam.

- Trochę.

- Ty kłamliwy, przebrzydły...

- Daj spokój - uciął, machając ręką. - Nic złego nie zrobiłem.

Zacisnęłam usta, przekonana, że jeśli tego nie zrobię, wyleje się z nich cały wezbrany potok przekleństw. Nie to, żebym miała jakieś opory przed ich formułowaniem. Po prostu nie chciałam tracić na nie czasu, świadoma, że Prodziekan zaraz wróci.

- Mów - poleciłam.

- Co?

- Dlaczego to zrobiłeś - rozwinęłam. - I czego konkretnie szukasz?

Joyce westchnął, a potem znów skrzyżował ręce na piersi. Wydawało się, że to jego domyślna pozycja, kiedy z kimś rozmawia.

- Kasety magnetofonowej - odparł.

Zanim Grayson zdążył mi wyjaśnić, o co konkretnie chodzi, Prodziekan wrócił z wodą. Sprawiał wrażenie jakiegoś fizyka, który właśnie odkrył kwarki czy inne bozony – względnie generała armii tuż po zdobyciu jakiegoś terytorium. Tymczasem po prostu przyniósł mi butelkę fiji z automatu.

Pocziwość w jego oczach nie mogła być udawana. Uczucie, którym emanował przy każdym geście, z pewnością było autentyczne.

Nie wiedziałam wprawdzie, na ile celną mam intuicję, ale w przypadku tego człowieka chyba się nie myliła – rzeczywiście był moim dziadkiem i wszystko wskazywało na to, że przez ostatnie dwa tygodnie przeżywał największy horror swojego życia.

W kwestii Graysona niczego nie mogłam być pewna.

Powód, dla którego ściemniał personelowi szpitalnemu i Prodziekanowi, wydawał się absurdalny. Jakie kasety usprawiedliwiały tyle zachodu? Nie wystarczyłoby przecież, żeby rzucił jedną luźną uwagę, że jest moim znajomym. Musiał zbudować dość wiarygodną historię.

Nie ulegało wątpliwości, że był całkiem niezłym manipulatorem. Kiedy dziadek relacjonował mi ich pierwsze spotkanie, stało się jasne, że Joyce więcej słuchał, niż mówił. Czekał na jakieś strzępki informacji – ot, że bywałam tutaj jako dziecko – by potem wykorzystać je przeciwko Prodziekanowi.

Potrzebowałam odpowiedzi. Musiałam jednak uzbroić się w cierpliwość, by móc wyciągnąć je z Graysona.

Po tym, jak dostałam wodę, znów zjawił się lekarz – tym razem odbył konsultację z jakimiś neurologami i chciał mi przedstawić więcej informacji na temat mojego stanu zdrowia. Zaczął mnie badać, opowiadać o podobnych przypadkach i tak dalej.

Rokowania były jedną wielką niewiadomą. Pamięć często wraca, tłumaczył, ale im więcej bodźców, tym lepiej.

Jakie to miały być bodźce? Właściwie wszelkie. Znajome miejsca, znajomi ludzie, znajome książki, seriale i filmy. I muzyka, przede wszystkim muzyka. Doktor Bearce mówił o niej dość długo, zupełnie jakby stanowiła najlepszy wytrych do zamkniętego sejfu ze wspomnieniami.

Joyce w pewnym momencie się zwinął, a ja zostałam poddana procedurom mającym przywrócić mnie do życia.

Samo w sobie było to absurdalne, bo nie istniało żadne życie, do którego miałabym wracać. Wszystko zaczynało się dla mnie na nowo, a ja miałam czystą kartę do zapisania.

Podniesienie się po dwóch tygodniach leżakowania nie należało do najłatwiejszych zadań. Przejście do łazienki też nie.

Kiedy spjrzałam na swoje odbicie w lustrze, spodziewałam się doznać szoku poznawczego. Nie widziałam przecież dotychczas swojej twarzy, na dobrą sprawę nie miałam nawet pojęcia, jaki mam kolor włosów.

Z jakiegoś powodu jednak nie wywołało to we mnie żadnego szoku. Zupełnie jakbym się doskonale znała.

Jednocześnie jednak z lustra patrzyła na mnie osoba, którą widziałam po raz pierwszy w życiu.

Nie wyglądała najlepiej.

Twarz blada jak ściana, zamiast włosów jakieś trociny, opuchnięte policzki, a do tego dwa świetnie widoczne syfy. Co gorsza, jeden strategicznie umieszczony na środku nosa. Drugi na skroni, łatwy do kamuflażu – o ile oczywiście miałabym coś, czego mogłabym do tego celu użyć.

Powinłam myśleć o tym wszystkim, co się wydarzyło. Obydwa syfy jednak momentalnie urosły do rangi największej tragedii, jaka mogła mnie w życiu spotkać. Głód w Afryce przestał mieć znaczenie, kryzys ekonomiczny wydawał się tylko drobną niedogodnością, a ocieplenie klimatu zwykłym bzdetem.

Myślałam tylko o tym, że przez ostatnie dni Grayson Joyce miał aż nadto czasu, żeby dokładnie mi się przypatrywać.

Alte nic nie mogłam z tym zrobić, powiedziałam sobie w duchu. Czasu nie cofnę, korektora magicznie nie przetransportuję dwa tygodnie wstecz.

Ta myśl z jakiegoś powodu doprowadziła mnie do wniosku, że wszystko, co było, bezpowrotnie przepadło. Nie odzyskam osoby, którą byłam. Nie odtworzę wspomnień, nie będę nawet w stanie odgrzebać uczuć, które żywiłam do mojej zmarłej matki.

Alte może nie miało to znaczenia. Może liczyło się tylko to, co przede mną.

Zebrałam włosy do tyłu i zaplotłam je w luźny warkocz, a potem przyjrzałam się sobie na spokojnie. Miałam delikatne rysy twarzy, ale mogłabym się pozbyć dwóch, trzech kilogramów, bo policzki były lekko zaokrąglone. Oczy brązowe, włosy... sama nie wiem, norkowe. A może mysie? Tak, mysie, to brzmiało znacznie lepiej.

W sumie całkiem niezłe, bo chyba był to jedyny kolor, którego nie dało się uzyskać poprzez farbowanie. Naturalny, więc może zarazem wyjątkowy.

Sprawdziłam piersi, a potem inne części ciała. Wszystkie były równie obce, a zarazem znajome jak moja twarz. Czy miałam jakieś kompleksy? Na pierwszy rzut oka wydawało się, że nie powinłam mieć, ale przecież nigdy nie są racjonalne. U siebie zwraca się uwagę na rzeczy, których inni ludzie nawet nie dostrzegają.

No cóż, cycki z pewnością mogłyby być nieco większe i znajdować się bliżej siebie. Nos mógłby być mniej zadarty, uszy trochę mniejsze, a usta bardziej wydatne. Pochyliłam się i przesunawszy dłońmi po łydkach, uznałam, że pierwsze, co zrobię po przyjeździe do domu, to ogolenie nóg.

Sprawdziwszy uda, zaczęłam zastanawiać się nad tym, czy jestem dziewicą. O ile wiedziałam, nie było żadnego sposobu, by na tym etapie to ustalić.

Ale nawet jeśli, to co z tego? Maryja była z tego tak dumna, że dodała to jako swój przydomek na wieki.

Zaczęłam się zastanawiać, jakim typem dziewczyny byłam. Imprezowiczką? Duszą towarzystwa? Czy może wolałam towarzystwo książek i lubiłam spędzać czas w spokoju? Hałas i tłum działały na mnie jak energetyczne bodźce czy sprawiały, że potem musiałam odchorować?

Patrzyłam na siebie bez pojęcia o tym, gdzie szukać tych odpowiedzi. I robiąc wszystko, by kolejne pytania nie zdążyły utworować sobie drogi do mojej świadomości.

Na powrót skupiłam się na swojej twarzy.

Otworzyłam szeroko usta, a następnie powieki. Na przemian uśmiechałam się i robiłam jakieś grymasy, dopóki nie uzmysłowiłam sobie, że zachowuję się tak, jakbym testowała któreś animoji na iPhone.

O Boże, iPhone. Macbook, iPad.

Przecież w tego typu sprzętach znajdowało się całe moje życie. Było na wyciągnięcie ręki, musiałam tylko dostać któryś z nich.

Obróciłam się raptownie w kierunku sali i zorientowałam, że w progu toalety stoi Grayson.

Ułamek sekundy wystarczył, żebym zrozumiała, że widział moje rozdziawianie się.

Chciałam zapytać, jak długo tu stoi, i powiedzieć coś na swoje usprawiedliwienie, choć nie miałam żadnego dobrego pomysłu. Szczęśliwie Joyce nie dał mi szansy na sformułowanie jakiegokolwiek myśli.

- Chodź - rzucił.

Skrzywiłam się lekko.

- Jeśli ci się wydaje, że po takim tekście gdziekolwiek za tobą...

Urwałam, bo nie czekając na odpowiedź, wyszedł na korytarz, zostawiając mnie z rękoma podpartymi o biodra. Trwałam przez moment w tej dość zasadniczej postawie, jakby Grayson wciąż mógł mnie widzieć i jakbym musiała udowodnić, że faktycznie się nie ruszę.

W końcu ciekawość przeważała nad chęcią dominacji. Opuściłam ręce i wyszłam na korytarz, dostrzegając Joyce'a pod ścianą. Ledwo mnie zobaczył, skierował się w stronę schodów.

- Idziesz? - rzucił.

Szłam za nim, więc w sumie było to całkowicie bezzasadne pytanie. Wpisałam się jednak w ten nonsens.

- Zależy dokąd - odparłam.

Najwyraźniej nie miał zamiaru odpowiadać, a mnie przeszło przez myśl, że dopiero teraz obserwuję prawdziwego Graysona Joyce'a. Milczącego, skąpego w wyrażaniu emocji. Wszystko, co widziałam na początku, było wynikiem szoku, w który wprawiło go moje przebudzenie.

A może było wprost przeciwnie? Tak naprawdę wiedziałam o nim przecież tyle, ile o sobie.

- Hej - rzuciłam.

Nadal nic.

- Dokąd mnie prowadzisz?

Zeszliśmy schodami na niższe piętro, po czym Grayson stanął przy niewielkich drzwiach na końcu korytarza. Rozejrzał się, potem wyciągnął z tylnej kieszeni jeansów jakiś klucz i umieścił go w zamku.

Zanim się zorientowałam, w czym uczestniczę, Joyce złapał mnie pod ramię i pociągnął za sobą. Zamknął drzwi tak szybko, jakby się obawiał, że ktoś dostrzeże, czego się dopuściliśmy.

Znalazłam się na technicznej klatce schodowej, wykorzystywanej zapewne wyłącznie przez personel lub administrację budynku. Ściany były jedynie otynkowane, pod sufitem biegly jakieś rury, a w tle towarzyszyło nam głośne buczenie.

Grayson ruszył w dół, oczekując, że pójde za nim. Ja jednak nawet nie drgnęłam.

- Jeśli chcesz mnie zaatakować, zrób to tutaj - poradziłam.

Zatrzymał się w połowie schodka i obejrzał przez ramię.

- Co?

- Tu przynajmniej ktoś znajdzie moje ciało.

Joyce na moment zastygł w bezruchu, po czym zmarszczył czoło w głębokim namyśle.

- Miałem dwa tygodnie, żeby cię zamordować - zauważył. - Jeśli do tej pory tego nie zrobiłem, to możesz być dość pewna, że już tego nie zrobię.

- Nie jestem pewna niczego.

Zastanowił się, a potem wydał usta, jakby przyznawał mi rację.

- Poza tym sam mówiłeś, że nieprzytomna byłam jakaś bardziej przystępna.

- To fakt.

Mruknęłam z wyraźną dezaprobatą.

- Liczyłam na zaprzeczenie - oznajmiłam.

- Wrodzona szczerść mi na nie nie pozwoliła - odparł Joyce i wskazał ręką schody. - Idziesz, Wakefield?

- Chyba jednak wolałabym po imieniu.

Obrócił się na ułamek sekundy.

- To jeden z tych problemów, które nazywam nie moimi.

Oparł się niedbale o balustradę, a ja miałam okazję przyjrzeć się jego tatuażom. Pokrywały całą wewnętrzną stronę przedramion, zupełnie jakby Grayson nie chciał, żeby rzucały się w oczy. Jeśli jednak takie były jego motywacje, powinien zdecydować się na coś subtelniejszego - skórę bowiem niemal całkowicie zakrywał tusz. To nie były jakieś delikatne wzorki, ale niemal czarne półrękawy.

Dopiero po chwili uzmysłowiłam sobie, że zbyt długo im się przyglądam, i skierowałam wzrok na opadające schody.

- Co jest na dole? - spytałam.

- Kanciapa z rzeczami, które zostały.

- Hm?

- Takie biuro rzeczy porzuconych.

- Zaraz...

- Jest tam wszystko, co pozostawili umarli - dopowiedział. - Każdy przedmiot, którego właściciel odmeldował się w tym szpitalu i po który nikt się potem nie zgłosił. Tak bywa.

Czasem nawet po ciała nikt nie przychodzi.

Przełknęłam głośno ślinę.

- Prowadzisz mnie do jakiegoś cmentarzyska ludzkich własności?

- Tak.

- To niezbyt romantyczny wypad jak na pierwszą randkę.

- Nikt nie mówił, że jestem romantyczny – odparł Grayson, a potem bez słowa skierował się schodami w dół.

Mimowolnie pomyślałam o tym, że zaprzeczył temu, ale opuścił zasłonę milczenia na moje głupawe żarty o randce. Bez znaczenia. Nie pozostało mi nic innego, jak pójść za nim.

- Czego tam konkretnie szukasz? – spytałam.

- Kasety, mówiłem ci.

- Ale jakiej?

Nabrał płytko tchu, przesuwając dłonią po metalowej barierce.

- Pewnego artysty – odparł enigmatycznie. – Nazywa się José Antonio Alcalá Fernández.

- Nigdy o nim nie słyszałam.

- Mówi się o nim po prostu Pepecalá, sam nie wiem dlaczego.

Nagle jakaś zapadka w mojej głowie przeskoczyła.

- „Pepe” to w hiszpańskojęzycznych krajach takie zdrobnienie imienia José – oznajmiłam.

- Powstało od skrótu P. P., *padre putativo*.

Usta Graysona lekko się rozchyliły.

- Domniemany ojciec – przetłumaczyłam. – Chodzi o to, że tak określano Świętego Józefa, którego Hiszpanie zwą oczywiście José de Nazaret. A człon „calá”, wiadomo, od pierwszego nazwiska. Pochodzi od ojca i zwyczajowo to właśnie nim się posługują, drugie dziecko dostaje po matce.

- Znasz hiszpański?

- Najwyraźniej – odparłam z pewną konsternacją. – Ale tego faceta wciąż ni w ząb nie kojarzę.

- Nic dziwnego – rzucił Grayson. – Pepecalá wydał tylko jeden minialbum, w dodatku własnym sumptem.

- Okej...

Nie bardzo wiedziałam, co to wszystko ma oznaczać, ale najwyraźniej na wyjaśnienie miała dopiero przyjść pora. Na razie Joyce otworzył przede mną wrota do innego świata. Świata, w którym niepodzielnie panowały drobnoustroje, kurz i chyba jakieś grzyby.

To nie była żadna kanciapa ani niewielki składzik. Pomieszczenie przywodziło raczej na myśl magazyn, w którym składuje się wszystkie te rzeczy, które zmarłym już się nie przydadzą.

- Przecież to jakieś katakumby – mruknęłam.

Grayson pstryknął włącznik światła, a to potrzebowało kilku mrugnięć, by przesądzić, czy zamierza rozwiać mrok, czy nie.

- Szpital istnieje od 1854 roku – oznajmił. – Od tamtej pory zebrało się tu parę rzeczy.

- To wyjaśnia, skąd wzięłaś tę koszulkę.

Nie widziałam jego reakcji, ale mogłam się domyślić, że nie jest przesadnie pozytywna.

- Noszę ją, bo przegrałam zakład.

- Jaki?

- Nieważne - uciął. - Istotne jest to, że szukamy tego, co pozostawiono tutaj w osiemdziesiątym siódmym.

- My? - spytałam. - O ile pamiętam, nie deklarowałam udziału w tym, co sprawiło, że okłamałeś personel szpitala i mojego dziadka.

Joyce zupełnie zignorował uwagę i ruszył przed siebie, wchodząc pomiędzy długie rzędy starych, metalowych półek. Minąwszy parę z nich, zerknął na zegarek, jakbyśmy nie mieli wiele czasu.

- Spiesz się gdzieś? - rzuciłam.

- Trochę - przyznał. - Mogę tu przychodzić tylko w porze odwiedzin, w dodatku za jakiegoś pół godziny ciebie robi obchód. Parę razy nieomal na niego trafiłem. Raz musiałem się tu zamknąć w całkowitej ciemni.

Podszedł do jednej z półek, a potem zdjął z niej paczkę marlboro gold. Otworzył ją i wysunął jednego papierosa w moim kierunku, ale ja na dobrą sprawę nie wiedziałam nawet, czy palić. Pokręciłam głową, a on przypalił sobie i zaciągnął się głęboko. Potem ruchem ręki zachęcił mnie, bym poszła za nim.

- Ty sprawdź po prawej, ja po lewej - polecił.

Zatrzymałam się przy nim, a potem spojrzałam na pudła, które znajdowały się po obydwu stronach. Jakiś autopilot w mojej głowie zasugerował, że skoro już tu jestem, równie dobrze mogę mu pomóc. Sięgnęłam po pierwsze z brzegu pudło i zaczęłam przeglądać zawartość.

Parę pluszaków, jakieś koperty, otwieracz do piwa, stare gazety, kilka kaset Michaela Jacksona i połowicznie wypełnione krzyżówki. Było tu właściwie wszystko - oprócz tego, co interesowało Joyce'a.

- Czemu w ogóle szukasz tej kasety? - odezwałam się.

- Bo to ostatnie, co zostało po Pepecali.

Zerknęłam na niego, on jednak był całkowicie pochłonięty przeszukiwaniem swojego pudła.

- Nie ma żadnych innych nagrań - podjął Grayson. - Wszystkie spłonęły w pożarze jego domu.

- W pożarze?

Joyce mruknął na potwierdzenie.

- W dniu, kiedy do niego doszło, Pepecalá odebrał cały skromny nakład z wytwórni. Pojechał z nim do domu, który mieścił się oczywiście na South Endzie.

Urwał na moment i rzucił mi niepewne spojrzenie, po czym uniósł bezradnie wzrok, widząc, że nic nie łapie.

- Większość Latynosów i Hispanoamerykanów mieszka na południu Hartford - oznajmił. - Afroamerykanie gromadzą się raczej na północy.

- I to w jakiś sposób istotne?

- W sumie nie - przyznał Grayson. - Ale trzeba cię trochę doedukować, jeśli masz zamiar tu mieszkać.

- Jeszcze nie wiem, czy mam.

Zmarszczył czoło, przyglądając mi się przez moment. Zaczęłam się obawiać, że zostanę zasypana lawiną informacji na temat miasta albo nawet stanu, w którym się znajdujemy. O nim parę rzeczy pamiętałam. Connecticut to w zasadzie próg zwalniający między Nowym Jorkiem a Massachusetts. Najbardziej znany chyba ze strzelaniny w Sandy Hook, a może raczej uznawaniu jej za mistyfikację przez Alexa Jonesa. Ma niepoważną liczbę milionerów czy miliarderów, ale wszyscy mieszkają w jednym hrabstwie na granicy z Nowym Jorkiem. Reszta to bida z nędzą.

Dopiero po chwili uzmysłowiłam sobie, że Grayson zakończył już wysiłki na rzecz edukacji lokalnej.

- Więc nie wiesz, gdzie jesteś, a mimo to chcesz stąd wyjechać? - mruknął. - Trzeba to zapisać jako jedno z największych osiągnięć Hartford.

Odburknęłam coś, czego nawet ja sama nie rozumiałam.

- Co?

- Nic - odparłam. - Ale zasadniczo nic mnie nie trzyma ani tutaj, ani nigdzie indziej.

- To samo może powiedzieć każdy.

- Raczej nie.

- Raczej tak - uparł się Joyce. - Tylko nikt nie chce tego robić. Wolą udawać, że istnieją jakieś egzystencjalne łańcuchy, które nie pozwalają im na życiowe zmiany czy podążanie za marzeniami.

Gwizdnęłam pod nosem. A raczej starałam się to zrobić, okazało się bowiem, że nie mam takich zdolności.

- No, no - dodałam szybko. - Gdybym wiedziała, że rozdają tu takie złote myśli, przyszląbym wcześniej.

Grayson pokręcił tylko głową i wrócił do przeglądania pudła.

- W każdym razie dzień wydania tej EP-ki miał być jednym z najszcześniejszych w życiu Pepecali - ciągnął. - Nakład wynosił jakieś kilkaset egzemplarzy, ale to bez znaczenia. José wreszcie spełniał swoje marzenie, a cała rodzina przeżywała to razem z nim.

Wyciągnęłam jakiś stary zegarek Casio, przyjrzałam mu się, a potem odłożyłam na miejsce. Choć trochę korciło mnie, żeby choćby przymierzyć go na nadgarstku. Był mocno retro, poza tym przecież nikt nigdy się tu po niego nie zgłosi.

- Zostaw to - usłyszałam.

- Co?

- Tę rzecz, która sprawiła, że przestałaś przeglądać inne.

Odchrząknęłam nerwowo, bo był zdecydowanie zbyt czujny. A może sam miał podobne myśli, kiedy przychodził tutaj wcześniej. Koniec końców zabranie czegokolwiek, po co ktoś bliski mógłby się zgłosić po latach, byłoby znacznie gorsze niż zwykła kradzież.

- Pepecalá miał żonę i dwie córki - kontynuował Grayson. - Mieszkali w niewielkim wynajętym domu przy South Street, jednym z tych, które wyglądają, jakby mocniejszy

podmuchał wiatr mógł przewrócić je jak domek z kart.

Mimo że nie pamiętałam, bym kiedykolwiek tam była, potrafiłam sobie to wyobrazić. Szare odrapane stiuki, cienkie drzwi, brudne okna. Na podobne widoki można było natknąć się w całych Stanach, a już szczególnie w mieście takim jak Hartford.

Właściwie jedyne informacje, które mi się z nim kojarzyły, sprowadzały się do tego, że od kilku lat jest uznawane za jedno z najbiedniejszych w kraju. O ile mnie pamięć nie myliła – a mogło tak być – w Hartford trzy rodziny na dziesięć żyły poniżej granicy ubóstwa. José Alcalá i jego familia pewnie zaliczali się do tej części.

– Mógł pojechać z tymi kasetami wszędzie – podjął Joyce. – Ale jedyne, czego tak naprawdę chciał, to pokazać je żonie i dzieciom. Puścić im te piosenki, których zazwyczaj słuchały albo na żywo, albo na nieprofesjonalnych nagraniach.

Grayson odłożył pudło i sięgnął po kolejne. Był już na dwudziestym piątym tygodniu 1987 roku. Ja też spojrzałam do następnego kartonu, w którym oprócz gazet i krzyżówek znajdowało się parę książek.

– Sam oczywiście musiał najpierw się przekonać, czy wszystko wypadło dobrze – powiedział. – W drodze do domu włożył więc jedną z kaset do walkmana, którego nosił przypiętego do kieszeni jeansów.

Czekałam na więcej, Joyce jednak z jakiegoś powodu zrobił pauzę.

– Uznawszy, że wszystko okej, w domu odpałił swoją debiutancką EP-kę z magnetofonu – oznajmił. – Cała czwórka słuchała jego kawałków, świętowała i snuła plany na przyszłość. Wiesz, jak to jest. Człowiekowi wystarczy niewielki kawałek nadziei, a ulepi z niej miraż, który odbierze mu rozum.

– Entuzjazm był chyba zrozumiały, skoro tyle na to czekał.

– Pewnie tak.

Na moment zaległo milczenie.

– I co się stało? – zapytałam.

– Nieszczęlna instalacja gazowa się stała.

– Co?

Grayson cicho westchnął.

– Pepecalá i jego żona trochę wypili, ale nie na tyle, żeby były z tego jakieś problemy – kontynuował. – Prawdziwym kłopotem okazał się nałóg, od którego José nie mógł się uwolnić.

Jakby na potwierdzenie tego Joyce głęboko się zaciągnął, a potem powoli wypuścił dym nosem.

– Żona go za to tępiła, nigdy nie pozwalała mu palić w domu – oznajmił. – Ale tego dnia mógł liczyć na specjalne traktowanie i taryfę ulgową. Nie chciał z niej korzystać, bo najwyraźniej trafiały do niego argumenty żony. Ta jednak chciała pokazać, jak bardzo się cieszy, czy... sam nie wiem. W każdym razie znalazła jakąś starą zapalniczkę w kuchni i gdy niosła ją mężowi, chciała sprawdzić, czy działa.

Momentalnie przestałam przeglądać zawartość kolejnego pudła.

– Obydwie dziewczynki siedziały przy stole w kuchni. Jedna miała dwa, druga cztery latka.

– Jezus...

- Matka i najstarsza córka zginęły na miejscu, a przynajmniej takie jest założenie - dodał szybko Joyce. - Nikt jednak nie ma pewności, bo nie udało się ich wydostać z płonącego budynku. Pepecalá zdołał wynieść na ulicę jedynie młodszą z córek, próbował ją ratować, ale na próżno. Zmarła jeszcze przed przyjazdem karetki.

Miałam ochotę powtórzyć to, co przed chwilą samo wyrwało mi się z ust.

- Wbiegł z powrotem do płonącego domu, przedostał się przez jedno z pomieszczeń, ale nie mógł dotrzeć do kuchni - mówił dalej Grayson. - Miał potem oparzenia trzeciego stopnia i jakieś problemy z płucami, ale była to najmniejsza cena, jaką przyszło mu zapłacić.

Oparłam się plecami o metalową szafkę i uniosłam głowę. Jeszcze przed momentem wydawało mi się, że tkwię w życiowym odbyciu. Teraz musiałam zmierzyć się ze świadomością, że inni mają gorzej.

Tylko czy w ten sposób można się pocieszać? Jakim byłam człowiekiem, jeśli taka myśl podnosiła mnie na duchu?

Normalnym, odpowiedziałam sobie. Przecież nie cieszę się z nieszczęścia innych, tylko sama siebie kopię w dupę za to, że użalam się, kiedy inni są w znacznie gorszej sytuacji.

- Co się potem z nim stało? - spytałam.

- Trafił tu do szpitala.

- Tyle się domyśliłam.

- Miał ze sobą walkmana, tego, w którym znajdowała się jedyna ocalała kaseta - oznajmił Joyce. - Wszystkie inne spłonęły z całym dobytkiem Pepecalá, a kopie w studiu nagraniowym zostały zniszczone.

- Dlaczego?

- Bo tego życzył sobie sam José - odparł ciężko Grayson, wciąż przeglądając porzucone rzeczy. - Nie chciał, by cokolwiek przypominało mu o tamtym dniu. A już szczególnie nie dźwięki, które sprawiły, że doszło do tragedii.

Mogłam sobie wyobrazić, że Pepecalá obciąża odpowiedzialnością praktycznie wszystko, co miało jakikolwiek związek z tymi wydarzeniami. W dodatku wiedział przecież, że ta kaseta była ostatnim, czego słuchała jego rodzina.

Gdyby nie celebracja wydania tego minialbumu, żona nigdy nie pozwoliłaby mu zapalić w kuchni i nigdy nie doszłoby do pożaru. A przynajmniej tak wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mógł tłumaczyć to sobie ten człowiek.

- To jest jedyne, niepowtarzalne nagranie - dodał Grayson. - Na całym świecie nie ma drugiego. I nie będzie, bo te oparzenia, które odniósł José, sprawiły, że już nigdy więcej nic nie zagra. Nawet gdyby chciał.

Pokiwałam głową, odnotowując, że z jakiegoś powodu podnoszą mi się włoski na ramionach. Czulałam się, jakby została mi powierzona jakaś wiekopomna misja, choć na dobrą sprawę wciąż nie miałam pojęcia, na czym polega.

Tak czy inaczej wychodziło na to, że Pepecalá odniósł poważne obrażenia, ale wciąż żył.

- Dlatego szukasz tej kasety? - spytałam. - Bo chcesz ją ocalić?

Czekałam na odpowiedź, ale ta nie nadchodziła.

- Joyce?

Obejrzał się przez ramię i zawahał. Zupełnie jakby nie mógł przesądzić, czy może mi powiedzieć prawdę.

- Znałeś go? – podsunęłam.

- Poniekąd.

- I co to ma niby znaczyć?

- Że nikogo nie da się naprawdę znać, nawet siebie. A może przede wszystkim siebie.

Opuściłam na to zasłonę milczenia.

- Chcesz mu zwrócić to nagranie?

- Postanowię, jak już je znajdę – odparł nieco bardziej nerwowo.

Coś było na rzeczy. Coś, czego nie rozumiałam. I coś, co sprawiło, że Grayson był gotów praktycznie włamać się do tego miejsca, by zdobyć tę kasetę. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że z jego punktu widzenia jest na niej coś więcej niż tylko muzyka.

- To o co chodzi? – zapytałam.

W absolutnej ciszy, która panowała w składzie, słyszałam, jak głośno przełykał ślinę.

- Więc? – dodałam.

- Po prostu muszę ją mieć – odparł enigmatycznie Joyce, posyłając mi krótkie spojrzenie.

Napięcie w jego głosie było tak duże, jakby chodziło o kwestię życia i śmierci.

- Bo? – spytałam, odrywając wzrok od jego oczu i na powrót skupiając się na przeglądaniu zawartości kartonu.

Znów kasyety, ale nie było wśród nich tej, której szukaliśmy. Tym razem jakiś stary album Mötley Crüe, *Hysteria* Def Leppard i *Apetite For Destruction* Guns'n'Roses. To był chyba dobry rok dla muzyki. Do tego mocno zużytkowana powieść Stephena Kinga, *Misery*, i niemal jak nowka debiut Scotta Turowa, *Uznany za niewinnego*. Najwyraźniej literatura gatunkowa też radziła sobie wtedy całkiem nieźle.

- No? – ponagliłam Graysona. – Dlaczego musisz ją mieć?

- To nieistotne – uciął stanowczo, a potem obrócił się do mnie i na jego twarzy zaszła jakaś zmiana. – Ważne jest to, że nie możesz nikomu o tym choćby wspomnieć.

- Hm?

- Ani o kasecie, ani o mnie. Ani o tym, że jej szukamy, jasne?

- Co ty konkretnie... – zaczęłam, ale urwałam, widząc, na co trafiłam w pudło.

Zamarłam, co nie uszło uwagi Joyce'a. Doskonale wiedział, co to oznacza. Natychmiast znalazł się przy mnie, a ja odniosłam wrażenie, jakbym została otoczona jakąś nadnaturalną, narkotyczną obecnością.

Trzymałam w ręku kasetę z napisem: Pepecalá, *Cuando Murió el Silencio*. Plastik był nieco wyszczerbiony, przez front przechodziła wyraźna rysa. Jak na końcówkę lat osiemdziesiątych okładka była całkiem niezła. Pomarańczowo-niebieska, przedstawiająca boczne lustroko samochodu na tle zachodzącego słońca.

Na niebie oprócz niego widać było biały symbol, może logo Pepecali – poziomą linię, a nad nią puste w środku kółko.

Joyce stanął obok, a potem ostrożnie i powoli sięgnął po kasetę, jakby była jakimś delikatnym artefaktem. Nie miałam zamiaru mu jej dawać. Natychmiast cofnęłam rękę.

- Co ty...

- Najpierw konkrety – powiedziałam.

Stał tuż przede mną, patrząc nieruchomym wzrokiem w moje oczy. Wyraźnie nie zamierzał się w to bawić, ale zanim zdążył sformułować jakąkolwiek odpowiedź, oboje usłyszeliśmy chrzęst klucza w zamku.

Zaraz potem drzwi do magazynu otworzyły się z cichym skrzypieniem, a Grayson raptownie pociągnął mnie na tyły.

Na twarzy Joyce'a zarysowało się przerażenie tak duże, że wydawało się wprost zabawne. Było mi jednak do śmiechu tylko przez kilka sekund, po których uświadomiłam sobie, że ten strach musi z czegoś wynikać.

Grayson przycisnął mnie do ściany tuż za ostatnim z metalowych regałów i sprawiał wrażenie, jakby chciał zakryć mi usta dłonią. Zobaczywszy jednak, że i bez tego nie mam zamiaru nawet pisnąć, opuścił rękę.

Potem nerwowo zerknął w kierunku drzwi.

Do składu wszedł wysoki mężczyzna w stroju firmy ochroniarskiej. Rozejrzał się leniwie, po czym zbliżył się do półek, przy których przed momentem staliśmy. Na ślepo sięgnął po dokładnie tę samą paczkę papierosów, co wcześniej Joyce.

Spojrzałam na Graysona pytająco, ale ten nijak nie zareagował.

W miejscu, do którego się wcisnęliśmy, nie było dużo przestrzeni. Staliśmy tak blisko siebie, że jeszcze trochę, a musielibyśmy stykać się nosami. Czułam jego oddech na moich ustach i nie mogłam zignorować tego, jak nierówny się stał.

Kwestią otwartą pozostawało, czy to przez tę niespodziewaną bliskość, czy pojawienie się ochroniarza.

Stałam naprężona jak struna, obawiając się, że jeśli choćby lekko się pochylę, nasze usta znajdą się praktycznie przy sobie. Nie wiedziałam, co zrobić z rękami, i czułam się jak ostatnia kretynka, pozwalając im tak po prostu zwisać.

Na dobrą sprawę nie było nawet gdzie uciec wzrokiem. Patrzyłam prosto w oczy Graysona, a on jedynie co jakiś czas unosił je, jakby szukał jakiegoś ratunku.

Po kilku głośnych sztachnięciach ochroniarz wyciągnął telefon, a potem wybrał jakiś numer. Z pierwszych wymienionych z rozmówcą słów wynikało, że to jakiś kumpel, z którym będą dziś oglądać mecz między Hartford Wolf Pack a Springfield Thunderbirds.

- Kurwa mać... - szepnął niemal niesłyszalnie Joyce.

Poczułam te słowa na swoich ustach.

I dopiero po chwili dotarło do mnie, że nie były jakimś przesadnie romantycznym wyznaniem.

- Jak nas tu znajdzie, mamy przesrane - dodał cicho Grayson.

Ochroniarz odszedł kawałek, całkowicie pochłonięty rozmową z kumplem.

- Bez przesady - odszepnęłam.

- Mówię poważnie, Wakefield. To nie są, kurwa, przelewki.

- Przecież nic nie zrobiliśmy.

Kiedy Joyce przełykał ślinę, odniosłam wrażenie, jakby jego grdyka przesuwiała się z gigantycznym trudem. Ta sytuacja nie powinna być dla niego tak stresująca - bo co tak

naprawdę ten ochroniarz mógłby nam zrobić?

- W najgorszym wypadku facet nas stąd wyrzuci - dodałam.
- Nie masz pojęcia, o czym mówisz.
- Przecież nas nie zamorduje ani...
- Nic nie rozumiesz - uciął nerwowo Grayson.

Całe jego ciało drgnęło, jakby nie mógł tego powstrzymać. Pech chciał, że w jakiś sposób zrobiło to pod moim adresem. Poczułam na sobie dotyk wszystkiego tego, czego nie powinnam.

- Sorry - rzucił Joyce.
- Nie szkodzi.

Nasze oddechy łączyły się i wpadały nam do ust. Nosy prawie się stykały, a oczy były tak blisko, jakby się w sobie zawierały.

Chciałam natychmiast przerwać, zarazem jednak pragnęłam, żeby trwało jak najdłużej.

Naraz poczułam, jak Grayson delikatnie dotyka mojej dłoni. Zrobił to jakby przypadkiem, nieśmiało i niepewnie. Mogłabym przysiąc, że za sekundę cofnie dłoń, on jednak zrobił coś dokładnie przeciwnego.

Poczułam, jak jego palce powoli dotykają moich, jakby badały, czy mogą się z nimi spleść.

Ochroniarz skończył rozmowę, ale ledwo to odnotowałam.

Serce mi przyspieszyło, oddech stał się nierówny, a temperatura ciała zdawała się wzrosnąć w całkowicie nieracjonalny sposób. Moje oczy same nieznacznie się zmrużyły, a usta lekko rozchyliły.

Uświadomiłam sobie, że wargi zaczynają mi drżeć, a dziwne uczucie w podbrzuszu rozlewa się na większą część ciała. Byłam jak ogluszona, upojona tą nagłą bliskością i owładnięta jakąś przedziwną potrzebą, by wchłonąć w siebie tego, który ją wywoływał.

Wypuściłam powietrze z niemal niesłyszalnym, krótkim westchnieniem, a moje wargi rozchyliły się jeszcze bardziej.

Wtedy nagle rozległo się przeciągłe, głośne pierdnięcie.

Ochroniarz kaszlnął, uderzył kilkakrotnie w spodnie, a potem pociągnął nosem. Zgasił papierosa, po czym odwrócił się i ruszył w kierunku wyjścia.

Byłam tak znokautowana tym druzgocącym wydarzeniem, że nie bardzo wiedziałam, co się dzieje.

Kiedy się ocknęłam, ochroniarz zamykał za sobą drzwi, a Joyce wysunął się z przesmyku, w którym się znaleźliśmy.

Ja zaś uświadomiłam sobie jedną istotną rzecz.

Kasety Pepecali nie było już w mojej dłoni.

Całe te podchody w mizianie miały na celu tylko i wyłącznie zdobycie tego, po co Grayson tutaj przyszedł.

- Na twoim miejscu odczekałbym chwilę - rzucił rozbawiony.
- Nie wiedziałam, co powiedzieć.
- I teraz już chyba rozumiesz, o jakim zagrożeniu mówiłem.
- Wyszłam zza regału i spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

- Bawi cię to? - rzuciłam.

- A czemu miałyby nie bawić?

Miałam przynajmniej kilka uwag na temat tego, że generalnie pierdzenie jest zabawne dla sześciolatek, ale właściwie nie o tym zamierzałam z nim rozmawiać.

- To jest dość śmieszne, jeśli się nad tym zastanowić - dodał Grayson. - Czyjaś dupa właśnie dała koncert jak mała trąbka, wywołując wokół zagrożenie toksykologiczne.

- Jezus Maria...

Joyce machał ręką z szarmancką miną, jakby właśnie poświęcał swoje życie i zdrowie, bym mogła bezpiecznie przejść.

- Czas na nas - oznajmił.

- Czekaj...

Nie miał najmniejszego zamiaru tego robić. Nawet na mnie nie spojrzął, nim podszedł do drzwi, a potem lekko je uchylił, by sprawdzić, czy ochroniarz odszedł równie szybko, jak się zjawił.

- Droga wolna - dodał.

- Moment, no.

Otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz, nie przejmując się ani mną, ani moimi obiekcjami. Zasadniczo miał też głęboko gdzieś to, co się właśnie wydarzyło. I jakiegokolwiek dobre manieri.

- Joyce! - rzuciłam za nim.

Nie zareagował - i to bynajmniej nie dlatego, że wciąż uważałam, by nadto nie podnieść głosu. Znikł w korytarzu, beczelnie pozwalając na to, by drzwi się za nim zamknęły. Zakląłam w duchu i ruszyłam w ich kierunku.

Kiedy wyszłam na klatkę, po Graysonie nie było śladu.

- Hej! - rzuciłam.

Nic, zero reakcji.

Musiałam wsłuchać się w otaczające mnie ciche buczenie, by wyłapać odgłosy szybko oddalających się kroków. Kurwa, naprawdę zostawił mnie tu samą. Zabrał kasetę i po prostu sobie poszedł.

Złapałam za poręcz i skierowałam się w górę, pokonując dwa schodki za jednym zamachem. Kiedy dotarłam do drzwi prowadzących z powrotem do właściwej części szpitala, okazały się zamknięte.

Joyce'owi rzeczywiście się spieszyło.

Wyszłam na korytarz i powiodłam wzrokiem na boki, po prawdzie nie sądząc, że gdziekolwiek dostrzegę Graysona.

Nie pomyliłam się. Znikł.

Wejście do wąskiego, dwupiętrowego ceglanego budynku przy Laurel Street trudno było nazwać powrotem do domu. Z mojego punktu widzenia byłam tam pierwszy raz, a Prodziekan musiał mi tłumaczyć, gdzie co jest, jak się tego używa i kto mieszka w okolicy.

Imion i nazwisk było zbyt wiele, bym je spamiętała, zresztą na dobrą sprawę mogłam myśleć tylko o jednym takim zestawieniu.

Niestety mój jedyny znajomy, Grayson Joyce, przepadł bez śladu. Nie wrócił do szpitala, nie zostawił żadnego liściku na pożegnanie, nie zjawił się nawet po to, by zagadnąć kogoś z personelu, jak się mam.

Znalazł to, czego potrzebował, a potem zapadł się pod ziemię. Nie miałam żadnego sposobu, by się z nim skontaktować, przez co pożegnałam się zarówno z wizją nawiązania pierwszej relacji międzyludzkiej, jak i rozwikłania tajemnicy Pepecali.

- Czy czegoś ci potrzeba? – zapytał Prodziekan, kiedy pokazał mi mój pokój.
- Właściwie tak.
- Czego? – ożywił się dziadek.
- Trochę przyzwoitości na tym świecie.

Zmarszczył brwi, a potem zbliżył się do mnie, kiedy siadałam na łóżku. Skrzypiało, a materac dawno nadawał się do wymiany. Podobnie rzecz miała się z wystrojem wnętrza, bo królowały tutaj plakaty jakichś popowych zespołów z lat osiemdziesiątych. Wszystko wieszane dawno temu rękoma mojej matki – zostałam bowiem zakwaterowana w jej dawnym pokoju.

Dziadek przysiadł na skraju łóżka i sentencjonalnie westchnął, jakby w tym zawierała się jakaś mądrość życiowa.

- Czy on nadal się do ciebie nie odezwał?
- Ano nie – przyznałam.
- Być może nie należy się tym przejmować.

Nawet na pewno nie należy, skwitowałam w duchu.

- Nie warto poświęcać uwagi komuś, kto skąpi jej tobie – dodał dziadek.
- No tak.
- Poza tym masz tyle rzeczy, które...

- Co? – ucięłam. – Powinnam sobie przypomnieć? Wyłowić z niedostępnych zakamarków pamięci, żeby pozlepieć z nich moje dawne życie?

Nawet gdyby nie wyczuł zaczepnej nuty w moim głosie, wzrok powinien go przekonać, by ostrożnie stawiał kolejne kroki.

- Wyobraź sobie, że niespecjalnie mnie to interesuje – dodałam. - Joyce jest na dobrą sprawę jedyną osobą, którą znam. Co w całej tej pustce, która mnie otacza, znaczy naprawdę sporo.

Tym większy z niego kawał chujowizny, dodałam w duchu. Nie musiałam znać swojego dziadka, by wiedzieć, że takie uwagi najlepiej pozostawić niezwerbalizowane.

- Zrozumiałe - odparł. - Aczkolwiek im mniej czasu przeznaczysz na szukanie tego młodzieńca, tym...

- Nie powiedziałam, że zamierzam marnować na to czas.

- Nie?

- Oczywiście, że nie - odparłam, wodząc wzrokiem po plakatach na ścianie.

Moja matka nie miała przesadnie dobrego gustu, przynajmniej kiedy była młoda. Choć wśród największych popowych gwiazd czasów minionych dostrzegłam też parę solidnych kapel, takich jak Tears For Fears czy Duran Duran.

Intrygowało mnie, że potrafię ocenić wartość muzyczną danych zespołów, ale na dobrą sprawę nie mam pojęcia, czy słyszałam jakąkolwiek ich piosenkę.

- Zresztą jak miałabym go znaleźć? - dorzuciłam. - W Hartford żyje... ile osób?

- Mniej więcej sto dwadzieścia tysięcy.

- No właśnie. Mam chodzić po ulicy i szukać tego gnoja?

Prodziekan się zawahał, jakby niepewny, czy powinien podejmować ten wątek. Wyraźnie nie chciał mnie podjudzać, jednocześnie jednak nie dostrzegałam w nim gotowości, by przejść nad tym wszystkim do porządku. Zaczynał chyba rozumieć, że kiedy dryfuje się w środku nocy całkiem samemu w oceanie, nawet niewielkie światło jest jak różnica między życiem a śmiercią.

- Może mówił coś, dzięki czemu udałoby ci się zawęzić obszar poszukiwań? - podsunął.

Podobał mi się dobór słów tego człowieka. I sposób, w jaki je wypowiadał.

- Chyba nie.

- Zastanów się - poradził odkrywco.

- Cały czas to robię.

- I czy niczym to nie skutkuje?

Uniosłam wzrok z niedowierzaniem, na próżno szukając słów, które mogłabym wykorzystać jako ripostę. Przez moment milczałam, jakbym dzięki temu mogła wyczyścić umysłową paletę.

- Kojarzysz kogoś takiego jak José Antonio Alcalá Fernández? - spytałam.

- Niestety nie.

- A Pepecalá?

- Nie - powtórzył Prodziekan. - Czy powinienem?

- Sama nie wiem - odparłam ciężko. - Grayson coś tam o nim wspominał.

Było to niedopowiedzenie, ale nie miałam zamiaru wtajemniczać dziadka we wszystko. Po pierwsze wciąż nie wiedziałam, jak bardzo poprzednia Aspen Wakefield była wobec niego otwarta. Po drugie niedawno stracił córkę i w pewnym sensie wnuczkę, nie trzeba było dokładać mu trosk.

Przyjrzałam mu się, bez trudu doszukując się smutku w jego oczach. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że to dla mnie nosi maskę, która ma przekonywać wszystkich wokół, że świat się nie zawalił.

- Czy nie mówił, do których restauracji chadza? - podsunął Prodziekan. - Gdzie gra z kolegami w koszykówkę lub jeździ na deskorolce?

Mimowolnie się uśmiechnęłam.

- Czy coś jest nie tak?

- Nie, wszystko okej - odparłam. - I właściwie jedyne miejsce, o którym wspominał, to South Street.

Przy której mieszkał Pepecalá, dodałam w duchu.

- Znasz je? - dorzuciłam.

- Oględnie. To stosunkowo długa ulica na South Endzie, mniej więcej kwadrans jazdy od nas.

- Niedaleko.

- W Hartford wszędzie jest niedaleko - zauważył dziadek. - Ta ulica biegnie od Maple Avenue aż do Wethersfield, jest tam dość sporo domów.

- Ile mniej więcej?

Prodziekan zmrużył oczy i się zawahał.

- Z pewnością kilkaset budynków, być może około czterystu.

Zakłęłam w duchu i od razu przekreśliłam plan chodzenia w tę i we w tę. Nawet jeśli Grayson jakimś cudem mieszkał tam, gdzie spłonął dom Pepecali, trafiłabym na niego tylko cudem.

I dlaczego w ogóle zakładałam, że ma z tym miejscem cokolwiek wspólnego? O tej tragicznej historii mógł usłyszeć od każdego, niekoniecznie od jakiegoś sąsiada, który to pamiętał. Z pewnością pisano na ten temat w lokalnych gazetach, bo nic nie sprzedaje się tak, jak ludzka tragedia z domu obok.

Tyle że Joyce nie czytał gazet w 1987 roku, bo nie zdążył jeszcze się urodzić.

Skąd w takim razie znał tyle szczegółów? I czemu tak bardzo zależało mu na tej kasce?

- Z pewnością sam się do ciebie odezwie - oznajmił Prodziekan.

- Co?

- Wie przecież, gdzie mieszkasz. Bawiliście się na naszej ulicy jako dzieci.

No tak, wciąż żył w przekonaniu, że bajka, którą sam pomógł Graysonowi ułożyć, miała cokolwiek wspólnego z prawdą. Ta jednak była taka, że nawet gdyby Joyce chciał się tu zjawić, nie udałoby mu się namierzyć właściwego domu w Hartford.

Nie znał też mojego adresu mailowego ani numeru telefonu, bo sama nie miałam pojęcia, jakie są. Zasadniczo mógł mnie jednak znaleźć na social media.

Ledwo ta myśl nadeszła, zrozumiałam, że powinnam przestać przejmować się nim, a zacząć sobą.

- Wiesz, gdzie jest mój iPhone? - rzuciłam.

- Oczywiście. Przyniosłem go razem z innymi rzeczami ze szpitala.

Posłałam dziadkowi spojrzenie, które jasno sugerowało, co powinien zrobić. Mimo to Prodziekan się wahał.

- Czy jesteś pewna, że...

- Że chcę poznać swoje życie? - dokończyłam za niego. - Raczej tak.

W tym telefonie było przecież wszystko. Wiadomości, zdjęcia, profile na Instagramie czy Facebooku, konto na Twitterze. TikTok raczej nie powie mi wiele, choć przy odrobinie szczęścia dowiem się, czy wolałam śpiewających celebrytów, kapibary wskakujące do wody czy może anonimowych ludzi robiących durne rzeczy.

Tak czy owak iPhone był kopalnią wiedzy. A mimo to dziadek nie kwapił się do tego, by mnie do niej wpuścić.

- Coś nie tak? - zapytałam.

- Ależ nie - odparł szybko we właściwy sobie, dystyngowany sposób. - Po prostu nie wiem, czy to nie za wcześnie.

- Chyba nigdy nie jest za wcześnie na poznanie siebie.

- Ani za późno - zauważył. - Ale czy naprawdę sądzisz, że to właśnie tam odnajdziesz prawdziwą wersję siebie?

Coś w tym było, ale nie miałam zamiaru dłużej tego ciągnąć. Oczekałam chwilę w wymownym milczeniu, by uświadomić Prodziekanowi, że wysłuchałam argumentów obydwu stron i niniejszym zamknęłam dyskusję.

W końcu poszedł po telefon, ale podawał mi go z wyraźną rezerwą.

Obawiał się czegoś? Spodziewał się, że znajdę tam jakieś rzeczy, których bym nie chciała?

Bez jaj, byłam dziewczyną idącą do college'u. Jakie mroczne tajemnice niby mogłabym jego zdaniem mieć?

Podpięłam telefon do ładowarki, a potem go uruchomiłam. Dziadek stał w progu mojego pokoju, z rękoma założonymi za plecami, i czekał.

- I co? - rzucił.

- Jeszcze nic.

- Uruchamia się?

Podniosłam na niego wzrok.

- Zazwyczaj tak to działa - oznajmiłam.

Pokiwał głową, jakby dopiero teraz się dowiadywał, iż skorzystanie z jakiegokolwiek urządzenia elektronicznego wiąże się z jego włączeniem.

Smartfon w końcu ożył, a ja zobaczyłam na ekranie to, czego się nie spodziewałam. A być może powinnam. Było to przecież dość logiczne.

- Czy coś jest nie tak?

- Wszystko.

Dziadek ostrożnie postawił krok w moją stronę, przywodząc na myśl nieroztropnego człowieka, który wchodzi na pękający lód w trakcie pierwszych roztopów.

- Face ID wymaga podania kodu - powiedziałam. - Co w sumie nie jest niczym dziwnym, bo dzieje się tak zawsze po długim nieużywaniu iPhone'a albo rozładowaniu. Sama nie wiem.

Prodziekan robił wszystko, bym nie zobaczyła ulgi na jego twarzy.

- Szkoda - powiedział.

Zignorowałam tę uwagę, bo stała w oczywistej sprzeczności ze wszystkimi sygnałami, które od niego odbierałam.

Podeszłam do biurka, otworzyłam macbooka i usiadłam przed nim. Touch ID musi działać, musi, myślałam.

Okazało się jednak, że sytuacja jest identyczna. Ten rodzaj identyfikacji wymagał podania hasła, którego nie znałam.

Zaczęłam wysuwać szuflady biurka, starając się znaleźć coś, co pozwoliłoby mi uzyskać dostęp do konta Apple. Wystarczyłaby jedna rzecz, furtka. Gdybym tylko dostała się do środka, mogłabym pootwierać wszystkie inne drzwi, dając sobie dostęp do pozostałych urządzeń.

W jednej z nierozpakowanych toreb znalazłam iPada i szybko podłączyłam go do prądu. Kiedy się uruchomił, Face ID był tak samo pomocny, jak w przypadku iPhone'a. Musiałam podać kod.

- Niech to chuj...

- Aspen! - obruszył się Prodziekan.

Myślałam, że puści mi to płazem, ale najwyraźniej nastąpiłam na jakiś odcisk.

- Wiem, że to bardzo trudna sytuacja, niemniej nic nie usprawiedliwia plugawienia języka w ten sposób.

Plugawienie języka. Spodobało mi się.

- Przepraszam - rzuciłam, a potem objęłam wzrokiem to, co znajdowało się na biurku.

Trzy sprzęty, bez których zapewne nie wyobrażałam sobie dnia. Trzy rzeczy, w których znajdowało się całe moje życie. Wszyscy znajomi, utrwalone na zdjęciach momenty, zainteresowania, plany, terminarze, muzyka, książki, seriale, filmy, sport, cała moja aktywność...

Było coś dojmującego w tym, że taka część mnie była tam zamknięta. Zarówno dlatego, że nie miałam do tego dostępu, jak i dlatego, że mówiło to sporo o otaczającym mnie świecie.

Przeniosłam do komórki i laptopa lwią część swojego życia i okazało się, że bez dostępu do nich nagle stałam się wyrzutkiem z własnej egzystencji. Bez iPhone'a zasadniczo nie istniałam.

Czy zdawałam sobie z tego sprawę wcześniej? Czy wiedziałam, jak wiele z siebie przeniosłam do świata wirtualnego? Może próbowałam się jakoś uniezależnić? Może walczyłam ze sobą o swoje jestestwo?

Zaczęłam przeglądać torby w poszukiwaniu czegoś, co da mi odpowiedź.

Ale nie miałam żadnych fizycznych zdjęć. Żadnych notatek, żadnego pamiętnika. Nie znalazłam nawet żadnego kalendarza, który powiedziałby mi, czym się zajmowałam.

Jedynym, co zadziało, był czytnik ebooków. Odpaliwszy Kindle'a, starałam się sprawdzić chociaż to, czy moje podejrzenia o w miarę dobrym guście literackim były zasadne.

Byłam w trakcie czytania *Niewyczerpanego żartu* Davida Fostera Wallace'a - dodany do biblioteki ponad miesiąc temu, przeczytane dopiero dwadzieścia pięć procent. Najwyraźniej nie spieszyło mi się z tą lekturą, ale była na samej górze, więc musiałam niedawno ją nadgryzać. Za Wallace'em dwa w całości przeczytane ebooki: *Lata Annie Ernaux* i *Uległość* Michela Houellebecqa.

Podejrzenia chyba się potwierdziły, choć nie było to w tej sytuacji wielkie pocieszenie.

- Czy wszystko w porządku? - odezwał się dziadek, a ja uświadomiłam sobie, że przez ten cały czas mi się przyglądał.

- Nie... nie wiem.

- Czy mogę ci jakoś pomóc?

Pokręciłam głową i czując na sobie wyczekujący wzrok Prodziekana, w końcu na niego spojrzałam.

- Okazuje się, że bez tych wszystkich sprzętów jestem widmem człowieka - oznajmiłam. - I chyba sama doprowadziłam do takiego stanu.

Wyglądał, jakby miał zamiar zgodzić się krótkim skinieniem, zamiast tego jednak trwał w postawie zasadniczej.

- Przykro mi - odezwał się. - Ale nie wszystko przepadło.

- Nie?

- Oczywiście, że nie. Masz wokół siebie ludzi, którzy pomogą ci odkryć to, co utraciłaś.

Rozejrzałam się, unosząc brwi.

- I gdzie oni są?

- Cóż... - odparł dziadek, nieco zakłopotany. - Możemy zacząć ode mnie.

- Okej - rzuciłam. - To co możesz mi o mnie powiedzieć?

Już nabierał tchu, kiedy zorientował się, że sama zamierzam odpowiedzieć sobie na to pytanie.

- Co nie byłyby przeterminowane o kilkanaście lat? - dodałam.

- No dobrze... masz rację. Są jeszcze jednak inni ludzie. Twój znajomi.

- I gdzie się chowają?

Byłam tylko o krok od ponownego rozejrzenia się po pokoju. Wydawało mi się bowiem oczywiste, że gdybym знаła kogokolwiek w Hartford, dawno bym się o tym dowiedziała. I Grayson z pewnością natknąłby się na którąś z tych osób, kiedy udawał, że dyżuruje przy moim łóżku w szpitalu.

- Są w Prescott, jak mniemam - powiedział Prodziekan.

- Masz do nich jakichś kontakt?

- Obawiam się, że nie.

Znów zerknęłam wymownie na sprzęty leżące na biurku.

- Jakkolwiek prędzej czy później z pewnością znajdą sposób, by się z tobą porozumieć - dodał dziadek. - Do tego czasu sami zajmiemy się próbą pobudzenia twojej pamięci. Doktor Bearce mówił, że istnieje wiele bodźców, które mogą zadziałać. Znajome otoczenie, muzyka, smaki czy zapachy... To wszystko może sprawić, że synapsy w twoim mózgu zaczną współpracować.

Na razie miałam wrażenie, że nic w moim ciele nie zamierza tego robić. Zachowałam jednak tę myśl dla siebie, bo Prodziekanowi z pewnością nie brakowało pesymizmu, mimo że go nie okazywał.

W głębi duszy poczułam, że to ja powinnam się nim zająć, a nie on mną.

- Będziemy próbować - zapewniłam i odchrząknęłam. - A teraz muszę ogolić nogi, więc jeśli nie chcesz w tym uczestniczyć...

Dziadek natychmiast uniósł otwarte dłonie i się cofnął.

– Oczywiście, naturalnie – rzucił. – Gdybyś czegoś potrzebowała, to mów. Ma się rozumieć, nie w tej materii, ale...

– Jasne – uciełam.

Pokiwałam głową, a potem lekko zmieszany wycofał się i zamknął za sobą drzwi. Kiedy zostałam sama, jeszcze raz zaczęłam przeglądać wszystkie torby w pokoju. Nie znalazłam niczego pomocnego, przynajmniej jeśli chodziło o moją pamięć.

Rzeczy przydatnych w inny sposób było całkiem dużo. Tampony, podkład, pomadka, szczoteczka elektryczna, maszynka do golenia, jakiś puder, tusz. Wszystko dość nowe, więc wychodziło na to, że maluję się od niedawna.

Chyba że część należała do mojej matki. Na dobrą sprawę nie mogłam być tego pewna.

Na przeglądaniu wszystkiego, co się tu znajdowało, zeszło mi więcej czasu, niż się spodziewałam. Decyzję, by iść spać, podjęłam w środku nocy, choć wydawało mi się, że po dwóch tygodniach w śpiączce w ogóle nie zmruję oka.

Nie chciało mi się szukać mojej piżamy, nie wiedziałam zresztą nawet, jak wygląda. Otworzyłam pierwszą lepszą szafkę i znalazłam jakąś starą koszulkę z Simpsonami, zapewne należącą niegdyś do mojej matki. Uznałam, że może być.

Zasnęłam szybciej, niż się spodziewałam, a kiedy się obudziłam, świat wydawał się całkiem inny. Bardziej obcy niż wcześniej, groźniejszy i silniej niepokojący.

Chyba dopiero zaczynało do mnie docierać, że niczego nie mogę być pewna. Nawet tego, że to ja patrzę na siebie, kiedy stoję przed lustrem.

Zjedliśmy z Prodziekanem śniadanie, a ja uświadomiłam sobie, że najwyraźniej mężczyźni w tej rodzinie nie potrafią zrobić nawet owsianki. Umieeli chyba za to opowiadać, a przynajmniej tak by wynikało z tego, co przedstawiał mi dziadek.

Dowiedziałam się trochę na temat mojej matki – i oczywiście zero na temat ojca. Prodziekan pokazał mi kilka zdjęć, które dostał od June na przestrzeni lat. Zawsze byłam na nich ja, dzięki czemu miałam namacalny dowód na to, że ktoś w istocie wcześniej zamieszkiwał moje ciało.

Moja mama była starsza, niż się spodziewałam. Musiała urodzić mnie dość późno, a początek mojej kadencji na tym świecie prawdopodobnie był skutkiem świadomej decyzji. Tym dziwniejsze wydawało mi się, że nigdy nie powiedziała Prodziekanowi, kto jest moim ojcem.

Kiedy skończyliśmy, zamierzałam pójść do pokoju i spróbować bodźcowania się muzyką, rozległ się jednak dzwonek do drzwi. Nie jeden z tych uprzejmych, niepewnych sygnałów, przeciwnie. Ktoś maltretował przycisk, jakby się paliło.

Dziadek był w łazience, toteż obowiązek sprawdzenia, kto się dobija, spadł na mnie. Zbliżyłam się do drzwi nerwowym krokiem, planując kulturalnie uświadomić człowiekowi po drugiej stronie, że nie musi tak napierdalać, by było go słycać.

Nie zerknęłam w wizjer – i to okazało się błędem.

Miałabym moment dłużej, by przygotować się na widok Graysona Joyce'a stojącego na mojej werandzie.

Wyglądał nieco inaczej niż wczoraj – przede wszystkim pozbył się tej koszulki z One Direction, którą włożył w ramach jakiegoś zakładu. Zamiast niej nosił czysty biały T-shirt zatknięty za pasek niebieskich jeansów.

Od razu wbił we mnie nieruchomy wzrok, mrużąc oczy.

Moja twarz nie wiedziała, co zrobić. Zupełnie jakby mięśnie nie mogły przesądzić, czy zamierzają ułożyć się w jakiś radosny grymas, czy może wprost przeciwnie, w pełną wściekłości maskę.

Kiedy moje odczucia już prawie miały zdecydować za mnie, przekonałam się, że Grayson patrzy na mnie z pretensją.

Chciałam zapytać, co tu robi. Jak mnie znalazł. Dlaczego znikł – i przede wszystkim z jakiego powodu nagle wrócił.

Nie odezwałam się jednak słowem, a on wymierzył we mnie swoją komórką, jakby ta była jakimś paralizatorem.

– Widziałas to? – rzucił.

Otworzyłam usta, ale się odezwałam. Zamiast tego wzięłam od niego telefon.

– To się wydarzyło tuż przed twoim wyjazdem – oznajmił Joyce.

Na ekranie znajdował się artykuł sprzed dwóch i pół tygodnia, z lokalnego portalu w Prescott w Arizonie. Informował o makabrycznej zbrodni, która wstrząsnęła lokalną społecznością.

Nie zastanawiając się długo, raptownie ruszyłam naprzód, jednocześnie zamykając za sobą drzwi. Grayson dał krok w tył i nieomal stracił równowagę, natrafiając na niewielką poręcz przy schodkach. Niewiele brakowało, a wypadłby na ulicę.

- Pojechało cię? - rzucił.

- Mnie? - odparowałam ostro. - To nie ja wysiaduję tygodniami przy łóżku nieznanym tylko po to, żeby potem porzucić ich na pastwę losu w jakimś pieprzonym magazynie!

Obrócił się i zerknął na skrawek trawnika, na którym prawie wylądował. Potem przysiadł na drewnianej poręczy i rozsunął ręce. Trzymał ją, jakby się obawiał, że zamierzam go wypchnąć.

Intensywnie i jakby z niedowierzaniem mi się przyglądał, a ja poczułam się dziwnie, nie rozumiejąc, dlaczego konkretnie to robi.

- Jeden: nigdzie cię nie porzuciłem - odparł. - Dwa: to nie trwało dwa tygodnie.

- Doprawdy?

Skinał niepewnie głową, jakby nie wiedział, jak bardzo zaczepne było to pytanie.

- Co ty tu robisz? - powtórzyłam.

Wskazał wzrokiem na swoją komórkę, którą nadal trzymałam.

- Chciałem ci to pokazać.

- Po co?

- A jak myślisz? - rzucił i się rozejrzał. - Ewidentnie to, co się stało w Prescott, miało związek z waszym wyjazdem.

- Aha - odparłam. - Do tego Ziemia jest płaska, Biden to jeden z Reptilian, a szczepionki to narzędzie, dzięki którym kontrolują liczbę urodzeń.

- Mówię poważnie.

- Ja też - zastrzegłam. - Pierwsi przybysze z Alfa Draconis w konstelacji Smoka są między nami od tysięcy lat. Wpisz sobie na YouTube.

Uniosł lekko głowę, wciąż rozwalony na mojej werandzie, jakby chciał zaanektować całą tę przestrzeń.

- I jak w ogóle mnie znalazłeś?

- Bawiliśmy się tu za młodu.

- Jak jasna cholera.

Przyjął przewrotnie niewinny wyraz twarzy, za który miałam ochotę go zdzielić po łbie.

- Twój dziadek był dość rozmowny - odparł. - Sam podsuwał mi informacje, które potem wykorzystywałem, żeby się uwiarygodnić.

- Ty kanalio...

- Hej - odparł, wzruszając ramionami. - Tylko skorzystałem z okazji.

Zacisnęłam usta, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Najwyraźniej podobnie jak ty i twoja matka – dodał Joyce, znów zerkając na telefon.

Podniosłam go, teraz już nieco spokojniej mogąc przejrzeć artykuł. Dałam krok w prawo, a potem przysiadłam na schodach z czerwonej cegły. Grayson nadal stał tam, gdzie wcześniej, jakby chciał mi dać czas na to, bym sama zobaczyła, co sprawiło, że w ogóle tu przyszedł.

A przynajmniej tak wydawało mi się przez moment.

– W Prescott w stanie Arizona doszło do brutalnego morderstwa – powiedział, jakby znał nagłówek na pamięć.

Kątem oka dostrzegłam, że zbliża się do mnie.

– Na tyłach niewielkiego pubu przy 6th Street, gdzie znajduje się wysypisko śmieci i samochodowy szrot, odnaleziono zwłoki pobitego mężczyzny – ciągnął.

Usiadł obok mnie, patrzył jednak na wprost.

– Jak na razie nie udało się ustalić tożsamości ofiary – dodał głosem reportera telewizyjnego. – Zmarły nie miał przy sobie żadnych dokumentów, nikt w mieście nie zgłosił zaginięcia. Policja odmawia jednak publikacji wizerunku ze względu na zbyt drastyczne zdjęcia. Portret jest w tej chwili przygotowywany.

Właściwie dobrze, że relacjonował to, co miałam przed oczami, bo artykuł nie układał się dla mnie w żadną spójną całość.

– Na tym etapie postępowania sprawy nie udało się ustalić – podjął Grayson. – Policja hrabstwa Yavapai zapewnia jednak, że jest to tylko kwestią czasu. W tej chwili trwają poszukiwania świadków zdarzenia, które miało miejsce wtedy a wtedy w nocy. Właściwie to już chyba nad ranem.

Zwróciłam wzrok na Joyce'a i przekonałam się, że na mnie patrzy.

– No i? – rzuciłam. – Co konkretnie każe ci podejrzewać, że miałam z tym cokolwiek wspólnego?

– Parę rzeczy.

– To może mnie oświecisz?

– Chętnie – odparł szybko Grayson. – Przede wszystkim timing, poza tym...

– Czekaj, zaraz – wpadłam mu w słowo i obróciłam się do niego. – Skąd w ogóle wiesz o tym, co wydarzyło się jakieś cztery tysiące kilometrów stąd?

– Sprawdziłem.

– Co konkretnie?

Wzruszył ramionami, jakby odpowiedź nasuwała się sama.

– Googlowałeś miejsce, z którego przyjechałam? – rzuciłam.

– A jeśli tak, to co w tym dziwnego?

– Wszystko.

– Ja nic takiego nie widzę.

Wypuściłam powietrze nosem, patrząc prosto w oczy Graysona.

– Po cholerę to robiłeś? – spytałam. – Szczególnie po tym, jak mnie zostawiłeś?

– Z ciekawości. I wcale cię nie zostawiłem.

– Więc jak to nazwiesz?

Wahał się o sekundę zbyt długo.

- Wyszedłem, a ty nie poszłaś za mną - oznajmił.

- Wal się - odparłam automatycznie. - Ruszyłam zaraz po tobie.

Przypuszczałam, że moglibyśmy kontynuować w nieskończoność, mimo że Grayson zaprzeczał dla samego zaprzeczania. Nie ulegało dla mnie najmniejszej wątpliwości, że chciał w tamtym momencie na dobre się mnie pozbyć, bo zwyczajnie przestałam być przydatna.

- Ale rozmawialiśmy nie o mnie, tylko o tobie - odezwał się.

- Właściwie to raczej o facecie, który niefortunnie zginął w Prescott. I który nie ma ze mną absolutnie nic wspólnego.

Joyce znacząco uniósł brwi, ale zanim zdążył zaproponować, rozległo się skrzypienie drzwi, a w progu pojawił się Prodziekan. Najpierw zawiesił niepewny wzrok na Graysonie, a potem zerknął pytająco na mnie.

- Czy wszystko jest w porządku? - spytał.

- O tyle, o ile.

- Chcesz, żebym...

- Nie, dzięki - uciełam. - Wszystko jest okej.

Dziadek wciąż na mnie patrzył, jakby nie wierzył w ani jedno moje słowo.

- Nic mi nie grozi - zapewniłam.

- Nie to miałem na myśli.

- A co?

- Że siedzisz w piżamie z Simpsonami.

Ożeż kurwa. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że przed otwarciem drzwi nawet nie pomyślałam o tym, by cokolwiek na siebie narzucić. I nagle stało się jasne, dlaczego Joyce tak długo mi się przyglądał.

- Moim zdaniem jest dojebana - oznajmił Joyce.

- Że co proszę?

- Nieważne - włączyłam się szybko. - Zaraz przyjdę się przebrać.

Posłałam dziadkowi błagalne spojrzenie z nadzieją, że sprawnie odbierze ten dość uniwersalny apel. Cmoknął z dezaprobatą, a potem się wycofał, wodząc wzrokiem dookoła, jakby jeszcze na odchodnym starał się ocenić, czy nie jest zbyt zimno na siedzenie na werandzie w samej koszulce.

Drzwi w końcu się zamknęły, a ja i Grayson spojrzeliśmy na siebie w sposób, który nic mi nie mówił.

- Na czym skończyliśmy? - zapytałam.

- Na facecie, którego zabiłyście przed ucieczką z Arizony.

- Jezus...

- Strzelałam, że nazywał się jednak inaczej.

Szturchnęłam go w ramię w jakimś zupełnie bezwiednym impulsive.

- Choć formalnie rzecz biorąc, danych nie ustalono, więc wszystko jest możliwe - dodał Joyce. - Szczególnie że był Latynosem, więc może Jesús?

Posłałam mu spojrzenie krótkie, acz dostatecznie wymowne, by się zorientował, że nie mam zamiaru tego ciągnąć. W odpowiedzi kącik ust lekko mu drgnął, sugerując, że to dopiero początek.

- Mogłyście naprawdę bardziej się postarać z ukryciem ciała – dodał. – I wyjazd od razu po zabójstwie jest dość podejrzany.

- Bawi cię to?

- Umiarkowanie – przyznał Grayson.

Zacisnęłam usta, chcąc przybrać najbardziej złośliwy wyraz, na jaki stać było moją twarz. Ostatecznie jednak uświadomiłam sobie, że cokolwiek zrobię, jedna kwestia sprawi, iż poniosę klęskę. Simpsonowie na moim T-shircie.

- Nikogo nie zabiłyśmy – rzuciłam pod nosem.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Daj spokój...

Joyce nagle spowaźniał, jakby mój apel podziałał na niego trzeźwiąco.

- Mówię tylko, że to naprawdę podejrzany timing – odparł.

- Który mi nie wystarczy, żebym przyjęła, że miałyśmy z tym coś wspólnego. I tobie też nie powinien.

Grayson podniósł się, otrzepał spodnie, a potem zszedł po schodkach i stanął naprzeciwko mnie. Przez chwilę patrzył mi w oczy z dłońmi w kieszeniach jeansów.

- Masz rację – powiedział. – Nie wystarcza.

- Świetnie, że się rozumiemy.

- Ale jest coś jeszcze.

- Niby co? – spytałam.

Pociągnął krótko nosem, po czym powiódł wzrokiem po Laurel Street. Strona, po której stał dom dziadka, była pozbawiona samochodów. Szczęśliwie dla naszych trawników lub ich namiastek, parking ciągnął się naprzeciw.

- Pub, pod którym znaleziono ciało, nazywa się Pudge and Asti's Sports Grill – oznajmił Grayson, jakby miało to cokolwiek tłumaczyć.

Liczył na jakąś reakcję, ale doczekał się jedynie obojętnego wzruszenia ramion. Ta nazwa nie mówiła mi absolutnie nic.

- Policja przesłuchała oczywiście wszystkich, którzy się tam znajdowali tamtej nocy – ciągnął Joyce. – Większość zeznań okazała się niezbyt pomocna, bo bywalcy takich miejsc rzadko przychodzą do nich, żeby celebrować trzeźwość.

Skinęłam głową, bo nie była to nietrafna uwaga.

- Ale jedna z klientek zapamiętała kłótnię, która miała miejsce pomiędzy tym facetem a jakąś kobietą i dziewczyną, prawdopodobnie matką i córką, przy stole bilardowym.

Poruszyłam się nerwowo.

- Nie zidentyfikowano tych osób, a klientka nie zakodowała ich sobie na tyle, by stworzyć portret pamięciowy – ciągnął Grayson, a ja miałam wrażenie, jakbym obrywała mocnymi ciosami. – W dodatku pub był tamtej nocy pełny, więc mało kto w ogóle zwrócił uwagę na kłótnię. Nie doszło do rękoczynów, wedle świadka wyglądało to na zwykłą rodzinną scysję.

Joyce świdrował mnie wzrokiem, a ja nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Poczułam nieodpartą potrzebę, by wstać i uciec, ale byłoby to jak przyznanie się do winy.

– Mocno się tym zainteresowałeś – powiedziałam, powodowana jakąś reakcją obronną. – Nie miałeś co robić?

Grayson uniósł brwi.

– Poważnie? – zapytał. – Tak chcesz to zbyć?

– Niczego nie zbywam.

– Więc co niby robisz?

Podniosłam się i korzystając z tego, że stał przed schodkami, spojrzałam na niego z góry.

– Staram się uświadomić ci, że w Prescott w stanie Arizona z pewnością jest wiele matek i córek, które kłócą się z mężami czy ojcami – odparowałam.

– Ale nie wszystkie wyjeżdżają zaraz po tym, jak druga strona zostaje odnaleziona martwa.

– To zbieg okoliczności.

Grayson uniósł jedną brew.

– Wiesz, co o nich mówią – odparł.

– Stanowczo za dużo.

Joyce trwał w dziwnym zawieszaniu, jakby moja uwaga sprawiła, że nie potrafił skończyć myśli. Może chciał powiedzieć, że zbieg okoliczności to tylko sposób Boga na to, by pozostać anonimowym? Albo że to posłaniec prawdy? Metoda duszy na odnajdywanie swojej ścieżki? Określenie mechanizmu, który porusza wszechświatem?

Nie, Grayson raczej nie wyglądał na kogoś, kto sięgałby po aforyzmy od Paulo Coelho. Właściwie w ogóle sprawiał wrażenie człowieka, który opisuje świat bez posługiwania się słowami innych.

Wysunął ręce ze spodni, a potem obejrzał się przez ramię na jeden z samochodów zaparkowanych po drugiej stronie ulicy. Było to stare, kanciaste auto sportowe w czerwonym lakierze. Chyba jakiś dawno zapomniany model porsche, ze światłami podnoszącymi się z maski.

Potem Joyce znów popatrzył na mnie i coś w jego wzroku sprawiło, że poczułam, jakby między nami była jakaś nieprzekraczalna gęstwina, a próba przebicia się przez nią miała poranić każdego, kto się tego podejmie.

Jednocześnie wydawało mi się, że po obydwu stronach występuje jakaś siła, która pcha nas prosto w ten gąszcz. I która każe sądzić, że jeśli będziemy chcieli, odnajdziemy drogę na przelaj.

Boże, czy ja tak miałam ze wszystkimi facetami, których dopiero poznałam? Trudno było liczyć na jakąkolwiek odpowiedź, bo nie było nikogo, kto mógłby jej udzielić. A z pewnością nie mogłam tego zrobić ja.

Może to była wyjątkowa sytuacja? Ta, która zdarza się raz na jedno życie, a czasem nawet nie?

– Tak czy inaczej nie możesz być niczego pewna – odezwał się Joyce.

Skonfundowałam się lekko, bo zabrzmiało to, jakby Grayson jakimś cudem zdołał wnikać w moje myśli. W istocie jednak odnosił się przecieź do czegoś zupełnie innego.

- Tego, że nie zabiłyśmy z matką żadnego faceta, jednak mogę być.

- Okej.

Na moment zaległa cisza przerywana szumem aut przejeżdżających po Farmington Avenue.

- Okej? - spytałam. - Tylko tyle?

Grayson wzruszył ramionami.

- Skoro nie chcesz tego sprawdzić, to...

- Jak niby miałabym? - wpadłam mu w słowo. - Moja matka nie żyje, a ja wczoraj nie pamiętałam nawet tego, jak się nazywam. Czuję się obco w ciele, którego ani trochę nie znam, otacza mnie zupełnie nieznajomy świat i nie mam pojęcia, czy mogę ufać sobie, a co dopiero innym ludziom. Moje zmysły wariują, myśli nie układają się w żaden sensowny kształt, a w dodatku...

- Dobra, dobra - uciął Joyce. - Gnój w chuj. Nikt temu nie przeczy.

Otworzyłam szerzej oczy, zastanawiając się nad tym, jaki jest werbalny odpowiednik spoliczkowania kogoś. Nie miałam jednak czasu, by na to wpaść, Grayson bowiem nie zamierzał oddawać mi inicjatywy.

- Jedziemy? - rzucił nagle.

Potrząsnęłam głową.

- Co?

Niedbale zarzucił głową w kierunku czerwonego auta.

- Zakładam, że chcesz usłyszeć, co jest na tej kasecie - oznajmił. - I dowiedzieć się, dlaczego jej szukałam.

Wahałam się tylko przez ułamek sekundy. Potem czym prędzej poszłam przebrać się w coś, w czym mogłam się pokazać.

Wnętrze auta było zadbane, ale przywodziło na myśl stare seriale z lat osiemdziesiątych, w których obraz był zawsze jakby nieco zamglony. Podobnym samochodem jeździł Magnum, Kojak czy jakiś inny McGyver, nie mogłam sobie przypomnieć.

Nawiew regulowało się suwakiem, który chodził od niebieskiego do czerwonego paska, a radio było na kasety, co przesadnie mnie nie dziwiło. To ostatnie sprawiło, że byłam praktycznie pewna czekającego mnie scenariusza. Joyce włączy kasetę Pepecali, a potem będziemy jeździć po okolicy i słuchać tego, co znajdowało się na nagraniu.

Z jakiegoś powodu jednak Grayson się na to nie zdecydował. Może nie chciał stwarzać wrażenia, jakbyśmy byli postaciami w jakimś serialu dla nastolatków. A może po prostu radio było tak stare, że wciągało kasety.

Tak czy owak wóz teoretycznie był czteroosobowy, ale dwa fotele z tyłu wstawiono chyba tylko dla picu. Zmieściłyby się tam w porywach dwie dziewczyny spod znaku heroin chic.

Grayson wyjechał na Farmington, uświadamiając sobie, że toczę wzrokiem po wnętrzu auta.

- Porsche 924 - oznajmił.

- Nie pytałam.

Posłał mi krótkie, ale pełne dezaprobaty spojrzenie.

- Rocznik osiemdziesiąty drugi, przebieg sto pięć tysięcy, pojemność dwa litry, sto dwadzieścia pięć koni.

- Wow.

- Napęd na tylne koła, nowe wtryski Boscha, wymieniony rozrząd.

- Niesamowite.

- Cztery cylindry, skrzynia ręczna, pięciobiegowa.

- Coś niebywałego.

- Pierwszy model z chłodzeniem cieczą, napędem na tył i silnikiem z przodu.

- Naprawdę imponujące.

Choć trudno mi było w to uwierzyć, Grayson dopiero teraz się zorientował, że praktycznie go nie słucham. Stanęliśmy na skrzyżowaniu, a on obrócił się do mnie i przełożył rękę przez oparcie mojego fotela.

- Nie drwij sobie z Hermiony - odezwał się.

- Słucham?

Joyce trwał w bezruchu z kamiennym wyrazem twarzy, patrząc na mnie ostrzegawczo.

- Nazwałś samochód?

- Tak.

- I wybrałeś mu imię Hermiona?

- Właściwie to jej.

Uniosłam wzrok, jakbym gdzieś w bezchmurnym niebie ponad nami mogła odnaleźć ratunek.

- Nie czytałeś *Christine* Stephena Kinga? - jęknęłam.

- Czytałem.

- Więc nie przeszkadza ci to, że samochody z imionami żeńskimi są w stanie zabijać wszystkich, którzy stają między nimi a kierowcami?

- Zupełnie nie - odparł Grayson i wbił jedynekę, po czym wcisnął pedał gazu.

Musiałam przyznać, że Hermiona była dość skoczna - choć może nie było to określenie, które utarłoby się w motoryzacyjnej nomenklaturze.

Na wszelki wypadek przesunęłam dłonią po desce rozdzielczej, jakbym chciała zapewnić auto, że z mojej strony nie ma się czego obawiać.

Nie miałyśmy przesadnie dużo czasu, by się poznać, okazało się bowiem, że Joyce zabierał mnie do dzielnicy Clay Arsenal, niezbyt odległej od Asylum Hill. Po drodze tłumaczył mi, że to jedno z mniej bezpiecznych miejsc w Hartford - i że generalnie nie powinnam zapuszczać się tam sama.

Nie brzmiało to, jakby przesadzał. Raczej jakby starał się nie nakreślić zbyt upiornego obrazu i nie zniechęcić mnie do tej wycieczki.

- To dlaczego tam jedziemy? - spytałam.

- Bo tam mieszkam.

- Aha - odparłam pod nosem. - Świetnie.

Zaparkowaliśmy na Bellevue Street, pod kilkupiętrowym blokiem z czerwonej cegły. Wokół znajdowały się jedynie resztki jakiegoś ogrodzenia, ludzi na chodnikach raczej nie było. Gdzieś w oddali dostrzegłam grupę jakichś chłopaków w zbyt dużych T-shirtach, którzy głośno się z czegoś śmiali.

Poza tym jednak panował tutaj spokój kojarzący się z tym, który zazwyczaj poprzedza burzę. Nie było w nim nic kojącego, przeciwnie, zdawał się zwiastunem czegoś nieprzesadnie dobrego. Tuż obok stał czarny chevrolet tahoe, a kawałek dalej cadillac escalade w tym samym kolorze. Obydwa SUV-y przywodziły na myśl auta, którymi w serialach kryminalnych wożą się lokalni gangsterzy.

Kiedy wysiadłam z Hermiony, miałam wrażenie, że znalazłam się w miejscu trawionym jakąś martwością. Zapewne ożywało później, tuż przed zachodem słońca albo zaraz po nim, kiedy na ulice wypuszczali się ludzie szukający czegoś, co zdejmie z nich ciężar istnienia.

- Chodź - rzucił Grayson, rozglądając się nerwowo.

- A nie umiesz mówić inaczej niż apodyktycznymi półsłówkami?

Jeśli jakaś odpowiedź była dla mnie przeznaczona, to się jej nie doczekałam. A co gorsza, zaczęłam się do tego przyzwyczajać.

Budynek, do którego szybkim krokiem wchodziliśmy, przypominał te kilkukondygnacyjne baltimorskie squaty z *The Wire*, w których mieszkało Bóg jeden wie ilu ludzi zajmujących się wszystkim tym, czym nie powinni. Ewentualnie ten blok z Netflixowego *Dahmera*, w którym tytułowy bohater na oczach - czy tam uszach - sąsiadów mordował kolejne ofiary.

W środku miejsce było równie zaniedbane co na zewnątrz, ale niespecjalnie mnie to zdziwiło. Farba dawno straciła swój pierwotny kolor, na sufitach w korytarzu widać było zacieki sugerujące, że w którymś lokalu na piętrze nawaliła kanalizacja.

Joyce zaprowadził mnie na ostatnią kondygnację, a potem otworzył dwa zamki w drzwiach. Spodziewałam się dość obskurnego mieszkania, ale najgorsze, co mogłam o nim powiedzieć, zawierało się w określeniu: skromne.

- Czuj się jak w domu – rzucił Grayson i zamknął za nami drzwi.

Zamiast rozglądać się po przedpokoju, wbiłam wzrok w jego oczy.

- Naprawdę tu mieszkasz? – spytałam.

- No. Raczej nie dla picu.

- Mam na myśli to, że...

- Co?

- Że spieszysz się po wyjściu z samochodu, jakby w drodze do budynku ktoś miał cię napaść.

Joyce parsknął cicho.

- Mnie nikt nie napadnie – oznajmił, wchodząc do kuchni. – Spieszę się z uwagi na ciebie.

- Na mnie?

- Jesteś tu obca. A obcy to zawsze zagrożenie.

Weszłam za nim do niewielkiego aneksu, który od salonu oddzielała szyba z dziurą w środku, zupełnie jakby lada w jakiejś stołówce. Cudaczna koncepcja, ale może miała jakiś sens.

- Poza tym twoja skóra jest koloru włączonej na maksa latarki w telefonie – dodał. – Rzucasz się w oczy.

- Ty też jakoś specjalnie nie wtapiasz się w społeczność.

- Ale ja jestem tu na tyle długo, że traktują mnie jak swojego.

Szybko skinęłam głową, bo w końcu zaczynałam się czegoś dowiadywać.

- Więc tu się wychowałeś? – zapytałam.

- Nie.

Grayson nalał wody do czajnika, a potem go włączył, nie pytając, czy mam ochotę na kawę. Najwyraźniej uznał, że tak.

- To dawno się wprowadziłeś?

- Pięć, sześć lat temu.

Nie znałam jego dokładnego wieku, ale mogłam mniej więcej oszacować, że wylądował w Clay Arsenal jeszcze wtedy, kiedy powinni się nim zajmować rodzice.

- Mieszkasz sam?

- Nie – odparł, obracając się do mnie. – I wyczerpałaś właśnie limit pytań.

- Nie wiedziałam, że jakiś obowiązuje.

Zamiast odpowiedzieć cokolwiek, choćby na odczepnego, Joyce zalał dwie kawy, chwycił kubki jedną ręką i skierował się do salonu. Chcąc nie chcąc weszłam tam za nim, a potem usiadłam na kanapie. Kawa stojąca na stoliku obok zdawała się jasno sugerować, że to właśnie tam mogę się rozgościć.

Wciąż badawczo się rozglądałam. Pod ścianą stał gramofon, nad nim zawieszona była półka z winylami, na której znajdował się też stary aparat, polaroid. Najwyraźniej jakiś kącik retro.

I to chyba niejedyny w tym domu, Grayson bowiem otworzył szafkę obok, wyciągnął z niej wysłużonego walkmana Sony i położył go przede mną.

- Kasetę jest w środku.

Zmarszczyłam czoło, bo wszystko to z jakiegoś powodu wprawiało mnie w niepokój. Niby nic mi tu nie groziło, ale miałam wrażenie, że za moment ktoś wyważy drzwi, a potem szybko i skutecznie nas powystrzela.

- Skąd to masz? - zapytałam, obracając w dłoni czarnego soniaka.

Joyce wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i zupełnie nie przejmując się tym, że dymi w pokoju, podpałił jednego.

- Gość w lombardzie miał do sprzedania - odparł.

- Trzymają takie rzeczy?

- Trzymają wszystko.

Opadł ciężko na fotel przy kanapie, a potem ułożył nogi w kształt litery L. Przechylił głowę na bok i ponaglił mnie spojrzeniem.

Okej, powiedziałam sobie w duchu. Przyjechałam tutaj, żeby przekonać się, co było na kasecie Pepecali, więc równie dobrze mogłam zabierać się do dzieła. Nałożyłam słuchawki, poprawiłam pałąk, by nie odstawał tak bardzo, a potem chciałam wcisnąć play.

- Przewinałem już - oznajmił Joyce.

- Hm?

- Kasetę. Trzeba było je przewijać.

Akurat o tym nie pomyślałam, bo najwyraźniej w poprzednim życiu nie miałam do czynienia z żadnymi tego typu sprzętami. To nowe jednak właśnie od nich się zaczęło, skwitowałam bezgłośnie.

Potem wcisnęłam play.

Powitały mnie dźwięki gitary akustycznej i niski, chrapliwy głos. Pepecalá śpiewał po hiszpańsku, a ja rozpoznawałam najpierw pojedyncze słowa, a potem całe frazy. Ani chybi uczyłam się tego języka dość długo.

Przesłuchałam jeszcze dwa kawałki, tym razem bardziej rockowe, zanim uznałam, że chyba na razie wystarczy. Podobne rzeczy mogłam znaleźć na Spotify, bez konieczności zagłębiania się w niebezpieczne dzielnice miasta.

Przez cały ten czas, kiedy ja słuchałam, Joyce siedział na fotelu. Kątem oka dostrzegałam, że mi się przygląda, zupełnie jakby chciał sprawdzić moją reakcję. Jakbym zdawała jakiś test.

Po kolejnej piosence zatrzymałam odtwarzanie i zsunęłam lekko słuchawki. Zamiast czekać na opinię, Grayson podsunął mi swoją.

- Trochę taki latynoski Johnny Cash - powiedział.

- Bardziej Bob Dylan.

- Nie, ta chrypa to zdecydowanie...

- Mam na myśli teksty.

Joyce skrzyżował ręce na piersi i odchylił się lekko.

- Ale co sądzisz, jeśli chodzi o całokształt? - zapytał.

- Nieźle. Niebanalne, ale wpada w ucho.

- Powiedziałbym raczej, że wpada w ucho, ale niebanalne.

- To to samo.

- Zupełnie nie - odparł.

Nie zamierzając zagłębiać się w semantyczne szczegóły, sięgnęłam po swój kubek z kawą. Zapach był przyjemny, ale na dobrą sprawę nie miałam pojęcia, czy w ogóle lubię ten napój.

- Zastanawiasz się, czy pijasz kawę? - rzucił Grayson.

- Mhm.

- Moim zdaniem tak.

- Bo?

- Nie wiem - odparł i wzruszył ramionami. - Po prostu wyglądasz mi na kogoś takiego.

Wciąż się wahałam, przyglądając się czarnemu jak smoła napojowi.

- W sumie znam cię dłużej niż ty samą siebie - dodał Joyce.

Nie mogłam odmówić mu racji. Fakt faktem, świadomość wróciła mi, jeszcze zanim otworzyłam powieki, ale on siedział ze mną w szpitalnej sali przez nieomal dwa tygodnie.

Upiłam niewielki łyk, a potem zacmokałam cicho. Pocułam przyjemne ciarki na rękach, co chyba świadczyło o tym, że mój organizm lubi dostać zastrzyk kofeiny.

- Mówiłem.

Nie zaszczyciłam tego komentarla jakąkolwiek reakcją, a Grayson wskazał walkmana leżącego obok mnie na kanapie.

- Więc mówisz, że ma dobre teksty? - rzucił.

- Dostyc.

- Sporo rozumiesz?

- A jak ci się wydaje?

Po pierwsze nie twierdziłabym, że Pepecalá ma niezłą nawijkę, gdybym nie rozumiała wszystkich wersów. Po drugie Joyce pamiętał przecież, że kiedy tylko rzucił imię i nazwisko tego faceta, w mojej głowie zaświeciło się milion hiszpańskojęzycznych lampek.

W sumie nie było to niczym dziwnym, skoro urodziłam się i wychowałam w Arizonie, gdzie ponad trzydzieści procent ludności ma hiszpańskie lub latynoskie korzenie, a tym językiem posługuje się jeszcze więcej osób.

- Przetłumaczysz mi pierwszy kawałek? - spytał Grayson, podchodząc do mnie.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, usiadł obok i przełożył rękę przez oparcie kanapy.

- To zależy - odparłam.

- Od czego?

- Od tego, czy powiesz mi, dlaczego ta kaseta jest tak ważna.

Joyce znów pociągnął nosem, a potem skinął głową. Wiedziałam, że w końcu poznam powód, po to przecież mnie tutaj przywiózł.

- Zajmowałam się Pepecalą.

- Hm?

- Pracowałem na wolontariacie przy Charter Oak Ave.

Najwyraźniej jakiś automat w głowie Graysona podpowiadał, że to wszystko tłumaczyło, a osoba, z którą rozmawia, ma pojęcie, co to za miejsce. Dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że musi mi wyjaśnić praktycznie wszystko.

- W schronisku dla bezdomnych - dodał. - A przynajmniej tak się wtedy mówiło. Teraz to raczej schronisko dla osób dotkniętych kryzysem bezdomności.

Milczałam.

- Po śmierci rodziny José nie znalazł drogi powrotnej nie tylko do muzyki, ale też do życia - kontynuował Joyce. - Nie podjął żadnej pracy, pozrywał wszystkie kontakty. Nie zależało mu na nikim i niczym, a już najmniej na sobie. Tułał się po ulicach, bez pieniędzy i nadziei, od jednego schroniska do drugiego, od jednego pustostanu do kolejnego.

Patrzyłam w oczy Graysona, nagle odnosząc wrażenie, że dostrzegam innego człowieka. Bynajmniej nie tego się spodziewałam.

- I tak od osiemdziesiątego siódmego?

- Tak - potwierdził.

- Ile on ma teraz lat?

- Sześćdziesiąt jeden.

- I dalej mieszka w schronisku?

Przez twarz Joyce'a przeszedł wyraz dojmującej bezsilności.

- Nie mogę powiedzieć, żeby kiedykolwiek tam mieszkał - sprostował. - W najlepszym wypadku pomieszkował. Staraliśmy się go zatrzymać, ale wiesz, jak jest. Regulamin takich miejsc mówi jasno: zero alkoholu i zero narkotyków.

- No tak...

- Dla części ludzi to nie do przyjęcia.

Potrząsnęłam głową, bo nagle cała ta sprawa z kasetą zaczynała nabierać znacznie więcej sensu. I wreszcie zrozumiałam, skąd Grayson wiedział tak wiele o historii tego człowieka.

- Pepecalá przez jakiś czas zatrzymywał się tu niedaleko - dorzucił Joyce. - Migrował zresztą z jednej dzielnicy do drugiej, co nie zawsze kończyło się dla niego dobrze.

- Znaczy?

Grayson westchnął.

- To porządny facet - powiedział ciężko. - A kiedy taki trafia w niezbyt dobre rejony, nigdy nie pozostaje bierny.

- Co masz na myśli?

- Choćby to, że zdarzało mu się reagować, kiedy widział, że ktoś próbuje okraść jakąś kobietę. Albo kiedy kilku chłopaków tłukło jakiegoś jednego. Że o innych rzeczach już nie wspomnę.

- Więc wpadał w kłopoty?

Joyce zrobił minę, jakby chciał, by w istocie tylko tak można było to nazwać.

- Balansował na granicy - wyjaśnił. - Czasem miałem wrażenie, że po prostu chce zginąć.

W zasadzie chyba nie mogłam mu się dziwić. Stracił wszystko. Poza świadomością, że niegdyś to miał.

Jego sytuacja była więc pewną odwrotnością tego, co ja przeżywałam.

- Kiedy zatrzymywał się w okolicy, przynosiłem mu jakieś żarcie – ciągnął Grayson. – Czasem dawałem mu kasę, chociaż wiedziałem, że większość przepierdoli u pierwszego lepszego dealera. O ile ten go nie okradnie i nie pobije.

Właściwie ta okolica wyglądała, jakby wszelkie transakcje uliczne kończyły się właśnie w taki sposób. Nagle zapragnęłam jak najszybciej się stąd wydostać – najlepiej jakimś tunelem, który bezpośrednio łączyłby mieszkanie Joyce'a z jego samochodem.

Poczułam też potrzebę, by zapytać, co on w ogóle tu robi. Jak się tutaj znalazł? Z kim mieszka?

Nie dał mi jednak okazji.

- Staralem się coś zrobić, ale nie możesz udzielić pomocy komuś, kto jej nie chce – powiedział. – Dochodziło między nami do różnych spięć, czasem odnajdywałem go w jakimś zaułku półprzyciemnego albo niemal w stanie agonalnym, a potem zawoziłem go do szpitala. Zawsze jakoś udawało się go wyratować.

Zawieszony głos na końcu zdania dowodził, że w pewnym momencie sytuacja się zmieniła.

- I co się stało? – zapytałam.

Grayson wzruszył ramionami.

- Parę miesięcy temu Pepecalá znikł – oznajmił. – Od tamtej pory go szukam, ale bez skutku. Nie mam pojęcia, co się z nim dzieje.

Spojrzałam pytająco na soniaka, w którym wciąż tkwiła kasetka, a czy Joyce'a podążyły za moimi.

- To jedyna szansa na odnalezienie go – oznajmił.

- W jakim sensie?

Grayson przysunął się do mnie, a ja dopiero teraz poczułam zapach perfum, które po raz pierwszy znokoutowały moje zmysły w szpitalnym magazynie. Dziwne, że nie wyłapałam ich wcześniej. Zupełnie jakby do tej pory nie chciały się narzucać albo były przeznaczone tylko dla tych, którzy znajdują się bliżej Joyce'a.

- José miał swoje stałe miejsca w Hartford – oznajmił. – W tych piosenkach nie pojawiają się z nazwy, ale kilkakrotnie o nich śpiewa. A przynajmniej tak mi kiedyś powiedział.

- Więc sądzisz, że w którymś z kawałków wspomina o tym, gdzie się teraz zatrzymuje?

- Mam taką nadzieję.

Przygryzłam lekko wargę i uciekłam wzrokiem na bok.

- A jeśli...

- Nie – uciął od razu. – Sprawdzam codziennie newsy i tablice ogłoszeń na portalach komisariatów. Nie odnaleziono nikogo takiego.

A raczej zwłok nikogo takiego, bo właśnie to niezbyt delikatnie sugerowałam moim „a jeśli”.

- On gdzieś tu jest – dodał Joyce. – A ja muszę go znaleźć.

Naraz zrozumiałam, co robię w jego mieszkaniu.

- Dlatego mnie tu przywiozłeś? Bo znam hiszpański?

Widziałam, że nie zamierzał zaprzeczać. Zresztą dlaczego miałby? Nigdzie nie było tekstów tych piosenek, wpisywanie ich do translatora ze słuchu byłoby pewnie niewykonalne dla kogoś, kto nie znał tego języka. Poproszenie o pomoc kogoś, kto ewidentnie chętnie by jej udzielił, trudno postrzegać w kategoriach jakiegось przewinienia.

- Mogłeś powiedzieć mi od razu - zauważyłam.

- Wiem.

Liczyłam choćby na zdawkowe „sorry”, ale się go nie doczekałam. Grayson sprawiał zresztą wrażenie gościa, który nie przeprasza nader często - a jeśli już to robi, to raczej nie za pomocą słów.

Ale może było to tylko złudzenie.

- To jak? - rzucił. - Pomożesz mi?

Westchnęłam, a potem otworzyłam walkmana, by zerknąć na kasetę.

- Niełatwa sprawa - powiedziałam. - Te teksty są dość enigmatyczne.

- Jak ich autor.

Uśmiechnęłam się lekko, bo w głosie Joyce'a pobrzmiwała wyraźna sympatia.

- To macie coś wspólnego - zauważyłam.

Chciał odpowiedzieć, ale nagle rozległ się dźwięk otwieranego zamka, a potem opuszczanej klamki. Ktokolwiek próbował wejść, najwyraźniej nie spodziewał się, że musi otworzyć jeszcze jeden mechanizm.

Grayson posłał mi krótkie spojrzenie, którego znaczenia nie potrafiłam rozszyfrować, po czym podniósł się z kanapy.

Drzwi otworzyły się moment później, a zaraz potem usłyszałam narastający dźwięk szpilek. W progu salonu zobaczyłam wysoką blondynkę noszącą fioletową szminkę i malującą oczy tak, by przydało jej to kilku lat. Zmierzyła mnie wzrokiem, ja jednak, zamiast patrzeć w jej oczy, zerknęłam na torebkę z charakterystycznym logo LV i etui na telefon z Dolce & Gabbana.

Dysonans między nią a tym miejscem nie mógł być większy.

I jakim cudem nikt nie zamordował jej na ulicy?

- Siemka - rzuciła.

Zerknęłam niepewnie na Joyce'a, a ten wskazał ręką nowo przybyłą.

- Cassidy Nearing - przedstawił ją. - Moja dziewczyna.

Już po tym pierwszym słowie wiedziałam, że nigdy się nie polubimy. Nie potrzebowałam nawet dostrzec tej torebki od Louisa Vuittona ani faktu, że na okularach widniało złote logo Gucci. Nie musiałam wchodzić na jej Insta, by wiedzieć, że jest jedną z tych osób, które dodają w relacjach cytaty o tym, jak bardzo cenią prywatność, potem publikują filmik, jak płaczą z jakiegoś powodu, a ostatecznie oznajmiamą wszem wobec, że rezygnują z mediów społecznościowych tylko po to, by po dwóch dniach wrócić z durnym memem. Albo wrzucają jakiś abstrakcyjny obrazek z tagiem #AIart, mimo że prompty skopiowali z gotowca, zupełnie nieświadomi, że nazywanie się artystą AI jest tak samo sensowne, jak uważanie się za szefa kuchni po podgrzaniu gotowego dania w mikrofalach.

Zasadniczo nie musiałam nawet wiedzieć, że to dziewczyna Joyce'a, by od razu ją skreślić.

Dziewczyna Joyce'a.

Jezus, jak mogłam być tak głupia? Przecież wystarczyło spojrzeć na tego typu, by się domyślić, że jeśli w ogóle bywa singlem, to tylko od wielkiego dzwonu. Powinam być przygotowana.

Ale nie byłam.

Sposób, w jaki Grayson ją przedstawił, wywołał jakieś zwanie w moim umyśle. Siedziałam w całkowitym bezruchu, gapiąc się prosto na Cassidy bez pojęcia o tym, jak formułuje się słowa.

Zamrugałam nerwowo, starając się wrócić do siebie.

Czego ja się w ogóle spodziewałam? Że ten facet pojawił się w mojej szpitalnej sali pchnięty podmuchem przeznaczenia? Że będzie moim przewodnikiem po tym nieznanym świecie? I że coś nas połączyło w momencie, kiedy los sprawił, że leżałam nieprzytomna na tamtym łóżku, a Joyce przechodził obok korytarzem?

Absurd. Ale może w jakiś sposób uzasadniony, bo tonąc w tej pustce pamięci, chwytalam się wszystkiego, co mogło mnie wyciągnąć na suchy ląd. Joyce zdawał się ratunkiem.

Przestałam jednak myśleć o nim i o mnie i skupiłam się na dziewczynie.

Miała krótkie blond włosy i zielonkawe oczy, które w ciekawy sposób współgrały z tą fioletową szminką. Cassidy podeszła do mnie i zanim podała mi rękę, uważnie otaksowała mnie wzrokiem.

- Wystarczy Cass - oznajmiła.

- Aspen.

Oczy Nearing zamieniły się w dwie wąskie szparki.

- To jakaś ksywa? Jak z *La casa de papel*?

- Jezus Maria...

Zastanawiałam się, ile razy musiałam to słyszeć, od kiedy parę lat temu na Netflixie pojawił się serial z Profesorem i całą zgrają ludzi o miejskich pseudonimach.

- Czekaj... - mruknęła Cassidy. - To ty jesteś tą laską ze szpitala?
- Tak bym siebie nie nazwała, ale...
- Po co ją tu zaprosiłeś? - wpadła mi w słowo Cass, obracając się do Joyce'a.

Ten w obronnym geście lekko wzruszył ramionami.

- Zwariowałeś?
- Pomyślałem, że może pomóc.
- Niby jak?
- Dobrze zna hiszpański.

Naraz poczułam się, jakby środek tej rozmowy był ostatnim miejscem, w którym chciałam się znajdować. Właściwie cała ta sytuacja sprawiła, że dostałam dodatkową motywację, by czym prędzej się stąd zwinąć.

- I co z tego? - rzuciła ostro Cass.

Grayson najwyraźniej nie miał zamiaru kontynuować dyskusji przy mnie, bo złapał swoją dziewczynę za rękę i pociągnął ją w stronę korytarza. Chwilę później weszli do jednego z pokoi i zamknęli za sobą drzwi.

Dość osobliwe zachowanie, jeśliby ktoś mnie spytał.

Na tyle, że postanowiłam zainteresować się tą rozmową nieco bardziej. Od razu się podniosłam, a potem cicho podeszłam do pomieszczenia, z którego dobywały się ciche głosy.

Spodziewałam się, że będą podniesione, bo w jakiś sposób tłumaczyłoby to reakcję Joyce'a. By jednak usłyszeć, co mówią oni i ta dziewczyna, musiałam praktycznie przyłożyć ucho do drzwi.

- Kompletnie cię pogięło - oznajmiła Cassidy.
- Można jej zaufać.

Co?

Nie powierzył mi żadnej wielkiej tajemnicy, by w ogóle o czymś takim wspominać.

- Nie wiesz tego - odparowała Cass. - Dopiero chwilę temu ją poznałeś.
- Chwila była wystarczająca.
- Do czego?
- Do tego, żeby wiedzieć, że nikomu nic nie powie.

Usłyszałam ciche, uprzywilejowane prychnięcie, którego nie można było pomylić z niczym innym.

- Gówno prawda - oceniła Cassidy. - Jak tylko się połapie...
- Nie połapie się.

Zamrugałam kilkakrotnie, nie bardzo wiedząc, czy aby się nie przesłyszałam.

- Poza tym w ogóle nie o to chodzi - zastrzegła Cass.
- To niby o co?
- O to, że wciągając ją w to, sprowadzisz na nią niebezpieczeństwo, tak samo jak na...
- Daj spokój.

- Co „daj spokój”? Nie pamiętasz, co się z nią stało?

- Pamiętam aż za dobrze – uciął Grayson.

Znałam go wprawdzie krótko, miałam jednak wrażenie, że nieczęsto używa tak kategorycznego tonu. Co tu się działo, do cholery? I dlaczego w ogóle wcześniej nie usłyszałam ani słowa o żadnej dziewczynie?

Przez moment po drugiej stronie drzwi trwała cisza, a ja z przerażeniem pomyślałam o tym, że za chwilę się otworzą. Zakłęłam w duchu i machinalnie się odsunęłam.

- Stanie się jej krzywda – rozległ się głos Cassidy.

Odetchnęłam i na powrót przyglądnęłam do drzwi.

- Nie stanie się. Włos jej z głowy nie spadnie.

- Tak?

- Oczywiście.

Znow zaległo milczenie, a ja mogłabym przysiąc, że Cass właśnie przewróciła oczami. Ale może traktowałam ją zbyt stereotypowo. Nie powinnam wyciągać pochopnych wniosków tylko na podstawie tego, że ktoś nosił rzeczy z logo zarówno GG, LV, jak i D&G, jakby sam nie mógł zdecydować, którym z tych luksusowych akronimów chce się chwalić.

- Nie możesz dać żadnej gwarancji, Gray – oznajmiła Cassidy.

Gray, no proszę. Więc w obiegu był skrót imienia, o którym nie wiedziałam.

Na dobrą sprawę miałam wrażenie, że jest wiele rzeczy dotyczących Joyce'a pozostających dla mnie jedną wielką niewiadomą.

- Zadbam o jej bezpieczeństwo – zapewnił.

- I jak zamierzasz to zrobić?

- Trzymając rękę na pulsie. Nikt się nie dowie, że nam pomaga.

- To nie takie łatwe.

- Nie? – odparł twardo Grayson. – A ty od kiedy stałaś się specjalistką od ochrony innych ludzi?

- Od kiedy...

Urwała, z jakiegoś powodu nie kończąc, a mnie trudno było stwierdzić, co dzieje się w pokoju. Był to pewnie jeden z momentów, kiedy same spojrzenia mówiły znacznie więcej niż słowa.

Uznałam, że nie ma co ryzykować, zaraz bowiem któreś z nich może otworzyć drzwi. Wróciłam cichaczem na swoje poprzednie miejsce i założyłam nogę na nogę. Szybko uznałam, że to teatralnie nonszalanckie, i usiadłam normalnie, garbiąc się przy tym lekko.

Jakie niby niebezpieczeństwo miało mi grozić? O czym była mowa?

Jakkolwiek by było, stało się jasne, że sprawa Pepekali nie jest zwykłym zniknięciem osoby bezdomnej. Coś więcej było na rzeczy. Coś, co sprawiło, że komuś już stała się krzywda.

A ja według Cassidy Nearing mogłam być następną w kolejce.

Kiedy tych dwoje wróciło do salonu, oboje starali się sprawiać wrażenie, jakby wszystko było okej. Nie cudnie, ale okej. Nie przesadzali z okazywaniem luzu, lekko sygnalizowali, że się posprzeczali – ale że ostatecznie trochę czasu minie, wody w rzece Connecticut upłynie, a wszystko wróci do normy.

Przeglądałam im się przez chwilę, starając się stwierdzić, jaką są parą, jak długo się spotykają i czy ten związek ma potencjał na przyszłość.

Cass i Gray.

No nieźle.

Gdyby przebrać Joyce'a w bardziej mainstreamowe ciuchy, wysłać go do fryzjera i wcielić do szkolnej drużyny sportowej, z pewnością pasowałby do Cassidy. Ona sama wyglądała, jakby była królową każdego balu, na którym się zjawiała.

Urwałam te spekulacje, kiedy usiadła obok i spojrzała na mnie niczym na całkiem obiecujący materiał na przyjaciółkę.

- Naprawdę nic nie pamiętasz? - spytała.

- Nic.

- Może to i dobrze. Wspomnienia są przereklamowane.

Coś z tyłu mojej głowy nagle krzyknęło: mogę już iść?

- Poza tym z każdym rokiem blakną, aż w końcu rozplywają się w nicości - dodała Cassidy.

- Chyba nie wszystkie.

- Wszystkie.

- Te istotne zostają - zaproponowałam.

Chciała coś odpowiedzieć, ale cała jej uwaga skupiła się na Graysonie, który właśnie przysiadł na skraj stołu. Po czym oczywiście skrzyżował ręce na piersi.

- To jak będzie? - spytał. - Pomożesz nam z Pepecalą?

- Jak mówiłam...

- Daj spokój, Wakefield - przerwał mi Joyce. - Jesteś ostatnią deską ratunku dla tego człowieka.

Oboje patrzyli na mnie wyczekująco, choć zupełnie innym wzrokiem.

Czułam, że nie mam wiele czasu, by podjąć decyzję, ale sama nie wiedziałam, jaka powinna być. Wszystko wskazywało na to, że José Alcalá naprawdę może być w niebezpieczeństwie, a ta kasetka jest jedynym tropem, który do niego doprowadzi.

Tyle że to niebezpieczeństwo najwyraźniej rozciągało się na wszystkich, którzy zajmowali się sprawą.

- Mogę spróbować - powiedziałam.

- Idealnie - skwitował Grayson.

Cass pozwoliła sobie tylko na ciche westchnienie, a ja zaczęłam się zastanawiać, kto podjął za mnie tę decyzję. Bo z całą pewnością nie byłam to ja. Słowa, które wypowiedziałam, padły z moich ust, zanim porządnie się nad nimi zastanowiłam.

- To zacznijmy od pierwszego kawałka - podsunął Joyce.

- Okej. Masz jakiś magnetofon?

Grayson uniósł brwi.

- W takim razie posłucham sama - odparłam pod nosem, a potem sięgnęłam po słuchawki.

Przewinęłam kasetę z obawą, że jakimś cudem ją przy tym popsuję. O ile wiedziałam, Joyce nie wykonał żadnej kopii, nie zgrał muzyki do żadnego cyfrowego formatu ani nawet nikomu się nie przyznał, że ma EP-kę.

Zanim jednak wcisnęłam play, powiodłam wzrokiem po dwójce moich towarzyszy.

- Coś nie tak? - odezwała się Cassidy.

- Zastanawiam się nad czymś.

- Nad czym?

W jej głosie nie było nuty obawy, zupełnie jakby chciała, żebym ruszyła głową. Grayson sprawiał wrażenie wprost przeciwne.

Wbiłam w niego spojrzenie i odczekałam moment, by zorientował się, że wyczuwam wyraźny swąd unoszący się nad tym wszystkim.

- Dlaczego zakradłeś się do szpitala, a potem udawałeś, że się znamy? - rzuciłam.

- Mówiłem ci.

- Właśnie niezbyt.

Jego usta poruszyły się w lekkim grymasie, którego znaczenia nie rozszyfrowałam.

- Musiałem znaleźć tę kasetę, a ochrona nie pozwala postronnym ludziom tak po prostu szwendać się po...

- Tak, wiem - uciełam. - Ale nie musiałeś się do tego uciekać.

Ściągnął brwi w delikatnie gniewny sposób, a ja zrozumiałam, że jego wcześniejszy grymas oznaczał zniecierpliwienie graniczące z irytacją.

- Mogłeś po prostu opowiedzieć administracji szpitala historię Pepecali - dodałam. - Znaleźliby dla ciebie tę kasetę, nikomu przecież nie zależy na przechowywaniu jakichś gratów z osiemdziesiątego siódmego roku. Nie musiałbyś nawet niczego zmyślać.

Oho, chyba trafiłam w sedno, Joyce bowiem nie odpowiedział, a Cassidy lekko się uśmiechnęła.

- Czemu więc zadałeś sobie tyle trudu, skoro mogłeś...

- Pomożesz mi czy nie?

- Pomogę - zapewniłam. - Ale nie mam zamiaru robić tego za darmo.

Westchnął i zaczął sięgać do kieszeni.

- Nie - powiedziałam. - W grę wchodzi barter, w którym twoją jedyną walutą jest prawda.

Cass prychnęła z satysfakcją, jakbyśmy właśnie wspólnymi siłami zatriumfowały nad całą plcią męską. Patrzyła na mnie z ewidentną potrzebą poklepania mnie po plecach, ja jednak całkowicie to zignorowałam.

Skupiałam wzrok tylko na Graysonie.

- Wyjaśnij mi, dlaczego musiałeś uciekać się do takich rzeczy, a ja powiem ci, o czym śpiewa José Antonio Alcalá Fernández.

- Poważnie? - jęknął. - Zamierzasz uzależnić życie człowieka od tego, czy ci opowiem jakąś bzdurę?

- Nie bzdurę. Prawdę.

Nozdrza Joyce'a lekko się rozszerzyły, jakby przed sformułowaniem riposty potrzebował dodatkowej dawki tlenu.

- Ja pierdolę - skwitował pod nosem. - Okej.

- Więc słucham.

- Nie chciałem mieszać w to administracji szpitala, bo pojawiłoby się zbyt dużo pytań - odparł. - I zaraz zgłosiliby zaginięcie na policję, po czym ta zaczęłaby szukać Pepecali.

- I to takie złe?

- Tak - potwierdził od razu. - Bo gdyby tylko Pepe zobaczył w oddali psy, zaszyłby się na dobre. On nie chce być odnaleziony, a już szczególnie nie przez żadnego mundurowego, który zamknie go w niewielkim pokoju bez okien i będzie przez czterdzieści osiem godzin maglował na okoliczność tego, kto gdzie sprzedaje jaki towar.

Grayson podniósł się i przeszedł do kuchni, trąc mocno kark.

- Nie masz pojęcia, co tu się dzieje - rzucił niewyraźnie. - I przypuszczam, że nawet gdybyś odzyskała wszystko to, o czym zapomniałaś, nie zrozumiałabyś tego świata.

Mimowolnie obróciłam się w kierunku Cassidy, wiedząc już, że nie zdołam powstrzymać się przed komentarzem.

- A ona rozumie?

Cass poruszyła się nerwowo, Joyce zaś oparł się o ladę za oknem i spojrzął na mnie spoode łba.

- Tak - odparł. - Dlatego nie pyta, czemu musiałem się włamywać, żeby dostać tę kasetę.

- To bez sensu.

- Dla ciebie.

- Dla każdego rozumnego człowieka - oznajmiłam. - Mogłeś wymyślić inną historijkę, nie musiałeś mówić, że Pepecalá znikł. Daliby ci tę kasetę tak czy inaczej.

- Mylisz się.

- Uuu... - odparłam. - W takim razie wybac, panie Samcza Pewność i Zero Dyskusji.

Grayson otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Nadal patrzył na mnie przez wpółotwartą szybę, a jego oczy były całkowicie nieruchome. Nawet nie mrugał.

- Nie wpuściliby mnie do magazynu - stwierdził, wciąż z tą samą, niezachwianą pewnością. - Jest tam zbyt dużo potencjalnie cennych rzeczy.

- Więc jakiś pracownik poszukałby za ciebie.

- Jasne. Bo nie mają co robić, tylko przekopywać się przez stertę starych gratów.

- Mimo wszystko mogłeś spróbować - uparłam się. - Z jakiegoś powodu jednak tego nie zrobiłeś. I dopóki nie usłyszę, jaki był, to nie mam zamiaru...

- Inni ludzie też szukają kasety - włączyła się Cass.

Spojrzeliliśmy na nią z Graysonem niemal synchronicznie. Spodziewałam się, że Joyce zaoponuje i będzie chciał w jakiś sposób uciszyć swoją dziewczynę, on jednak nie zareagował.

Może znał ją na tyle, by wiedzieć, że sama podejmuje decyzje. Niewiele mogłam jeszcze o niej powiedzieć, ale to jedno wydawało się pewnikiem.

- Gray bał się, że ktoś wpadnie na ten sam trop - oznajmiła. - Nie chciał, żeby w dokumentacji został jakikolwiek ślad, bo prędzej czy później ktoś dojdzie do tego, gdzie Pepecalá trafił po pożarze. I że było to ostatnie miejsce, w którym mógł mieć swoją kasetę.

Zerknęłam na Joyce'a z niewypowiedzianym pytaniem na ustach.

Skinął głową. I właściwie tyle wystarczyło.

- Kim są ci ludzie? - zapytałam.

- A jak myślisz? - odparła Cassidy. - To ci sami, przez których prawdopodobnie musiał zniknąć.

- He?

- Widzę, że Gray nie wszystko ci wyjaśnił.

- Najwyraźniej.

Cass przełożyła rękę przez oparcie kanapy w sposób, w jaki potrafią to robić jedynie dziewczyny pewne tego, że na bluzce pod pachą nie mają choćby śladu czegoś, czego nie powinno tam być.

- José podpadł kilku niewesołym osobom - powiedziała. - I ci zrobią wszystko, żeby go znaleźć.

- Podpadł czym konkretnie?

Cassidy wzruszyła ramionami i posłała pełne dezaprobaty spojrzenie swojemu chłopakowi.

- Sam tego nie wiem - zapewnił Joyce.

- Ale...

- Gdybym miał pojęcie, dawno wymyśliłbym sposób, żeby jakoś to rozwiązać - dodał szybko. - Ale nie mam. Dlatego muszę znaleźć Pepecalę, zanim zrobią to ci ludzie.

Okej, więc to stąd płynęło zagrożenie. Miałam przynajmniej jedną odpowiedź.

- Jak sama widzisz, czas nagli - dorzucił Grayson. - Ścigamy się ni mniej, ni więcej, tylko z wyrokiem, który ciąży na José.

- Ale za co?

- Nie wiem - odparł szybko. - Zakładam, że kupił jakieś dragi i nie zapłacił. Próbował szybko to uregulować, może nawet handlując, po czym wszystko sam zużytkował i znikł.

Zmarszczyłam lekko czoło, zastanawiając się, jak nisko musiałby upaść człowiek, by na coś takiego się zdecydować.

- Ale to tylko teoria - zastrzegł Joyce. - Tak naprawdę wiem tylko tyle, że jeśli ktoś znajdzie go przede mną, nie skończy się to dla niego dobrze.

- Okej...

- „Okej” jako „pomogę” czy „okej” jako „przyjęłam”?

- Jedno i drugie.

Nie musiałam długo się zastanawiać, nie było nad czym. Ktoś potrzebował pomocy, a ja mogłam być jedyną osobą w tym towarzystwie, która wiedziała, jak jej udzielić.

Zamknęłam walkmana, a potem podniosłam słuchawki.

- Nie tutaj - odezwał się Grayson, patrząc na zegarek.

- Hm?

- Za chwilę zaczną schodzić się ludzie.

- Jacy ludzie?

Joyce rzucił krótkie spojrzenie swojej dziewczynie.

- Mamy dzisiaj niewielką posiadówkę - oznajmiła Cass. - Ale bez obaw, sami znajomi. Nikt ci krzywdy nie zrobi.

Nawet mi to przez myśl nie przeszło, choć najwyraźniej powinno. Cassidy nie czyniła tego zastrzeżenia bez powodu.

- Jasne... - odparłam.

- Możesz skorzystać z sypialni - podsunął Grayson. - Nikt ci tam nie będzie przeszkadzał.

Zabrałam walkmana i słuchawki, a potem weszłam do pokoju, w którym wcześniej zamknęło się tych dwoje. Ich rozmowa nadal wybrzmiewała mi gdzieś z tyłu głowy, nie chcąc dać za wygraną.

Dobra, powiedziałam sobie w duchu. Załatwię, co do mnie należy, a potem się stąd zwinę.

Zamknęłam się więc w sypialni Joyce'a - i przypuszczalnie Cassidy - a potem po kolei zaczęłam słuchać piosenek Pepecali. Teksty były całkiem niezłe, muzyka też. Jedno i drugie zdawało się przesiąknięte nostalgią, świadomością skończoności ludzkiego życia i egzystencjalną refleksją, niekoniecznie pasującymi do dwudziestoparolatka, który to nagrywał.

Raz po raz do pokoju zaglądał Joyce, ale widząc, że mam słuchawki na uszach i notatnik pod ręką, tylko kiwał głową i wychodził. Słyszałam dźwięki dochodzące z salonu jak przez jakąś niemal nieprzenikalną barierę - i właściwie cały świat wydawał się równie odległy, jak to zebranie, które odbywało się obok.

José Antonio Alcalá Fernández w krótkim czasie stał się moim dobrym znajomym. Grał muzykę tak, jakby chciał wpuścić do swojej duszy każdego, kto jej posłucha. Czuć było, że wkładał w to całe serce.

Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że rezygnacja z dalszej kariery była ciosem bardziej dla nas, potencjalnych słuchaczy, niż dla niego.

Zanurzałam się w kolejnych dźwiękach, włączając EP-kę już któryś raz od początku, kiedy drzwi znów się otworzyły.

Muzyka dochodząca z salonu była znacznie głośniejsza, a ja uświadomiłam sobie, że nie wiem nawet, ile czasu minęło, od kiedy się tu zamknęłam. Zsunęłam lekko słuchawki i podniosłam głowę, chcąc powiedzieć Graysonowi o tym, co ustaliłam.

Zamiast na niego mój wzrok padł jednak na jakiegoś nieznanego faceta w obcisłej czarnej koszulce.

Zanim na dobre mu się przyjrzałam, zamknął drzwi, a potem oparł się o nie plecami. Popatrzył na mnie z góry w tak niepokojący sposób, że nagle zapragnęłam się stąd wyrwać.

- Co za niespodzianka - odezwał się, wyraźnie wstawiony.

Zaczęłam powoli się podnosić, niepewna, co się dzieje. W odpowiedzi twarz chłopaka natychmiast stężała.

- Siadaj - polecił.

- Że co? Kim ty w ogóle...

- Siadaj, kiedy do ciebie mówię - uciął.

Przez chwilę wydawało mi się, że po pierwsze się przesłyszałam, a po drugie źle odczytuję kategorię, wkurwiony wyraz twarzy tego dwa razy większego ode mnie człowieka.

Niedobrze. Bardzo niedobrze.

- Muszę porozmawiać z Joyce'em - rzuciłam szybko.

- Wyszedł.

- W takim razie Cass powinna...

- Poszła razem z nim – przerwał mi chłopak. – Gray musiał załatwić coś pilnego.

Z trudem przełknęłam ślinę.

- Ale bez obaw – dodał. – Zajmę się tobą.

Chłopak w czarnej koszulce patrzył na mnie z góry, czekając, aż usiądę z powrotem na łóżku. Jego wzrok był stanowczy, a w oczach widziałam wyraźną złość, zupełnie jakbym czymś mu zawiniła.

Po chwili uświadomiłam sobie, że jest nie tylko pod wpływem alkoholu, ale i czegoś mocniejszego. Źrenice były wyraźnie powiększone, a oddech nieco nierówny.

- Naprawdę powinnam...

- Siadaj.

Nie wiedziałam, co robić. Zawołać o pomoc? Na dobrą sprawę nie wiedziałam, kto znajduje się w salonie. Muzyka była zresztą tak głośna, że nie byłam pewna, czy ktokolwiek by mnie usłyszał.

A może ten facet nie miał zamiaru wyrządzić mi żadnej krzywdy?

Dokładnie takie samo pytanie z pewnością stawiała sobie każda osoba, która potem okazywała się ofiarą. Mózg bronił się przed świadomością zagrożenia, starając się je wyprzeć.

- Siadaj, do kurwy nędzy – syknął chłopak.

Moje ciało mimowolnie zrobiło dokładnie to, co polecił.

Wciąż opierał się o drzwi, zupełnie jakby się spodziewał, że spróbuję się stąd wyrwać. Trwał w bezruchu, przyglądając mi się już nie tylko z jakąś pretensją, ale właściwie odrazą. Jakby na potwierdzenie tego pokręcił głową.

- Nie tego się spodziewałem – oświadczył.

Szereg pytań cisnął mi się na usta, ale nie potrafiłam zwerbalizować ani jednego.

- Naprawdę, kurwa, nie tego – dodał.

Brzmiało to, jakby wcześniej sobie mnie upatrzył, a teraz przyszedł, by odebrać to, co do niego należało. A może źle to interpretowałam? Może chodziło o coś innego?

Może ten facet mnie znał?

Nie, to niemożliwe. Ostatnim razem byłam w Hartford lata temu i gdyby nawet nasze ścieżki się przecięły, nie pamiętałby mnie po takim czasie.

To był jakiś przypadkowy naćpany i napalony gość, który chciał się zabawić.

- Jestem pewna, że Joyce zaraz wróci – powiedziałam.

Chłopak prychnął.

- Wątpię – rzucił. – Sprawa była nagła i skomplikowana.

Naprawdę mnie tu zostawił?

W pierwszej chwili wydało mi się to niemożliwe, potem jednak wyobraziłam sobie scenariusz, w którym gdzieś w okolicy doszło do jakiejś scysji ze znajomymi Graysona i ten musiał jak najszybciej opuścić mieszkanie. Cassidy popędziła za nim, obawiając się tego, co może się wydarzyć.

Żadne z nich w takiej sytuacji nie myślałoby o mnie. A gdyby nawet, to pewnie nie spodziewałoby się, że znajdę się w jakimkolwiek zagrożeniu.

Gorączkowo przeszukiwałam racjonalną część umysłu, licząc na to, że podsunie mi jakiś sensowny sposób działania. Panika jednak skutecznie niwelowała wszystkie moje próby.

W końcu uznałam, że muszę grać na czas.

Muszę wytrzymać do momentu, aż Grayson wróci.

– Kim ty jesteś? – spytałam, licząc na to, że chłopak nie usłyszy drżenia w moim głosie.

Uśmiechnął się w sposób niemający nic wspólnego z uprzejmością czy ciepłem, a potem ruszył w moją stronę.

– Ryan – oznajmił. – Możesz to sobie zapamiętać.

Wciąż podchodził, a ja nerwowo się rozejrzałam.

– Spokojnie – poradził głosem, który mógł jedynie jeszcze bardziej mnie zaalarmować. – Nic ci nie będzie.

Głośno przełknęłam ślinę, zbierając się w sobie.

Nie miałam pojęcia, czy znam jakiegokolwiek sztuki walki, ale nie wydawało mi się to prawdopodobne. Może zrobiłam chociaż jakiś kurs samoobrony? Nie, chyba nie, bo w głowie miałam pustkę.

Ryan zatrzymał się przede mną, a potem wskazał wzrokiem leżącego na łóżku walkmana.

– Przesłuchałaś kasetę?

Skinełam niepewnie głową.

– I? – rzucił oschle chłopak.

– Przekażę wszystko Graysonowi, jak tylko...

– Możesz przekazać mnie.

Dobrze, udało mi się nawiązać rozmowę. Rozsądnie rzecz biorąc, nic nie zmieniła, ale dawała jakąś złudę, że skoro ten człowiek jest w stanie prowadzić wymianę zdań w cywilizowany sposób, to może nie jest dzikusiem, który wpadł tutaj, żeby mnie pobić i zgwałcić.

Czy Joyce mógł mieć takich znajomych?

Z pewnością. Cassidy nie bez powodu rzuciła to zapewnienie, że nic mi nie grozi. Takich rzeczy nie mówi się o towarzystwie, które nigdy nikomu nie zagrażało.

Tak czy inaczej gwarancje okazały się mocno na wyrost.

– Mów – polecił Ryan.

– Jak tylko Joyce się pojawi.

Chłopak natychmiast się do mnie zbliżył.

– Głucha jesteś, kurwa? – syknął.

Mimowolnie zacisnęłam powieki, ale od razu z powrotem je otworzyłam. Podjęłam decyzję, by działać. Musiałam wykorzystać moment, kiedy Ryan niczego się nie spodziewał, i czym prędzej stąd uciekać.

Zerwałam się na równe nogi, jednocześnie go popychając, a potem doskoczyłam do drzwi.

Zanim jednak złapałam za klamkę, poczułam, jak jego ręce oplatają moje ciało. Obrócił mnie jak szmacianą lalkę, a potem cisnął mną na łóżko. Padłam prosto na walkmana, czując,

jak wbija się w moje plecy.

Z przerażeniem popatrzyłam na zbliżającego się do mnie agresora.

Wiedziałam, co teraz się stanie. Miał inicjatywę, mógł zrobić wszystko. Zwali się na mnie, unieruchomi moje ręce i nogi, a potem zedrze ze mnie ubranie.

Spod ciasno przylegającej do ciała czarnej koszulki wyraźnie przebijały się wydatne mięśnie. Nawet jeśli okazałoby się, że znam jakieś techniki samoobrony, byłyby niczym w porównaniu z czystą, prymitywną siłą fizyczną tego człowieka.

Stał przed łóżkiem i spozjrzał na mnie z góry.

- I po co to było?

Czułam, że w ustach mi zaschło.

- Nie mogłaś po prostu odpowiedzieć mi na pytanie?

Pretensja w jego głosie mieszała się z poczuciem wyższości, zupełnie jakby trafił na jakiegoś insekta, którego należy jak najszybciej usunąć, by nie przeszkadzał nikomu w domu.

Kiedy Ryan sięgnął do paska od spodni, całkowicie znieruchomiałam.

Czy tak czuły się wszystkie ofiary gwałtu na moment przed tym, jak nastąpił? Owładnięte paraliżującą niemocą? Wyrzucające sobie, że nie mogą zmusić swojego ciała do tego, by się bronilo?

Boże, jak znalazłam się w tej sytuacji?

Jak się z niej uratować?

Serce podeszło mi do gardła, kiedy uświadomiłam sobie, że Ryan przesuwając dłoń w kierunku rozporka.

Nie zatrzymał się jednak na nim. Dłonie zastygły w bezruchu znacznie wyżej, kiedy założył kciuki za pasek. Odchylił się lekko i zmrużył oczy.

- To jak będzie? - rzucił.

Znów miałam wręcz absurdalne trudności z przepchnięciem śliny przez gardło, zupełnie jakbym miała się zadławić własną zapadającą się krtanią.

- Podobno miałaś się na coś przydać - dodał Ryan. - Więc proszę bardzo. Udowodnij, że jesteś coś warta.

Unióś brwi, jakby sam nie dowierzał, że byłam w stanie cokolwiek ustalić, a ja zrozumiałam, że to może być jakiś bilet, by się wyrwać z tej koszmarnej sytuacji. Problem w tym, że po pierwsze głos nadal odmawiał mi posłuszeństwa, a po drugie nie znalazłam niczego przydatnego.

Teksty Pepecali były przesiąknięte metaforami i enigmatycznymi spostrzeżeniami, ale nie było w nich niczego, co mogłoby wskazywać miejsca, w których się ukrywał lub spędzał czas.

Te piosenki zdawały się igraniem ze słuchaczem, jakimiś łamigłówkami, którymi jeszcze przed momentem chciałam jak najszybciej podzielić się z Graysonem. Sama nic z nich nie wyciągnęłam, więc nic nie mogłam zaoferować człowiekowi, który wrogo na mnie tywał.

Fakt, że Ryan oczekiwał ode mnie konkretów, był jednak ważny też z innego względu. I mógł w istocie stanowić koło ratunkowe.

- Joyce tak twierdził? - wydusiłam.

Chłopak niedbale skinął głową.

- Mówił ci o tym?

- Ta.

- W takim razie powinien powiedzieć ci też, żeby...

- Powiedział mi wystarczająco dużo - uciął Ryan. - Nawet za dużo.

Ściągnęłam brwi, starając się choćby trochę spowolnić bicie serca. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że po moim rozgrzanym ciele spływają lodowate krople potu.

- To znaczy? - spytałam.

Chłopak w czarnej koszulce się zawahał.

- Łaził do ciebie przez ostatnie dwa tygodnie - oznajmił. - I gadał o tym bez przerwy.

Co?

Jakim cudem ta rozmowa w ogóle obrała taki kierunek?

Naraz przypomniałam sobie, że prowadzę ją z człowiekiem pod wpływem jakichś narkotyków. Nie powinnam przykładać do niego normy, którą stosowałabym wobec trzeźwych lub nawet upojonych alkoholem ludzi.

- Aspen to, Aspen tamto - dodał Ryan.

Nie, to się nie działo.

- Pierdolił o tobie bez końca - dorzucił chłopak i machnął nerwowo ręką. - Chuj, że byłaś nieprzytomna i w sumie nie było o czym.

Otarłam czoło wierzchem dłoni, ale chyba tylko rozmazałam pot, który na nie wystąpił.

- Nie rozumiem - powiedziałam.

- Wierz mi, ja też nie.

Ryan westchnął, a potem odsunął krzesło stojące przy niewielkim biurku i przysiadł na skraju blatu. Kiedy skrzyżował ręce na piersi, kopiując w pewnym stopniu sztandarowy gest Joyce'a, zobaczyłam logo na koszulce. Emporio Armani.

Dopiero teraz zauważyłam jeszcze jedną rzecz, a mianowicie to, że w urodzie Ryana było coś, co kojarzyło się z Cassidy. Ani chybi miałam do czynienia z jej bratem, to podobieństwo nie mogło być przypadkowe.

- Długo próbowałem dojść, o co tu chodzi - dodał. - W końcu uznałem, że jesteś takim jego projektem.

- Projektem?

Ryan znów od niechcenia skinął głową.

- Czymś jak rzut monetą - wyjaśnił. - Był ciekawy, na co wypadnie.

- To znaczy...

- Czy się obudzisz, czy nie.

Gość najwyraźniej poświęcił rozmyśleniom na ten temat więcej czasu, niż zakładałam, skoro zdążył zbudować jakieś teorie.

- Długo rozkminiałem, o co mu chodzi - dodał jakby na potwierdzenie moich myśli. - I dlaczego tak często tam przychodzi.

- Szukał kasy.

- Wiadomo - przyznał Ryan. - Ale nie musiał tam tyle siedzieć. Ani z tobą gadać.

Chciałam zauważyć, że nie należałam wtedy do przesadnie rozmownych, ale cała ta sytuacja wydawała się tak surrealistyczna, że nie wiedziałam, na ile mogę sobie pozwolić. Przed chwilą byłam praktycznie pewna, iż ten facet mnie zamorduje. Teraz oznajmił mi, że na jego gust Grayson Joyce spędzał ze mną stanowczo za dużo czasu.

Pozwoliłam sobie na iskrę optymizmu, ale zgasła równie szybko, jak się pojawiła, kiedy Ryan zrobił krok w moim kierunku.

- Postawię sprawę jasno - oznajmił. - Odpierdol się od niego.

- Że co?

- Nie masz pojęcia, jakim jest człowiekiem.

Nic z tego nie rozumiałam i odniosłam wrażenie, że przez ten cały czas Ryan posługiwał się jakimś obcym językiem.

- I nie wiesz, jaki był, zanim pojawiła się Cass - dorzucił.

- O to ci chodzi? - spytałam. - Przyszedłeś tu, żeby...

- Żeby zobaczyć, kim jesteś, to po pierwsze - uciął. - Po drugie przekonać się, czy naprawdę się na coś przydasz.

- A po trzecie żeby mi grozić?

Ryan nagle przybrał dość rozbawiony wyraz twarzy.

- Nigdy nikomu nie groziłem - odparł. - Nie lubię robić spoilerów.

Wydawał się zadowolony z tego tekstu, a ja w końcu poczułam się nieco pewniej. Na dobre dotarło do mnie, że to, jak ten gość się zachowywał, wynikało przede wszystkim z narkotycznego otumanienia, które chyba powoli z niego schodziło.

A może po prostu uległam potrzebie przekonania się, że najgorsze już za mną.

Tak czy inaczej musiałam kontynuować tę rozmowę, póki Ryan był gotów to robić.

- Jesteś bratem Cassidy? - spytałam.

- A jak ci się wydaje?

Wskazałam na logo Emporio Armaniego.

- Że jesteście znakowani dość podobnie.

Mgła, która z pewnością jeszcze spowijała jego umysł, nie pozwoliła mu zrozumieć, co mam na myśli.

- Więc obawiasz się, że... że co? - dodałam. - Ukradnę Joyce'a twojej siostrze?

Nie odpowiedział, ale nie musiał.

- Jezus Maria - powiedziałam. - Co ty wzięłeś?

- To, co wszyscy.

Nawet nie chciałam pytać o szczegóły.

- Zresztą to nieważne - dorzucił Ryan Nearing. - I tak, jestem bratem Cass, ale też najlepszym przyjacielem Graya.

- Lekko wybuchowa mieszanka.

- I właśnie to ostatnie sprawia, że tu teraz stoję.

- Aha.

Co innego mogłam odpowiedzieć? Jak w ogóle gadać z tak mocno odurzonymi ludźmi? Nie miałam pojęcia, co brali na tej imprezie, ale z pewnością nie było to nic, po czym można spokojnie wracać do domu.

- Gray bez niej sobie nie radził - dodał Ryan. - Rozumiesz?

- Właściwie to nie bardzo.

- Zanim się pojawiła, był w zupełnie innym miejscu.

- Tak, już to...

- Jest jego kotwicą - uciął Nearing. - Bez niej jest pogubiony.

Dobra, mogłam zrozumieć, że zależało mu na przyjacielu i siostrze. Może w ogóle na łączącym ich związku. Zakładanie jednak, że mogłabym mu w jakiś sposób zagrażać, było całkowicie absurdalne.

- I niech tak zostanie - odparłam. - A przynajmniej ja nie mam zamiaru tego zmieniać.

- Tak dla wszystkich będzie najlepiej. A szczególnie dla ciebie.

- Jasne. Jak sam mówiłeś, jestem tylko projektem.

Odwrócił się, a potem zaplótł dłonie na karku i przez moment nim ruszał. Skrzywiłam się, słysząc ciche trzaski.

- Ale właściwie każdy z nas jest projektem tego świata - dodałam, byleby paplać. - Tylko nie każdy jest ukończony.

Ryan obejrzał się przez ramię, ale nie skomentował. Szwendał się gdzieś w meandrach własnego umysłu i chyba nie bardzo wiedział, jak odnaleźć drogę powrotną.

W końcu jednak wrócił na właściwą w jego przekonaniu ścieżkę. Machnęła lekceważąco ręką w moim kierunku, a potem uniósł wzrok.

- Co on niby w tobie widzi? - bąknął.

- Dobrze pytanie.

- Nie jesteś ani piękna, ani intrygująca.

- Dzięki.

- Jesteś kompletnie zwyczajna - dodał Nearing. - Laska, jakich wiele. Przewaliło się w przez łóżko Graya tyle, że nawet nie pamiętam...

Być może ukłóby to mocniej, gdyby nie fakt, że facet, który teraz mnie obrażał, jeszcze przed momentem mi groził i popchnął mnie na łóżko.

Czułam, że chce powiedzieć coś jeszcze - żeby obrzydzić mi zarówno samą siebie, jak i Joyce'a. Nie miał jednak okazji, bo nagle drzwi się otworzyły, a w progu pojawiła się kompletnie zdezorientowana Cassidy.

Spojrzała najpierw na mnie, potem na brata.

- Co ty robisz? - rzuciła do niego.

- Tylko gadamy.

- O czym niby?

- O...

- Właściwie to wcześniej niewiele było gadania - odezwałam się. - Więcej popychania.

Przez moment miałam wrażenie, że użyłam wyjątkowo niefortunnego, dwuznacznego słowa. Cass jednak zdawała się od razu załapać, w czym rzecz, bo zgromiła Ryana wzrokiem.

- Coś ty jej zrobił?
- Nic.
- Popchnąłeś ją?
- Nawet jej nie...
- Nie pierdol – ucięła ostro Cassidy. – I wynoś się stąd.

Ton głosu jasno dowodził, że kiedy tylko Cass wyekspediuje stąd brata, zapyta mnie jak kobieta kobietę, co tak naprawdę się wydarzyło. I pewnie by tak było, gdyby nie dźwięki, które doszły mnie z salonu.

Pianino, perkusja, a potem gitara elektryczna.

Głos wokalisty, który mogłabym określić jedynie jako *creepy*.

Wiedziałam, co to za kawałek. *Spillways*. Z piątego albumu Ghosta.

Natychmiast wyszłam z pokoju, nie zważając na protesty Cassidy ani zdziwienie Ryana. Dźwięki zupełnie mnie otoczyły, przeniosły w inny świat i sprawiły, że ten, w którym przed momentem byłam, stracił na znaczeniu.

Potrzebowałam chwili, by zrozumieć, że pamiętam.

I że Grayson siedzi na kanapie w salonie. Nigdzie nie poszedł. Nie musiał interweniować, nie wydarzyło się nic złego, co wymagałoby jego zaangażowania. Ryan kłamał.

Joyce spojrział na mnie i od razu zrozumiał, co te dźwięki wyzwoliły. Podniósł się i podszedł do mnie powoli, patrząc mi prosto w oczy, zupełnie jakby jakąś magnetyczną siłą go przyciągały.

Przez chwilę spoglądaliśmy na siebie w milczeniu. On dlatego, że nie musiał pytać. Ja dlatego, że nie mogłam mówić.

- No proszę... – rzucił.

- Co?

- Czasem muzyka to wszystko, czego potrzeba.

Powiedziałam zdezorientowanym wzrokiem dookoła, uświadamiając sobie, że dźwięki płyną z niepasującego tutaj gramofonu, podpiętego do jeszcze bardziej niepasujących dużych głośników.

Tuż obok leżało opakowanie po winylowym krążku. Nowe, dopiero co otwarte.

Naraz uświadomiłam sobie, że Joyce wyszedł, by ją kupić. By włączyć muzykę zespołu, o którym wspomniałam w szpitalu.

Otworzyłam usta, żeby zapytać go, dlaczego to zrobił, powiedzieć mu, co sobie przypomniałam, i poinformować o tym, jak zachował się Ryan.

Wtedy dotarło do mnie, że jestem wśród nieznanomych. I wszyscy bez wyjątku na mnie patrzą.

Czując na sobie spojrzenia całej piątki ludzi zgromadzonych w mieszkaniu Joyce'a, uświadomiłam sobie, na jakiego dziwaka muszę wychodzić. Od kiedy tu przyszli, siedziałam zamknięta w jego sypialni, a oni mogli nawet nie mieć pojęcia dlaczego.

Impreza trwała tuż obok, ja zaś nie wyściubiłam nosa choćby po to, by się przywitać. Właściwie to przez cały ten czas nie poszłam nawet do toalety, jakbym obawiała się zwykłego powitania.

Z jakiegoś powodu nie wydawało mi się to tak osobliwym zachowaniem, jak powinno. I coś podpowiadało mi, że w innych okolicznościach zwykłam robić podobnie.

- Aspen? - odezwała się Cassidy.

Obróciłam się w jej kierunku, bo ton głosu był wyraźnie zaniepokojony.

- Ta muzyka... - wydusiłam.

- Co z nią?

Potrząsnęłam głową, starając się sprawić, by jakieś odłamki pamięci scaliły się w jedno. Cass czekała na odpowiedź, ale miałam teraz ważniejsze rzeczy do roboty niż wyjaśnianie jej, dlaczego tak raptownie wyskoczyłam z sypialni.

- Nie brzmi najlepiej, tyle sama słyszę - oznajmiła Cassidy. - Ale to chyba nie powód, żeby...

- Zna ten kawałek - uciął Grayson.

Podziękowałam mu w duchu za to, że przejął pałeczkę. I że dostrzegł, w czym rzecz.

Cass zbliżyła się do półki, na której stał gramofon, a potem podniosła opakowanie płyty winylowej, dostrzegając tuż obok świeżo rozdartą folię.

- Co to jest? - rzuciła.

- Ghost - odparł Grayson.

- No widzę napis, ale...

- Kapela hardrockowa ze Szwecji.

- Niezupełnie - wtrąciłam. - To znaczy w dużym skrócie mówiąc, może tak, ale w istocie to mieszanka hard rocka i heavy metalu z elementami psychodelicznego i progresywnego rocka, a nawet doom- czy glammetalowych wstawek.

Cassidy popatrzyła na mnie, jakby była to najmniej użyteczna informacja, jaką w życiu usłyszała. Joyce zaś po prostu skinął głową.

- Ten kawałek pochodzi z albumu *Impera* - ciągnęłam. - A konkretnie był to czwarty singiel z niej.

Grayson zrobił krok w moim kierunku, zupełnie jakby nie przyglądali nam się pozostali ludzie w pokoju.

- Tyle wiedziałas już wcześniej - zauważył. - Przypomniałaś sobie coś?

- Trochę.

- To znaczy?

Zamknęłam na moment oczy z lichą nadzieją na to, że w ten sposób uda mi się wyostrzyć wspomnienia. Wciąż były jednak tylko strzępkami przywianymi przez podmuch wiatru z innego świata.

- Pamiętam, że słuchałam tego, siedząc na jakimś dachu.

- Na dachu?

Potwierdziłam zdawkowym skinieniem.

- Ktoś był obok mnie, jakaś osoba – powiedziałam. – To wyglądało jak dach jakiejś stacji benzynowej albo czegoś takiego.

Nim mogłam zobaczyć więcej, fragmentaryczne wspomnienie zostało porwane przez kolejny podmuch, tym razem nowej rzeczywistości, w której nie było miejsca na takie rzeczy.

Skrzywiłam się i pokręciłam głową.

- Nie przejmuj się – rzucił Grayson. – Skoro coś zaskoczyło, to na tym się nie skończy.

- Oby.

Zerknął w kierunku płyty winylowej obracającej się na talerzu gramofonu.

- Te dźwięki mają siłę – dodał. – W końcu wyciągną z ciebie więcej.

Nie musiał tego mówić, bym wiedziała, że muzyka w jego życiu grała kluczową rolę. Choć nie spodziewałam się, by doceniał akurat tę, której najwyraźniej ja dotychczas słuchałam.

Podniósł paczkę marlboro leżącą obok gramofonu, zapalił i zreflektował się, że patrzę na niego w dziwny sposób.

- Co jest? – rzucił cicho, wypuszczając dym.

- Nic.

- Widzę przecież te dwa pytajniki w twoich oczach.

- Tak dobrze mnie znasz?

- Nie muszę – odparł. – Są dostatecznie widoczne.

Uśmiechnęłam się lekko, bo przecież miał stuprocentową rację.

- Po prostu zakładałam, że ktoś paradujący w koszulce dawnych gwiazd mainstreamowego popu niekoniecznie doceni wybuchową szwedzką mieszkankę hard rocka, doom metalu i kilku innych gatunków.

Grayson uniósł jedną brew.

- Dawnych? – spytał. – Jak ostatnio sprawdzałem, Harry Styles był na każdej topce. Poza tym gra raczej soft rocka.

- Bez różnicy.

- Chyba jednak jakaś jest.

Przewróciłam oczami w naturalnym odruchu, zupełnie jakbym miała doświadczenie w podobnych dyskusjach. Czyżbym była wojującą rockową apologetką? Nie mogłam tego wykluczyć.

- Gość zaczynał w One Direction, Joyce.

- A ty w macicy – odparł. – I nikt ci tego nie wypomina.

Zanim zdążyłam skonstruować ripostę uświadamiającą mu, jak bezsensowne jest to porównanie, skarciłam się w duchu za to, że nadal sprawiam wrażenie dzikusa, bo nie przywitałam się z pozostałymi.

Niespodziewanie jednak to Cass po raz drugi przyszła mi w sukurs.

– Poznajcie Aspen – oznajmiła.

Obejrzałam się na nią i uznałam, że chyba jako jedyna udawała, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Ryan i dwie osoby, których nie znałam, patrzyły na nas tak, jakbyśmy z Graysonem wykonali jakiś cyrkowy numer.

Dziewczyna wyglądała całkiem normalnie – co w tym towarzystwie było pewnym odstępstwem od normy. Miała krótkie czarne włosy, okrągłą twarz i duże okulary, urodę całkowicie przeciętną. Chłopak siedzący tuż obok był jednak z gatunku Graysona i Ryana – można by wrzucić go żywcem do jakiegoś blockbustera i nikt nie zauważyłby różnicy między nim a hollywoodzką obsadą.

– Rebecca Boone – przedstawił dziewczynę Joyce.

Ta uniosła rękę i się uśmiechnęła, przez co policzki zamieniły jej twarz w niemal idealnie okrągły kształt. Sprawiała miłe wrażenie, bodaj najmiłsze ze wszystkich osób, które się tu znajdowały.

Pewnie nie bez znaczenia był fakt, że moment wcześniej zaciągnęła się skrętem, który nie wyglądał, jakby był tylko ręcznie zrobionym papierosem.

– I Tyson Hays – dodał Grayson.

W przeciwieństwie do Joyce'a i Ryana ten gość miał jasne włosy, a w dodatku przesywająco błękitne oczy, przez co wyglądał jak rodem z jakiejś reklamówki Hitlerjugend. Nie nosił drogich ciuchów jak Nearing, przeciwnie, miał na sobie starą, poszarpaną koszulkę, jakby chciał stylizować się na artystę.

Powiedziałam wzrokiem po wszystkich trzech facetach. Na pierwszy rzut oka sporo ich dzieliło.

Joyce miał ciemne, nieco dłuższe włosy w nieładzie i równie chaotyczny zarost. Był pociągająco enigmatyczny, demonstrował jakąś dziwną kategoryczność, ale jednocześnie było w nim coś opiekuńczego.

Ryan był ewidentnym arogantem, przekonanym o swojej wyższości nad wszystkimi tylko dlatego, że urodził się w zamożnej rodzinie. Na jego twarzy nie widać było nawet jednodniowego zarostu, przez co linia szczęki w typowych powieściach dla nastolatków byłaby określona jako tak ostra, jakby mogła ciąć papier. W nietypowych mogłaby pewnie nawet rozłupywać kamienie.

Najważniejszym spostrzeżeniem było jednak to, że nie miał najmniejszych oporów, by stosować wobec kobiet siłę fizyczną. Od takich ludzi należało się trzymać jak najdalej. I taki właśnie miałam plan.

Tyson Hays też sprawiał wrażenie pewnego siebie, ale niewykorzystującego tego przeciwko innym. Miał nieco łagodniejsze rysy i te blond włosy, może to przez to. Pozory jednak równie dobrze mogły okazać się mylne.

Cassidy była typową cheerleaderką, królową balu maturalnego i dziewczyną najlepszej partii w szkole. Też doskonale znany typ.

A Rebecca Boone? Zbyt mało o niej wiedziałam, by powiedzieć cokolwiek. Zdawała się czuć dobrze w tym towarzystwie, mimo że wizualnie chyba nie do końca do niego pasowała.

- Tyson, no tak - mruknęłam. - Oczywiście.

- Hm? - rzucił Hays.

- Nie, nic.

- Ewidentnie miałaś coś na myśli - włączył się Ryan.

Postanowiłam nie zaszczycać jego uwagi nawet przelotnym spojrzeniem.

- Może się tym podzielić - wsparła go Cass.

Właściwie czemu nie? Ci ludzie przecież na tryliard procent zdążyli mnie już dość drobniaczkowo ocenić. Wszystko, co usłyszałam w sypialni Joyce'a, dobitnie to potwierdzało.

- Grayson, Ryan i Tyson - wyrzuciłam z siebie. - Nie dość, że się rymujecie, to jeszcze bardziej stereotypowi już byście nie mogli być.

- Co? - rzucił Nearing.

- Typowe trio alfa - oznajmiłam. - W liceum trzymaliście się razem, graliście w futbol albo jakieś inne waterpolo. Trzęśliście całą szkołą, wyznaczaliście trendy, każdy chciał wam się przypodobać.

Przeniosłam wzrok na Cassidy.

- Ty z pewnością stałaś na czele tych, które zagrzewały chłopców do boju w różnych zawodach. I przy okazji związałaś się z jednym z nich, rzecz jasna. Do dopingowania wciągnęłaś swoją przyjaciółkę z podstawówki albo przedszkola, ewentualnie sąsiadkę.

Zerknęłam na Rebeccę.

- Nie pasowała do towarzystwa, ale po latach tak się z nim oswoiła, że od dawna traktujecie ją jako jedną z was.

Nabrałam tchu, chcąc kontynuować, Cass jednak nie miała zamiaru mi na to pozwolić.

- Taka jesteś wszechwiedząca?

- Nie - odparłam. - Ale wystarczy na was spojrzeć.

Wydawało mi się, że usłyszę jakąś kąśliwą uwagę, ale nikt się nie odezwał.

- Do dopełnienia tego wręcz karykaturalnego stereotypu brakuje wam tylko jeszcze jednej dziewczyny - rzuciłam. - Najlepszej przyjaciółki Cassidy, właściwie jakiejś jej kopii, która zazdrościłaby jej wszystkiego, a przede wszystkim chłopaka.

Powiodłam wzrokiem dookoła, dostrzegając, że miny nieco wszystkim zrzedły.

- To ta, o której rozmawialiście? - spytałam. - Ta, którą spotkało coś złego, kiedy zaczęliście szukać Pepecali?

Tak naprawdę w tym wszystkim dążyłam chyba do tego.

A przynajmniej tak to sobie tłumaczyłam. W istocie bowiem po prostu dawałam upust emocjom i wyżywałam się na całej grupie za to, co przed momentem zrobił Ryan Nearing. Czulałam, że wszyscy na to zasłużyli, nie tylko on.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz - rzuciła Cassidy.

- Czyli nie trafiłam?

- Nie - odparła.

W jej głosie na pierwszy plan wysuwało się oburzenie, ale w jego podszyciu wychwycałam coś, co kazało mi sądzić, że moje diagnozy okazały się przynajmniej częściowo trafne.

Przez moment trwała pełna napięcia, ciężka cisza. Nie była przyjemna dla nikogo w pomieszczeniu, a ja odniosłam wrażenie, że to nie przez moje rzucanie stereotypami na lewo i prawo, ale wzmiankę na temat dziewczyny, której tu nie ma.

Kim była?

Co się z nią stało?

Czy faktycznie dobrze trafiłam, że ktoś taki istniał i to o niej rozmawiali Cass i Joyce? Jeśli tak, to musiałam założyć, że oni wszyscy są wtajemniczeni w sprawę Pepecali.

Z pewnością tak było. Przecież kiedy o nim wspomniałam, nikt nie dopytywał. Nikt nawet nie okazał zdumienia.

Jeszcze raz powiodłam po nich wzrokiem i dostrzegłam, że twarze części z nich nieco się zmieniły.

Grayson wyglądał, jakby coś w mojej tyradzie mu zaimponowało. Tyson Hays i Rebecca Boone również sprawiali takie wrażenie. Jedynymi wyjątkami było rodzeństwo Nearingów.

- Znamy się wszyscy od gówniarza - odezwał się nagle Joyce. - I tak, chodziliśmy razem od jednej klasy.

- Mhm.

- Ale mylisz się co do szczegółów.

- To znaczy?

- To znaczy, że ocenianie ludzi przez pryzmat własnych wyobrażeń jest jak próba zrozumienia mechaniki kwantowej dzięki wiedzy ogrodniczej - odparł Grayson. - I te stereotypy, Jezus Maria...

To ostatnie wypowiedział, imitując mój ton głosu, a ja poczułam niewielkie ukłucie.

- Nie wydaje ci się dziwne, że w świecie, gdzie płeć przestaje mieć znaczenie, trzymają się zaskakująco mocno?

Cholera, może miał trochę racji. Minimalnie.

Nie zamierzałam jednak tego przyznawać, szczególnie kiedy wszyscy zainteresowani znów koncentrowali na mnie spojrzenia.

- Mniejsza z tym - włączyła się Rebecca, jakby chciała podać mi pomocną dłoń, a potem znów się uśmiechnęła. - Dowiedziałaś się czegoś?

Odetchnęłam nieco i ledwo zauważalnie przestąpiłam z nogi na nogę. Najwyraźniej oceny, które przed momentem wyczarowałam praktycznie znikąd, przestały mieć znaczenie.

- Zakładam, że wszyscy jesteście w temacie? - spytałam.

- Mhm - odezwał się Tyson. - Wszyscy staramy się znaleźć Pepecalę.

- Dlaczego?

Pytanie samo wyrwało się z moich ust, ale wydawało mi się całkiem zasadne. Joyce miał powód, by stawać na głowie, próbując trafić na trop José Alcali. Ci ludzie już niekoniecznie.

- Bo cokolwiek o nas sądzisz, trzymamy się razem - włączył się Ryan.

To właściwie było dla mnie dość oczywiste z racji przebiegu ich przyjaźni. Coś takiego mogło rozpocząć się tylko na wczesnym etapie. Później nadziany gość jak Nearing nie chciałby zadawać się z ewidentnie ledwo wiążącym koniec z końcem Graysonem. I odwrotnie.

Cassidy nie przyjaźniłaby się z Rebeccą, a podobnych zależności pewnie byłoby więcej. Fakt, że ci ludzie spotkali się na tak wczesnym etapie, kiedy nie zdążyły się jeszcze ukształtować uprzedzenia, scalił ich lepiej niż jakiegokolwiek wspólne przeżycie.

- Gray musi go znaleźć - dorzuciła Rebecca. - Więc my też.

Mimo że prawdziwe, przypuszczałam, że te deklaracje są lekko zaprawione tym, co przyjęli lub wypalili. Taka szczerłość czy nawet ckliwość rzadko występowała wśród całkowicie trzeźwej grupy młodych ludzi. Chyba. A może ja po prostu nigdy nie byłam częścią czegoś takiego.

- Więc jak? - zapytał Tyson. - Masz coś, co może się nam przydać?

Nabrałam głęboko tchu, a potem skinęłam głową.

- Przynajmniej kilka rzeczy - odparłam. - Wszystkie jednak są jak jakiś szyfr.

- Dawaj - rzuciła Cass.

- Razem je rozpracujemy - zapewniła Rebecca.

Nie byłam tego taka pewna, w dodatku odniosłam wrażenie, że te nagłe oznaki solidarności są tylko na pokaz. Tak czy owak nie miało to dla mnie większego znaczenia. Chciałam przekazać Joyce'owi to, co ustaliłam, a potem wrócić do Prodziekana, który z pewnością odchodził już od zmysłów.

- Okej - rzuciłam. - Więc wszystkie te piosenki opowiadają historię pewnej pary kochanków. Nigdy nie poznajemy ich imion, nie wiemy o nich nic poza uczuciem, które ich łączy. I jednocześnie dzieli.

Nikt się nie odezwał.

- Większość utworów ma też jakiś związek z ciszą.

- Z ciszą? - mruknął Ryan.

- To motyw przewodni. Zresztą odnosi się do niej sam tytuł tego minialbumu, *Cuando Murió el Silencio*, co oznacza dosłownie: kiedy umarła cisza.

W tekstach Pepecali rzeczywiście spotkał ją taki los, jakkolwiek to brzmiało. W mieszkaniu Joyce'a jednak była dość żywa.

Wszyscy milczeli, a ja skupiłam wzrok na Graysonie. Nie mogłam opędzić się od poczucia, że wie o tej kasecie znacznie więcej, niż ja byłam w stanie wyciągnąć z samych piosenek.

Pierwszy kawałek na płycie był akustyczny, brakowało w nim dobitniejszych rockowych riffów, które towarzyszyły kolejnym. José Antonio Alcalá Fernández śpiewał o kobiecie, za którą podmiot liryczny byłby gotów umrzeć, dopiero bowiem przy niej tak naprawdę się narodził. Mężczyzna ten przez lata żył z raną w sobie – dokuczliwą, głęboką i niemożliwą do zagojenia. Kiedy jednak poznał tę jedyną, przejęła część jego bólu, podzieliła go między nich i od tamtej pory mężczyzna czuł, że w jego sercu powstało miejsce na coś oprócz niego. Na szczęście.

Niewiadomą pozostawało, czy kobieta jest jego kochanką, czy żoną. W ogóle próżno było szukać konkretów, a Pepecalá opisywał jedynie pozornie przypadkowe strzępki ich relacji. Jak choćby to, że cisza w ich związku, zamiast oddalać ich od siebie, przybliżyła i łączyła, stanowiła spoiwo ich relacji. Lubili razem milczeć. Lubili, kiedy świat wokół nich pogrążał się w ożywionych rozmowach, a oni na przekór temu trwali w spokojnym, błogim braku dźwięków.

Śpiewał, że ich serca rozumieją się najlepiej w ciszy. Żyli w niej, cieszyli się nią. Nic nie mogło jej zaburzyć. Aż do momentu, kiedy sami postanowili wypełnić ją słowami, które nigdy nie powinny zostać wypowiedziane.

Czułam, że rozkładając to wszystko na czynniki pierwsze, wyrządząm piosence jakąś krzywdę. W dodatku nie znałam aż tak dobrze hiszpańskiego, by umiejętnie przełożyć wszystko z zachowaniem kadencji, rytmu i tego, jak słowa Pepecali do siebie pasowały. Do tego potrzeba byłoby kogoś, kto tak jak on potrafił w prosty sposób przekazać maksimum treści.

- I to wszystko? – rzuciła Cass, kiedy skończyłam.
- Niestety.
- To gdzie ten kod? – włączył się Tyson. – Przecież to zwykłe słowa.
- Nie takie zwykłe – skwitowałam.

Cała ta piosenka i kolejne pokazywały, jak wiele można w nich zmieścić i jak wiele mają siły, szczególnie gdy otacza je cisza. Tych dwoje zmieściło w nich całe swoje życie, a potem za ich pomocą zaczęło je niszczyć.

Zerknęłam na milczącego Graysona, bo przez cały czas ściągał mnie wzrokiem. Robił to chyba jednak zupełnie nieświadomie, bo kiedy tylko na niego popatrzyłam, odwrócił spojrzenie.

W tym krótkim ułamku sekundy, który miałam, by mu się przyjrzeć, upewniłam się jednak, że coś wie. Coś skojarzył. I najwyraźniej była to rzecz, którą dotychczas nie podzielił się z nikim.

- A kod? Szyfr? – spytał Ryan.

- Cóż... - odparłam. - W tekście są jeszcze inne elementy. Pepecalá śpiewa także o tym, że jeśli dwoje ludzi nie rozumie się bez słów, tym bardziej nie zrozumie się z ich pomocą.

- Trafne - włączyła się Rebecca.

Pokiwałam głową, bo to nie ulegało dyskusji.

- I że jeśli dwoje ludzi naprawdę potrafi ze sobą rozmawiać, równie dobrze może robić to w ciszy - dodałam.

To znów sprawiło, że Rebecca zgodziła się cichym mruknięciem. Reszta jednak zdawała się mieć przemyślenia José Alcali w głębokim poważaniu i tylko czekać na to, aż przedstawię jakieś konkrety.

Joyce palił w milczeniu, jakby wydychany dym jakoś oddalał go od nas wszystkich.

- Te dwa ostatnie fragmenty są w dwóch przedostatnich zwrotkach - podjęłam. - Kiedy podmiot liryczny siedzi z ukochaną w ich ulubionym miejscu, gdzie spędzili razem mnóstwo czasu.

Opowiadał to jakby z perspektywy zaświatów, przez co wszystkie poprzednie wersy uderzały ze zdwojoną mocą, ale nie chciałam tego dodawać. Tego kawałka trzeba było posłuchać samemu. I samemu odczuć emocje, którymi tętnił niski, chropowaty głos Pepecali.

- To jedyna wzmianka o jakimkolwiek miejscu w tej piosence - kontynuowałam. - Zakładam więc, że właśnie tego szukamy.

Zerknęłam na Graysona, a ten potwierdził krótkim skinieniem głowy.

- Autor określa je jako „miejsce nieoczekiwanej ciszy”, gdzie tych dwoje nie spodziewało się jej odnaleźć - dodałam. - Miejsce łączące wschód z zachodem. Dbające o pamięć człowieka dwóch ról, oddające mu hołd jeszcze za życia.

Niemal wszyscy wymienili się spojrzeniami poszukującymi jakiegoś sensu w słowach, które ode mnie usłyszeli. Nikt się jednak nie odezwał, więc uznałam, że nie tylko ja nie mam pojęcia, o jaką lokalizację może chodzić.

- Miejsce znane tylko z drugiej strony, tam głośnie i gwarne - dorzuciłam. - Naprzeciw zaś stanowiące oazę nieoczekiwanej ciszy.

Kiedy nabrałam głośno tchu, wszyscy sądzili, że robię to po to, by kontynuować. W istocie jednak nie miałam nic więcej do przekazania.

- To wszystko? - jęknęła Cass.

- Mhm.

- Nie ma nic więcej?

- Nie ma.

Cassidy nadal wyraźnie czekała, aż jeszcze coś sobie przypomnę, więc wzruszyłam ramionami, sugerując, że to naprawdę by było na tyle.

- I co niby mamy z tym zrobić? - rzuciła.

- Mnie nie pytaj - odparłam. - Jeszcze wczoraj nie wiedziałam, że istnieje.

Zanościło się na dalsze próby wyciągnięcia ze mnie czegokolwiek, ale nie zamierzałam dawać nikomu okazji. Rozejrzałam się, jakbym musiała się upewnić, że zabrałam wszystko, z czym tu przyszłam, a potem skinęłam głową w kierunku drzwi.

- Na mnie pora.

- Zaraz... - rzucił Tyson.
- A pozostałe kawałki? - dodała Rebecca.
- Drugi jest połączony z pierwszym.
- Co?

Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że nie powiedziałam najważniejszego o tej kasecie.

- W drugiej piosence Pepecalá odnosi się do tego, co znajduje się w „miejscu nieoczekiwanej ciszy”. Jeśli go nie znamy, cały tekst jest jedną wielką enigmą.

- To znaczy? - odezwał się Ryan.

- Od niego zaczyna się podróż bohatera, który skrzywdził kobietę swoich marzeń - odparłam i machnęłam ręką. - Ostatecznie trafia w inne miejsce, ale to bez znaczenia, bo nie przesiedzimy jego podróży, dopóki nie znajdziemy tego pierwszego.

Wszyscy milczeli.

- Tekst drugiej piosenki mówi wprost o kluczu.

- Jakim znowu... - zaczęła Cass.

- Takim, który leży w „miejscu nieoczekiwanej ciszy”, a więc w pierwszym kawałku.

I pozwala zrozumieć drugi.

Powiedziałam wzrokiem po wszystkich zebranych, zastanawiając się, dlaczego Grayson wciąż milczy.

- Ale to już wasza sprawa - dodałam. - Bo ja się zmywam.

- Czekaj - rzucił Nearing.

- Jak się dowiecie, o co chodzi w pierwszym utworze, dajcie znać.

Ruszyłam w stronę drzwi, ale Ryan natychmiast zaszedł mi drogę. Mimowolnie się cofnęłam, jakby mnie czymś oparzył.

- Tam jest jeszcze kilka piosenek - zauważył.

- Wiem. I wszystkie odnoszą się do poprzednich.

- Hm?

- Żeby wskazać kolejne miejsca, trzeba ustalić, czym są te poprzednie.

Im dłużej słuchałam tej EP-ki, tym mniej dziwaczne mi się to wydawało. Za pierwszym razem uznałam to za kompletnie absurdalne, zupełnie jakby José Alcalá robił sobie jaja ze słuchacza. Potem sądziłam, że to po prostu concept album z ukrytym przesłaniem. Ostatecznie doszłam do wniosku, że Pepecalá chciał osiągnąć coś konkretnego.

- Czyli co? - odezwała się Cass. - To są te szyfry?

- Raczej zagadki - odparłam.

Cassidy zerknęła na Joyce'a, ten jednak wciąż wpatrywał się we mnie. Może zawiesił się po nadmiarze tego, co wszyscy tutaj wcześniej palili? Nie miałam złudzeń, że jako jedyny stronił od narkotyków, zresztą podobnie jak reszta miał błyszczące oczy i rozszerzone źrenice.

- A teraz już naprawdę muszę iść - dodałam.

Grayson ledwo zauważalnie skinął głową.

- Moment - uparł się Ryan, wciąż się nie przesuwając. - Co on mówi o tych zagadkach?

- Właściwie to śpiewa. I nic.

- Jak to, kurwa, nic?

Bicie serca nieco mi przyspieszyło i zwalczyłam ochotę, by zrobić krok w tył. Nie miałam zamiaru dawać temu człowiekowi żadnej satysfakcji.

- Żeby je w ogóle dostrzec, trzeba wiedzieć, gdzie szukać - odparłam. - I tyle.

Ruszyłam przed siebie pewna, że Nearing się odsunie. Ten jednak ani drgnął.

- W takim razie ustalimy to pierwsze miejsce - rzucił. - A potem pomożesz nam z kolejnymi.

- Jutro, teraz naprawdę już muszę...

- Nigdzie nie pójdziesz, dopóki tego nie załatwimy.

Zatrzymałam się przed nim i przełknęłam ślinę.

- Bo co? - rzuciłam. - Znowu mnie zaatakujesz?

Zacisnął mocno usta, patrząc na mnie z góry. Przewyższał mnie o głowę, ale nawet gdyby było inaczej, jego budowa ciała nie rokowałaby dla mnie dobrze w żadnej przepychance. Spędzał tyle czasu na siłce, ile Joyce na słuchaniu muzyki. A przynajmniej tak mi się wydawało.

- O czym ona mówi? - rozległ się głos Graysona.

- O niczym - odparł Ryan.

Mierzyłam go wzrokiem, jakbym rzucała mu wyzwanie. On zaś patrzył na mnie z wyraźnym ostrzeżeniem.

Nie musiał tego robić. I tak nie miałam zamiaru mówić reszcie, co dokładnie się wydarzyło. Wystarczyło, że Cass oględnie się orientowała i niespecjalnie przejęła zachowaniem brata.

- Zaatakowałaś ją? - dodał Joyce.

- Nie.

Kątem oka zauważyłam, że Grayson obraca się do Cassidy - i był to jedyny ruch, jaki wykonał. Nie zbliżył się do Ryana, zupełnie jakby nie chciał nawet sugerować, że może dojść do jakiejś fizycznej konfrontacji.

- Wiesz coś o tym? - rzucił Joyce.

Cass przez moment nie odpowiadała. Jej milczenie było jednak dostatecznie wymowne dla wszystkich, którzy się tu znajdowali.

Niespodziewanie to Tyson pierwszy zareagował, podnosząc się raptownie z kanapy.

- Co ty jej zrobiłeś? - zaczął ostro.

Zanim Ryan miał okazję odpowiedzieć, Hays znalazł się tuż przed nim.

- Wakefield? - spytał Joyce.

Nie wiedziałam, co robić. Nie zamierzałam mieszać do tego nikogo, właściwie chciałam po prostu się stąd zmyć.

- Nie przesadzajcie - włączyła się z pewnym zakłopotaniem Cassidy. - Lekko ją popchnął, a ona...

- Popchnąłeś ją? - syknął Tyson. - Pojebało cię?

Błyskawicznie podniósł ręce, zaciskając je w pięści.

- Co jest z tobą nie tak, człowieku? - dodał Hays.

- Ledwo jej dotknąłem, poza tym...

- Ledwo jej dotknąłeś?

Zanim Ryan zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Tyson zrobił dokładnie to samo, co Nearing mnie, tyle że z nieco większą siłą. Popchnął Ryana, a ten zatoczył się w tył i niemal wyrznął na oparciu fotela.

- Hej! - krzyknęła Rebecca w beznadziejnej próbie uspokojenia sytuacji.

Tyson znalazł się już jednak przy Ryanie, który odzyskał równowagę i natychmiast chciał się odwinąć. Ani chybi by to zrobił, gdyby nie dłoń, która zacisnęła się na jego barku.

Grayson stał tuż za nim.

Kiedy Nearing się do niego obrócił, Joyce sprawiał wrażenie, jakby miał wziąć zamach i mu przywalić. Zamiast tego jednak tylko patrzył na niego bez słowa. Potem minął go, rzucając jeszcze krótkie spojrzenie Tysonowi, i podszedł do mnie.

- Idziemy.

Najwyższa pora, skwitowałam w duchu.

Nie żegnając się z nikim, wyszłam z Graysonem na klatkę schodową, a on zamknął za nami drzwi. Bez słowa ruszył schodami w dół, mnie zaś nie pozostało nic innego, jak podążyć za nim.

Znów szybko wsiedliśmy do samochodu, jakby Joyce obawiał się, że trafimy na kogoś, na kogo nie powinniśmy.

Było to o tyle dziwne, że Cass, Ryan, Tyson i Rebecca przyszli tutaj przecież sami. Nikt im nie zagroził na ulicy, tym bardziej mnie w towarzystwie Graysona nie powinno stać się nic złego podczas krótkiej drogi z klatki do starego porsche.

Joyce odpałił Hermionę, a potem bez słowa przejechał kawałek, skręcił w prawo i wyjechał na Windsor Street. Po chwili znaleźliśmy się na miejskim odcinku międzystanowej osiemdziesiątkiczwórki, którą pomknęliśmy w kierunku Asylum Hill.

Grayson o nic nie pytał, o niczym mnie nie zapewniał. Nie wiedziałam, czy w ogóle chce o tym rozmawiać.

Kiedy jednak parkował pod domem dziadka przy Laurel Street, obrócił się do mnie.

- Zajmę się tym - powiedział.

- Słuchaj, może...

- Więcej się do ciebie nie zbliży.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, kątem oka dostrzegłam, jak otwierają się drzwi budynku z czerwonej cegły. Prodziekan wypadł z niego, jakby się paliło.

- Jutro poszukamy tego miejsca nieoczekiwanej ciszy - dodał Joyce. - Odezwę się.

Skinęłam głową, nie bardzo wiedząc, jak zareagować na tę zdawkowość. Zaczęłam otwierać drzwi i już miałam wysiąść, kiedy Grayson delikatnie ujął moją dłoń. Zatrzymałam się jak rażona piorunem.

- Jeszcze jedno - powiedział, nachylając się do mnie.

Milion myśli przeszło mi przez głowę w jednej sekundzie.

Zaraz potem zdałam sobie sprawę, że Joyce sięga do schowka przed siedzeniem pasażera. Otworzył go i wyciągnął z niego prepaidową komórkę.

- Przyda ci się.
- Dzięki, ale...
- Do jutra.

Nie mając wielkiego wyboru i czując na sobie ciężar spojrzenia Prodziekana, wysiadłam z Hermiony. Ledwo zamknęłam drzwiczki, Grayson wbił jedynekę i wcisnął mocno pedał gazu. Koła tylko jakimś cudem nie zapisać, kiedy samochód pomknął w stronę najbliższego skrzyżowania.

- Czy ty jesteś poważna? – rozległo się pytanie.
- Wiem, przepraszam, ale...
- Czy zdajesz sobie sprawę, jak się martwiłem?
- Nie miałam jak się skontaktować i...
- Już chciałem telefonować na policję – uciął dziadek.

Oddychał ciężko, a na jego twarzy zamiast złości dostrzegałam jedynie ulgę. Wszłam po schodkach na taras i ledwo znalazłam się przed nim, objął mnie i mocno przycisnął do siebie. W pierwszej chwili chciałam zaoponować, bo wciąż wydawało mi się, że mam do czynienia z obcą osobą.

Kiedy jednak mnie przytulił, to uczucie znikło. Pojawiło się za to coś znajomego i kojącego, zupełnie jakbym w środku zimy nagle weszła do auta, w którym ktoś wcześniej nagrzał.

- Przepraszam – powtórzyłam. – Trochę się zasiedziałam u Graysona.

Prodziekan odsunął się nieco i wyglądał, jakby chciał mnie zapewnić, że nic się nie stało, a potem poprosić, bym więcej tak nie robiła. Zawahał się jednak, a ja odniosłam wrażenie, że nie jest pewien, czy to wychowawczo słuszny kierunek.

A może szykował się do jakiejś uwagi o tym, że śmierdzą dymem papierosowym? I najpewniej nie tylko nim? Na tym etapie spodziewałam się właściwie wszystkiego.

Ostatecznie dziadek po prostu otoczył mnie ramieniem i poprowadził do domu.

Poczułam się w nim nieco lepiej niż ostatnio, choć wszystkie moje rzeczy boleśnie przypominały o tym, jak wiele o sobie nie wiem.

Najgorsze były te sprzęty elektroniczne, które wymagały jakiejś formy logowania się. Schowałam je do szafy, by nie kłuły mnie w oczy, po czym włączyłam komórkę od Joyce'a.

Liczyłam na jakąś wiadomość, ale zobaczyłam jedynie pustą skrzynkę. Sama nie mogłam skontaktować się z Graysonem, nie znając numeru. Miałam jednak nieodpartą, a zarazem zupełnie irracjonalną wrażenie, że i bez tego się ze sobą porozumiewamy.

Powoli starałam się odnaleźć siebie.

W lekturach, które miałam przeczytane na kindle'u, w kolejnych kawałkach Ghosta, w ciuchach poupychanych w walizkach, a w końcu we wspomnieniach Prodziekana.

Poszliśmy na kolację do Max Downtown przy Asylum Street – według dziadka najlepszej knajpy w mieście – gdzie dowiedziałam się nie tylko, że lubię owoce morza, ale też że ogólnie rzecz biorąc, kocham zreć. Potwierdziło się to następnego dnia rano, gdy jedliśmy śniadanie w znajdującym się po drugiej stronie Farmington Ave Dunkin' Donuts.

Od naszego domu dzielił ją raptem dwuminutowy spacer, przypuszczałam więc, że będę tutaj stale gościć. Zeżarłam wake-up wrapa z serem, jajkiem i bekonem, popiłam waniliową

coolatą na oczyszczenie palety, a potem pozwoliłam sobie jeszcze na donuta w wydaniu chocolate frosted. Polewa o smaku mlecznej czekolady idealnie współgrała z waniliowym ciastem, a ja uznałam, że to właśnie o takich bodźcach pobudzających pamięć mówił doktor Bearce.

Powinłam bodźcować się jak najczęściej.

Po jeszcze jednym donucie wróciłam z dziadkiem do domu i zaczęłam się zastanawiać nad tym, co robić.

Miałam jakieś hobby? Grałam w paddle'a? A może w pickleballa? Pływałam na basenie? Pisałam wiersze? Jeździłam na rowerze? A może zbierałam podkładki po piwie? Możliwości były praktycznie nieskończone.

Prodziekan przypominał mi, że powinnam też postanowić, co z moją przyszłością. Na tym etapie roku wciąż jeszcze mogłam zacząć naukę w college'u. Teoretycznie nic nie stało temu na przeszkodzie, moja wiedza ogólna nie ucierpiała.

Nie potrzebowałam przecież wiedzieć, kim jestem, żeby poddać się procesowi zinstytucjonalizowanej edukacji. Byłam wręcz do tego idealna. Całym jej celem było wszak to, by odrzec człowieka z indywidualizmu.

Szkoła powinna uczyć samodzielnego i krytycznego myślenia, zamiast tego stała się jednak mechanizmem cywilizacyjnym, który każe ci robić zupełnie odwrotnie. Nie zastanawiać się nad niczym i przyjmować bezkrytycznie to, czego uczy.

Chyba nie spieszyło mi się, by z powrotem wpaść w te tryby.

Dziadkowi jednak nic nie mówiłam i trochę się migałam, kiedy niby mimochodem ciągnął ten temat, pomagając mi w rozwieszeniu ciuchów w moim nowym pokoju.

- Najpierw muszę znaleźć Pepecalę - wypaliłam w końcu.

Wychynął z szafy i lypnął na mnie krótko.

- Czy to jakieś arizońskie określenie na utracone wspomnienia?

- O ile wiem, to nie.

- W takim razie...

- Chodzi o pewnego muzyka, nazywa się José Antonio Alcalá Fernández - wyjaśniłam.

Dziadek patrzył na mnie jak na jakąś idiotkę, która zamiast poświęcać wszystkie siły na odnalezienie siebie, szuka kogoś innego.

Pokrótce nakreśliłam mu to wszystko, czego dowiedziałam się od Graysona. O tym, że Pepecalá w końcu spełniał swoje marzenie, wierzył, że zapewni rodzinie dobry byt. I że w dniu, kiedy wszystko miało się zmienić, owszem, zmieniło się, ale w niewyobrażalną tragedię.

O tym, że po wbiegnięciu do pożaru nie mógł już grać. I że kasetka jest jedynym, co zostało po jego muzyce.

- Potworne - skwitował Prodziekan. - Ale wciąż nie pojmuję, dlaczego akurat ty musisz uczestniczyć w tych poszukiwaniach.

- Znam język.

- Tak, wiem, jednakowoż...

- Poza tym coś grozi temu człowiekowi - ucięłam. - I jeśli szybko go nie odnajdziemy, może stracić życie.

Właściwie nie zamierzałam tego mówić, by nie stresować dziadka. Najwyraźniej jednak miałam potrzebę, by podzielić się z nim wszystkim.

Gdyby ta rozmowa trwała dłużej, pewnie wypaplałabym mu też o tym, co wydarzyło się w mieszkaniu Joyce'a przy Bellevue Street, a później dostała dożywotni zakaz kontaktowania się z nim.

Nie miałam jednak okazji nawet się o tym zająknąć, w pokoju bowiem rozległ się dźwięk przychodzącej wiadomości. Początkowo wprawił mnie on w pewną dezorientację, szybko jednak uświadomiłam sobie, że odzywa się moja nowa komórka.

Sięgnęłam po urządzenie bliżej nieokreślonej marki, które kojarzyło mi się z burnerami używanymi przez bohaterów *Breaking Bad* lub innej tego typu produkcji, a potem zobaczyłam, że mam esemesa od niezapisanego numeru.

Od razu go wyświetliłam.

„Wakefield, chyba wiem, o jakie miejsce chodzi.

Będę u ciebie za piętnaście minut.

Joyce”.

Hermiona już z oddali zapowiadała swoje nadejście, zupełnie jakby ktoś podkreślił dźwięk jej silnika. Zaraz potem zobaczyłam czerwone porsche 924 wychodzące z zakrętu.

Moment po tym, jak zatrzymało się pod budynkiem, Grayson wyskoczył na zewnątrz, obszedł auto i otworzył drzwi po stronie pasażera. Zdawało się to dla niego tak naturalnym gestem, że zbił mnie nieco z tropu.

- Wsiadasz? – spytał Joyce.

- Może.

- Może?

- Najpierw ustalmy, dlaczego wysyłając tego esemesa, byłeś pewien, że gdziekolwiek z tobą pojedę.

- Co?

- Normalnie takie wiadomości kończy się pytajnikiem – odparłam. – To taki znak, który świadczy o tym, że ktoś zadaje pytanie, zamiast oznajmiać.

Grayson patrzył na mnie tymi swoimi zwężonymi oczami, jakby musiał mrużyć je przed słońcem.

Chyba liczył na to, że pogadam, pogadam, a potem po prostu wsiądę do Hermiony. Ja jednak stałam w bezruchu, krzyżując ręce na piersi w niejakiem hołdzie złożonym jego typowej pozie.

- Poważnie? – mruknął.

- Nie. Ironicznie.

Nie spodziewał się ani tej odpowiedzi, ani miny, którą go uraczyłam.

- Dobra... – rzucił. – Następnym razem będzie pytajnik. W porządku?

- W porządku.

Nie było to wielkie zwycięstwo, ale zawsze jakieś. Umościłam się w aucie, a Joyce szybko je obszedł i wsiadł od strony kierowcy. Nie tracił czasu. Zanim choćby pomachałam stojącemu w oknie Prodziekanowi, już odjeżdżaliśmy.

Z głośników płynęły niezłe gitarowe dźwięki, a w dodatku dość ciekawy wokal. Warstwa liryczna w niczym nie ustępowała reszcie, ja zaś miałam wrażenie, że obcuję z czymś naprawdę kunsztownym.

Machinalnie zerknęłam na odtwarzacz kasetowy, zupełnie jakby istniała szansa, że nagle pojawił się tam jakiś wyświetlacz, na którym widać nazwę zespołu i tytuł tego kawałka.

By jednak to ustalić, musiałam sięgnąć do pewnych przedpotopowych metod i otworzyłam schowek.

- Jasne, rozgość się – mruknął Grayson.

Odsunęłam paczkę marlboro i wyciągnęłam jedyne opakowanie kasety, które było puste. Blue Öyster Cult, *Fire of Unknown Origin*.

- No proszę.

- Co? - odparł Joyce.

- Okazuje się, że jednak nie słuchasz muzyki poniżej wszelkiej krytyki.

Nie odpowiedział, a ja przyjrzałam się kasecie z osiemdziesiątego pierwszego roku. Ależ ta muzyka niosła, jaką energią i zaangażowaniem była przepelniona. Słuchając kolejnych kawałków, odnosiłam wrażenie, jakby nagranie każdego okazywało się dla ówczesnych wykonawców kwestią życia i śmierci.

Wtedy było to chyba z jakiegoś powodu bardziej powszechne. W dzisiejszej muzyce obcowałam z wyrachowaniem i robieniem wszystkiego na siłę. Tutaj z prawdziwością, z realnymi emocjami.

- Mam ograniczony wybór - odparł po chwili Grayson.

- He?

- Od pewnego czasu raczej mało co wychodzi na kasetach.

No tak, oczywiście. W tym samochodzie mogły rozbrzmiewać w porywach dźwięki z lat dziewięćdziesiątych.

- Nie wiem, czy wiesz... - zaczęłam - ale muzyka znajduje się już nie tylko na winylach i kasetach.

- Tak?

- I w sklepach audio można kupić sobie odtwarzacz do auta, który ogarnie bluetooth i Spotify.

Joyce nie odpowiedział, a ja znów zanurzyłam się w dźwiękach kapeli, której nie znałam. Każdy numer okazywał się ciekawszy od poprzedniego, w dodatku towarzyszyło mi poczucie, że im dłużej będę ich słuchała, tym lepsze się wydada.

Znów coś odwrotnego do muzyki, którą tworzyło większość dzisiejszych wykonawców. Były oczywiście wyjątki. Jak Ghost.

Z tego wszystkiego zapomniałam o najważniejszym - ustaleniu, dokąd my tak właściwie jedziemy.

Rozejrzałam się, ale ta część miasta okazała się równie obca jak każda inna. Pewne było jednak, że kierujemy się ku rzece Connecticut.

- Co ci się udało ustalić? - zapytałam, wkładając opakowanie kasety do schowka.

- Że nie potrzebujesz pozwolenia, żeby grzebać w moim aucie.

- To powinno być dla ciebie oczywiste od samego początku - oznajmiłam. - A w sprawie Pepecali?

Grayson zatrzymał się na czerwonym świetle, a potem obrócił w moim kierunku. Fryzurę miał dziś nieco bardziej ułożoną niż poprzednio, ale wciąż była dość entropiczna. Przywodziła trochę na myśl Jamesa Deana, o ile ktoś wyczochrałby mu czuprynę.

- Zobaczysz - powiedział Joyce.

Tylko tyle? Sam jego wzrok był jak obietnica czegoś więcej, słowa jednak najwyraźniej nie zamierzały dawać temu wyrazu.

- Wolałabym wiedzieć zawczasu.

- Nie miałabyś niespodzianki.

- Chyba nie jestem ich fanką - zauważyłam. - Może dlatego, że mam ich stanowczo za dużo ostatnimi czasy.

Jak zwykle się nie uśmiechnął, ale mięśnie jego twarzy lekko drgnęły, jakby w ostatnim momencie się przed tym powstrzymał. Zaraz potem zrobiło się zielone i Hermione ruszyła naprzód.

Zostawiliśmy ją na parkingu przy Leibert Road, a potem Grayson przeprowadził mnie przez niewielki park wzdłuż rzeki. Nie było to przesadnie urokliwe miejsce, ale z tego, co zdążyłam się zorientować, Hartford z nich nie służyło.

Potrafiłam sobie wyobrazić, że zimą, kiedy wszystkie drzewa rosnące wzdłuż koryta Connecticut stają się łyse, jest tutaj dość przygnębiająco. Dziś szczęśliwie zieleni było sporo, a słońce przebijało się przez chmury.

Dotarliśmy pod przęsła jakiegoś mostu, kiedy dostrzegłam, że pod nimi czeka na nas grupa doskonale mi znanych ludzi.

Z Tysonem i Rebecą przywitałam się z całą moją wrodzoną serdecznością, Cassidy zrewanżowała się dość chłodnym spojrzeniem, a Ryana Nearinga zasadniczo zignorowałam.

- No więc? - rzuciła Cass do swojego chłopaka. - Po co nas tu ściągałeś?

Najwyraźniej nie tylko ja nie dostałam pełnego pakietu informacji.

- Bo wydaje mi się, że Pepecali może chodzić o ten most.

- O most? - spytał Tyson Hays.

Grayson krótko i z przekonaniem skinął głową.

- Miejsce łączące wschód z zachodem - oznajmił, a potem powiódł wzrokiem po łukach wyrastających z rzeki.

- Daj spokój - odezwał się półgębkiem Ryan. - Równie dobrze może chodzić o jakąś przelotówkę, drogę międzystanową albo...

- Bulkeley łączy Hartford z East Hartford - włączyła się Rebecca.

Niniejszym więc dowiedziałam się, że most nazywa się Bulkeley.

- To za mało - skwitował Nearing.

- Żeby przesądzić, tak - przyznał Grayson. - Ale żeby naprowadzić na odpowiedni trop? Wystarczy.

- Ja tu nie widzę niczego, co...

- Bo patrzysz nie tym, co trzeba.

Ryan westchnął z irytacją, ale jednocześnie pewną ostrożnością, jakby nie chciał prowokować Joyce'a. Nie mogłam zignorować wrażenia, że między tymi dwoma coś wczoraj zaszło.

Nie pytałam o to Graysona, a może powinnam. W końcu to ode mnie cała sprawa zaczęła.

- Miejsce dbające o pamięć człowieka dwóch ról - dodał Joyce. - Dbające o nią jeszcze za życia.

Wszyscy milczeli, a Grayson zerknął na mnie.

- Tak to szło, Wakefield?
- Mniej więcej.
- A słyszałaś o Morganie G. Bulkeleyu?
- Niespecjalnie.

Joyce wskazał wzrokiem jedno z przęsł nieopodal.

- Ten most został nazwany na jego cześć – rzucił. – Stało się to w roku tysiąc dziewięćset ósmym, a Bulkeley zmarł w dwudziestym drugim.

- Okej – rzucił Ryan. – Ale...
- Wiecie, kim był, nie?
- Burmistrzem Hartford – odparła Rebecca.
- Nie tylko. Oprócz tego był też senatorem.

- Człowiekiem dwóch ról – dopowiedziałam, ryzykując w głowie tezę, że zbieżność nazwiska tego człowieka z nazwą mostu nie jest przypadkowa.

Gdzieś tu musiała być tabliczka, która to potwierdzała, choć na dobrą sprawę nie było to nikomu potrzebne.

- No okej – dodałam. – Zostaje nam więc tylko jeden wers do rozpracowania.
- Jaki? – odezwał się Tyson.

Zerknęłam na Graysona, spodziewając się, że przejmie pałeczkę.

- Miejsce znane tylko z drugiej strony, tam głośnie i gwarne – wyrecytował. – Naprzeciw zaś stanowiące oazę niespodziewanej ciszy.

Wszyscy się rozejrzeliśmy. O tej porze dnia nie było tu wielu ludzi, ale kawałek dalej słychać było bezlik rozmów. Znajdował się tam park, który mijaliśmy przed momentem – i który wyglądał na dość uczęszczany.

- Jeśli chcesz gdzieś posiedzieć na świeżym powietrzu, przychodzisz do któregoś parku nad rzeką – włączyła się Cass. – Ale raczej do Mortensen Riverfront Plaza niż tutaj.

- Plaza powstała stosunkowo niedawno – zauważył Tyson. – A José nagrywał tę piosenkę w osiemdziesiątym siódmym.

- Racja...
- W tamtym czasie też był tu spory ruch – dodał Hays. – Ale po drugiej stronie rzeki...
- Oaza spokoju – dopowiedziała Rebecca.

Wszyscy skierowaliśmy wzrok na przeciwny brzeg Connecticut. Wyglądał na znacznie dziksz niż ten, zdecydowanie zaniedbany, być może nawet porzucony i zapomniany. Widać było podniszczone drzewa i jakieś śmieci, które prąd zgromadził pod jednym z przęsł.

- Dziś za tymi drzewami jest jakaś nowa część UConn Health – odezwał się w końcu Joyce, odpalając papierosa. – Ale przeszło trzydzieści lat temu nic tam nie było. Nikt nie zapuszczał się nawet w okolicę, bo nie miał po co.

Powiodłam wzrokiem po długiej linii brzegu, starając się wyobrazić sobie dwójkę ludzi, którzy znajdują tam nieoczekiwaną ciszę i spokój, pozwalające im cieszyć się swoją bliskością.

Nie miałam wątpliwości, że Pepecalá śpiewał o sobie i swojej żonie. Emocji, które opisał, nie dało się wymyślić.

- Chodzi o któreś z miejsc naprzeciwko – dodał Grayson.

- To dlaczego nie spotkaliśmy się tam? - mruknął Ryan.

- A nie widzisz, jak duży to teren?

Nearing widział to doskonale, podobnie jak cała reszta. Żeby się łudzić, że znajdziemy klucz do drugiej piosenki, musielibyśmy jakoś zawęzić pole poszukiwań. I liczyć na to, że przez te wszystkie lata ten nie przepadł.

- Podzielimy nadbrzeże na trzy odcinki - powiedział Joyce, obrazując to ręką, jakby wycinał kawałki jakiegoś tortu. - Becca i Tyson zajmą się tym naprzeciwko klubu wioślarskiego, ja i Cass sprawdzimy teren w kierunku Founders Bridge, a Aspen i Ryan skupią się na tym po drugiej stronie mostu.

Na moment coś ścisnęło mnie w gardle, jakby ktoś mnie podduszał.

- To chyba nie najlepszy pomysł - odezwał się Nearing.

- Tak będzie najsprawniej.

- Ale...

Ryan urwał, zupełnie jakby Grayson w jakiś sposób wymusił na nim kooperację. W rzeczywistości jednak nawet na niego nie spojrział. Zerknął za to na mnie.

Nie potrafiłam rozszyfrować znaczenia tego wzroku, ale musiałam założyć, że Joyce podzielił nas tak nie bez powodu. I nie zrobiliby tego, gdyby uważał, że cokolwiek mi grozi.

Musiałam mu zaufać.

Nie było to tak trudne, jak się wydawało, jako że formalnie rzecz biorąc, był to mój najstarszy znajomy.

- Jak ktoś coś znajdzie, daje znać reszcie - polecił Grayson.

Wszyscy skinęliśmy lekko głowami i wróciliśmy na parking, po czym wsiadłam do czarnego bmw należącego do Ryana. Nie wiedziałam, czy się w ogóle odzywać, a on nie spieszył się z podjęciem rozmowy.

Wciąż wydawało mi się to najgorszym pomysłem, na jaki mógł wpaść Joyce.

Przejechaliśmy mostem w milczeniu, a potem Nearing postawił wóz na szpitalnym parkingu należącym do UConn Helath. Nie prowadziła z niego żadna ścieżka na nadbrzeże i właściwie wydawało się tak zarośnięte, że z przebicciem się ani chybi będą problemy.

- Spróbujmy tam - odezwałam się, patrząc na miejsce, w którym drzewa były nieco rzadsze.

Ryan nie odpowiedział, ale ruszył we wskazanym kierunku.

Powoli torowaliśmy sobie drogę i w końcu wyszliśmy na żwirowy brzeg, na którym leżały pojedyncze kamienie. Nie widać było puszek po piwie, śmieci ani innych dowodów bytności człowieka.

Ciekawe, że z jednej strony to nadbrzeże zostało tak świetnie zagospodarowane, z drugiej zupełnie porzucone.

- I gdzie ta cisza? - odezwał się w końcu Ryan.

- Hm?

- Miała być oaza spokoju.

Uniosłam głowę na most, słysząc przewalającą się po nim ciężarówkę. Ruch nie był wielki, ale wszystkie dźwięki zdawały się dudnić, jakby coś miało spaść nam na głowy. Cztery pasy

w jedną stronę, nie było się co dziwić.

- W osiemdziesiątym siódmym natężenie ruchu musiało być mniejsze - odparłam. - A jeśli przyjsz tu w nocy, to...

- Dobra, mniejsza z tym.

Zasadniczo nie miałam zamiaru oponować, Ryan zaś westchnął, a potem niedbale się rozejrzył.

- Od czego zaczynamy? - rzucił.

- Zależy.

Spojrzał na mnie tylko kątem oka.

- Co spodziewacie się znaleźć? - spytałam.

Wzruszył obojętnie ramionami, jakby był tutaj tylko z przymusu i tak naprawdę go to niespecjalnie interesowało.

- Na co właściwie liczycie? - dodałam.

- Hę?

- Pepecalá nagrał tę kasetę ponad trzy dekady temu - zauważyłam. - Cokolwiek się tu znajdowało, może dawno nie istnieć.

- Może.

Najwyraźniej mogłam liczyć tylko na tyle, przynajmniej jeśli chodzi o dobrowolne przekazywanie informacji. Nie miałam jednak zamiaru poprzestać na tym, co Ryan chce mi powiedzieć. Planowałam usłyszeć także to, czego nie chce.

- Do czego mają prowadzić te wskazówki? - zapytałam.

- Nie wiem.

- Oczywiście, że wiesz - odparowałam nieco ostrzej. - Jesteś najlepszym przyjacielem Joyce'a, nie?

Nawet gdybym musiała strzelać, nietrudno byłoby trafić. Długoletnią męską przyjaźń łatwo było rozpoznać, choćby dwaj faceci, których łączyła, skakali sobie do gardeł.

Nearing posłał mi krótkie spojrzenie, a potem kucnął przy jednym z kamieni. Uniósł go lekko, jakby istniała szansa, że to pod nim znajduje się to, czego szukamy.

- Znamy się od gówniarza, już ci mówiliśmy - oznajmił.

Podeszłam bliżej.

- Sporo razem przeżyliśmy - dodał niepewnie Ryan, jakby badał, czy może mówić dalej. - I znam go lepiej niż ktokolwiek inny. Może nawet lepiej niż on siebie.

- Okej...

- Dlatego zrobiłem to, co zrobiłem.

Kiedy uniósł na mnie wzrok, na jego czole pojawiły się długie, poprzeczne zmarszczki.

- Nie zrozum mnie źle, to było chujowe - dodał. - Byłem już trochę wstawiony i nie powinienem...

Urwał i pokręcił głową, a ja dopiero teraz uzmysłowiłam sobie, że zmierza naokoło w kierunku przeprosin. To dlatego Joyce wysłał nas tu razem? Najwyraźniej tak. Ale chyba nie założył, że te tłumaczenia Ryana będą tak koślawe i żałosne.

- Nie powinienem był próbować cię zastraszyć - uzupełnił. - Ani tym bardziej popychać.

- Wow. No, to wszystko zmienia.

- Słuchaj...

- Nie, naprawdę. Aż sama poczułam się winna, że cię sprowokowałam.

Podniósł się, a ja zwalczyłam ochotę, żeby rzucić jeszcze kilka sarkastycznych uwag. Pomógł fakt, że mimowolnie się spięłam, kiedy Ryan znalazł się nieco bliżej. I wydawało mi się, że to zauważył.

- Przepraszam - powiedział, rozkładając lekko ręce. - Po prostu...

- No?

- Miałem na uwadze dobro Graya.

- Chyba sobie, kurwa, żartujesz.

Ryan cicho kaszlnął i potarł kark, wyraźnie nie wiedząc, jak poprowadzić tę rozmowę. Nie ulegało wątpliwości, że jest na nieznanym gruncie i nie ma żadnego doświadczenia zarówno w przyznawaniu się do winy, jak i formułowaniu przeprosin.

Jezus Maria, co ja tu w ogóle robiłam?

- Nie wiesz, jakie bywały z nim problemy - powiedział w końcu. - W pewnym momencie zanosilo się na to, że nic nie jest w stanie ich rozwiązać.

- To znaczy?

- Ale potem stał się jakiś cud - dodał szybko Nearing. - Gray związał się z moją siostrą i od tamtej pory jest zupełnie inaczej. Wiem, że ona nie wygląda na...

Szukał chyba odpowiedniego słowa, które jednocześnie byłoby dostatecznie opisowe i nie obrażało Cass. Na próżno.

- Jest inna, niż się wydaje - dopowiedział w końcu. - To dobra osoba. I trzyma demony Graya na uwięzi.

Zmarszczyłam brwi, nie bardzo wiedząc, jak na to zareagować.

- Byłem już porobiony - powtórzył Ryan, dalej trąc kark. - Wiesz, jak to jest, jak ci umysł zajdzie alkoholowo-narkotykową mgłą.

- Chyba nie bardzo.

- Wkręciłem sobie, że chcesz go odbić czy inny chuj - wymamrotał Ryan, krzywiąc się. - I tu nawet nie chodziło o moją siostrę, tylko o niego. Bez Cass znowu posypie się cała jego konstrukcja.

Potrząsnął głową, a potem głośno wypuścił powietrze przez usta.

- Przepraszam - spróbował jeszcze raz. - Naprawdę... To było tak kiepskie, że nie wiem nawet, jak...

Urwał, spodziewając się chyba, że zrobię użytek z tego kajania się i mu dowalę. Zamiast tego jednak milczałam, a Ryan opuścił głowę, wyraźnie zażenowany i wciąż nieodnajdujący się w tej sytuacji.

- To była najgorsza rzecz, jaką...

- Próbowałeś zrobić?

- Jaką zrobiłem - odparł. - To było najgorsze, co...

- Postawmy sprawę jasno - ucięłam. - Gdybyś posunął się dalej, musiałabym przemodelować ci twarz.

Podniósł oczy, a ja zobaczyłam w nich tyle wdzięczności, jakbym właśnie zaoferowała mu drugie życie. Nie zrobiłam tego. Jedynie, co mu dałam, to hipotetyczna druga szansa. Nie na żadną przyjaźń, nawet nie na koleżeństwo. Na potraktowanie go jak zwykłego człowieka.

- No tak... - rzucił. - Teraz już chyba wiem, co Gray w tobie widzi.

O kurwa, musiałam natychmiast obrócić głowę w kierunku mostu, by Ryan nie zobaczył, jak zapłonęły mi policzki. To było zbyt bezpośrednie i zbyt niespodziewane uderzenie, bym mogła jakkolwiek temu zaradzić.

- Nie sądzę, żeby tak było - odparłam.

- Jasne.

- Poza tym...

- Nie słyszałaś, co mówił przez ostatnie dwa tygodnie.

Obróciłam się do niego z nadzieją, że poczucie gorąca na twarzy nie wywołuje już żadnych wizualnych oznak.

- Ano nie słyszałam. W ogóle mało przez ten czas rejestrowałam.

Pokiwałam głową, a z jego uśmiechu zniknęła niemal cała wesołość.

- Był tobą zafascynowany - oznajmił Ryan. - Nadal jest.

- Daj spokój.

- Przez cały ten czas starał się dowiedzieć, kim jesteś, prowadził z tobą jakieś rozmowy...

Od początku mówiłem mu, że stary, to chore, ale dalej tam chodził.

- Bo szukał kasy.

Nearing nerwowo się zaśmiał.

- Siedząc przy twoim łóżku? - rzucił.

Znów musiałam obrócić się w kierunku mostu, a moja wyobraźnia zarysowała przede mną wizję Joyce'a w szpitalnej sali, patrzącego na mnie i nadającego w najlepsze.

- Cóż... - mruknęłam. - Najwyraźniej robi się rozmowny tylko przy ludziach w śpiączce.

Przez twarz Ryana znów przemknęło rozbawienie.

- Fakt, nie jest jakiś ultrawygadany - przyznał.

- Plus czy on się w ogóle kiedykolwiek uśmiecha?

- Raczej nie.

- Zawsze sprawia wrażenie, jakby miał już to zrobić, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

Nearing na moment się zamyslił.

- Coś w tym jest - odparł, a potem uniósł głowę i cicho westchnął. - Tak czy inaczej uważaj.

Też zerknęłam w kierunku nieba, zupełnie jakby jakiś ptak właśnie nade mną przelatywał i zamierzał zrzucić ładunek.

Trudno mi było powiedzieć, czy właśnie usłyszałam nieco uprzejmiejszą formę groźby, czy może koleżeńską poradę.

- Na co? - spytałam.

- Na Graya - odparł Ryan. - Zbliżanie się do niego jest jak igranie z ogniem. I znam tylko jedną osobę, która potrafiła sobie z tym poradzić.

Przez krótką chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

- Nie ma żadnego znaczenia, że Cass to moja siostra - podkreślił. - Powiedziałbym ci dokładnie to samo w każdym innym wypadku.

- Rozumiem.

Ryan ruszył w kierunku filaru mostu tuż przy nadbrzeżu, ale obejrzał się jeszcze przez ramię i posłał mi spojrzenie mówiące, że powątpiewa, bym naprawdę rozumiała. I może się nie mylił. Nie wiedziałam, o czym konkretnie mowa ani czy Nearing aby nie przesadzał.

Na dobrą sprawę nie mogłam być pewna, czy to nie zwykła próba odciągnięcia mnie od Joyce'a, by Cassidy nie miała z tego powodu żadnych kłopotów.

Jeszcze parę minut temu uznałabym to za całkowity absurd. Nawet nie cyrk, ale Koloseum.

Teraz jednak w głowie rozbrzmiewały mi słowa Ryana o tym, jak wiele czasu Grayson spędził przy moim łóżku. I rozmawiał o mnie z przyjacielem? Być może z pozostałymi członkami tej paczki? To wydawało się cokolwiek nierealne.

Staralam się o tym nie myśleć, sprawdzając kolejne kamienie. Po chwili udało mi się na powrót skupić na tym, by odnaleźć jakiś trop pozostawiony przez Pepecalá trzydzieści sześć, prawie trzydzieści siedem lat temu.

- Naprawdę nas pogięło - odezwałam się, kiedy docieraliśmy już do filaru mostu.

Po drugiej stronie zapewne w podobnym miejscu znajdowali się Grayson i Cass, idący tutaj od Founders Bridge.

- W jakim sensie? - odparł Ryan.

- Naprawdę zakładamy, że coś znajdziemy?

- Oby - stwierdził ciężko Nearing. - Inaczej Pepecalá dalej będzie zdany na siebie.

Zatrzymałam się przy wsporniku mostu i powiodłam wzrokiem po całym naręczu gałęzi, które zablokowały się tutaj na tyle dawno temu, by stworzyć coś w rodzaju tratwy. Wśród nich pływało mnóstwo śmieci - toreb foliowych, plastikowych opakowań i innych rzeczy, które nigdy nie powinny się tu znaleźć.

Potem whiłam wzrok w Ryana. Czekałam.

- Co jest? - mruknął.

- Oboje wiemy, że nie o to w tym chodzi.

Przyjął wyraz twarzy tak zdezorientowany, jakby właśnie usłyszał najbardziej niestworzoną brednię na świecie. Wypadło to zbyt teatralnie, żebym to łyknęła.

- Popychacie mi bzdury - oznajmiłam.

- O czym ty mówisz?

- O tym, że na kasecie faktycznie zakodowane są jakieś miejsca, ale nie mają nic wspólnego z tym, gdzie ukrywa się Pepecalá.

- Oczywiście, że mają, przecież...

- To oczywista ściema - ucięłam tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Po co José miałby ukrywać swoje ulubione miejscówki w tekstach piosenek? Czemu nie śpiewać o nich wprost?

Ryan otworzył usta, ale nie zamierzałam pozwolić mu się odezwać. Jeszcze nie.

- Poza tym skąd w ogóle myśl, że Pepecalá miałby ukrywać się w którymś z nich? - dodałam. - To grubymi nićmi szyte. I nie sądzę, żeby ktoś taki jak Grayson tak po prostu...

Nagle urwałam ze wzrokiem zawieszonym na najbliższym filarze.

- Nie wierzę... - rzuciłam.

- Zdaję sobie sprawę, że to brzmi dosyć niecodziennie, ale...

- Nie o to chodzi - ucięłam, wskazując Ryanowi to, co wywołało moją reakcję. - Patrz.

Od razu znalazł się przy mnie, a potem spojrzął na pierwszy z filarów, na których trzymał się cały most. Tuż pod łukowatym sklepieniem dało się dostrzec czarny symbol - nieco przybrudzony, ale wciąż dostatecznie wyraźny.

- Niech cię chuj... - mruknął Ryan.

- Bez przesady.

- Nie mam na myśli ciebie konkretnie - odparł i zamrugał nerwowo. - To ten sam znak co na kasecie.

Pozioma linia, a nad nią puste koło.

Nie można było pomylić go z czymkolwiek innym.

Nearing wyciągnął telefon, wymierzył obiektywem w odpowiednie miejsce, a potem przyzoomował tak bardzo, jak się dało.

- Tam jest coś pod spodem - oznajmił.

Nachyliłam się do niego i spjrzałam na wyświetlacz. Miał rację, pod symbolem znajdował się jakiś napis, ale z tej odległości tylko się rozmywał i nie było jak go odczytać.

- To ma sens - dodał Ryan. - Jeśli Pepecalá chciał tu ukryć jakieś instrukcje do odczytania kolejnego kawałka, to musiał umieścić je w miejscu niedostępnym dla większości.

- No tak - potwierdziłam mechanicznie.

- Może wynajął jakiś kajak czy łódkę, a potem...

- Sprawdźmy to - ucięłam, odbierając mu komórkę.

Nearing zdecydowanie skinął głową, jak żołnierz, który właśnie otrzymał rozkaz od dowódcy. Kiedy jednak obrócił się w kierunku przystani po drugiej stronie rzeki, zrozumiał, że bynajmniej nie miałam na myśli wypożyczenia czegokolwiek.

- Pomóż mi tam wejść - rzuciłam, ruszając w kierunku syfu gromadzącego się tygodniami lub miesiącami przy wsporniku.

- Na te gałęzie? Zwariowałaś?

- Kawałek uda mi się przejść.

- Nie sądzę.

- Przynajmniej na tyle, żeby zrobić zdjęcie z mniejszej odległości.

- Aspen, czekaj...

Mógł próbować do woli, ale chyba sam nie wróżył sobie powodzenia. Kiedy znalazłam się przy gałęziach i zaczęłam na nie wchodzić, nie miał już wyboru. Musiał podać mi rękę i zapewnić choćby liche podparcie.

Chwyciłam jego przedramię z pewnym wahaniem, wciąż mając w pamięci to, co wydarzyło się wczoraj.

Chyba to zauważył, bo lekko się skrzywił, a ręka mu się zachwiała.

- Trzymaj sztywno - upomniałam go.

- Skoro nalegasz...
 - I dojdź jak najdalej.
- Zerknęłam na niego, kiedy przesuwał się na skraj nadbrzeża.
- Specjalnie używasz takich dwuznacznych określeń? – mruknął.
 - Nie wiem.
 - To mnie trochę dekoncentruje.
 - To skup się na tym, żeby to zrobić dobrze.
 - Staram się.

Kiedy przeszłam jeszcze kawałek, praktycznie przykleił się do mostu i wyciągnął rękę najdalej, jak potrafił. Trzymałam się jej kurczowo, choć gdyby te gałęzie się pode mną załamały, chyba na niewiele by się to zdało.

Dotarłam na sam koniec tej prowizorycznej tratwy i uniósłszy telefon, mogłam już dostrzec napis, który znajdował się pod symbolem. Nie musiałam nawet robić mu zdjęcia.

- Wiem, o co chodzi! – rzuciłam.

Zrobiłam to chyba zbyt energicznie, bo poczułam, jak moja noga nagle wpada w szczelinę. Zanim się zorientowałam, była już w wodzie, a ja traciłam punkt podparcia.

- Ryan!

Natychmiast pociągnął mnie do siebie i zrobił to tak mocno, że sam nie potrafił utrzymać równowagi. Udało mu się wprawdzie wyciągnąć mnie na brzeg, ale efekt był taki, że wpadłam prosto na niego. Nie było szans, żebyśmy nie wyrznęli na ziemię.

I ot tak, nagle leżałam na Ryanie Nearingu. Patrzyłam mu w oczy z odległości centymetra i żadne z nas nie spieszyło się, by się podnieść.

Nawet nie słyszałam dźwięku zbliżających się od ulicy ludzi. Na moment moje serce się zatrzymało, a umysł kompletnie zgłupiał. Z tego, co mogłam spostrzec w oczach Ryana, był podobnie znokautowany.

– Mieliście szukać wskazówek, nie siebie nawzajem – rozległ się głos Graysona.

Natychmiast się zerwałam, ale ręce rozjechały mi się na żwirowym podłożu i zamiast w górę, moje ciało skierowało się w przeciwną stronę. Ryan podtrzymał mnie w porę, bym nie uderzyła nosem w jego twarz.

Czym prędzej oboje się podnieśliśmy, a ja nerwowo zaczęłam otrząpywać ubranie.

Joyce i Ryan wymienili krótkie spojrzenia.

– Wszystko okej? – rzucił Grayson.

W pierwszej chwili nie miałam pojęcia, kogo o to pyta i dlaczego. Dopiero potem uświadomiłam sobie, że słowa kierował do mnie.

– Tak – zapewniłam szybko.

Ryan potarł włosy i przekrzywił kark na jeden i drugi bok.

– Zakładam, że nie takie „trzymaj się od niej z daleka” miałeś na myśli – mruknął.

– W sumie chodziło mi o każde – odparł Joyce.

Nearing pokiwał głową, a ja nagle stałam się jeszcze bardziej otumaniona. Grayson kazał swojemu najlepszemu przyjacielowi trzymać się ode mnie z daleka? Owszem, miał się z nim rozmówić, ale nie spodziewałam się, że ta rozmowa przebiegała w ten sposób.

– Daj im życie, Gray – odezwała się Cass.

– Nic nie mówię.

– Tylko przerwałeś w ewidentnie kluczowym momencie.

Miałam ochotę od razu sprostować, ale musiałam zmierzyć się ze świadomością tego, że Cassidy ma trochę racji. Gdyby tych dwoje się tu nie pojawiło, to nie zanosilo się na to, bym szybko się podniosła.

O co tu chodziło? Jeszcze niedawno miałam zamiar trzymać się od tego agresywnego typu jak najdalej. A teraz byłam gotowa leżeć z nim na nadbrzeżu, bo przeprosił i usprawiedliwił się byciem nawalonym?

Gdzie ja się, kurwa, uczyłam relacji międzyludzkich? Na Wattlepadzie?

– Znaleźliśmy coś – odezwała się, chcąc jak najszybciej zakończyć swoje rozmyślenia.

– Co? – rzucił Joyce, a ja dopiero teraz uświadomiłam sobie, że trzyma w dłoni stary polaroidowy aparat.

Wskazałam filar mostu nieopodal brzegu, a potem Ryan pokazał im zdjęcie przedstawiające symbol z kasety.

– Wiesz, co to oznacza? – zapytałam.

- Pewnie. Logo Pepecali.

- A oprócz tego?

- To jakiś znak rdzennej ludności Ameryki. O ile dobrze pamiętam, chodzi w nim o energię ciszy.

- Energię ciszy?

- Tę, którą czerpiesz ze spokoju ducha i tak dalej.

To „i tak dalej” bagatelizowało nieco sprawę, ale jeśli dobrze rozumiałam, to nie były żadne trywializmy. I pewnie Pepecalá miał to na względzie, wybierając akurat ten znak na okładkę swojej EP-ki.

- Co tam jest napisane? – odezwała się Cass, pochylając się nad komórką. – Pod tą linią?

- Właśnie to staraliśmy się ustalić, kiedy przyszlście – odparł Ryan.

Cassidy zerknęła na niego z niedowierzaniem.

- Czytając ze swoich oczu?

- Nie, straciliśmy równowagę i...

- Dobra, dobra – ucięła. – Wiecie, co tam jest? Czy nie?

Ryan skupił uwagę na mnie, Cass i Joyce zrobili to samo.

- Moment przed tym, jak praktycznie wyciągnąłem ją z wody, Aspen przeczytała napis.

- Bez przesady – odparłam. – Do wpadnięcia jeszcze trochę mi brakowało.

- Twój but twierdzi co innego.

Podniosłam lekko prawą stopę, a kiedy postawiłam ją z powrotem na ziemi, rozległ się dźwięk świadczący o tym, że but faktycznie wypełnił się wodą.

- Upper Albany – powiedziałam.

- Hm? – rzuciła pod nos Cass. – Nie, jesteśmy teraz w East Hartford.

- Mam na myśli napis na moście.

- Tak brzmi? – ożywił się Joyce. – Upper Albany?

- No.

Oczy Graysona zwięzły się w spodziewany, typowy dla niego enigmatyczny sposób.

- To jakaś dzielnica? – zapytałam.

- Tak – potwierdził. – Od południa przylega do niej Asylum Hill, od wschodu Clay Arsenal.

- Hm...

Przez chwilę nikt się nie odzywał, a ja wykorzystałam ją do krótkiego namysłu. Właściwie może miało to sens? Wziąwszy pod uwagę słowa kolejnego kawałka, być może powinienam...

- I to ma coś znaczyć? – rzucił Ryan, rozkładając ręce. – Pepecalá wykorzystał cały jeden numer, żeby naprowadzić nas na to konkretne miejsce tylko po to, żeby umieścić w nim napis „Upper Albany”?

- Najwyraźniej – odparł Joyce, nie odrywając ode mnie oczu.

Czekał. A ja wiedziałam, że muszę podzielić się z nim tym, na co wpadłam.

- To bardziej pomocne, niż sądzicie – powiedziałam.

- W sensie? – spytała Cass.

- W drugim kawałku José śpiewa o kłótni między dwójką kochanków, wydaje się on muzycznym przeciwieństwem tej otwierającej album, lirycznym zresztą też. Mowa jest o tym, że na siebie krzyczą, popychają się, obrażają i tak dalej. Cisza oczywiście jest obecna, jak w każdym z numerów, ale tutaj pojawia się dopiero pod koniec.

Zmrużyłam oczy i starałam się przypomnieć sobie, jak finał tej scysji określił Pepecalá.

- Przez całą piosenkę nie przewija się żadne miejsce - oznajmiłam. - Jest o nim mowa dopiero w ostatnich wersach, kiedy się godzą.

- To znaczy? - rzuciła Cassidy, wyraźnie zniecierpliwiona.

- On zostaje u nich w domu, ona idzie w górę ulicy i trafia do miejsca, gdzie wszystkiego się nauczyła. Jest opuszczone, porzucone, od dziesięciu lat nie ma opiekuna. Dziewczyna idzie na samą górę, na poddasze. Siada pod jednym z okien i myśli o tym, co się wydarzyło. Nosi rany w kształcie jego słów.

Ten ostatni wers zapamiętałam na tyle dobrze, by nie mieć wątpliwości, że coś przeinaczę. Właściwie nie tyle zapamiętałam, ile odczułam - jako niezwykle trafne, choć nie miałam w pamięci niczego, dzięki czemu mogłabym się z tym identyfikować.

Może jednak nie musiałam mieć.

- Wydawało mi się to zbyt ogólne i zbyt niejasne - podjęłam. - Nie było przecież sensu przeszukiwać całego miasta w poszukiwaniu budynków, które w osiemdziesiątym siódmym byłyby od dziesięciu lat opuszczone. Ale w drugiej zwrotce był motyw powtarzający się także w innych kawałkach.

- Jaki? - spytał Grayson.

Otrzeptałam ostatnie drobiny piasku ze spodni i spojrzałam na niego.

- Jak mówiłam, cała ta EP-ka to opowieść o tej parze - podjęłam. - Idą z miejsca na miejsce, z jednego etapu życia w drugi. I dziewczyna dociera do tego opuszczonego budynku, idąc po śladach z „miejsca nieoczekiwanej ciszy”.

- Więc założyłaś, że jest w nim jakaś wskazówka.

- I była - odparłam, wskazując wzrokiem filar. - Pytanie, czy ona nam do czegokolwiek wystarczy.

- I czy budynek opuszczony w siedemdziesiątym ósmym będzie jeszcze stał - zauważył Ryan.

Zgodziłam się cichym mruknięciem, bo właściwie od tego powinniśmy zacząć.

- O ile w ogóle uda nam się go znaleźć - zauważyła Cass. - Jeśli źle odczytujemy te wskazówki albo ich kolejność, będziemy mieć problem. Samo miasto ma pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych, a cała przestrzeń metropolitalna prawie tysiąc czterysta.

Stała z komórką w ręce, co byłoby dla mnie oczywiste, nawet gdybym na nią nie zerknęła. Miała rację - jeśli się pomyliliśmy, to teren do sprawdzenia byłby niepoważnie duży. Nigdy nie udałoby nam się namierzyć właściwego budynku. Ale przecież właśnie o to chodziło Pepecali.

Nie mógł jednak przewidzieć, że ktoś będzie szedł zostawionymi przez niego wskazówkami ponad trzy dekady później. A nawet gdyby to zrobił, nie mógłby przecież wiedzieć, który budynek zostanie rozebrany, a który nie.

Dziesięć minut później spotkaliśmy się na parkingu przy UConn Health z Rebeccą i Tysonem. Niczego nie znaleźli, co tylko potwierdzało, że nasze odkrycie nie było przypadkowe.

Wyjaśniliśmy im sytuację, po czym wszyscy wyciągnęli telefony. A raczej prawie wszyscy. Mojemu burnerowi było tak blisko do smartfona, jak Gerardowi Piqué do słusznych decyzji związkowych.

Stałam obok Joyce'a i spoglądałam mu przez ramię na ekran komórki. Nie wyglądało na to, by znalazł coś konkretnego. W jednym z najuboższych miast Ameryki był smutny nadmiar opuszczonych budynków.

Podczas gdy Grayson przewijał wyniki w beznadziejnej próbie odnalezienia czegoś sensownego, mój burner się odezwał, zupełnie jakby chciał skarcić mnie za niezbyt pochlebne porównania.

Wyciągnęłam go od razu z kieszeni, świadoma, że tylko jedna osoba ma ten numer.

- Tak? - spytałam.

- Czy ty możesz mi powiedzieć, gdzie teraz jesteś?

Głos Prodziekana był alarmujący, a ja od razu się spięłam.

- Niedaleko mostu Bulkeley.

- Gdzie dokładnie?

- Na parkingu szpitala w East Hartford, ale...

- Przyjadę tam za moment.

Zmarszczyłam czoło, odsuwając się od grupy.

- Ale o co chodzi? - dokończyłam.

- Musimy porozmawiać.

- Właśnie rozmawiamy, dziadku.

- Nie w ten sposób - odparł nerwowo Prodziekan. - Musimy się jak najszybciej zobaczyć.

- Bo?

- Wszystko ci przekażę, kiedy się ujrzymy.

Musiałam przyznać, że jego dobór słów w jakiś sposób działał na mnie kojąco. Nie miałam jednak zamiaru pozwalać na to, by uraczył nim Graysona i resztę.

- Naprawdę nie możesz przez telefon?

- Naprawdę - odparł. - Czy za piętnaście minut...

- Mam transport - zapewniłam, patrząc ukradkiem na Joyce'a. - Podjadę do domu.

- Jestem na uczelni.

- W takim razie na uczelnię - skorygowałam.

- Naprawdę nie ma potrzeby, abyś...

- Dam znać, jak dotrę - zapewniłam.

Chciałam się rozłączyć, nie dając mu szansy na odpowiedź, ale z jakiegoś powodu nie mogłam się na to zdobyć. Poczekalam na potwierdzenie i dopiero potem wcisnęłam czerwoną słuchawkę.

Kiedy wróciłam do reszty, po minach widziałam, że nikomu nie udało się dojść do niczego sensownego.

- Muszę lecieć - oznajmiłam, a potem spojrzałam na Graysona. - Podrzucisz mnie?

- Jasne, tylko...

- A dokąd chcesz się dostać? - włączyła się Rebecca.

- Na kampus college'u.

- Jadę do centrum - oznajmiła. - Mogę cię zabrać.

Na pierwszy rzut oka była to zupełnie niezobowiązująca sugestia, jednak po chwilowym przyjrzeniu się Rebecce Boone uznałam, że to tylko iluzja.

- Nie ma problemu, Becca, podwiozę ją - zapewnił Joyce.

- Tyle że ja i tak tam jadę. A Cass może wrócić z tobą.

Dziewczyna spojrzała na mnie w sposób mówiący, bym dała się złapać na ten haczyk. Przez moment się wahałam, bo spędzenie kwadransa w towarzystwie Joyce'a i Blue Öyster Cult wydawało mi się dość dobrym sposobem podróżowania.

Rebecca jednak wwiercała we mnie mocno sugestywne spojrzenie.

- To jak? - rzuciła.

- Jasne - odparłam, siląc się na nonszalancję. - Dzięki.

Wsiadłyśmy do nowego, kremowego chevroleta malibu - samochodu sugerującego, że rodzina Rebekki ma trochę kasy, ale nie na tyle, żeby kupować dziecku auto z półki, z której pochodziły samochody jej nadzianych znajomych. A może po prostu nie chcieli, by córka ściągała nim na siebie uwagę.

O ile w ogóle mogłam wyciągać wnioski na temat ludzi na podstawie czterokołowych pojazdów lądowych, którymi się poruszali.

Kiedy wsiadłyśmy do środka, z głośników popłynęły dźwięki ostatnio odtwarzanej playlisty na Spotify. Zerknąwszy na wyświetlacz, zidentyfikowałam najnowszy singiel Kasabian. Wcale nie najgorzej. Punkt dla tej pani.

- To gdzie musisz się dostać? - spytała.

- Do Trinity College - odparłam. - Wiesz, gdzie to jest?

- Pewnie. Uczę się tam.

Odpowiedziałam milczeniem, bo nie bardzo wiedziałam, jak należało skomentować „Gratulacje”? „Współczuję”? Właściwie każda z tych możliwości wydawała się równie trafna.

- Zresztą wszyscy tam chodzimy - dodała.

- Wszyscy? Grayson też?

- A to coś dziwnego?

Właściwie nie, chociaż takie miejsca kojarzyły mi się raczej z dziećmiakami pochodzącymi z bogatszych domów. Być może zupełnie niesłusznie, wzięwszy pod uwagę, że przecież ja też zdecydowałam się tam pójść.

Zanim Becca włączyła silnik, posłała mi nieco zakłopotane spojrzenie, a potem wycofała z parkingu i ruszyła w kierunku mostu. Najwyraźniej żadna z nas jeszcze nie przesądziła, która jako pierwsza podejmie wiszący nad nami temat.

W końcu to ja postanowiłam wyjść z inicjatywą.

- Więc o co chodzi? - spytałam.

- W sensie?

- Dlaczego chciałaś mnie odwiedzić?

W przeciwieństwie do Joyce'a Becca trzymała kierownicę przepisowo, wręcz modelowo. Lewa ręka na godzinie dziewiątej, prawa na trzeciej. Miała nawet niezaciśnięte kciuki, być może świadoma tego, że w razie uruchomienia poduszki powietrznej mogłyby się uszkodzić.

Czyżbym miała prawo jazdy?

Właściwie się nad tym do tej pory nie głowiłam, ale moja wiedza była dość szczegółowa i cokolwiek by mówić, dość sucha. Może niedawno dostałam uprawnienia? Z biegiem czasu z pewnością te informacje albo by się nieco przykurzyły, albo zmodyfikowałabym je wedle własnego uznania. Fizycznego dokumentu wprawdzie nie znalazłam, ale mógł być gdzieś głęboko schowany - pamiętałam, że w Arizonie powszechna jest apka MobileID, w której znajduje się między innymi prawo jazdy.

Kojarzyłam też, że można tam zacząć jeździć w wieku piętnastu lat i sześciu miesięcy. Chyba nie miałabym tej wiedzy, gdybym z niej nie skorzystała w praktyce.

- Stwierdziłam, że dobrze by było, gdybyśmy pogadały - odezwała się Rebecca, wyrwywając mnie z zamyślenia.

- O czym?

Becca krótko na mnie spojrzała, po czym wbiła wzrok przed siebie. Mknęłyśmy środkowym pasem z przepisową prędkością, nie było żadnych zagrożeń ani zdarzeń, które wymagałyby pełnej uwagi kierującej. Mimo to Rebecca wyglądała, jakby potrzebowała wyjątkowej koncentracji.

Zrozumiałam, że próbuje znaleźć właściwe słowa. Ale na jaki temat? Mnie? Tego wszystkiego, co działo się z Pepecalą? Może choć jedna osoba postanowi wyjawić mi prawdę?

A może chce mi powiedzieć o dziewczynie, której wśród nich nie było? O tej, którą przez tę sprawę coś spotkało?

- No? - ponagliłam ją. - O co chodzi?

- O to, że powinnaś trzymać się od nich z daleka - oznajmiła Becca.

- Od nich?

Skinęła głową z jakimiś dziwnymi oporami, a ja uznałam, że najwyraźniej muszę pociągnąć ją za język.

- To znaczy od donutów z polewą czekoladową? - spytałam.

Naraz się uśmiechnęła, a ja uznałam, że przebiłam się przez pokłady jej rezerwy.

- Nie - odparła. - Tego nikomu bym nie życzyła.

- Okej.

- I wiesz dobrze, o kogo mi chodzi.

- Właściwie to tylko się domyślałam - powiedziałam. - Ale jeśli o jakichś facetów, to w tej chwili znam trzech. Graysona, Ryana i Tysona.

Rebecca ciszyła nieco muzykę, ale nie zaferowała żadnej odpowiedzi.

- Zakładam, że ty i Tyson jesteście parą - dodałam. - A z Ryanem też łączy cię jakaś...

- Bez przesady - ucięła Becca. - To nie jest klub wzajemnego pieprzenia się.

- Więc nigdy...

- Nigdy nie byłam związana z żadnym z nich - ucieła. - A oprócz tego Tyson jest zupełnie niegroźny.

- Czyli dwaj pozostali nie są?

Znów się zawahała, jakby nie chciała oczerniać przyjaciół przed osobą, którą poznała praktycznie przed momentem.

- Po prostu... - zaczęła.

- No?

- Po prostu trzymaj się od nich z daleka.

Poluzowałam nieco pas i obróciłam się w jej kierunku.

- Żeby wziąć to pod uwagę, muszę usłyszeć dużo, dużo więcej - oznajmiłam. - Więc gadaj.

- To długa historia, ale...

- Możesz mi ją streścić.

Becca głośno westchnęła, a ja odniosłam wrażenie, że w końcu podjęła decyzję. A raczej skończyła ją podejmować, ten proces musiał bowiem rozpocząć się w momencie, kiedy zjawiała się na parkingu.

- Jak odeszłaś, Cass powiedziała mi, co się stało - oznajmiła. - Znaczą między tobą i Ryanem.

- Nic się nie stało.

- Ona twierdzi co innego.

- Potknęliśmy się - odparłam stanowczo. - A potem wyrznięliśmy na ziemię. Trudno to nazwać jakimś wielkim wydarzeniem.

Popatrzyła na mnie tylko kątem oka, ale tyle wystarczyło.

- Ryan jest świetnym przyjacielem - powiedziała, zmieniając ton głosu na nieco poważniejszy. - Trudno mi sobie wyobrazić lepszego.

- Mhm...

- Ale ma swoje problemy.

- Jakie?

- Takie, jakich doświadczyłaś u Graya w mieszkaniu.

Zmrużyłam lekko oczy, patrząc na Rebeccę.

- Zdarza mu się popchnąć jakąś kobietę? - rzuciłam.

Brak odpowiedzi był tak wymowny, że właściwie nie musiałam jej słyszeć.

- Zdarza mu się być agresywnym - powiedziała mimo to Becca. - I to właśnie wobec kobiet, z którymi się wiąże.

Przekląłam się w duchu za to, że tak błyskawicznie zapomniałam o całym zajściu tylko dlatego, że Ryan przeprosił i wydawał się realnie zawstydzony swoim postępowaniem. Niech mnie chuj.

Nie, nie. Niech go chuj. Owszem, trochę zawiniła moja psychika, ale głównym winowajcą był on. On, jego wysokie kości policzkowe, dość wytyrany tors tudzież przeszywający wzrok i...

Ucięłam ten tok myśli, zdając sobie sprawę z tego, jak absurdalny się stał. Byłam gotowa wybaczyć jakiemuś idiocie wyłącznie dlatego, że był przystojny jak jasna cholera. Ale może tak to działało nie tylko w moim wypadku? Może tacy ludzie właśnie dlatego pozwalali sobie na więcej?

- Nieraz dochodziło do sytuacji granicznych... - dodała Rebecca.

- To znaczy?

- Mniejsza ze szczegółami. Ale bywał agresywny. I kilka razy musieliśmy interweniować.

Brzmiało to coraz gorzej.

- Nie wiem, co jest z nim nie tak - dodała Becca. - Ale na pewno ma to podłoże w domu.

- W domu?

- Starzy Nearingowie to zjeby - oznajmiła wprost Rebecca, a ja doceniłam to cichym prychnięciem. - Ojciec Cass i Ryana podobno tłukł ich matkę, w dodatku prowadzał się na mieście z jakimiś dziewczynami w naszym wieku. Albo nawet młodszymi. W tym domu bywało naprawdę dziwnie i w sumie to cud, że tych dwoje jakoś się uchowało.

- Ryan najwyraźniej nie do końca.

- Nie do końca - potwierdziła smętnie Becca. - Pracuje nad tym, ale... sama nie wiem. To go w żaden sposób nie usprawiedliwia, prawda?

- Prawda - przyznałam.

Przez moment jechałyśmy w milczeniu, a ja powiodłam wzrokiem po przemysłowej zabudowie, którą właśnie mijałyśmy. Nawigacja nie była włączona, ale znalazłyśmy się już w centrum, więc spodziewałam się, że dotrzemy do Trinity szybciej, niż zakładałam.

- A Grayson? - spytałam. - Użyłaś liczby mnogiej, więc...

- On ma jeszcze więcej demonów.

Chrząknęłam niepewnie.

- Chyba dlatego od małego tak dobrze się rozumieją - dodała Rebecca.

- Więc on... co? Też bywa agresywny?

- Wobec kobiet? Nie, nigdy.

Patrzyłam na nią dostatecznie długo, by zrozumiała, że nie mam zamiaru odpuścić, dopóki nie usłyszę konkretów.

- To o co chodzi? - spytałam.

- O utrapioną duszę.

- Hę?

- Tak najlepiej bym to określiła - odparła Becca.

- A co ty jesteś, jakaś aspirująca poetka?

Pokręciła głową z uśmiechem.

- Nie zrozum mnie źle - podjęła. - Ale zanim zszedł się z Cass, to był zupełnie inny człowiek.

- Już to gdzieś słyszałam.

- Nic zresztą nie zapowiadało tego, że się zmieni. W sumie to nawet nic nie wskazywało, że zjedzie się z Cassidy, bo przez większość czasu, kiedy ich znałam, skakali sobie do gardeł. Dwa

przeciwieństwa. On był... no cóż, raczej uosobieniem alternatywności, ona mainstreamu. Jeśli to ma jakiś sens?

- Ma.

Rebecca wcisnęła mocniej pedał gazu, chcąc zdażyć na zielone światło, podczas gdy ja w duchu poprosiłam ją o to, by się nie spieszyła.

- Są razem od dziesięciu miesięcy - dodała. - To niby niewiele, ale gdybyś mogła zobaczyć tamtego Graya i porównać go z tym obecnym... uznałabyś, że to szmat czasu. Jakby całe życie.

Na moment zamilkłyśmy.

- Nie spodobałaby ci się tamta wersja Joyce'a - zapewniła Becca.

- Dlaczego?

- Bo była zupełnie inna od tej, którą poznałaś.

Zamierałam wyciągnąć z niej dużo więcej, ale kiedy obróciła się w moją stronę, wiedziałam już, że moje starania spełzną na niczym.

- Jeśli będzie chciał, sam ci kiedyś o tym powie - dodała.

Była to dość uniwersalna sugestia, że nie zamierza odkrywać przede mną kart, którymi powinien dysponować tylko Grayson. Potrafiłam to uszanować, może zresztą niepotrzebnie naciskałam.

- Rozumiem - odparłam.

Parę minut później podwoziła mnie pod Hamlin Hall, gdzie wedle przysłanego mi chwilę wcześniej esemesa miał na mnie czekać Prodziekan. Wypatrzyłam go już z oddali - w brązowej marynarce, swetrze w serek i pod krawatem, z rękoma założonymi za plecami. Naprawdę trudno było pomylić go z kimkolwiek innym.

Kiedy wychodziłam z auta, minę miał nietęgą, zupełnie jakby zamierzał mnie za coś zrugać. Pożegnałam Bekkę, a potem podeszłam do dziadka, który wciąż nie odezwał się słowem.

O cokolwiek chodziło, nie były to przelewki. Ale czym mogłam zawinąć? Moja pamięć sięgała jedynie do kilku dni wstecz i nie przypominałam sobie, bym w tym krótkim czasie zdażyła aż tak podpaść człowiekowi, który miał o mnie dbać.

No nic, uznałam w duchu, lepiej mieć to jak najszybciej za sobą.

- Czy wszystko w porządku? - odezwał się Prodziekan.

Zatrzymałam się przed nim i uniosłam brwi.

- To chyba ja powinnam o to spytać.

- Słucham?

- Wyglądasz, jakbyś miał zamiar otworzyć mi którąś z tętnic.

Dziadek potrząsnął głową, a potem przegładził dłońmi sweter.

- Wybacz - odparł szybko. - Zamyśliłem się.

- I zawsze się tak zamyślasz z morderczym wzrokiem?

Machnął ręką, jakbym opowiadała jakieś niestworzone historie, a potem obrócił się w kierunku Hamlin Hall. Nie wiedziałam, co się tutaj mieści, ale z zewnątrz gotycki budynek przywodził na myśl te wszystkie wytwory rodem z nurtu dark academia. Aż chciało się wejść do środka.

- To stołówka – oznajmił dziadek, widząc moje zainteresowanie.

- Uhm. Liczyłam na coś więcej.

- Wierz mi – odparł – nie tylko ty.

Czy to był żart? Czyżby Prodziekan umiał je formułować?

- Ale mniejsza z jedzeniem – dodał szybko. – Musimy porozmawiać.

- Właśnie to robimy.

Dziadek cmoknął z dezaprobatą, jakby powoli kończył mu się zapas sił, który przewidział na radzenie sobie ze mną.

- Popytałem trochę w sprawie twojego José Alcali – oznajmił.

- O, serio?

- Tak.

- Wśród twoich ziomali z osiedla?

- Słucham?

Nie umknął mu sarkastyczny ton, ale chyba nie wiedział do końca, skąd się bierze. Szybko się wycofałam.

- Czy ty sugerujesz, że nie mam odpowiednich koneksji? – spytał.

- Nie. Wcale nie.

- To dobrze.

Tym razem ironia mu umknęła, a ja uznałam, że to i lepiej.

- Na przestrzeni lat przewinęło się przez te mury tylu ludzi, że zapewniam cię, iż kiedy potrzeba jakiejś przysługi, mam się do kogo zwrócić.

Wątpiłam, by ludzie uczęszczający do Trinity College mieli cokolwiek wspólnego z tymi, którzy wiedzieli coś na temat Pepecali, ale zachowałam tę uwagę dla siebie i potomności.

- Są wśród nich politycy, pracownicy wymiaru sprawiedliwości, biznesmeni, stróże prawa...

- Sama śmietanka Hartford, jasne.

- Nie tylko – odparł dla porządku Prodziekan. – Ale z twojego punktu widzenia istotni są ci, którzy po nauce tutaj zatrudnili się w pewnej lokalnej instytucji.

- Jakiej?

- HCC.

Pokiwałam głową, jakby ten skrót w istocie mówił mi mniej więcej tyle, ile BBC lub CNN.

- Chodzi o tutejsze więzienie, Aspen – dodał dziadek.

- A, jasne.

- Znajomy policjant wyświadczył mi przysługę i z własnej inicjatywy sprawdził tego typu miejsca – ciągnął Prodziekan.

A więc jednak się pomyliłam. Dziadek miał dojścia do ludzi ze środowiska, któremu mógł podpaść Pepecalá. Potrafiłam sobie wyobrazić, że część z nich ma jakieś układy z klawiszami – i w zamian za przymknięcie oka na komórkę w celi dowiedzieli się tego i owego.

- HCC to więzienie o zaostrzonym rygorze w północnej części miasta, właściwie niedaleko...

- To wszystko fascynujące - ucięłam. - Ale czego udało ci się dowiedzieć?

Prodziekan jeszcze raz obrócił się w kierunku Hamlin Hall. Mimo pory uzasadniającej gromadzenie się w takim miejscu nie słyszałam żadnego gwaru. Ale może grube mury robiły swoje.

- Jest tam ponad dziewięciuset osadzonych - dodał dziadek.

- Jasne, ale...

- Jednym z nich jest José Antonio Alcalá Fernández.

Potrzebowałam chwili, by te słowa do mnie dotarły.

- Co? - rzuciłam.

- Odsiaduje dożywocie, Aspen.

Miałam ochotę powtórzyć moje poprzednie pytanie.

- Ale... - jęknęłam. - To musi być jakieś nieporozumienie.

- Obawiam się, że nie.

- Jesteś pewny?

- Tak.

- To niemożliwe - uparłam się.

- Dlaczego?

- Bo Grayson...

- Co z nim?

Właściwie nie miałam dla Prodziekana żadnej odpowiedzi. Wydawało się, że fakt odsiadki Pepecali przeczy wszystkiemu, czego dowiedziałam się od Joyce'a. Ale tak przecież nie było. To, co mi powiedział na temat ich historii, mogło wydarzyć się przed tym, jak José trafił za kratki.

- Jak długo tam siedzi? - spytałam.

- A nie chcesz najpierw zapytać za co?

- Nie.

Dziadek był wyraźnie skonsternowany i mimo że znałam go stosunkowo niedługo, mogłam wyobrazić sobie, jak w duchu określa moją odpowiedź jako „symptomatyczną”.

- Trafił do więzienia w 1990 roku.

Odebrało mi mowę.

Trzy lata po śmierci swojej rodziny? W momencie, kiedy Graysona... jeszcze nie było na świecie? I kiedy siłą rzeczy nie mógł być za bardzo żadnym wolontariuszem?

Nie, to była absolutna bzdura. Ktoś musiał się pomylić.

Kiedy jednak patrzyłam na dziadka, wiedziałam, że zawczasu się upewnił i wykluczył jakiegokolwiek potknięcie. Pepecalá naprawdę od ponad trzydziestu lat siedział w więzieniu. I nigdy nie mógł spotkać Joyce'a.

A zatem cała jego opowieść była kompletną bzdurą.

Ledwo łąpałam dech, nie mogąc znaleźć żadnego dobrego powodu, dla którego Grayson miałby tak mnie okłamać. W żywe oczy, z chłodnym, makiawelicznym wyrachowaniem.

- Jest jeszcze coś - odezwał się Prodziekan. - A właściwie ktoś.

Potrząsnęłam głową, nie mając pojęcia, o czym... o kim mowa. Spojrzałam pytająco na dziadka, a ten wskazał wzrokiem wejście do Hamlin Hall.

W progu stał chłopak w szarej rozpinanej bluzie z kapturem, trzymając ręce w kieszeni i patrząc na mnie ze łzami w oczach.

- To Carlos Gómez - oznajmił dziadek.

Wstrzymałam oddech, bo wiedziałam, że cokolwiek usłyszę, nie będzie dobrą wieścią.

- Przyjechał z Arizony - dodał Prodziekan. - To twój chłopak.

CZEŚĆ DRUGA

1

Carlos miał oczy, które niczego nie skrywały. Dało się w nich dostrzec płytkość w tym najlepszym sensie – tę, z której cieszysz się, kiedy wchodzisz do wody i okazuje się, że nie wpadniesz nagle w żaden niespodziewany uskok.

A przynajmniej takie wrażenie odnosiłam, kiedy stałam przed nim jak słup soli, nie potrafiąc wydusić ani słowa.

Patrzył na mnie z wyraźnym bólem i zdawał się całą energię poświęcać na powstrzymanie łez. Jego ręka lekko drgnęła, jakby chciał ująć moją dłoń. Zbliżył się o milimetr, może dwa, ale natychmiast się wycofał, widząc, że patrzę na niego jak na obcego człowieka.

- Być może powinniście porozmawiać w cztery oczy – odezwał się Prodziekan.

Zamrugalałam nerwowo, starając się wyrwać z jakiejś niemocy, która całkowicie unieruchomiła mój umysł. W końcu udało mi się na tyle, by wydusić z siebie jakieś słowa.

- Nie mogłeś mnie uprzedzić? – rzuciłam do dziadka.

- Cóż...

- Co to za chora akcja?

- Aspen, posłuchaj...

- Jakim prawem w ogóle stawiasz mnie w takiej sytuacji?

Prodziekan trzęsącą się dłonią przesunął po brodzie, a ja zrozumiałam, że podjęcie tej decyzji było dla niego wcale nie łatwiejsze niż dla mnie zmierzenie się z jej skutkami.

Carlos dalej trwał w bezruchu, patrząc na mnie.

- Doktor Bearce...

- Gównno mnie interesuje doktor Bearce.

- Powiedział, że taki szok może wyzwolić pożądaną reakcję neurologiczną – powiedział mimo to dziadek. – Zapewnił mnie, że nie przyniesie to żadnych negatywnych efektów, jedynie...

- Przyniosło taki, że stoi przede mną obcy człowiek, a ty mi mówisz, że to mój chłopak.

- Mówię tak tylko dlatego, że nim jest.

Raptownie rozłożyłam ręce, nie potrafiąc powściągnąć emocji.

- I skąd to niby wiesz? – rzuciłam ostro. – Bo ci powiedział?

- Nie.

- Więc?

- Ty mi o nim mówiłaś.

- I mam tak po prostu uwierzyć?

- Ja naprawdę...

- Kiedy to było? - wystrzeliłam z pytaniem, ale nie czekałam na odpowiedź. - Nie mówiłam ci o innych? Jesteś pewien, że masz aktualne informacje?

- Aspen...

- Nie aspenuj teraz - syknęłam. - I masz rację, powinieneś zostawić nas samych, bo jesteś tu równie przydatny, jak zestaw perkusyjny w kryjówce Anne Frank.

Potrzebował chwili, by zrozumieć zarówno żart, jak i to, że gdybym była naprawdę wściekła, wyraziłabym się zgoła inaczej.

Szybko pożałowałam jednak wcześniejszych słów, widząc, jakim ciosem między oczy okazały się dla Carlosa. Oto jego dziewczyna, którą niewykluczone, że kochał, z którą niewykluczone, że był latami związany, mówi wprost, że nie tylko go nie pamięta, ale nie ma nawet gwarancji, że jest tym, za kogo się podaje.

W istocie jej nie miałam. Mógł być przecież każdym.

Naraz jednak naszła mnie świadomość, że dziadek nie przedstawiłby mi go, gdyby nie miał absolutnej, stuprocentowej pewności. Może słyszał o nim także od mojej matki, tyle że nie był gotów przywoływać jej imienia? Jakkolwiek by było, skoro mu ufałam, musiałam też zawierzyć jego osądom.

Poza tym sensowniejsza wydawała mi się próba wyciągnięcia wszystkich przydatnych informacji bezpośrednio od Carlosa, nie od dziadka. Nie wiedziałam dokładnie, jakiego rodzaju relacja dziadek-wnuczka nas łączyła. Nie mogłam przecież zakładać, że mówiłam mu o wszystkim, co wiązało się z moim chłopakiem.

- W porządku - odezwał się Prodziekan. - Czy gdzieś was podwieźć? Czy może wolicie...

- Nie trzeba - ucięłam.

Skinęłam ręką na Carlosa, a potem ruszyłam w pierwszym lepszym kierunku. Jak na wybieranie na ślepo, decyzja okazała się całkiem dobra - choć tutaj chyba nie można było trafić w złe miejsce.

Weszliśmy na dziedziniec college'u, z alejkami i równo przyciętymi trawnikami, które wyglądały jak żywcem przeniesione z Oxfordu. Nie wiedziałam, czy tam można na nich przesiadywać - tutaj z pewnością tak, bo dostrzegłam kawałek dalej grupę studentów.

Carlos wciąż milczał, a ja nie miałam pojęcia, jak przełamać tę ciszę. Uznać, że sytuacja była dziwna, to jak stwierdzić, że lądowanie obcych na Ziemi byłoby wydarzeniem w sumie niecodziennym.

Usiedliśmy na trawie. Ja z nogami wykrzywionymi w bok, jakbym szukała najmniej wygodnej pozycji, Carlos po turecku. Spojrzeliśmy na siebie.

- No dobra... - odezwałam się. - Dawaj poświadczenie.

Chłopak uniósł brwi.

- Poświadczenie?

- Że jesteś moim facetem.

- Ale...

- Na pewno ci jakieś wystawiłam.

Carlos skrzywił się, a potem przez moment walczył z kieszenią swoich jeansów, która ewidentnie nie chciała wydać mu komórki. Kiedy wreszcie ją wydobył, z trudem przełknął ślinę i włączył galerię.

Podał mi telefon, po czym zwlekał z cofnięciem ręki, jakby liczył na choćby zdawkowy kontakt.

Przewijałam zdjęcia, na których widnieli Carlos Gómez i dziewczyna, która wyglądała identycznie jak ja. Śmiała się, kiedy całował ją w policzek. Unosiła nogę, kiedy przyciągał ją do siebie. I obejmowała go od tyłu, kiedy on robił im selfie.

Trzy ujęcia były wystarczające. Szybko oddałam Carlosowi telefon.

- Coś nie tak? - spytał. - Nie zobaczyłaś nawet jeszcze...

- To nie ja.

- Oczywiście, że ty.

- Nie - odparłam. - To dziewczyna, którą znałeś. I która znikła w momencie, kiedy doszło do wypadku.

- Aspen...

- Nazywam się tak samo, wyglądam tak samo - przerwałam mu, a potem popukałam się w głowę. - Ale tutaj jestem kimś zupełnie innym, rozumiesz?

Na dobrą sprawę sama tego nie rozumiałam, więc nie wymagałam od kogokolwiek, by sobie z tym poradził.

Carlos przesunął ręką po twarzy, jakby ściągał z niej krople wody.

- Ale to ty - odparł. - To my.

- Nie.

Ta krótka, stanowcza odpowiedź wyrządziła mu chyba większą krzywdę niż wszystko, co do tej pory powiedziałam. Trudno było tego nie dostrzec, a ja szybko się zmytygowałam - nie mogłam tak traktować tego chłopaka. Miał wcale nie łatwiej niż ja. Może nawet trudniej, bo w przeciwieństwie do mnie był w pełni świadomy tego, co przepadło.

- Nie chcesz wiedzieć, kim jesteś? - odezwał się.

- Raczej kim byłam.

- Ale przecież...

- Słuchaj - ucięłam. - Wiem, że to ekstremalnie ciężka sytuacja.

Gómez powoli skinął głową, ale przywodziło to na myśl raczej osobę wypierającą rzeczywistość niż akceptującą ją.

- I wiem, że najpewniej chcesz mnie teraz zarzucić wszystkimi faktami z mojego dawnego życia, przedstawić mi każdą cząstkę mnie, opowiedzieć o moich planach, marzeniach, zamiarach, upodobaniach i tak dalej. Chcesz, żeby wróciła dawna Aspen. Aspen, którą znałeś i zapewne coś do niej czułeś.

- Nawet nie wiesz, jak wiele.

Zamknęłam na moment oczy i cicho nabrałam tchu.

- Ale to tak nie działa - dokończyłam myśl. - Przypomnieć sobie te rzeczy mogą tylko sama. W przeciwnym wypadku będą opowieścią kogoś innego o mnie.

Zmrużył oczy, a ja odniosłam wrażenie, że pojął, o co mi chodzi. Właściwie w tej chwili sama też rozumiałam nieco więcej.

Przez moment trwaliliśmy w milczeniu, a ja wodziłam wzrokiem za studentami, którzy przechodzili z jednego budynku do drugiego pogrążeni w rozmowach i jakby zupełnie nieświadomi tego, że poza college'em istnieje jakiś inny świat. Zazdrościłam im. Zazdrościłam praktycznie wszystkiego.

- Naprawdę nie jesteś ciekawa? - odezwał się w końcu Carlos.

- Jestem.

- Więc może powinienem chociaż...

- Możesz powiedzieć mi co nieco o sobie - ucięłam. - Na początek.

Patrzył na mnie z wyrozumiałością i całkowitą ufnością. Potrafiłam wyobrazić sobie powody, dla których związałam się z tym facetem.

O ile oczywiście nie były to dobrze zaprojektowane pozory.

Moje myśli mimowolnie wróciły do Graysona Joycea. Ani chybi to przez niego moją pierwszą reakcją była nieufność.

Jak mógł w tak beczelny sposób mnie okłamać? I czy w ogóle usłyszałam z jego ust choćby cień prawdy?

- Okej... - odezwał się siedzący naprzeciw mnie chłopak, sprawiając, że wróciłam do tego, co tu i teraz.

Sprawa Pepecali musi poczekać. A Grayson był już dla mnie skreślony.

- Od czego mam zacząć?

- Od tego, jak się nazywałeś - oznajmiłam.

- Poważnie?

- Najzupełniej. I pełnym zdaniem poproszę: „Nazywam się Carlos Gómez, urodziłem się w...” i tak dalej.

Uśmiechnął się wreszcie, choć była to tylko namiastka radości.

- Jak do ciebie mówię? - zapytałam.

- Zależy, jaki masz humor.

Doceniłam to cichym prychnięciem.

- Zazwyczaj po imieniu - odparł. - Ale zdarza ci się też po nazwisku.

- Najwyraźniej mam taki zwyczaj...

- Hm?

- Nieważne - odparłam szybko.

- Dość często zdarza ci się też mówić „Gomie”. Od określenia, którego w *Breaking Bad*...

- Hank używał na swojego kumpla, Stevena Gómeza.

Carlos nagle się ożywił.

- Pamiętasz?

- Tylko to, co działo się w tym serialu - odparłam z nadzieją, że to stworzy jakąś uniwersalną siatkę dla Gomiego. - Ale nie to, jak go oglądałam.

- Oglądaliśmy.

- No tak...

- Bingowaliśmy go jak nienormalni - dodał Carlos. - Odcinek za odcinkiem, jakbyśmy nie mieli żadnych innych zajęć.

Ton jego głosu dobitnie sugerował, że było to dla niego jedno z najlepszych doświadczeń w życiu. Zupełnie jakby mówił o jakiejś niesamowitej egzotycznej podróży na koniec świata. Ale może nie trzeba było ich odbywać, by je przeżywać.

Zauważył moje zaciekawione spojrzenie, więc zaczął opowiadać. O tym, jak nie byliśmy przekonani po pierwszym odcinku, ale jednocześnie żadne nie było gotowe zrezygnować. Jak potem wpadliśmy. Kiedy i w jakich okolicznościach oglądaliśmy.

W końcu zaczęliśmy razem omawiać konkretne odcinki, po czym inne seriale. Przy *Better Call Saul* oboje byliśmy zgodni, że prequel przebił oryginał.

Rozmowa poszła dalej, a ja straciłam poczucie czasu. Zrozumiałam, że to z nim oglądałam zarówno takie klasyki jak *The Wire* czy *The Leftovers*, jak i nowe produkcje typu *Normal People* czy *Sukcesja*.

Świetnie się dogadywaliśmy i nie mogłam chyba dłużej się oszukiwać, że ten człowiek mógłby zostać przez kogoś podstawiony.

I ot tak, nagle w świecie wypełnionym ludźmi, którzy okazali się dwulicowi, pojawił się ktoś godny zaufania.

Na tyle, że po jakiejś godzinie, a może dwóch, w końcu zdobyłam się na odwagę, by spytać o kilka spraw, które wierciły mi dziurę w brzuchu od samego początku.

- Jak długo jesteście razem? - spytałam.

Gomie lekko się uśmiechnął.

- No co? - dodałam.

- Nic. Po prostu mówisz o „nas”. I używasz czasu teraźniejszego.

- A nie powinnam?

- Jeśli zakładasz, że byłaś wcześniej inną Aspen, to pytanie powinno brzmieć „jak długo byliście razem”.

Oczywiście miał rację. I sama byłam świadoma tego, jaki dysonans prezentuję swoim zachowaniem. Był jednak dla mnie zupełnie naturalny.

Większość ludzi tak nie uważała. Przeciwnie, stali na stanowisku, że każdy dysonans należy jak najprędzej wyeliminować, dążąc do poczucia wewnętrznej spójności, spokoju, a nawet błogości. Ale ja bynajmniej tego nie szukałam.

Przeciwnie, chciałam konfrontować się ze sobą, nieustannie pobudzać umysł, podawać w wątpliwość to, co wiem i co czuję.

Dlaczego ludzie tak usilnie podążali w przeciwnym kierunku? I czy nie widzieli, że pomimo usilnych starań koniec końców to i tak okaże się niewykonalne? Świat ze swej natury był pełen paradoksów i dysonansów. Nie dało się go przyciąć do jakiejś sztucznej formy.

A już szczególnie, jeśli chodziło o mój świat.

Wydawało mi się całkiem normalne, że jednego dnia obudzę się z myślą, by zacząć od nowa i nie interesować się tym, co było wcześniej. A kolejnego otworzę oczy i dojdę do wniosku, że muszę odzyskać dawną siebie.

Inni mieli dokładnie tak samo, tyle że w odmiennych sprawach. Raz chciało się z kimś być, innym razem podejmowało się decyzję o zerwaniu. Raz samotność wydawała się najlepsza, innym razem wspólne życie. Nie było nic złego w tym, że w poniedziałek śniło się o podróży do Paryża, a we wtorek za największe marzenie uznawało zamknięcie się w pokoju.

Ze sposobu, w jaki Carlos na mnie patrzył, wywnioskowałam, że musi mieć podobne podejście. Nie popadł w hurraoptymizm, bo użyłam tego, a nie innego zaimka – z drugiej strony nie sprawiał wrażenia zdezorientowanego.

– Jesteśmy razem od paru miesięcy – powiedział.

Otworzyłam szeroko oczy.

– Że co? Ilu konkretnie?

– Trzech.

– Chyba żartujesz...

Zaśmiał się i nieco zakłopotany potarł po bujnej czuprynie.

– Nie – odparł. – Ale mieliśmy się ku sobie od... właściwie od kiedy pamiętam.

Zmarszczyłam brwi w uniwersalnej sugestii, by mówił dalej.

– Mieszkaliśmy obok siebie przez większość życia – podjął. – Jako gówniarze byliśmy nierozłączni, a potem przerodziło się to w tak bliską relację, że zostaliśmy najlepszymi przyjaciółmi.

– I spieszyliśmy to, wiążąc się ze sobą?

Uśmiech nie schodził mu z twarzy, zupełnie jakby wspomnienia z tamtego okresu były wyjątkowo miłe.

– Wypadek przy pracy – powiedział. – Byliśmy na stypie.

– Na stypie?

– Mniej więcej. Zorganizowaliśmy taką ostatnią, dużą imprezę przed tym, jak wszyscy rozjedziemy się w innych kierunkach.

– Aha.

– Wypiliśmy trochę za dużo, siedzieliśmy na kanapie przytuleni, jak milion innych razy... i wydarzyły się rzeczy.

Uniosłam dłoń.

– Dobra – rzuciłam. – Tyle mi na razie wystarczy.

Otworzył usta, wyraźnie chcąc dokończyć ten wątek, ale ostatecznie zachował szczegóły dla siebie.

Owszem, wciąż zastanawiałam się, czy straciłam dziewictwo, ale nie miałam zamiaru pytać o to człowieka, którego poznałam dwie godziny temu.

– W każdym razie...

– Naprawdę nie chcę tego słyszeć.

– A ja tylko chcę powiedzieć, że to było bardzo naturalne – oznajmił Gomie. – Jakbyśmy od lat na to czekali. I, no cóż... przynajmniej w moim wypadku tak było.

Westchnęłam cicho i podniosłam wzrok na błękitne niebo, tu i ówdzie poprzecinane pojedynczymi chmurami.

– Postanowiliśmy, że spróbujemy – dodał Carlos.

- Na odległość? I to taką?

Wzruszył ramionami, jakby to nie był żaden problem.

- Wtedy Hartford było tylko jedną z możliwości. Poza tym gdziekolwiek byś wylądowała, i tak wiedzieliśmy, że będziemy codziennie ze sobą rozmawiać.

- Chyba nie wyszło.

- No, nie do końca - odparł, zmuszając się, by jego głos nie brzmiał nader smętnie. - Miałaś za jakiś czas przylecieć, ja też zbierałem na bilet.

Urwał, a kiedy na niego spojrzałam, wziął chyba moje zmarszczono czoło za sygnał, by to rozwinąć.

- Nie wyobrażasz sobie, co przeżywałem, odkąd urwał się z tobą kontakt... - powiedział. - To był prawdziwy horror.

- Domyślam się.

- Nikt nie wiedział, co się dzieje, wszyscy próbowali się z tobą skontaktować. Ale nie było jak.

- Nie miałeś telefonu do mojego dziadka?

- Nie. Skąd miałbym go wziąć?

W sumie racja.

Jezus Maria, ten chłopak rzeczywiście musiał przeżywać katusze i odchodzić od zmysłów.

Po raz kolejny uświadomiłam sobie, jak wiele zależało od urzędzeń, które teraz leżały w moim pokoju nieaktywne, stanowiąc smutne memento kompresowania rzeczywistości do ich kształtu.

Carlos pewnie nawet nie pomyślał o tym, by wziąć mój adres zawczasu. Tym bardziej, żeby zdobyć telefon do dziadka.

Przecież mieliśmy tyle kanałów kontaktu. Gdyby nawet Messenger czy Instagram padły, jest WhatsApp. W przypadku jakiejś apokalipsy w świecie zachodnim zostaną apki z innych części globu.

- Nie mam żadnej rodziny w Prescottt? - spytałam. - Kogoś, kto pomógłby ci skontaktować się z Prodziekanem?

- Nie, byliście z mamą same - odparł ciężko Gómez. - Dzwoniłem do Trinity, pytałem o ciebie, ale nikt nic nie wiedział. Jasne było tylko tyle, że nie zjawiłaś się już pierwszego dnia roku akademickiego. Próbowałem więc wyciągnąć numer do Prodziekana, ale... nie było tak łatwo dla osób spoza uczelni, bali się chyba, że jestem jakimś dawnym studentem z zadrą czy coś.

Oczywiście, przecież argument, że jest chłopakiem wnuczki prodziekana Wakefelda na nikim nie zrobiłby wrażenia.

- W końcu udało mi się przekonać, kogo trzeba - dodał. - A potem z dziekanatu wyciągnąć numer do twojego dziadka. Przedstawiłem się z myślą, że nie będzie mnie pamiętał, ale od razu zaskoczył.

- Nic mi nie mówił.

- Dziwisz się?

Nie, tak naprawdę się nie dziwiłam. Nie chciał dokładać mi emocji na samym początku, a jeżeli doktor Bearce rzeczywiście stał na stanowisku, że terapia szokowa może pobudzić moją pamięć, tym bardziej należało poczekać i wyprowadzić jedno, mocne uderzenie w moje synapsy.

– Od razu wiedziałem, że muszę tu być – dodał Gomie. – Chwilę zajęło mi uzbieranie kasy na bilet i jakiś hotel, ale jestem.

To ostatnie wypowiedział, jakby nigdy nie miał zamiaru się stąd ruszać.

Spojrzeliśmy na siebie, a jego ręka znów drgnęła w moim kierunku. Stało się wówczas coś całkowicie przedziwnego, w moim ciele uruchomiła się jakaś automatyczna reakcja. Moja dłoń niemal niezależnie ode mnie się podniosła i wiedziałam, że za moment nasze palce się dotkną.

A raczej dotknęłyby się, gdyby nie Grayson Joyce.

– My się chyba nie znamy – rozległ się jego głos zza moich pleców.

Nie zamierzałam dawać mu okazji nawet do tego, by wymienił uścisk dłoni z Carlosem. Poderwałam się na równe nogi i natychmiast znalazłam tuż przed nim. Tym razem także poczułam zupełnie mechaniczny impuls – ale ten kazał mi uderzyć Joyce'a w pierś.

Ku jego i swojemu zaskoczeniu tak właśnie zrobiłam. Przywalałam mu otwartymi dłońmi w klatkę piersiową, sprawiając, że machinalnie się cofnął.

– Oszalałaś? – rzucił.

– Wcześniej? Tak – odparłam. – Teraz? Wprost przeciwnie.

– Wakefield, co ty konkretnie...

Znów znalazłam się tuż przed nim i już miałam powtórzyć to, co przed momentem zrobiłam, kiedy złapał mnie za dłonie. Zrobił to stanowczo, ale na tyle delikatnie, bym nie czuła, że cokolwiek mi grozi.

Tego samego najwyraźniej nie mógł powiedzieć Gomie, który od razu ruszył na Graysona.

– Zabieraj, kurwa, ręce! – rzucił.

Zanim do niego doskoczył, udało mi się wyswobodzić. Joyce skierował całą swoją uwagę na Carlosa i kątem oka dostrzegłam, że zaciska dłonie w pięści. Nie, wszystko, tylko nie to.

– Co to za pajac? – syknął Grayson.

Jezus Maria, nie.

Wiedziałam, że za sekundę będzie już za późno, żeby zapobiec rękoczynom. Tych dwóch rzuci się na siebie i nie będą w stanie zrobić nic, by ich rozdzielić.

– To mój chłopak – powiedziałam czym prędzej.

Joyce zastygł w bezruchu, patrząc na Carlosa. Wciąż wyglądał, jakby miał zamiar za pomocą pięści wytłumaczyć mu, by się nie wtrącał, jakby mnie nie usłyszał.

– Przyleciał z Prescott – dodałam.

Grayson zamrugał i zmierzył mnie wzrokiem.

– Dla mnie to też niespodzianka – mruknęłam, a potem złapałam go za ramię. – A teraz pozwól na chwilę.

– Aspen... – zaoponował Gómez.

– Zaraz wracam.

– Ale...

– Jeśli kogoś trzeba będzie ratować, to tego typu obok mnie – uciełam.

Odeszliśmy paręnaście metrów w kierunku jednej z ławek przy alejkach. Joyce chodził wzdłuż niej, raz po raz łypiąc na Carlosa, ja zaś przycupnęłam na oparciu. Z jakiegoś powodu nie chciałam siadać, bo wydawało mi się, że to sugerowałoby chęć zostania na dłużej.

Nie odczuwałam jej nawet w najmniejszym stopniu. Zamierzałam załatwić wszystko jak najprędzej, bo nie było o czym gadać.

- Mówisz poważnie? – rzucił Joyce.
- Mniejsza z tym.
- Mniejsza z... – powtórzył, a potem rozłożył ręce. – Przecież to kompletny absurd. Popatrzyłam na niego z powątpiewaniem, a potem skrzyżowałam ręce na piersi.
- Jedyną absurdalną rzeczą jest twoja reakcja – zauważyłam.
- Co?
- Spójrz na siebie.

Grayson wyraźnie nie był gotowy na żadną introspekcję na gorąco. Nie miałam jednak wątpliwości, że kiedy ochłonie, zerknie w siebie choć na moment i szybko się przekona, jak osobliwe było to zachowanie.

Wykonał jeszcze jedną nerwową rundkę, nim w końcu zatrzymał się przede mną, zasłaniając mnie przed wzrokiem Gómeza.

- Nawet nie wiesz, kim jest ten koleś – zauważył.
- Wiem.
- Niby skąd?
- Dziadek za niego poręczył.

Joyce machnął ręką, jakby był to najdurniejszy argument, jaki w życiu słyszał.

- Prodziekan jest porządnym gościem, ale co on może wiedzieć o twoim życiu osobistym?
- Najwyraźniej wystarczająco dużo.
- Bo co? Dzwoniłaś do niego i opowiadałaś mu o swoich facetach?
- O ile wiem, miałam tylko tego jednego, więc...
- To jakieś wariactwo – uciął Grayson.

Spojrzeliśmy na siebie w sposób, który zwiastował jedynie problemy. Ja łyptałam konfrontacyjnie, on z oczekiwaniem, że podzielę jego punkt widzenia.

- Przejrzyj na oczy – rzucił.
- O, zapewniam cię, że przejrzałam.

Wyraźnie nie wiedział, do czego piję, ale nie był to żaden problem. Zamierałam przecież dzielić go prawdą po twarzy.

- I wiesz, co zobaczyłam? – dodałam. – Że osoba, której z jakiegoś powodu zaufałam, od początku robiła mnie w chuja.
- O czym ty mówisz?
- O tobie, Joyce.

Tym razem to on skrzyżował ręce, zupełnie nieświadomy, że tkwię w takiej samej pozycji. Mimowolnie pomyślałam o tym, jak musimy wyglądać z boku. Jak kłócąca się para? Raczej tak, bo podobnych emocji próżno było szukać w innego typu relacjach.

Szybko odsunęłam ten wniosek, bo był nie na miejscu.

- Okłamałeś mnie w sprawie Pepecali – oznajmiłam. – Nigdy nie pomagałeś mi w żadnym schronisku dla bezdomnych, nie ratowałeś go z trudnych sytuacji. Nawet nigdy go nie spotkałeś, ty przebrzydły i kłamliwy skurwysynu.

Ostatnie samo wyrwało mi się z ust, ale uznałam, że było całkowicie uzasadnione.

Czułam, że mam w zanadru jeszcze kilka podobnych określeń, a fakt, że Grayson się nie odzywał, spowodował, że tama puściła.

- Jest z ciebie zwykły kutasina - dodałam. - Miałeś w ogóle jakieś wyrzuty sumienia? Że ściemniasz dziewczynie, która nie pamięta nawet, jak się nazywa? Że wciągasz ją w coś, co tylko skomplikuje jej i tak popierdolone życie?

Znów miałam ochotę go popchnąć, bo słowa nie dawały wystarczającego ujścia moim emocjom.

- Ty chory pojebie - rzuciłam.

Czekałam, aż przedstawi mi jakieś wytłumaczenie, zacznie się bronić, wykręcać, układać jakieś nawet bezdennie głupie wersje tłumaczące jego zachowanie. Aż powie, że zrobił to, by mnie chronić, czy coś w tym stylu.

Joyce jednak milczał, patrząc na mnie nieruchomo.

- Pepecalá siedzi w więzieniu - oznajmiłam. - Wiedziałaś o tym?

- Tak.

Było to jak cios, który przebił się prosto do mojego serca.

- Rozmawiałaś z nim kiedykolwiek? Chodziłeś na widzenia?

- Nie.

- Spotkałeś go w ogóle?

- Nie.

Miałam wrażenie, że moje gardło się zapadnie, odcinając mi dopływ powietrza. Momentalnie zrobiło mi się słabo i chyba było to po mnie widać, bo Grayson przysunął się nieznacznie.

Natychmiast powstrzymałam go uniesioną dłonią.

- Wakefield...

- Nie - przerwałam. - Spierdalaj.

- Posłuchaj...

- Spierdalaj!

Za drugim razem do niego dotarło. Wsunął ręce do kieszeni, pochylił się lekko i spojrzał jakby w siebie, zapadając się. Trwaliśmy w jakimś pełnym napięcia wyczekiwaniu, bo żadne z nas nie wiedziało, co stanie się teraz.

Chciałam, by dał mi spokój i natychmiast odszedł. A jednocześnie jakaś cząstka mnie liczyła na to, że zostanie, że wszystko mi wyjaśni. I okazało się, że jakimś cudem się co do niego pomyliłam.

Zamiast tego Grayson jednak powoli się odwrócił, a potem zaczął odchodzić. Nie obejrzał się, nawet nie zawahał, a po chwili znikł za jednym z budynków. Zdążyłam jedynie uspokoić nieco oddech, nim kątem oka wyłapałam, że Gómez do mnie podchodzi.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Tak.

Zerknął w kierunku miejsca, gdzie oddalił się Joyce.

- Mam za nim iść?

Doceniłam to pytanie delikatnym uśmiechem.

- Nie ma potrzeby – odparłam. – On właśnie na dobre znikł z mojego życia.

- Okej... – rzucił niepewnie Carlos. – Ale to brzmi, jakbyś...

- Po prostu się co do niego gigantycznie pomyliłam – uciełam.

Usiadłam na ławce, a potem przesunęłam dłońmi po włosach, zbierając je do tyłu. Weź się w garść, powiedziałam sobie w duchu. Czas przestać gonić za czymkolwiek, co stara się złapać Joyce, i zająć się swoimi sprawami.

Gómie usiadł obok mnie i posłał mi spojrzenie, którym chciał się upewnić, że naprawdę wszystko jest w jak najlepszym porządku. Nie było, ale nie miałam zamiaru o tym z nim rozmawiać.

- Słucham Ghosta, prawda? – spytałam.

Carlos się rozpromienił.

- Niestety – odparł.

- Niestety?

- Nie moje klimaty. I zazwyczaj robisz to z taką głośnością, że słuchają też wszyscy wokół.

- I słusznie. Ta kapela ma same bangery.

Gómez wyglądał, jakby miał zamiar polemizować, ale w porę przypomniał sobie wszystkie inne okazje, kiedy próbował to robić. I zapewne poniósł sromotne fiasko.

- Co jeszcze lubię? – spytałam.

- Z muzyki?

- Na początek może być z muzyki.

- A nie wolisz sama się dowiedzieć, pobudzać neurony i tak dalej?

- Wolę – odparłam. – Ale o ile mogę przetestować kilka donutów i wybrać mój ulubiony, o tyle trudno mi będzie przegrzebać się przez całą historię muzyczną ludzkości, zaczynając od *Au Clair de la Lune*, a kończąc na nowym singlu Miley Cyrus.

- Jej raczej nie słuchałaś.

- Coś takiego.

- A to Claire de cośtam to co?

- Pierwsza nagrana piosenka – odparłam. – Czy właściwie w ogóle najstarsze znane nagranie głosu jakiegokolwiek człowieka. Zarejestrowano je na fonografie w 1860 roku.

Podrapałam się po głowie, wodząc wzrokiem za grupą przyjaciół, którzy właśnie nas mijali, pogrążeni w rozmowie na temat jakiegoś wspólnego projektu na zajęcia. Para stojąca pod jednym z budynków unosiła komórkę, a potem charakterystycznie ją obróciła, ewidentnie robiąc bereala.

- Masz jakiś zamiar na mój profil na Spotify albo gdzie indziej? – podsunęłam.

- Chyba nie – odparł, wyciągając telefon. – Ale możemy poszukać twojego profilu.

To byłoby jak uchylenie drzwi do całej mojej przeszłości, pomyślałam. Nie sposób byłoby tego przecenić.

Zaczęliśmy więc szukać, ale efekty były w najlepszym wypadku mizerne. Znaleźliśmy konto jakiejś Aspen na Spotify, nie miała jednak dodanych żadnych publicznych playlist. Miniaturka zdjęcia dowodziła zaś, że to bynajmniej nie ja.

- Może nie dzieliłam się z nikim muzyką – podsunęłam.

- O, na pewno się dzieliłaś. Jesteś melomanką.

- Tak? - rzuciłam pod nos.

- Jasne. Zawsze mówiłaś, że muzyka to jedyne, co bez słów i obrazów potrafi wywołać w nas emocje, których pozostałe dwie rzeczy nie są w stanie.

- Coś w tym jest - przyznałam i westchnęłam. - Pamiętasz, czego jeszcze słucham?

- Volbeat.

Znałam tę nazwę na tej samej zasadzie, na jakiej kojarzyłam wszystko inne. Miałam świadomość, jakie albumy nagrali, które kawałki są na nich najlepsze. Nie przypomniałabym sobie o nich jednak choćby w najmniejszym stopniu, gdyby Carlos mi o nich nie powiedział.

Wyglądało na to, że potrafię poruszać się po tej siatce uliczek pamięci, ale potrzebuję mapy, by znaleźć się we właściwym miejscu. W przeciwnym wypadku stałam na skrzyżowaniu całkowicie sparaliżowana, nie mając pojęcia, gdzie skręcić.

- A Blue Öyster Cult?

Carlos przez moment się zastanawiał.

- Nie kojarzę, żebyś słuchała - odparł.

No cóż, teraz już słuchałam.

Ale nie muzyką zamierzałam się zajmować, bo jej rzeczywiście lepiej było słuchać. Planowałam dowiedzieć się tego, co zastanawiało mnie od momentu, kiedy tylko Grayson o tym wspomniał.

Czułam przed tym tematem obawę, ale w głębi ducha wiedziałam, że jest całkowicie irracjonalna. Mimo to wypowiedzenie na głos pytania wymagało nieco determinacji.

Tudzież inwencji, nie wiedziałam bowiem, jak łagodnie przejść od kwestii moich ulubionych zespołów do tego, czego chciałam dowiedzieć się od Carlosa. W końcu stwierdziłam, że najlepiej będzie walić prosto z mostu.

Obróciłam się do Gómeza i przelożyłam rękę przez oparcie ławki.

- Słyszałeś o tym, co stało się pod pubem przy 6th Street? Obok szrotu i wysypiska śmieci?

Carlos nerwowo drgnął, jakby całe jego ubranie zaczęło go uwierać.

- To znaczy?

- Znaleziono tam zwłoki jakiegoś mężczyzny.

- A, to tam. No tak.

- Był brutalnie pobity.

Gomie pokiwał głową i nabrawszy głęboko tchu, przytrzymał powietrze w płucach. Jeśli próbował w jakikolwiek sposób ukryć tę swoją niecodzienną reakcję, to poniósł klęskę.

- O co chodzi? - dodałam szybko.

- Hm?

- Wyglądasz, jakbyś miał zemdleć.

- Nie, po prostu...

Zawiesił głos, wodząc wzrokiem po uczelnianym parku, jakby liczył, że wydarzy się tam coś, co sprawi, że nie będzie musiał odpowiadać.

- No? - dorzuciłam. - Wiem, że wydarzyło się to zaraz przed tym, jak z matką wyjechałyśmy.

- Fakt.

- I że jakiś świadek w pubie mówił o kobiecie i jej córce, które klóciły się z ofiarą.

- O tym nie słyszałem.

Wwiercałam się wzrokiem w jego oczy, starając się przebić przez barierę, którą postawił. Była doskonale widoczna i sugerowała, że na rzeczy jest więcej, niż Gómez jest gotowy powiedzieć.

Przysunęłam się do niego, nie odrywając od niego spojrzenia.

- Nie zniosę drugiej okłamującej mnie osoby - odezwałam się.

- Ale ja nie...

- Przecież widzę - wpadłam mu w słowo. - Zamierzasz mydlić mi oczy. A w najlepszym wypadku kluczyć tak długo, aż dam spokój.

Carlos potarł ramię w jakimś alarmistycznym geście, a potem się rozejrzył.

- Naprawdę nic nie wiem - odparł.

- To dlaczego wyglądasz, jakbyś wiedział?

Wypuścił nerwowo powietrze, teraz już sprawiając dobitne wrażenie kogoś, kto szuka ratunku.

- Mów - poradziłam. - Albo w tej chwili wstanę i więcej mnie nie zobaczysz.

- Daj spokój...

Moje oczy były nieruchome, powieki nawet nie drgnęły. Jeśli potrzebował dodatkowego potwierdzenia, że mówię poważnie, to właśnie je otrzymał. Chwila milczenia zdawała się sprawić, że to do niego dotarło.

- To ci tylko skomplikuje sprawę - odezwał się.

- Trudno skomplikować to bardziej.

- A jednak...

- Mów - powtórzyłam stanowczo.

Zaczęłam lekko się podnosić, kiedy powstrzymał mnie uniesioną dłonią. Potem opuścił lekko głowę, wyraźnie pokonany.

- Naprawdę nie wiem, co się tam wydarzyło - powiedział. - To było tuż przed twoim wyjazdem, w nocy, a rano miałaś wylot... Nie widzieliśmy się już po tym.

- Ale rozmawialiśmy?

- Tak - odparł ciężko Gómez.

Czekałam na więcej, ale nie miałam zamiaru podsuwać mu gotowych elementów do wpasowania w tę historię. Chciałam usłyszeć wszystko, od początku do końca.

- Twoja mama poszła pożegnać się z przyjaciółkami - podjął. - Ostatnia noc, te sprawy. Miałaś dołączyć do nich, bo dobrze je znałaś. Wiesz, jak to jest, kiedy kobieta sama wychowuje córkę.

- W sumie nie wiem.

- No tak - przyznał cicho Carlos. - W każdym razie poszłaś do Pudge'a i Asti i...

- Do kogo?

- Pudge and Asti's Sports Grill. Pub przy 6th Street, zresztą niedaleko miejsca, gdzie mieszkaliście.

- Okej.

- Miałaś dać mi znać, jak wrócisz do domu – ciągnął Gomie. – I rzeczywiście tak zrobiłaś, wysłałaś mi esemesa. Ale był tak zdawkowy, że od razu zadzwoniłem. Najpierw nie odbierałaś, a kiedy to zrobiłaś, byłaś całkowicie roztrzęsiona.

- Znaczy?

- Miałaś zapłakany, trzęsący się głos. Chciałem przyjechać, ale powiedziałaś, że to środek nocy, a poza tym wszystko jest w porządku.

- Mimo że ryczę ci do słuchawki?

Carlos objął wzrokiem moją twarz z taką opiekuńczością, jakby chciał w ten sposób pokazać, jak bardzo się wtedy o mnie niepokoił. I jak mocno żałuje, że nie zignorował wtedy mojego zbywania.

- Stwierdziłaś, że to było emocjonalne spotkanie i że wszystkie się splotałyście – powiedział. – I żebym się nie przejmował. Potem zapewniłaś, że porozmawiamy rano, bo musisz iść spać. Pożegnaliśmy się i tyle. A o całej sprawie dowiedziałem się dopiero po waszym wylocie.

Potańczałam lekko skroń.

- Nikt nie chciał nas przesłuchać? – spytałam.

- Nie.

- Dlaczego?

Pozornie to pytanie powinienam może kierować pod innym adresem. Wydawało mi się jednak, że od kiedy to wszystko się wydarzyło, Carlos poświęcał temu niejedną myśl. Jeśli ktoś miał choćby hipotetyczne odpowiedzi, to właśnie on.

- Nie wiem – odparł.

- Ale masz jakieś przypuszczenia.

- Mam.

- Jakie?

Odetchnął ciężko, sugerując, że od dawna czekał, by się tym z kimś podzielić, a kontury jego twarzy stały się jakby ostrzejsze.

- O tym, że tam byliście, wiedziało tylko kilka osób – podjął. – Ja i przyjaciółki twojej matki.

Nie zaczynało się to najlepiej i nagle naszła mnie niepewność, czy aby powinienam słuchać tego do końca.

- I co w związku z tym? – spytałam.

- To, że policja się wami nie zainteresowała. A powinna.

- W sensie?

- Przesłuchano wszystkich, którzy tam wówczas byli – odparł poważnym tonem Carlos. – Ale nikt nie pomyślał o tym, żeby was wezwać? I to jeszcze w sytuacji, kiedy następnego dnia wyjechałyście na drugi koniec kraju?

Miał rację, było to nieco osobliwe.

- Jest tylko jedno wytłumaczenie - kontynuował. - Żadna z przyjaciółek twojej matki nie powiedziała, że tam wtedy byliście.

- Ale przecież byli tam inni klienci. Z pewnością by nas widzieli.

- Nie - odparł od razu Gómez. - Miałycie swoje miejsce na uboczu, w wydzielonej kanciapie, nie było was tam widać. Przypuszczam, że tak jak zawsze twoja mama i jej znajome drinki przynosiły sobie same, szczególnie że Phoenix Suns grali wtedy z San Antonio Spurs, więc pub był nabit i obsługa miała sporo roboty. Pracownicy was nie widzieli, ale... no cóż, jednak było kilka osób, które powinny potwierdzić, że byliście tam tej nocy.

Nie odzywałam się.

- Dlaczego przyjaciółki twojej mamy milczały? - rzucił Carlos, ale bardziej do siebie niż do mnie. - Nie mam pojęcia, ale gdyby nie ta jedna kobieta, która doniosła o scysji między wami a jakimś facetem, nikt nie przypuszczałby nawet, że tam byliście.

- Ona nas nie zidentyfikowała - zauważyłam.

- No tak - mruknął bez przekonania Gomie. - Mówiła o matce i jej córce. Których na pewno było tam wtedy na pięćki.

Przygryzłam dolną wargę i niechętnie pozwoliłam moim myślom obrać najbardziej niepokojący z kierunków.

- Przyjaciółki twojej mamy z pewnością były o to pytane - dodał Gómez. - Mimo to nie zająknęły się słowem.

- To jeszcze nic nie znaczy.

- Na pewno? - spytał cicho. - Bo mnie się wydaje, że takich rzeczy nie przemilcza się bez powodu.

- Chyba że...

- Co?

- Jeśli to nie byłyśmy my, te kobiety mogły chcieć nas chronić - zauważyłam. - Może to niefortunny przypadek, zwykły zbieg okoliczności i...

- Nikt nie zidentyfikował tej matki i córki.

Znów nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

- Gdyby były w jakimkolwiek innym miejscu pubu, ktoś by je zapamiętał. I rozpoznał. Prescott to nie jest wielkie miasto, a u Pudge'a i Asti większość ludzi to stali bywalcy.

Jasna cholera, pewnie miał rację. To jednoznacznie świadczyło o tym, iż to my kłóciłyśmy się z ofiarą.

Potrzebowałam chwili, by sformułować kolejne pytanie.

- Wiesz, kim był ten facet, który zginął? - spytałam.

- Nie - odparł ciężko Carlos. - Ale wiem, że miał przy sobie coś, co może rzucić na to nieco światła.

- A konkretnie?

Gómez zamknął oczy i przez moment pocierał brwi dwoma palcami, jakby nagle nabawił się wyjątkowo dokuczliwego bólu głowy. Kiedy w końcu opuścił dłoń, zobaczyłam w jego oczach żal za to, co zamierza powiedzieć.

- Najlepszy kumpel mojego taty pracuje w lokalnej komendzie – podjął. – Słyszałem, jak rozmawiali na ten temat.

Zdałam sobie sprawę, że Carlos wspominał o tym z jakiegoś konkretnego powodu. I że zaraz ten powód usłyszę.

- Przy ofercie znaleziono bilet lotniczy – dodał Gómez. – Dwa dni wcześniej facet przyleciał do Phoenix.

- Skąd?

Mój głos był słaby, prawie się załamywał. Wiedziałam bowiem doskonale, jak będzie brzmiała odpowiedź.

- Z lotniska Bradley – odparł Carlos. – W Hartford, Connecticut.

Potrzebowałam wytchnienia, ale nie mogłam znaleźć niczego, co by mi go dostarczyło. Próbowałam słuchać muzyki, spacerować po Asylum Hill, czytać coś, oglądać, rozmawiać z dziadkiem – na nic się to nie zdawało.

Kiedy kładłam się do łóżka, był środek nocy, a myśli poruszały się w mojej głowie z prędkością pojazdów na torze Formuły 1. Czułam się ogłuszona, otumaniona i pozbawiona jakiegokolwiek koła ratunkowego.

Wiedziałam tylko, że muszę być sama.

Nie odbierałam telefonów od nieznanych numerów, które ani chybi należały do Cass, Rebekki, Ryana lub Tysona. Któreś z nich musiało wydebić od Graysona mój numer, on sam jednak się nie odzywał.

Carlosa przeprosiłam, a on zrozumiał – po prawdzie nawet więcej, niż mu zakomunikowałam. Zaproponowałam mu bowiem, by zatrzymał się u mnie i Prodziekana, ale szybko zbył to zapewnieniem, że ma już pokój w jakimś motelu.

Byłam mu wdzięczna, bo nie potrafiłam odnaleźć się w relacji sama z sobą – co dopiero z innymi.

Przez godzinę próbowałam usnąć, po czym ostatecznie zrezygnowałam. Trudno, zostanę insomniaczką. Przecież ludzie z bezsennością jakoś żyją, prawda? Pamiętałam, że rekord należał do jakiegoś siedemnastolatka, który kiedyś pociągnął bez snu jedenaście dni i dwadzieścia pięć minut. Przez ludzi w moim wieku był jednak kojarzony głównie z jakichś występów w mediach, gdzie pojawiał się już jako dorosły człowiek, zawsze z kawą i podkrążonymi oczami.

Zeszłam na dół i usiadłam w ciemnej kuchni, wsłuchując się we wszechogarniającą ciszę. Nie przynosiła żadnej ulgi, bo myśli w mojej głowie rozbrzmiewały tak głośno, że wpychały mnie w obezwładniającą kakofonię.

Straciłam nawet poczucie czasu i przegapiłam moment, kiedy noc przeszła w rano.

Obserwowałam, jak budzi się dzień, ale miałam wrażenie, że ciemność nie znika – przyczają się gdzieś, zawsze obecna. Zbierałam pierwsze okrucy światła jak ta dziewczyna z piosenki Pepecali, próbując utkać z nich choć namiastkę wytchnienia.

Zajęłam się przygotowaniem śniadania, a kiedy dziadek wszedł do kuchni, miałam po raz pierwszy okazję zobaczyć go bez maski, którą narzucał na mój użytek. Dostrzegłam ból i cierpienie w jego oczach. Pustkę spowodowaną stratą, z którą nigdy się nie pogodził.

Ledwo jednak mnie zobaczył, przywdział swój zwyczajowy, praktycznie pozbawiony emocji wyraz twarzy. Zupełnie jakby dwa tygodnie temu nie stracił córki.

– Czy ty nie spałaś? – zapytał.

– Niespecjalnie.

- W takim razie spróbuj może...

- Nie uda się - ucięłam.

Obawiałam się, że ta konwersacja tak szybko się nie skończy, ale Prodziekan pokiwał tylko głową, a potem powiódł wzrokiem po obrazie nędzy i rozpaczy stworzonym przeze mnie na kuchennym blacie.

- Przygotowałam śniadanie - oznajmiłam.

Zerknął niepewnie na rozwalone tosty i gofry, i wszystko, co z powinno znajdować się na nich, ale jakimś sposobem tam nie trafiło.

- Powinieneś naostrzyć nóż do chleba - oznajmiłam.

- I dodatkowo zamontować celownik laserowy w kilku opakowaniach?

Wskazał wzrokiem pojemnik z polewą czekoladową i słoik z masłem orzechowym. Odpowiedziałam mu milczeniem, po czym oboje zasiedliśmy do stołu. Tosty lekko przypaliłam, gofry chyba należało poddać jakiejś obróbce termicznej, ale przypuszczałam, że są też jadalne bez tego.

- I jak? - spytałam.

- Pozostaniemy może przy tym, że ja przygotowuję śniadania, a ty w tym czasie śpisz.

- Okej.

Dziadek przez chwilę przeżuwał w milczeniu, a po jego minie wniosłam, że nie jest największym fanem śniadań na słodko.

- Jak wczorajsza rozmowa? - zapytał, kiedy przeżuł do końca.

- Z Carlosem?

- O ile wiem, z nikim innym nie rozmawiałas.

- No tak. Ale gram na czas.

- Zatem przestań.

Skinęłam niechętnie głową. Właściwie nie wiedziałam, co mogę powiedzieć Prodziekanowi. Zakładałam, że nie śledzi newsów z Prescott, więc nie ma pojęcia o tym, co stało się przy 6th Street. W ogólnokrajowych wiadomościach nie było o tym słowa - co w gruncie rzeczy prowadziło do dość dojmującego wniosku, że takie rzeczy są po prostu na porządku dziennym w całym kraju. Nikt nie poświęci śmierci jakiegos anonimowego faceta choćby artykułu, wiedząc, że ten nie będzie się klikał.

- To wszystko trochę mnie przerasta - powiedziałam.

- Nic dziwnego.

- Ale dam sobie radę.

Dziadek smutno się uśmiechnął.

- Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości - zapewnił. - Chciałbym jedynie jakoś pomóc, ale...

- Poradzę sobie.

- Gdybyś jednakże czegokolwiek potrzebowała...

- To będziesz pierwszym, do którego się zgłoszę.

Chciał coś odpowiedzieć, ale dalszej wymianie rodzinnych uprzejmości zapobiegł dźwięk przychodzącego na moją komórkę esemesa. Sięgnęłam po nią z przekonaniem, że to Joyce.

Najwyższa pora. Najwyraźniej potrzebował więcej czasu niż inni, żeby zebrać myśli, ale koniec końców uznał, że nie może milczeć. Pierwsza zasada każdej tego typu relacji mówiła przecieź, że kiedy dziewczyna każe ci spierdalać, powinieś za coś przeprosić.

Wiadomość pochodziła jednak nie od Graysona, ale od Carlosa. Właściwie dopiero wtedy przypomniałam sobie, że kiedy się wczoraj żegnaliśmy, dałam mu swój numer.

Nie zadbał o to, bym miała wiele do czytania. Cały przekaz ograniczał się do informacji, że przypomniało mu się coś jeszcze, ale nie wie, czy to w ogóle będzie przydatne.

Wybrałam jego numer bez większej nadziei na przełom. Cokolwiek wyłowil z pamięci, nie mogło to w żaden sposób pomóc w ustaleniu, co wydarzyło się w tamtym pubie.

- Hej ty - rzucił na powitanie.

- Hej ty - odparłam, wychodząc z założenia, że to jakieś nasze wieloletnie powitanie. - Co dla mnie masz?

- W sumie to nic takiego, ale pomyślałem, że może powinnaś znać nawet te najmniej istotne pierdoły.

- Śmiało - ponagliłam go. - Zwolniło mi się trochę miejsca w pamięci, chętnie przyjmę nowy *content*.

Nie zaśmiał się, nie parsknął, nawet nie wypuścił powietrza nosem, jak to czasem się dzieje, kiedy człowiek jest lekko rozbawiony. Najwyraźniej traktował moją sytuację znacznie poważniej niż ja sama.

- Oprócz tego biletu przy tamtym facecie znaleziono coś jeszcze - oznajmił.

- Co? - spytałam od razu. - I czemu mi o tym nie powiedziałaś?

- Bo to jakaś bzdura i...

- Od teraz ja będę decydować, co jest bzdurą, a co nie - ucięłam. - Jasne, żołnierzu?

- Jasne.

- W takim razie raportuj.

Usłyszałam, jak Gomie szybko nabiera tchu, zupełnie jakby ten ton kategorycznego dowódcy wyzwolił w nim jakąś zaprogramowaną reakcję.

- Więc oprócz biletu gość miał w kieszeniach poupychane jakieś śmieci, paragony z lotniska Phoenix, rachunki ze stacji benzynowych i tak dalej.

- Faktycznie, mało pomocne.

- Policjanci znaleźli też żółtą kartkę samoprzylepną, najwyraźniej skądś usuniętą, bo na kleju były ślady świadczące o tym, że oderwano ją od...

- Coś na niej było?

- Tak - odparł Carlos. - Jakiś niewielki symbol.

Symbol?

Umysł od razu podsunął mi tylko jedno.

Ale nie, to niemożliwe.

- Jaki symbol? - rzuciłam szybko.

- Puste w środku koło, a pod nim pozioma linia.

Próbowałam jakoś pozbierać to wszystko i połączyć w logiczną całość, ale poległam już na samym początku. Mój zmęczony, wołający o sen umysł odmawiał posłuszeństwa i nie zanościło się na to, by nawet litr kawy mógł pomóc.

Po kolei, powiedziałam sobie w głowie.

Przylatuję do Hartford, mam wypadek, budzę się w szpitalu, gdzie jakiś chłopak mówi mi o kasecie Pepecali.

W Prescott odnajdują się zwłoki faceta, z którego śmiercią mogłam mieć coś wspólnego i który ma w kieszeni takie samo logo jak kaseeta Pepecali.

I takie samo jak to, które widniało na moście jako wskazówka.

Nie miałam innego wyjścia – jeśli zamierzałam się czegokolwiek dowiedzieć, musiałam za nią podążyć.

Szczęśliwie miałam na podorędziu kogoś, kto doskonale znał miasto. I kto może pomóc mi w dojeździe do tego, co oznaczały wersy drugiej piosenki.

Zastałam Prodziekana w korytarzu, przygotowującego się do wyjścia. Miał już przerzuconą przez ramię swoją akademicką torbę i podnosił właśnie klucze z szafki.

– Czy czegoś potrzebujesz? – spytał, widząc, z jakim zawzięciem zeszałam po schodach.

– Tak.

Naraz się rozpromienił, jakby od dawna tylko czekał na to, by mi w jakiś sposób pomóc.

– Muszę znaleźć pewien adres – oznajmiłam.

– Adres?

– W Upper Albany.

Dziadek zdawał się nieco zdziwiony faktem, że wiem, jak nazywa się jedna z północnych dzielnic Hartford.

– Ale czego konkretnie tam szukasz?

Przypomniałam sobie dziewczynę z kawałka Pepecali, która po kłótni idzie tam, gdzie wszystkiego się nauczyła. Do miejsca porzuconego dziewięć lat wcześniej. Siada na poddaszu, przy oknie, i myśli o swoim ukochanym. I o tym, że nosi rany w kształcie jego słów.

– Budynku, który stoi opuszczony od siedemdziesiątego ósmego.

– Słucham?

– Takiego, w którym kobieta mogłaby wszystkiego się nauczyć.

– O czym ty mówisz?

Wzruszyłam ramionami w najbardziej niewinny sposób, w jaki tylko umiałam.

– Szukam hasła do krzyżówki.

Prodziekan zmierzył mnie wzrokiem typowego wykładowcy, który jeszcze przed chwilą łudził się, że student przyszedł na egzamin przygotowany.

- Czy ty sobie ze mnie drwisz? – rzucił.

- Staram się nie.

- W takim razie...

- Po prostu muszę znaleźć to miejsce – uciełam. – Kojarzysz coś takiego?

- Być może skojarzę, jeśli wyjaśnisz mi, o co chodzi.

- To taki projekt.

- Jaki?

- W którym możesz wziąć udział, jeśli zamiast zadawać pytania, będziesz udzielać odpowiedzi.

Dziadek wydał usta i pokręcił głową, jakby nie miał zamiaru pomagać. Widziałam już jednak, że mimowolnie zaczyna myśleć o tym, co powiedziałam. Jego chwilowe milczenie potwierdzało, że się zastanawia.

- Cóż...

- Tak?

- Nie jestem nader biegły w historii Upper Albany – podjął. – Ale znam kogoś, kto mógłby pomóc.

- Możesz się z nim skontaktować?

- Właściwie to kobieta – odparł i chrząknął niepewnie. – Też wykłada na Trinity.

- Oho...

Prodziekan udawał, że nie usłyszał, ale ja nie miałam zamiaru odpuszczać.

- Czyżby coś było na rzeczy? – spytałam.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- O tym, że twój głos nagle się zmienił.

- Nic takiego nie miało miejsca.

- W dodatku zaczynasz się robić defensywny.

- Nie zaczynam.

Zrobiłam krok w kierunku dziadka.

- Masz jej numer? – zapytałam.

- Owszem, ale...

- To zrób coś dla swojej wnuczki i zadzwoń do tej miłej pani.

Mruknął coś niezrozumiałego, ale ostatecznie postawił torbę na szafce z butami, a potem przez moment wygrzebywał komórkę.

- Wiesz, że masz tam przegródki? – podsunęłam.

- Daj mi święty spokój.

W końcu wyłowił telefon i z pewnym wahaniem wybrał numer. Ledwo usłyszał głos tej kobiety w słuchawce, lekko się rozpromienił. Miło było to zobaczyć, choć jednocześnie uświadomiłam sobie, jak rzadko mam okazję oglądać taki widok.

Dziadek z grubsza przedstawił rozmówczyni, w czym rzecz, a potem przełączył na głośnik i umieścił komórkę między nami.

- Mary, mamy moją wnuczkę na linii – oznajmił.

- Dzień dobry, drogie dziecko - odezwała się ciepłym, uprzejmym głosem kobieta. - Jak się trzymasz?

- Całkiem nieźle.

Pomijając fakt, że zdecydowana większość ludzi, którą znałam, najwyraźniej mnie oszukiwała. I że symbol Pepecali jakimś cudem znalazł się w Arizonie, zanim ja w ogóle dotarłam do Connecticut.

- Ale będę trzymać się jeszcze lepiej, jeśli się okaże, że mogłaby pani pomóc.

- Tak, twój dziadek mówił... - odparła Mary i na moment zawiesiła głos. - Ale takich opuszczonych budynków w Hartford jest niestety zatrwająco dużo. Nie bez powodu plasujemy się na samej górze w rankingach najuboższych miast Ameryki.

- Tak, ale...

- Mnóstwo jest w tej chwili zagrożonych zawaleniem - ciągnęła kobieta. - Jak dawny browar przy Albany Avenue, wzniesiony w 1870 roku. Szkoła z 1927 roku przy Clifford Street, wiktoriańska kaplica z dziewiętnastego wieku przy Ward Street, dawna fabryka maszyn do pisania przy Francis Avenue, plebania przy Clark Street...

- Tak, ale zawęziłam obszar poszukiwań do Upper Albany - przerwałam jej, bo wydawało mi się, że będzie tak wymieniać bez końca.

Chwilowe milczenie.

- To pewne ułatwienie - zauważyła kobieta. - Nadal jednak jest tam sporo takich budynków. Dawny kościół z początku dwudziestego wieku przy Albany Avenue, szkoła przy tej samej ulicy z 1891 lub...

- Szkoła? - przerwałam jej. - Jaka szkoła?

Poczułam nadzieję tak dużą, że aż irracjonalną. Miejsce, w którym ta dziewczyna wszystkiego się nauczyła. To mogło być to.

- North-West School - oznajmiła Mary. - Jakiś czas temu były plany, by ją wyremontować, a potem wznowić działalność, ale budżet miasta na to nie pozwolił. Zamiast tego poczyniono jakieś prace stabilizacyjne, by budynek się nie zawalił. Został zaprojektowany przez firmę architektów Cooka i Hapgooda, wzniesiony przez Watsona H. Blissa, a...

- W którym roku przestano go używać?

- O ile pamiętam... chyba w 1978.

- Dziewięć lat przed tym, jak wyszła kasetka.

Właściwie nie zdawałam sobie nawet sprawy z tego, że powiedziałam to na głos.

- Wszystko się zgadza - dodałam znów do siebie.

- Aspen? - spytał dziadek.

Machnęłam ręką, bo nie miałam zamiaru wtajemniczać ani jego, ani tej kobiety. Zasadniczo nikogo. To było coś, co musiałam zrobić sama.

- Gdzie jest ta szkoła? - spytałam.

- Przy 1240 Albany Avenue. Ale nie można tam wchodzić, cały teren jest ogrodzony, a budynek zabezpieczony.

- Jasne.

Zanim którekolwiek z nich zdążyło dodać coś jeszcze, podziękowałam, a potem wbiegłam po schodach na górę. Szybko się ubrałam, zabrałam najpotrzebniejsze rzeczy i wyszłam z domu.

Nie znałam tutejszej komunikacji miejskiej, ale przypuszczałam, że dostanę się do Upper Albany bez większych problemów.

Poniewczasie uprzytomniłam sobie jednak, że jestem zdana na fizyczne rozkłady jazdy, które niewiele mi mówiły – mój telefon w porywach mógł zaproponować mi pogranie w wężyka.

Pozostał mi najbardziej tradycyjny sposób, to jest zaczepienie kogoś, kto wygląda na miejscowego. Stałam na skrzyżowaniu Laurel z Farmington Avenue, gdzie miał miejsce wypadek, który praktycznie odebrał mi życie, i zaczęłam się rozglądać.

W końcu spytałam starszą kobietę, która wychodziła z Green Apple, chyba najpopularniejszego sklepu osiedlowego w okolicy.

– To dość niedaleko – oznajmiła. – Z przystanku przy skrzyżowaniu Asylum z Opp Gillett dojedziesz tam w kilka minut linią sto sześćdziesiąt jeden.

Dopiero po chwili zorientowała się, że nie wiem, gdzie mieści się ten przystanek, i wskazała mi odpowiedni kierunek. Miała rację, dostanie się na miejsce nie nastąpiło mi wielkich problemów.

Wsiadłam z autobusu praktycznie pod samą szkołą, po czym powiodłam wzrokiem po ceglanym budynku, który nie sprawiał wrażenia specjalnie zaniedbanego. Zapowiedzi Mary o tym, że jest zabezpieczony przed wejściem, też okazały się nieco na wyrost.

Owszem, teren był ogrodzony płotem, ale ten chylił się tak mocno, że wystarczyło lekko popchnąć w jednym miejscu, a można było bez trudu wejść do środka. Wszystkie okna w budynku były jednak zasłonięte i pożałowałam, że nie wzięłam żadnej latarki. Albo że nie nabyłam telefonu, którym mogłabym sobie poświecić.

Mimo to poczekałam, aż w okolicy nie będzie żadnych ciekawskich oczu, a potem przedarłam się przez ogrodzenie.

Same drzwi niestety były zabezpieczone przed każdym, kto chciałby uczynić sobie z tego miejsca squat lub przejrzeć, czy nie zostały tutaj żadne co cenniejsze przedmioty. Obeszłam jednak budynek i przekonałam się, że tylne wejście jest tylko pozornie zamknięte.

Wystarczyło pociągnąć za klamkę.

Ze środka od razu uderzył we mnie zapach stęchlizny i starego drewna. Ogółem jednak pachniało znacznie lepiej, niż się spodziewałam.

W środku nadal było mnóstwo rzeczy – krzeseł, biurek, jakichś stołów. Nie wyglądały, jakby pochodziły z końcówki lat siedemdziesiątych. Zdawały się też nie pasować do szkoły, kojarzyły mi się raczej z biurem.

Ruszyłam schodami na górę, pamiętając, że dziewczyna, o której śpiewał José Alcalá, zaszła się gdzieś na poddaszu.

Ledwo weszłam na piętro, zrozumiałam, dlaczego tylne drzwi były otwarte.

Ktoś sforsował je, zanim się tu dostałam.

I tym kimś był Grayson Joyce.

- Co ty tu robisz? - rzucił, stojąc na środku korytarza.

Zdałam sobie sprawę, że słyszał zbliżające się kroki i najwyraźniej spodziewał się, że to ja, na jego twarzy bowiem nie było żadnego zdziwienia.

- A jak myślisz? - odparłam.
- Że powinnaś mieć lepsze rzeczy do roboty.
- Najwyraźniej nie mam.
- Bo?

Powinłam choćby się zawahać przed udzieleniem tej odpowiedzi. Pewnie nawet powinłam rozważyć, czy w ogóle chcę prowadzić jakąkolwiek rozmowę z tym człowiekiem. Słowa jednak same wydobywały się z moich ust, jakby tylko czekały na Joyce'a.

- Bo... no cóż, pamiętasz tego faceta zamordowanego w Prescott?
- Raczej trudno o nim zapomnieć.
- Znaleziono przy nim symbol Pepecali.
- Że co?

- Miał przy sobie żółtą kartkę samoprzylepną z okręgiem i poziomą linią pod nim.

Grayson otworzył usta, ale nie wyglądało na to, by miał zamiar się odezwać. Przynajmniej przez moment.

- To pojebane - rzucił w końcu.
- Lepiej bym tego nie ujęła.
- Czyli... - zaczął. - Wiedziałaś o José Alcali jeszcze przed wyjazdem?
- A bo ja wiem?

Skinął głową, jakby dopiero uświadomił sobie, że nie mam żadnego sposobu, by znaleźć odpowiedź na to pytanie. Wszystkie były zamknięte w mojej głowie równie szczelnie, jak na tych urządzeniach, które nie chciały dać mi do siebie dostępu.

- Najwyraźniej jednak miałam z nim jakiś związek, zanim w ogóle się pojawiłeś w moim życiu - dodałam.

- To niemożliwe.

- Powiedziało pół kraju, kiedy Trump ogłosił, że zostanie prezydentem - odparłam pod nosem. - A potem proszę.

Joyce zbliżył się do mnie o krok, ale natychmiast się odsunęłam. Milczeliśmy, patrząc sobie w oczy, niepewni co do samych siebie i osoby stojącej naprzeciw. Próbowaliśmy przekonać moje serce, żeby nie biło tak szybko. Że nie ma ku temu powodu, wprost przeciwnie - Grayson nie zasługiwał na to, by cokolwiek do niego czuć.

Prawda była jednak inna niż moje życzeniowe myślenie.

Wzrok Joyce'a mnie destabilizował, a głos wprawiał w dygot.

Nie potrafiłam skupić się na tym, co powinno mieć w tej chwili znaczenie, dając się ponieść jakimś fali, która pojawiła się znikąd i w absolutnie brutalny sposób mnie porwała.

Musiałam się odezwać, musiałam sprowadzić tę sytuację na właściwe tory. Przyjechałam tutaj w określonym celu, z którego nie miałam zamiaru tłumaczyć się przed Graysonem. Wszystko inne było bez znaczenia. Chciałam znaleźć kolejną wskazówkę, a potem jak najszybciej się stąd zmyć.

Potrzebowałam jej, potrzebowałam dotrzeć na sam koniec drogi wytyczonej przez Pepecalę.

Liczyłam na to, że to da mi jakieś odpowiedzi. A jeśli nie, będzie bezcenną walutą, której będę mogła użyć.

José Antonio Alcalá Fernández żył. Siedział w więzieniu. Mogłam się z nim skonfrontować i wywiedzieć, jakie ma na mój temat informacje. Zakładałam jednak, że nie przedstawi mi ich dobrowolnie, a ja nie będę miała żadnego sposobu, by wymusić na nim współpracę.

Chyba że zjawię się tam z rozwiązaniem tych zagadek, które umieścił na kasecie. Nie miałam bowiem wątpliwości, że prowadzą do czegoś istotnego. Czegoś, na czym zależało mu tak bardzo, by zadać sobie trud z wyjątkowo przemyślnym ukryciem tego.

Wtedy będzie musiał nie tylko ze mną porozmawiać, ale też przedstawić wszystko, co ma jakikolwiek związek ze mną i z moją matką.

Do tego potrzebowałam jednak kolejnych tropów z kaset. I skupienia się wyłącznie na celu. Odpuszczenia wątków prywatnych i nierozgrzebywania tego, co zaszło między Joyce'em a mną.

Od teraz zero poruszania spraw osobistych. Nie będę wracać do tego, co było.

- Dlaczego mnie okłamałeś? - rzuciłam ostro.

Przeklełam się w duchu praktycznie od razu.

- Co chciałeś w ten sposób osiągnąć? - dodałam, ani myśląc o zostawieniu mu czasu na odpowiedź. - Wydawało ci się, że jak przedstawiś mi łzawą historyjkę, chętniej pomogę odnaleźć Pepecalę?

- Tak.

Zaskoczyło mnie to, z jaką łatwością przyszło mu najzwyczajniejsze w świecie potwierdzenie.

Tym razem to ja zbliżyłam się do niego, a on doskonale dostrzegał moją gotowość do konfrontacji. Mimo to milczał, tym samym stawiając mnie na z góry przegranej pozycji.

- Nie mogłeś powiedzieć prawdy?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo nigdy byś mi nie pomogła.

Zmrużyłam oczy, jakbym nagle poznała jakiś magiczny sposób skanowania ludzkich umysłów. Ten należący do stojącego przede mną chłopaka był dla mnie jednak całkowicie nieprzenikniony.

- Jezus Maria, Joyce - mruknęłam. - Gdybyś był książką, to co najmniej dwutomówką.

- Co?

- Nie sposób cię poznać w krótszym czasie.

Na jego twarzy znów pojawiło się to charakterystyczne preludium uśmiechu. Znikło jednak, nim mogłam na dobre mu się przyjrzeć.

Powiedziałam wzrokiem po opuszczonym korytarzu, w którym się znajdowaliśmy, a potem oparłam się plecami o ścianę. Będę cała ubabrana gromadzącym się tu od kilkadziesiąt lat brudem, ale nie miało to dla mnie najmniejszego znaczenia.

- Dlaczego mówisz, że bym ci nie pomogła? - spytałam.

Grayson ostrożnie do mnie podszedł, a potem zajął miejsce obok. Zamiast jednak podierać się tylko plecami, podciągnął kolano i przyłożył but do ściany. Westchnął głęboko, a potem zwiesił głowę.

- Nie kłamałam, mówiąc o wolontariacie w schronisku - odezwał się.

Rzuciłam mu krótkie spojrzenie.

- To jest dla ciebie najbardziej nagłąca sprawa do sprostowania? - mruknęłam.

- No wiesz...

- Nie.

- Byłbym monstrualnym dupkiem, gdyby się okazało, że ściemniam w takich sprawach.

- I tak jesteś.

- Fakt - przyznał i zakaszał cicho. - W każdym razie pracowałem tam, ale Pepecalá nigdy do nas nie przychodził.

- Był w ogóle bezdomny?

- Nie - odparł ciężko Grayson.

Oczywiście, tyle powinnam była sama się domyślić.

- A ta historia z żoną i dziećmi? Z pożarem?

- To niestety prawda.

Akurat w tym wypadku rzeczywiście wołałabym, żeby się z nią minął.

- Dobra... - odezwałam się. - To co działo się z nim po tej tragedii?

- Nie wiem.

Za te szczątkowe odpowiedzi miałam ochotę dzielić go po łbie. Uświadomiłam sobie jednak, że to nie żadna zawczasu ustalona strategia, która miała sprawić, że to ja będę stroną aktywną, dopytującą, a Joyce wyjdzie na łaskawie udzielającego informacje. Po prostu taki był.

- To skąd w ogóle go znasz? - zapytałam, uznając, że ugryzę to od tej strony.

- Mówiłem ci, nigdy go nie spotkałem.

- Więc słyszałeś o nim?

- Mhm.

- Od kogo? I w jakich okolicznościach?

Grayson spojrział na mnie minorowym wzrokiem, a ja miałam trudności z rozszyfrowaniem, skąd bierze się ten smutek.

- To miejska legenda - rzucił.

- Co jest miejską legendą?

- Pepecalá.

- Joyce, kurwa mać... zaraz ty staniesz się tylko legendą.

Uniósł lekko rękę, chyba dopiero teraz orientując się, że od początku czekam na więcej szczegółów, które pomogą mi przesądzić, czy powinnam choćby minimalnie mu ufać.

Choć właściwie sam fakt, że pozwalałam mu się tłumaczyć i przyjmowałam te wyjaśnienia, mówił sam za siebie. Wychodziło na to, że jestem stanowczo zbyt wyrozumiała. Szczególnie dla tego typu facetów.

- Od wielu lat mówiło się na ulicy, że jest jakaś ogromna kasa, którą skitral typ siedzący teraz w więzieniu - podjął. - Miał ukryć ją na tyle dobrze, że nikt nigdy nie trafił na jej trop.

- Kasa? - jęknęłam. - O to tu chodzi?

Teraz chyba zrozumiałam, z czego wynikało to przybicie. Był podminowany tym, w jakim świetle zobaczą jego prawdziwe motywacje.

- Mówiło się, że Pepecalá ukrył cały ten hajs jeszcze przed pożarem - dodał Joyce. - Że chciał zostawić go dla swoich dzieci czy coś.

- Ale...

- Do tego celu nagrał kilka kawałków, a potem wydał samodzielnie jako EP-kę. Nikt miał o tym nie wiedzieć poza jego żoną i dziećmi, kiedy dorosną. Ale najwyraźniej José wygadał się komuś, ten ktoś jeszcze innej osobie i po mieście poszła fama, że jest mnóstwo kasy do odnalezienia w miejscu, które Pepecalá zakodował na swojej kasecie.

Zamknęłam oczy i opuściłam głowę. Czułam się pokonana. Życiem, współczesnym światem i tym, co go napędza.

- Przez lata nikt nie mógł jej namierzyć - dodał Grayson. - Ludzie sprawdzali jakieś wytwórnie, szukali pierwotnego nagrania, ale José najwyraźniej dobrze opłacił tych, którzy przy tym pracowali. Nic się nie ostało.

- Więc w pewnym momencie wpadłeś na pomysł, że ta kasetka może być w szpitalu, do którego trafił po pożarze?

Sformułowałam to jako pytanie, ale oboje wiedzieliśmy, że Joyce tak naprawdę nie musi odpowiadać.

- Wiedziałem, że nikt mnie tam nie wpuści - odezwał się po chwili.

- Ano nie. Bo twoja wersja ze schroniskiem i szlachetnymi poszukiwaniami bezdomnego upadłaby, gdyby tylko ktoś sprawdził dokumenty.

Może nawet wcześniej, dodałam w duchu. Bo jaki dureń uwierzyłby w taką historyjkę?

Cóż, ten dureń właśnie się nad tym zastanawiał.

- Szukaliśmy wcześniej też w innych miejscach... - dodał Joyce.

- My?

- W sensie ja, Cass, Becca, Tyson i Ryan.

- No tak.

- Poruszyliśmy kilka gałęzi za dużo - powiedział Grayson. - Spadło z nich parę problemów.

- Dłatego jedno z was zginęło? Tamta dziewczyna?

Joyce nagle odwrócił głowę, jakby tylko dzięki temu mógł utrzymać swoją zwyczajową równowagę emocjonalną.

- Tak - przyznał. - Za bardzo zbliżyliśmy się do tego, czego szukało wielu innych.

- Okej...

- Uruchomiliśmy kilka lampek ostrzegawczych, staliśmy się obiektem zainteresowania paru nieciekawych osób.

- I co konkretnie się stało?

Pokręciłam głową, jakby nie był gotowy do tego wracać. Akurat w tej sprawie nie zamierzałam naciskać. Nie miała żadnego związku z tym, co chciałam ustalić.

Grayson spojrział na mnie w sposób, który jasno sugerował, że obawia się dalszego dopytywania.

- Mniejsza z tym – dodałam, po czym na moment się zamyśliłam. – Ale zdajesz sobie sprawę, że od początku mogłeś powiedzieć prawdę?

- Nigdy byś nie chciała nawet ze mną gadać.

Rozłożyłam ręce z nadzieją, że to dostatecznie wymowny gest.

- Z kim innym niby miałabym gadać? Kiedy się obudziłam, znałam tylko ciebie.

- Mimo wszystko...

- Trzeba było powiedzieć co i jak.

- Że szukam kasy? Że tylko o to chodzi? Daj spokój.

Był absolutnie przekonany, że stanęłabym na jakimś moralnym podeście i spojrziała na niego z góry. Po prawdzie nie miałam stuprocentowej pewności, czy tak by nie było. Wątpiłam jednak, by przeszkodziło mi to w rozwijaniu znajomości z Joyce'em.

- Na pewno doceniłabym szczerść bardziej niż kłamstwo – zauważyłam.

- Po czasie pewnie tak. Ale wątpię, żebyś mi go dała na kredyt.

- Teraz tak czy siak trochę go upłynęło – skwitowałam. – Więc od tej pory tylko prawda.

Znów na mnie zerknął i już miał odwrócić oczy, kiedy coś zatrzymało jego wzrok.

- Czyli przewidujesz drugą kadencję tej relacji? – spytał.

- Warunkową. Jedno małe kłamstwo i koniec, jasne?

- Jasne – odparł Grayson. – Ale ten twój rzekomy chłopak nie będzie zadowolony.

- Carlos.

- Jego imię mi do szczęścia niepotrzebne.

- Ano nie – przyznałam. – Potrzebna ci za to fura kasy niewiadomego pochodzenia, za którą jesteś gotów okłamać nawet dziewczynę w szpitalu, która obudziła się bez pamięci.

Joyce teatralnie się rozejrzał, jakby chciał zasugerować, że szuka drogi ucieczki.

- Długo będziesz mi to wypominać? – spytał.

- Do końca życia.

- Świetnie.

Grayson chciał dodać coś jeszcze, ale z jakiegoś powodu się rozmyślił. Dopiero kiedy ponagliłam go spojrzeniem, nabrał tchu.

- Nie zapytałaś, po co mi cały ten hajs.

- Bo nie musiałam.

- Mhm...

- Mieszkaś z pewnością półlegalnie, a może całkiem nielegalnie w budynku, który z zewnątrz wygląda gorzej niż ten. Ewidentnie obracasz się w złym towarzystwie, Bóg jeden wie czym się trudniąc, bo inaczej nie stać byłoby cię na to porsche 924.

- Kupiłem za bezcen i sam odnowiłem.

- Mimo wszystko.

- To auto było w drodze na szrot.

- Mimo wszystko – powtórzyłam z emfazą. – Wyglądasz na kogoś, kto chciałby się wyrwać z tego świata. A ta kasa ma ci to umożliwić.

Zwlekał z odpowiedzią, ale przecież jej nie potrzebowałam. Miałam świadomość, że nie chce się bogacić, by kupować te wszystkie rzeczy, na które dotychczas nie mógł sobie pozwolić. Chciał normalnego życia.

- Nie myśl sobie tylko, że to wszystko zmienia – powiedziałam.

- Nawet mi to przez głowę nie przeszło.

- Bardzo dobrze. Bo nie zamierzam zapomnieć, jak kłamliwym gnojem jesteś.

- Okej.

Powiodłam wzrokiem w kierunku schodów, uznając, że im prędzej sprawdzimy to miejsce, tym lepiej. Napełniało mnie pewnym niepokojem, poza tym miałam wrażenie, że ktoś zaraz się tu zjawi i odpowiemy za bezprawne wtargnięcie na teren posesji.

- Idziemy? – spytałam.

- Na strych?

- Mhm.

- Byłem tam już – odparł Joyce. – I niczego pomocnego nie znalazłem.

- Bo nie wiesz, czego szukać.

- To mnie oświeć.

Właściwie nie musiałam nawet przypominać sobie, co było w trzecim kawałku na EP-ce Pepecali. Wzięłam jednak przykład z Graysona i postanowiłam nie dzielić się wszystkim od razu.

Ruszyłam schodami w górę, kątem oka odnotowując jeszcze, że w sali obok również znajdowały się jakieś biurka i szafki na dokumenty.

- Ten budynek w ogóle nie wygląda jak porzucona szkoła – zauważyłam.

- Bo nią nie jest.

- Nie?

- To znaczy był, kiedy Pepecalá pisał swoją piosenkę – sprostował Joyce. – Ale potem zaanektowało go miejskie kuratorium oświaty i urzędowało w nim aż do dziewięćdziesiątego siódmego. Od tamtej pory znów stoi pusty.

- Widzę, że zresearchowałaś temat.

- Nie miałem innego wyjścia.

W jego głosie pobrzmiiała nuta żalu sugerująca, że beze mnie nie szło mu najlepiej.

- Miałem za to pewne problemy z przetłumaczeniem trzeciego kawałka.

- To trzeba było puścić go komukolwiek, kto mówi po hiszpańsku – podsunęłam, po czym teatralnie przechyliłam głowę na bok, jakby uderzyła mnie jakaś refleksja. – A nie, sorry, nie

mogłeś tego zrobić, bo zachodziłoby niebezpieczeństwo, że ten ktoś poślakami się na kasę.

Grayson skwitował to milczeniem.

- Musiałbyś znaleźć kolejną zasadniczo bezbronną dziewczynę w szpitalu, która łyknęłaby tę historyjkę.

- Dasz spokój?

- Nie – odparłam, docierając na górę.

Obejrzałam się przez ramię, by posłać mu długie, potwierdzające moje słowa spojrzenie. W dającej się przewidzieć przyszłości zamierzałam ustawicznie przypominać mu, czego się dopuścił.

I sama o tym nie zapominać.

- To jaka wskazówka jest w tej piosence? – spytał.

- Powiem ci, jak ją zobaczę.

- Nie możesz wcześniej?

- Mogę – przyznałam. – Po prostu nie chcę.

- Wakefield...

- No dobra, dobra – ugięłam się. – Tak naprawdę sama nie wiem. W trzecim kawałku sytuacja między naszymi kochankami jest już oślakana do tego stopnia, że się rozeszli. Żyją osobno, nie odzywają się do siebie i tkwią w oddzielnych od siebie ciszach.

- Nieciekawie.

- Ano nie – przyznałam. – Ona siedzi w domu, nie chce widywać się z nikim. On snuje się po mieście, i jest tam taki fajny fragment...

- Jaki?

Potrzebowałam chwili, by przypomnieć sobie konkretny cytat.

- Łzy wyschły, lecz zostawiły ślady jak koryta dawnych rzek – powiedziałam.

- Fakt, nie najgorsze.

- Ta fraza pojawia się dwa razy, więc zakładam, że ma jakieś znaczenie.

- A ja zakładam, że jest tam coś więcej.

- Tak – przyznałam ciężko. – Podczas gdy ona myśli o nim w domu, on przemierza miasto ścieżkami łez. Mija kościoły i szkoły, wodzi smutnym wzrokiem po dziewiętnastowiecznych budynkach Goodwinów.

- Goodwinów?

Wzruszyłam ramionami, bo mnie też nic to nie mówiło.

- I co jeszcze? – dodał Joyce.

- To wszystko.

- I jak ma nam to niby pomóc?

- A ja wiem?

Rozejrzałam się po strychu, mając wrażenie, że znajdują się tu wszystkie rzeczy, które nie były potrzebne kuratorium po przejęciu tego budynku. Stare biurka, tym razem szkolne, jakieś przybory, podręczniki. Wszystko zdawało się tak przesiąknięte kurzem, że z trudem się tu oddychało.

- Przejrzałeś to wszystko? – spytałam z powątpiewaniem.
- Mniej więcej. Miałem ograniczone zasoby ludzkie.
- No tak – przyznałam. – Gdzie reszta?
- Na wykładach.
- A ty możesz się ot tak zrywać?
- Czemu nie?

Zasadniczo było to całkiem słuszne pytanie. Cały urok nauki w college'u sprowadzał się do tego, że nikt nie sprawdzał obecności na wykładach. Przynajmniej w większości przypadków. A przy dużych grupach prowadzący pewnie nawet nie zauważał, że ktoś systematycznie nie przychodzi.

Grayson wyglądał mi na jedną z takich osób, choć oczywiście mogłam się mylić.

Wciąż chciałam zapytać o tyle rzeczy, dowiedzieć się tylu faktów z jego życia. Utrzymywał, że nie mieszka sam – zatem z kim? I skąd w istocie bierze kasę na college, skoro ledwo wiąże koniec z końcem? O czym mówiła Becca, kiedy twierdziła, że przed związaniem się z Cass był zupełnie innym człowiekiem?

Musiałam wszystkie te kwestie odłożyć na później, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że okoliczności powinny być odpowiednie, by udało mi się czegokolwiek dowiedzieć. Joyce nie mógł liczyć na koło ratunkowe, dzięki któremu mógłby się wykręcić. Teraz miał je na wyciągnięcie ręki.

- Przerzuciłem większość z tych rzeczy – odezwał się. – Nigdzie nie ma niczego z symbolem Pepecali.

- Musi być. Inaczej nie wskazywałby tego miejsca w piosence i napisie pod mostem.
- Może ktoś wyniósł stąd przedmiot, o który chodziło.
- Nie – zaoponowałam od razu.

Joyce spojrział na mnie z zaskoczeniem, jakby nie rozumiał, skąd bierze się tak duża pewność.

- Josę nie zostawiłby tego byle gdzie – wyjaśniłam. – Musiał zadbać o to, by przetrwało dostatecznie długo.

Teraz wydawało się to jeszcze bardziej sensowne niż wcześniej. Facet miał skądś dużą kasę i ewidentnie się obawiał, że ktoś może się na nią poślakować. Chcąc zabezpieczyć dzieciaki, przygotował szereg wskazówek, które miały ich doprowadzić do pieniędzy. Ale musiał zakładać, że miną lata, nim młodzi dorosną na tyle, by ruszyć odpowiednim tropem.

Ani chybi wybrał więc miejsca, w których wskazówki by się ostały. Takie jak filar mostu, którego nikt nie powinien ruszyć.

Ale czy spodziewał się, że minie aż tyle lat? Nie, raczej nie.

Dodatkowo byłam prawie pewna, że zawczasu przygotowałby swoje dzieci. Latami mógłby zostawiać im jakieś dodatkowe tropy, być może zwracać uwagę na odpowiednie passusy w piosenkach. My poruszaliśmy się w zupełnej ciemni.

- Dobra... – rzuciłam, tocząc wzrokiem po strychu. – Co może być tutaj odpowiednikiem filaru mostu?

- Co?

Joyce nie załapał, do czego zmierzam, ale właściwie nie musiał. Uniosłam oczy, uznając, że odpowiedź może być tylko jedna.

- Sprawdźmy belki i stropy - powiedziałam.

- Hm?

- Pepecalá szukałby czegoś... jakiejś skrytki, która pozostałaby nieruszona latami.

Grayson skinął głową, po czym zabraliśmy się do roboty. Sprawdzaliśmy kolejne miejsca z nadzieją, że znajdziemy tam coś więcej niż nikomu niepotrzebne, zapomniane przedmioty.

W końcu trafiliśmy na coś, co odróżniało się od reszty - rozkładającego się gołębia, który najwyraźniej jakimś cudem się tu wkradł, a potem nie potrafił wylecieć.

Poza nim jednak nic nie zwróciło naszej uwagi.

Grayson usiadł na podłodze i sięgnął do plecaka, który musiał wcześniej tu zostawić. Kiedy wyjmował polaroid, dostrzegłam, że przed moim przyjściem zrobił kilka zdjęć. Zanim jednak się nimi zainteresowałam, wyciągnął walkmana.

- Posłuchajmy jeszcze raz - zaproponował.

- Raczej niczego nowego z tego nie wyciągnę, Joyce.

- Może umknął ci jakiś szczegół albo...

- Nie sądzę.

Mimo to usiadłam obok niego i wzięłam walkmana, kiedy mi go podał. Założyłam pałąk ze słuchawkami na głowę, czując, że Grayson patrzy na mnie z rezerwą.

- Co jest? - spytałam.

- Sprawdźmy to razem.

- Przecież gównie rozumiesz.

- Ale może wpadnie mi do głowy coś związanego z melodią, jakimś słowem czy czymś.

Nie byłam w tej materii przesadną optymistką, ale co mi szkodziło? Dopiero po paru sekundach uświadomiłam sobie, że nie mieliśmy jak podzielić się słuchawkami. I zanim się zorientowałam, głowa Joyce znalazła się tuż przy mojej.

- Odchylisz trochę? - spytał.

Mimowolnie spojrzałam w kierunku swojego dekoltu.

- Mam na myśli słuchawkę.

- Tak, wiem.

- Żebym słyszał.

- Jezus Maria, Joyce.

Uniosł lekko dłonie, a w jego oczach błysnęła satysfakcja. Powinno być się tego spodziewać, nie pierwszy raz miałam przecież dość wymowny dowód na to, że Grayson lubił działać mi na nerwy.

- I sam sobie odchył - mruknęłam.

Sięgnął delikatnie do słuchawki, a potem uniosł ją lekko i przyłgnął swoją skronią do mojej. Włączyłam kasetę i zorientowałam się, że José śpiewa drugi kawałek. Przewinęłam nieco w przód, starając się na chybił trafił odnaleźć miejsce, gdzie zaczynała się trzecia piosenka.

W końcu ją znalazłam.

Próbowałam skupić się na melancholijnym zawodzeniu Pepecali, ale bliskość Joyce'a skutecznie mi to uniemożliwiała. Słyszałam słowa, mój umysł jednak nie potrafił przełożyć ich na żaden zrozumiały język.

- Dobra, tak nie dam rady – oznajmiłam.
- Znaczy?
- Dekoncentrujesz mnie.
- Nic nie robię.
- Nie musisz – odparłam.

Odsunął się powoli, patrząc mi w oczy. Po raz pierwszy mogłam wejrzeć w nie z tak bliska i zwyczajnie nie byłam gotowa na to, co się ze mną stanie. Czułam się, jakby wzrok Graysona wysał ze mnie całą energię i całkowicie mnie sobie podporządkował. Był hipnotyczny, ale jednocześnie uspokajający.

Przez chwilę miałam nadzieję, że to będzie trwało bez końca.

Zaraz potem włączyła się racjonalna część mojego umysłu, w której chowali się Cassidy i Gómez. Oni oraz fakt, że Joyce w bezczelny sposób mnie omamił.

Mimo to się nie odsunęłam. Nie potrafiłam.

- Co robisz? – zapytał Grayson.
- Nic. A Ty?
- Też nic.

Wciąż na siebie patrzyliśmy, znajdując się tak blisko, że czułam jego oddech delikatnie muskający moje usta. Mimowolnie się rozchyliły, jakby wbrew mnie zapraszały Joyce'a.

Zanim się zorientowałam, jego dłonie znalazły się przy mojej twarzy. Delikatnie przesunął opuszkami palców po moich skroniach, jakby chciał odgarnąć z nich włosy, ale obawiał się, że w jakiś absurdalny sposób może wyrządzić mi krzywdę.

Nagle zamrugał, jakby wracał do rzeczywistości.

Potem poprawił mi słuchawki, a ja zrozumiałam, że zapewne od początku właśnie o to chodziło.

Oboje natychmiast odwróciliśmy wzrok. Grayson zerknął w kierunku wyjścia, a ja uniosłam oczy, nabierając głęboko tchu.

Wtedy moje spojrzenie padło na belkę stropową, na której znajdowało się dokładnie to, czego szukaliśmy.

- Joyce...

Mój głos był niespodziewanie słaby, a ciało nadal wydawało się jakby zwiotczałe.

- Joyce – powtórzyłam.

Usłyszałam, jak głęboko wzdycha.

- Przepraszam – powiedział. – To było...
- Popatrz na to.

Kiedy obrócił się w moim kierunku, zrozumiał, że nie chodzi mi o to, co przed momentem się wydarzyło. Czy raczej się nie wydarzyło.

Wskazałam mu miejsce, w którym widniały okrąg i pozioma linia poniżej. Symbol Pepecali.

- No niech mnie chuj - rzucił Grayson.

Oboje podnieśliśmy się w jednym momencie, a ja zrobiłam to chyba nieco za szybko, bo zakręciło mi się w głowie. Joyce natychmiast mnie podtrzymał, ale jego dotyk sprawił, że mój błędnik zwariował jeszcze bardziej.

Co tu się działo? Co było ze mną nie tak, że w ten sposób reagowałam na tego faceta?

- Wszystko okej? - spytał.

- Nie wiem...

- Może powinniśmy wyjść na zewnątrz albo chociaż otworzyć okno.

- Nie trzeba.

Nie dodałam, że dopływu powietrza nie odcięły mi okoliczności przyrody, tylko jego bliska obecność. Byłam przekonana, że nie muszę, ale kiedy na niego spojrzałam, wydało mi się, że nie jest tego świadomy.

Wciąż rozbrzmiewało mi jeszcze w głowie jego „przepraszam”.

Skurwysyn. Nie wyraził skruchy ani żalu za nic, co zrobił wcześniej, a teraz zaoferował przeprosiny za to, czego nie zrobił. Nagle poczułam nieodpartą ochotę, żeby mu to wygarnąć.

Grayson jednak był już zajęty tym, po co tutaj przyszliśmy. Podsunął jedno z biurek, sprawdził jego stabilność, a potem postawił na nim krzesło.

- Nie wiem, czy ten pomysł nosi znamiona rozsądnego - zauważyłam.

- Jak potrzy masz, będzie nosił.

Zbliżyłam się i złapałam za nogi chybotliwego krzesła.

- Nie byłabym tego taka pewna - zauważyłam. - Jak rąbniesz, nie mam zamiaru cię łapać.

- A co, wyczerpałaś limit wpadania w objęcia facetów, z którymi tracisz równowagę?

Wgramolił się na stół, a potem posłał mi krótkie spojrzenie, dzięki któremu zreflektowałam się, co ma na myśli. Na dobrą sprawę zapominałam o całej tej sytuacji z Ryanem. I niespieszno mi było do niej wracać.

- Żartuję, żartuję - dodał Joyce, wchodząc na krzesło.

Zakołysało się lekko, a on rozstawił ręce, jakby miał zamiar na nim balansować.

- Trzymasz? - spytał.

- Trochę tak.

- Trochę?

- Cudów nie zdziałam - odparłam.

Znów się zachwiał, ale tym razem zdawało mu się to nie przeszkadzać. Był już całkowicie skupiony na tym, co znajdowało się na belce.

- No i? - spytałam.

- Nic tu nie ma, Wakefield.

- Musi być. Przypadkowo nie wryłyby tam przecież tego symbolu.

- Hm...

- Hm?

- Może wrył coś z drugiej strony?

Zadzierałam głowę, starając się nie przegapić niczego, co ze zbyt bliskiej perspektywy mogłoby umknąć Graysonowi. Ten na moment na mnie zerknął.

- Gapisz mi się na tylek? - spytał.

- Tak - przyznałam.

Moja szczerość najwyraźniej go zaskoczyła.

- Zaaranżowałam całą tę sytuację z kasetami, żeby dotrzeć do tego momentu, kiedy mogę spokojnie pogapić się na twoją dupę - dodałam.

- Sprytnie.

Westchnęłam, nie zwalniając chwytu.

- Zamknij się i szukaj - poradziłam.

- Szukam, ale...

Urwał akurat, kiedy przesuwiał dłonią po belce od niewidocznej strony.

- Dobra - rzucił. - Pepecalá coś wyrzył z boku.

- Co?

- Chyba jakieś numery.

Joyce sięgnął do kieszeni po telefon, sprawiając, że musiałam napiąć wszystkie mięśnie, by utrzymać krzesło w pozycji pionowej.

- Spokojnie tam na górze! - upomniałam go.

Kompletnie mnie zignorował, a ja usłyszałam kilka dźwięków migawki. Sprawdził, czy udało mu się uchwycić to, co znajdowało się po drugiej stronie belki, i zaraz potem zeskoczył z krzesła, niemal je przy tym wywracając.

- Naprawdę nie mogłeś spokojniej?

- Mogłem - przyznał, podając mi telefon. - Ale chciałem jak najszybciej ci to pokazać.

Miał rację, José Alcalá umieścił w miejscu jakieś cyfry, ale też pojedynczą literę. Nie było tam jednak nic oprócz nich. Nic, co tłumaczyłoby, jak w połączeniu z piosenką mają się okazać przydatne.

- 1806 P3 - odczytał Joyce, a potem na mnie spojrzał, czekając na jakąś odpowiedź.

Nie mogłam żadnej zaoferować.

- Co to może znaczyć? - dodał.

- Nie mam bladego pojęcia.

Przesunęłam dłońmi po włosach i rozejrzałam się po strychu, dochodząc do wniosku, że dopiero teraz zaczęły się prawdziwe schody. A to oznaczało, że jesteśmy blisko. Naprawdę blisko.

Przez cały dzień staraliśmy się z Joyce'em dotrzeć do jakiejś sensownej konkluzji – rozstaliśmy się dopiero późnym wieczorem, właściwie prawie nocą. I nie byliśmy nawet o krok bliżej rozwiązania zagadki.

Nazajutrz rano mieliśmy spotkać się w Mo's Midtown, lokalu przy Whitney Street, gdzie według dziadka serwowano najlepsze śniadania w całym Hartford. Mieścił się raptem kilka przecznic od Laurel Street i dotarłam tam w niecałe piętnaście minut. Gdybym się pospieszyła, byłabym nawet szybciej.

I może na dobre by wyszło, bo Grayson już na mnie czekał.

- To jest to miejsce? - spytał z wahaniem, wskazując niepozorną knajpę w niewielkim, niskim pasażu, jakich w miastach tego typu pełno.

- Najwyraźniej.

W budynku oprócz Mo's Midtown mieścił się salon kosmetyczny oferujący manicure i pedicure, fryzjer i inne tego typu przybytki. Wszystko to znajdowało się pośrodku dość dużego parkingu, po którego obu stronach można było znaleźć bank, aptekę, dentystę, krawca czy punkt FedExu. Z grubsza standard. Nic nie wskazywało na to, by w tej śniadaniowni dawano coś naprawdę ciekawego.

- Może Prodziekan tylko drze sobie z ciebie łacha - podsunął Grayson.

- Nie sądzę.

- Bo?

- Bo nie zaprosiłby tu na spotkanie Mary.

Znajoma dziadka miała odpowiedzieć nam na te wszystkie pytania, na które sami nie potrafiliśmy znaleźć rozwiązania. Liczyłam, że jej wiedza w zakresie enigmatycznych wskazówek miejskich okaże się równie pomocna, jak przy opuszczonych budynkach, ale nie mogłam być pewna.

Tak czy siak za nieco ponad pięć minut miała się tu zatrzymać w drodze na uczelnię.

- Sprawdźmy ten lokal - zasugerowałam.

- Możemy po prostu pogadać z nią na zewnątrz.

Rzuciłam Joyce'owi krótkie spojrzenie.

- Słuchaj - podjęłam. - Prodziekan twierdzi, że serwują tu najlepsze śniadania w całym mieście, a nawet w hrabstwie.

- Bzdura.

- O, doprawdy?

- Każdy wie, że najlepsze są w Manchesterze.

- Może - odparłam bez przekonania. - Ale lot do Wielkiej Brytanii...

- Mam na myśli ten sąsiadujący z nami.

- A jest taki?

- Jest - potwierdził pod nosem Grayson. - To prawdziwe zagłębienie śniadaniowe, mają tam takie lokale, że mucha nie siada. W szczególności Cosmic Omelet.

- Brzmi nieźle.

- A jak smakuje.

- Mimo wszystko jakoś wolę jeść śniadanie niż o nim gadać - odparłam.

Moment później weszliśmy do środka, a Joyce ostrożnie się rozejrzył. Dziwiła mnie jego rezerwa, bo nie wydawał się wybredny w takich kwestiach. Przeszło mi jednak przez myśl, że może nie lubi zmian. Może ma swoje ulubione miejsca, do których chodzi na śniadanie, i nie uśmiecha mu się testowanie nowych.

Tak czy owak zajęliśmy jeden ze stolików przy oknie. Blaty były czyste, choć stoły widziały lepsze czasy. Krzesła zdawały się lekko rozpadać, a nierówny podwieszany sufit wyglądał, jakby jego części miały wpaść komuś na talerz.

Nie potrafiłam wyobrazić sobie tu Prodziekana w swoim zwyczajowym garniturze i swetrze, ale przecież nie przysłałyby mnie pod ten adres, gdyby sam tu nie bywał.

Większość ludzi siedziała przy ladzie, wymieniając się jakimiś uwagami z personelem. Sprawiali wrażenie raczej starych znajomych niż obcych połączonych relacją pracownik-klient.

Miejsce było prawie pełne, ale gros bywalców siedziało w boksach przy ścianie i w pośpiechu zajadało, jakby zatrzymało się tu w drodze do pracy. Chyba mieliśmy szczęście, że o tej porze udało nam się znaleźć stolik.

Po chwili pojawiła się kelnerka, która entuzjastycznie położyła przed nami menu i tak samo zaserwowała nam uśmiech.

- Jesteście pierwszy raz? - spytała.

- Tak - potwierdziłam.

- I prawdopodobnie ostatni - dodał Joyce.

Gdyby mój wzrok potrafił policzkować, Grayson miałby czerwony odcisk na twarzy.

- To się okaże - odparła pracowniczka. - Co będzie? Na słodko czy na słono?

- Życie jest za krótkie, żeby jeść śniadania na słono - zauważyłam.

Poleciła mi więc naleśniki z chipsami czekoladowymi, a ja ochoczo na to przystałam.

- Mała, średnia czy duża porcja?

- Duża - odparł za mnie Joyce.

On poszedł oczywiście w kulinarnie przeciwnym kierunku, decydując się na omlet Mo's Classic ze szpinakiem, pieczarkami i serem. Kobieta zabrała karty, a potem szybko się zmyła, posyłając nam jeszcze na odchodnym ciche spojrzenia. Lepiej nie umiałam ich określić.

Cały czas oglądaliśmy się w kierunku wejścia, słysząc, że wchodzi nowy klient. Kiedy jednak dostaliśmy jedzenie, oboje w absolutnie niepoważny sposób o tym zapomnieliśmy. Zażeraliśmy się, jakbyśmy tygodniami głodowali, a teraz dostarczono nam światowe rarytasy.

- O kurwa... - ocenił Grayson z pełnymi ustami.

- Zgadzam się - odparłam równie niewyraźnie. - Chcesz spróbować moje?

- No. Ale ty weź moje.

Nie przeszkadzało nam nawet to, że mieszamy słodkie i słone smaki. Wciąż pochłanialiśmy w najlepsze, kiedy wreszcie zorientowaliśmy się, że ktoś stoi przy naszym stoliku.

Musiała to być Mary. Była w wieku Prodziekana i patrzyła na mnie tak, jakby mnie rozpoznała.

- Drogie dziecko - rzuciła. - Czy twój dziadek cię nie karmi?

- A czy pani też zaczyna każde pytanie od...

- Nie, nie, wybacz - ucieła szybko, uśmiechając się. - Nie mogłam sobie tego odmówić.

Przewiesiła torebkę przez oparcie krzesła obok mnie, a potem powoli na nie opadła. Grayson otarł dłonią usta i tylko skinął głową.

Mary poświęciła chwilę, by przeanalizować niezbyt dobrze widoczne tatuaże Joyce'a na wewnętrznej stronie przedramion, a potem przyjrzała się nam obojgu. Przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby miała zagwizdać pod nosem.

- Fajna z was para - oceniła.

Oboje nerwowo drgnęliśmy.

- Nie jesteśmy parą - oznajmiłam szybko.

- Nie?

- W żadnym wypadku.

- Jesteś pewna?

Wysunęłam głowę w jej kierunku, wyglądając przy tym ani chybi jak zwykły debil.

- Na tysiąc pięćset procent - zapewniłam.

- To ciekawe. Wyglądacie, jakbyście byli.

Grayson odchrząknął cicho, ściągając na siebie uwagę kobiety. Skrzyżował ręce na blacie, a potem pochylił się lekko.

- Raczej byśmy o tym wiedzieli - zauważył.

- Niekoniecznie. Ludzie czasem nie mają pojęcia, że są razem.

Na jej twarzy zarysował się przeblysł jakiejś dziwnej satysfakcji, kojarzący mi się z osobami, które obstawiają zakłady bukmacherskie, a potem cieszą się, że udało im się przewidzieć wynik tego czy innego meczu.

- Czasem zresztą wiedzą to wszyscy poza nimi.

- My jesteśmy dość dobrze poinformowali - mruknęłam.

- Doprawdy?

- Tak - włączył się Joyce. - Za to mamy braki w innej wiedzy.

Mary nieco spowaźniała, świadoma, że chcemy czym prędzej dotrzeć do tematu, który interesował nas najbardziej.

- W takim razie mówcie - odparła. - Jak mogę wam pomóc?

Krótko nabrałam tchu, sięgając w pamięci po fragment trzeciej piosenki Pepecali.

- Wyszły łyzy, lecz zostawiły ślady jak koryta dawnych rzek - odezwałam się.

- Słucham?

- To metafora, którą próbujemy rozgryźć - dodałam z nadzieją, że nie będę musiała wszystkiego tłumaczyć.

- Raczej analogia, choć niehomerycka...

- Rzecz w tym, że znajduje się w utworze, w którym bohater przemierza miasto ścieżkami tych łąz - przerwałam jej. - Czyli, jeśli odrzemy to z poetyckiego sztafażu, łązi po Hartford korytem dawnej rzeki.

- Mamy tu coś takiego? - spytał Grayson.

Mary zerknęła najpierw na mnie, potem na niego.

- Owszem - odparła.

Na to właśnie liczyłam. Wydawało się to jedynym sensownym rozwiązaniem i wpisywałoby się w poprzednie wskazówki, które zostawił José Alcalá.

- Może powiedzieć nam pani więcej? - rzuciłam.

- Oczywiście - odparła Mary i rozsiadła się wygodniej. - Jak się doskonale orientujecie, Connecticut River biegnie z północy na południe i przecina miasto, oddzielając zachodnią i wschodnią stronę. Ale niewiele osób wie, że ta rzeka miała kiedyś odnoże płynące w stronę West Hartford, wchodzące w miasto.

Najwyraźniej faktycznie nie była to powszechna wiedza, bo Joyce wyglądał na równie nieświadomego jak ja.

- Ten ciek wodny w dwóch pierwszych dekadach dwudziestego wieku zwany był Hog i raczej nie zachęcał, by przesiadywać na jego brzegach. Wylewano tam odpady przemysłowe z powstających wzdłuż niego zakładów oraz ścieki. W dodatku sływał z kłębiących się nad nim chmar moskitów.

Potrafiłam sobie to wyobrazić.

- Biegł od Connecticut River na wschodzie do West Hartford na zachodzie. Można było używać go także do transportu, a...

- Są jakieś pozostałości? - ucięłam.

- Nie - odparła od razu Mary. - W latach czterdziestych postanowiono go osuszyć i zasypać. I dokładnie to zrobiono. Dziś biegnie tamtędy Asylum Avenue.

Wymieniliśmy z Graysonem krótkie spojrzenia, bo wreszcie dostaliśmy jakąś lokalizację. Problem polegał na tym, że ta ulica miała jakieś pięć, sześć kilometrów.

- Wciąż można jednak dostrzec pewne oznaki, że jakaś rzeka biegła w okolicy - dodała Mary. - Trout Brook nagle się urywa przy kampusie na Asylum Ave, jest tam niewielki zbiornik. Kiedyś ten potok wpadał właśnie do Hog.

Przypomniałam sobie dalszą część piosenki. I to, że chodząc ścieżkami łąz, bohater mija kościoły i szkoły, wodzi smutnym wzrokiem po dziewiętnastowiecznych budynkach Goodwinów.

Zapytałam o to Mary, już praktycznie pewna, że takie rzeczy muszą znajdować się przy wskazanej przez nią ulicy.

- Oczywiście - odparła. - Całe Asylum Hill to niegdysiejsze pastwiska należące do rodziny Goodwinów. Jeden z nestorów rodziny, Francis Goodwin, był proboszczem w Trinity Church i sprzedał dużą część ziemi właśnie pod budowę kolejnych świątyń i szkół. Budynki z dziewiętnastego wieku wciąż tam stoją.

My jednak nadal nie mieliśmy tego konkretnego miejsca, którego poszukiwaliśmy.

- 1806 - odezwał się Joyce. - Czy w tamtym roku powstał jakiś budynek?

Znajoma dziadka zmarszczyła czoło i się zawahała.

- To raczej niemożliwe - odparła. - Rozbudowa Asylum Hill rozpoczęła się dopiero w połowie wieku.

- A mówi coś pani ta liczba?

- Niezbyt.

- A P3? - dodałam.

Mary wzruszyła ramionami.

- Może to adres? - rzucił Grayson, już całkowicie ignorując kobietę. - Skoro Pepecalá w piosence nakierowywał nas na ulicę, to...

Wskazał symbole na belce stropowej.

- Byłoby to podobne rozwiązanie, co przy filarze mostu.

- No tak - przyznałam. - Tam dzielnica, a zawężenie jej w piosence, a tu...

- Ulica w piosence, a zawężenie w opuszczonej szkole.

Niemal symultanicznie skinęliśmy do siebie głowami.

- Próbuj - poleciłam.

Joyce wyciągnął telefon, a ja szybko przeniosłam się na krzesło obok niego. Zobaczyłam, jak wpisuje 1806 Asylum Avenue w wyszukiwarce, która zaskakująco nie wypluła żadnych wyników.

Na górze pojawiła się jednak miniaturka mapy, a na niej czerwona pinezka.

- Chyba to mamy - rzucił Grayson.

- Chyba.

Dopiero teraz podnieśliśmy wzrok na Mary, która patrzyła na nas w ten sam sposób, co wcześniej. Jakby dobrze obstawiła u bukmachera.

- Może pani rzucić na to okiem? - spytałam czym prędzej.

Uśmiechnęła się, a potem podeszła do nas i ustawiła się tak, by widzieć ekran telefonu.

- Wie pani, co tam jest? - odezwał się Joyce.

- Naturalnie.

- Co? - spytałam.

- To część dawnego kampusu szkolnego - oznajmiła. - A konkretnie dawna biblioteka i... zaraz. To tam kończyło się koryto Hog. Biegła od Bushnell Park właśnie do budynku biblioteki.

- Co się z nią stało? - rzucił rzeczowo Grayson. - Z tą biblioteką?

- To, co z wieloma innymi tego typu starymi budynkami w Hartford.

- Zburzono ją?

Boże, nie.

Gdyby się okazało, że miejsce przestało istnieć, trafiłibyśmy w ślepy zaułek. I być może nigdy nie dowiedziałabym się, jaki jest mój związek z symbolem Pepecali.

- Nie, budynek nadal stoi - powiedziała Mary, a ja odetchnęłam. - Ale jest opuszczony.

- Jezus Maria - skwitowałam. - Wszystko w tym mieście takie jest?

- Być może w pewnym sensie tak.

Zastanawiałam się, czy Pepecalá wybrał to miejsce, jeszcze kiedy działało czy później. Rozstrzygnięcie tego faktu było kluczowe dla ustalenia, czy jesteśmy w ciemnej dupie, czy może wprost przeciwnie.

- Kiedy opuszczono tę bibliotekę? – spytał Grayson, najwyraźniej myśląc dokładnie o tym samym.

- Oj, niestety nie pamiętam.

- Ale przed osiemdziesiątym siódmym czy po?

- Na pewno po.

- Kurwa mać... – rzuciłam.

Jeśli Mary w jakikolwiek sposób miała obiekcje wobec używania wulgaryzmów przez młodzież, nie dała tego po sobie znać. Dziadek z pewnością zareagowałby inaczej – i miałby do tego dwie okazje, bo zaraz po mnie Joyce dał upust emocjom.

- Niech mnie chuj – syknął. – Czyli kaplica.

Kobieta spojrzała na nas pytająco.

- Zaryzykuję tezę, że nie na to liczyliście – powiedziała.

- Ano nie – przyznał Grayson.

Wiedziała chyba, że od niego nie uzyska żadnych dodatkowych informacji, więc zogniskowała wzrok na mnie.

- Ktoś zostawił tam jakąś wskazówkę – wyjaśniłam. – Ale zrobił to jeszcze w czasie, kiedy biblioteka działała, więc...

- Więc obawiacie się, że znikła razem ze wszystkim, co stamtąd wyniesiono?

- Mhm – potwierdził niechętnie Joyce.

Oboje mieliśmy świadomość, że w przypadku szkoły sytuacja była zgoła inna. Pepecalá wybrał ją już po tym, jak została porzucona. Mógł przygotować wszystko tak, by nawet po kilkudziesięciu latach odnaleziono wskazówkę.

W przypadku tej biblioteki mogło być diametralnie inaczej. Nie spodziewał się przecież, że takie miejsce zostanie zamknięte. Budynek stał na kampusie UConn, a z tego, co widziałam na mapie, obok była także jakaś podstawówka.

Tuż przy bibliotece znajdował się parking oznaczony jako „P3”. Dodatkowe potwierdzenie, że trafiliśmy pod dobry adres.

- Cóż... – podjęła Mary. – W każdym razie trzymam kciuki, ale muszę się już zbierać, więc...

- Dziękujemy – ucięłam. – Bez pani do niczego byśmy nie dotarli.

Podniosła się i uraczyła nas krótkim uśmiechem.

- Gdybyście jeszcze czegoś potrzebowali, odzywajcie się. I ucałuj dziadka ode mnie.

- Oczywiście.

Odprowadziliśmy kobietę wzrokiem, a potem w jednym momencie westchnęliśmy. Popatrzyliśmy na siebie, jakby jedno świadomie małpowało drugie. Siedzieliśmy blisko, stanowczo za blisko, i znów pojawiło się we mnie pewne nieokreślone poczucie niebezpieczeństwa.

Przyjemnego, nęcącego, zupełnie jak wtedy, kiedy człowiek stoi na podeście przed skokiem na bungee i patrzy w dół. A przynajmniej tak mi się wydawało, bo nie miałam pojęcia, czy sama kiedykolwiek skakałam.

Poprosiłam Joyce'a w duchu o to, by odwrócił wzrok, bo ja nie potrafiłam tego zrobić. Zaraz potem znów jakby mógł usłyszeć moje myśli, bo na powrót skupił się na komórce.

- Będziemy potrzebowali pomocy - odezwał się. - Ten budynek jest dużo większy niż tamta szkoła.

Zerknęłam na Street View i przekonałam się, że ma rację. Był to okazały trzypiętrowy gmach, którego nie spenetrujemy bez większych zasobów ludzkich.

- Zadzwoń do Cass - powiedział Grayson.

- Jasne.

- Ściągnie resztę.

Skinęłam głową, siląc się na obojętność. Wcale nie było tak, że wolałam sama z Joyce'em sprawdzać ten teren, choćby był i dziesięć razy większy.

W jakimś dziwnym odruchu wzajemności podjęłam decyzję, że ja też ściągnę posiłki.

- To ja skontaktuję się z Carlosem.

Grayson uniósł brwi, jakby była to najbardziej kretyńska idea, na jaką mogłam wpaść.

- Przyda się każda para oczu - dodałam.

Nie polemizował, być może wychodząc z tego samego założenia, co ja - by nie dać po sobie znać, jak bardzo nam ten scenariusz nie odpowiada.

Napisałam Gómezewi esemesa, podając adres 1806 Asylum Avenue, a potem zawiesiłam wzrok za oknem. Chciałam chwilę podumać w spokoju, zamiast tego jednak kątem oka odnotowałam, że Joyce się podnosi.

- Zbieramy się? - spytałam.

- A na co będziemy czekać?

Właściwie miał rację. Zapłaciliśmy, podziękowaliśmy uprzejmie i zapewniliśmy, że jeszcze wrócimy, a potem skierowaliśmy się ku kancjastemu czerwonemu porsche stojącemu przy salonie paznokci.

Kiedy wsiedliśmy do środka i Grayson zapuścił silnik, z głośników ryknęły dźwięki jakiegoś starego rocka. Joyce od razu ściszył.

- Sorry.

- Znów nie One Direction.

W odpowiedzi zmierzył mnie wzrokiem, a potem wyjechał na Whitney Street i obrał kierunek ku West Endowi. O ile dobrze zobaczyłam wcześniej na mapie, nie czekała nas nadmiernie długa podróż. Wystarczy może na przesłuchanie jednego kawałka.

Problem polegał na tym, że nie wiedziałam nawet, co to za wykonawca. Wydawało mi się, że nie kojarzę głosu wokalisty.

- Co to jest? - spytałam.

- White Lion. Album *Pride*.

- Brzmi dosyć nacjonalistycznie.

Joyce cicho prychnął, co zdarzało się niezwykle rzadko. Jakimś cudem udało mi się go rozbawić.

- Glammetalowy zespół z końcówki lat osiemdziesiątych - oznajmił. - Strasznie niedoceniany.

- Widzę, że robisz research na temat kaset, które znalazłeś w aucie.

- A jak miałbym słuchać czegoś bez podstawowej wiedzy o tym?

- Normalnie.

Zbył to milczeniem, przyspieszając nieco.

- Album jest z osiemdziesiątego siódmego - dodał.

- Dobry rocznik dla kaset.

Kątem oka dostrzegłam, jak jego kącik ust lekko drga. Znów nie był to uśmiech, jedynie jego zapowiedź. Postanowiłam sobie jednak, że kiedyś roztopię chłód tego człowieka i zobaczę, jak się śmieje pełną gębą.

- Ten kawałek to *Tell Me* - oznajmił.

- No proszę...

- Co?

- Nic - odparłam. - Po prostu świetnie sprawdzasz się w roli substytutu wyświetlacza w aucie.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy.

- To chyba najmiłsze, co od ciebie usłyszałem.

- Zawsze do usług - zapewniłam.

Przez moment milczeliśmy, słuchając piosenki. Podziękowałam w duchu poprzedniemu właścicielowi tego auta za to, że nie zostawił w nim jakichś kliwionych kaset, bo znajdowanie się tak blisko Joyce'a okazałoby się jeszcze bardziej skomplikowane.

- Sprawdź sobie potem jeszcze *Wait* - odezwał się. - *Tell Me* i *Wait*. White Lion.

- Nie mam Spotify, Joyce.

- To na YouTube.

- Aktualnie nie mam dostępu do YouTube'a - mruknęłam. - Ani niczego innego, na co wchodzi się przez mojego zablokowanego macbooka.

- Ale prodziekan ma chyba jakiś komputer?

- Tak - przyznałam. - Wyprodukowany mniej więcej w erze mezozoicznej.

Przelotnie pomyślałam o tym, ile czasu zajęło mi sprawdzenie swoich profili w mediach społecznościowych. I jak dużym fiaskiem się to zakończyło. Wszystkie były albo ukryte, albo dostępne tylko dla osób, które miała w znajomych dawna Aspen.

- Kiepsko - podsumował Joyce.

- Można tak powiedzieć.

Grayson posłał mi krótkie spojrzenie, a potem skupił się na drodze. Znajdowaliśmy się już na Asylum Avenue i wiedziałam, że niebawem podjedziemy pod budynek dawnej biblioteki.

- Naprawdę przydałby ci się dostęp do Spotify - skwitował Joyce.

- Przydałoby mi się wiele rzeczy.

- W sensie... to mogłoby pomóc w pobudzeniu twojej pamięci. Sama wiesz, co mówił doktor Bearce.

- A ty skąd wiesz, co...

- Gadałem z nim kilka razy - uciął Grayson, wzruszając lekko ramionami.

Nie miałam czasu dopytać o szczegóły, bo nagle Joyce wbił kierunkowskaz i zjechał z głównej drogi. Uświadomiłam sobie, że wjeżdża na parking kampusu UConn.

O dziwo, stało na nim sporo samochodów, zupełnie jakby w tutejszych budynkach wciąż prowadzono jakąś działalność. Ich stan jednak dobitnie uświadamiał, że tak nie jest. W oddali widziałam dawną podstawówkę, która była mniej więcej w takim stanie jak biblioteka.

Ta zaś okazała się ogromna. Gdyby nie tabliczka informująca o przeznaczeniu tego miejsca, powiedziałabym, że są tu prowadzone jakieś zajęcia. Cała ta przestrzeń wydawała się zbyt duża, by zajmowały ją same książki.

Książki...

Słowo odbiło się echem w mojej głowie i sprawiło, że zamarłam. Grayson wysiadł z auta, a ja zostałam na siedzeniu pasażera, jakby coś mnie w nie wmurowało. Ocknęłam się dopiero, kiedy Joyce otworzył drzwi pasażera.

Spojrzałam na niego, ale się nie ruszyłam.

- Wiem, że te fotele są wygodne, ale...

- Mamy problem - rzuciłam.

- Jaki?

- Chyba wiem, jaka jest kolejna wskazówka.

Wysiadłam z auta i powiodłam wzrokiem po gigantycznym budynku. Oczywiście, że Pepecalá nie naprowadziłby nikogo na bibliotekę bez wskazania, o co konkretnie mu chodzi.

- Więc? - spytał nerwowo Joyce. - W czym problem?

- W tym, że następny kawałek traktuje o książce.

Grayson otworzył usta, ale zamiast skomentować, zastygł. Zrozumiał chyba dokładnie to, co ja.

José Alcalá skierował nas tutaj, by odnaleźć konkretną książkę. Książkę, która razem z innymi dawno znikła z tego miejsca.

Pierwsi na parkingu zjawili się Cass, Tyson, Becca i Ryan. Ze wszystkimi oprócz tego ostatniego przywitałam się serdecznie, jakbyśmy byli starymi znajomymi. Przez chwilę wymienialiśmy się jakimiś bzdurnymi uwagami, oni upewniali się, że wszystko u mnie w porządku, po czym już mieliśmy przystąpić do konkretów – na miejscu jednak zjawił się Carlos.

Graysona zignorował, a powitanie z pozostałymi było co najwyżej chłodne. Zaraz potem razem z Joyce'em nakreśliłiśmy, w czym rzecz.

– To pozamiatane – rzucił pod nosem Ryan Nearing. – Z tego budynku pewnie wszystko wywieźli.

– Ale jesteś pewna, że chodziło o książkę? – spytała Rebecca.

Co miałam odpowiedzieć? Niczego na świecie nie byłam pewna, co dopiero tego, czy dobrze odczytuję intencję faceta, który w osiemdziesiątym siódmym przygotował jakieś lamigłówki, a teraz gnął w więzieniu za Bóg jeden wie jaką zbrodnię.

– Stuprocentowej pewności nie mam – odparłam dyplomatycznie. – Ale z tekstu piosenki tak by wynikało.

– A co w nim jest? – spytał Tyson.

Zerknęłam kontrolnie na Gomiego, bo poczułam, że rozmawiając z resztą, w jakiś sposób wypycham go na obrzeża zdarzeń. Potem mówiłam już jakby do niego.

– To przedostatni kawałek na EP-ce – oznajmiłam. – Od początku mnie intrygował, bo był inny niż wszystkie. Muzycznie też nieco od nich odbiega, ale to, co przykuło moją uwagę, to fakt, że Alcalá nie wspomina tam o żadnym miejscu. Zupełnie jakby zapomniał dać wskazówkę.

– Ale nie zapomniał? – rzuciła Cass.

– Nie sądzę – odparłam i zabrałam się do konkretów. – Rozłąka kochanków trwa, szukają nawet innych partnerów, ale nikt nie może zastąpić im siebie. Czują się, jakby ktoś odciął im życiodajną siłę, i stopniowo obumierają.

Mój wzrok grawitował ku Graysonowi tak, kurwa, mocno.

Trzymałam go jednak na uwięzi, starając się przykleić oczy do Carlosa.

– Pepecalá śpiewa o tym, że oboje cierpieli – podjęłam. – Oboje płakali. Ale przez ten płacz byli razem, bo płaczem rozumieli więcej niż umysłem.

Na moment zaległa cisza, a ja dostrzegłam, że Cassidy nerwowo się poruszyła, zupełnie jakby ten fragment w jakiś sposób z nią rezonował.

– Podczas gdy ona pogrąża się w stuporze, on, paląc papierosa za papierosem, czyta poezję, odnajdując w niej bezpieczną barierę przed światem. Konkretnie *Sestyny* Joana Brossy, dzięki czemu w tekście piosenki pojawia się fragment wiersza tego autora.

- I jaki to fragment? - spytał Joyce.

- „Dym się porusza. I mijają dni”.

Grayson zastępnął z papierosem w połowie drogi do ust. Spojrzał na niego, jakby przeżywał jakiś metamoment, po czym wyrzucił marlboro i zadeptał niedopałek.

- Wydaje mi się więc, że właśnie o ten tomik chodziło - podjęłam, patrząc na wejście do dawnej biblioteki. - Że mieliśmy tutaj znaleźć właśnie *Sestyny* Joana Brossy.

Wszyscy powiedli po sobie wzrokiem, ani chybi zastanawiając się dokładnie nad tym samym. Czekałam, kto pierwszy zwerbalizuje to pytanie.

- Kto to, kurwa, jest ten Brossa? - rzucił Ryan.

Nikt nie miał odpowiedzi. Nikt oprócz mnie - a ja mogłam zaoferować ją tylko dlatego, że po pierwszym przesłuchaniu kasety zainteresowałam się tym człowiekiem.

- Kataloński poeta - powiedziałam. - Raczej niezbyt popularny w Stanach, ale u siebie jak najbardziej. Nigdy nie pisał po hiszpańsku, zawsze po katalońsku. Tworzył różne formy, zresztą w swojej działalności artystycznej nie ograniczał się jedynie do słowa.

Wszyscy mnie słuchali, ale nikt chyba nie miał nadziei, że powiem coś, co okaże się przydatne. Każde z nas miało świadomość, że to koniec naszej przygody.

- Cytat wykorzystany przez Pepecalę pochodzi z wiersza *Pieśń*, znajdującego się w *Sestynach* 76. Tomik został wydany w siedemdziesiątym siódmym w Barcelonie i...

- I pewnie nie był tutaj zbyt często wypożyczany - zauważył Carlos.

- Żartujesz? - spytałam. - Idę o zakład, że nikt nigdy po niego nie sięgnął.

- Więc José mógł spokojnie coś w nim umieścić - podsumował Grayson. - Bez obawy, że ktoś usunie wskazówkę albo sam do czegokolwiek dojdzie.

Potwierdziłam cichym mruknięciem, bo o ile zbiory spod pióra Roberta Frosta czy Walta Whitmana z pewnością były często wypożyczane na zajęcia, twórczość jakiegoś barcelończyka piszącego całe życie po katalońsku nie bardzo. Nie wiedziałam, co więcej mogę dodać. By odnaleźć dalszy trop, potrzebowaliśmy jednego, konkretnego egzemplarza. Czytałam bowiem *Pieśń* Brossy w internecie - i nie było w niej nic, co mogłoby okazać się przydatne.

Stałam jak słup soli, wbijając bezmyślny wzrok w otwarte okno biblioteki. Dopiero po chwili uzmysłowiłam sobie, że pozostali robią dokładnie to samo, zupełnie jakbyśmy się spodziewali, że zaraz ze środka wybiegnie ktoś, kto w cudowny sposób rozwiąże wszystkie nasze problemy.

- Może powinniśmy tam wejść? - odezwała się w końcu Cass. - Przeszukać wszystkie pomieszczenia? Może ta książka gdzieś się ostała?

- Nie ma szans - odparł Tyson. - Pepecalá nie mógł w żaden sposób przewidzieć, że biblioteka zamknie swoje podwoje.

- Mimo wszystko...

- To bez sensu.

W poszukiwaniu poparcia Cassidy spojrzała na Graysona, ten zaś zachował się, jak na przykładowego chłopaka przystało.

- Sprawdzić nie zaszkodzi - odparł.

Tyle wystarczyło, byśmy wszyscy potraktowali to jako coś w rodzaju sygnału do wymarszu. Ruszyliśmy w stronę drzwi, a potem w milczeniu weszliśmy do opuszczonych przestrzeni.

Okna tu i ówdzie były pootwierane, a budynek nie stał porzucony tak długo, jak miało to miejsce w przypadku szkoły przy Albany Avenue. Nie czuć tu było stęchlizny, wewnątrz zaś jasno dowodziły, że wyniesiono się z nich stosunkowo niedawno.

Rozdzieliliśmy się, a potem zaczęliśmy przeszukiwać opuszczoną bibliotekę. Szybko stało się jasne, że samo sprawdzenie parteru zajmie nam cały dzień, a oprócz niego były tu jeszcze dwa inne piętra.

Pozostawiono tu praktycznie wszystkie meble, a my wyszliśmy z założenia, że trzeba obejrzeć dokładnie każdy regał i półkę. Było przecież całkiem możliwe, że José Alcalá zostawił wskazówkę nie w samej książce, ale w miejscu, gdzie stała.

Potrafiłam sobie wyobrazić, że w momencie, kiedy ktoś wyciągał ten tomik, jego oczom ukazywała się kolejna wskazówka związana z ostatnią piosenką na kasecie.

Była to dość optymistyczna, dająca nadzieję myśl. W głębi duszy obawiałam się jednak, że także beznadziejna.

Pierwszego dnia nie znaleźliśmy absolutnie nic.

Drugiego również nie.

Trzeciego penetrowaliśmy ostatnie piętro już bez nadziei na przełom. Moje myśli nieustannie meandrowały, mimo że starałam się skupiać na tym, czy gdzieś nie widnieje symbol energii ciszy.

Stałam przy oknie, korzystając z momentu przerwy, kiedy usłyszałam za sobą kroki. Obróciwszy się, zobaczyłam Carlosa. Stał obok mnie i westchnął, wodząc wzrokiem po zaniedbanym trawniku od frontu budynku.

– Chyba nic z tego nie będzie – odezwał się.

– Chyba nie.

Zbliżył się do okna, potem raptownie obrócił i przysiadł na parapecie. Rzuciłam mu krótkie spojrzenie. Wyglądał, jakby miał zamiar zaoferować jakieś słowa wsparcia, podnieść mnie na duchu albo przekonać, że ta kasetka tak naprawdę nie ma żadnego znaczenia.

– Są inne sposoby, żeby dowiedzieć się, co się stało w Prescott – odezwał się.

– Pewnie tak.

– Przede wszystkim możemy spróbować załatwić widzenie z Pepecalą – ciągnął, chyba nie słysząc rezygnacji w moim głosie. – Twój dziadek ma jakichś znajomych w więzieniu, może pomóc.

Mruknęłam na potwierdzenie, wciąż wyglądając na zewnątrz.

– I wcale nie jest przecież powiedziane, że José nie będzie chciał z tobą rozmawiać.

– Ano nie.

– Zachodzi więc spora szansa, że...

– Że powie prawdę? – przerwałam mu, wiedząc, że dążył do czegoś innego. – Bo o to w tym wszystkim chodzi, rozumiesz? I owszem, nie wiem, jaki jest ten facet, ale nie sądzę, żeby po pierwsze chciał ze mną gadać, a po drugie powiedział mi to, co chcę usłyszeć.

Gómez uniósł głowę i przesunął spojrzeniem po suficie.

- Byłoby inaczej, gdybym zjawiła się tam z lokalizacją jego kasy – podjęłam. – Nie miałby żadnego wyjścia, musiałby dać mi to, po co przyszedłam.

Na moment urwałam, bo nadchodziła myśl, która od pewnego czasu nie dawała mi spokoju.

- O ile w ogóle byłby w stanie to zrobić – dodałam.

- Myślisz, że nie?

- Nie wiem – odparłam ciężko. – Pepecalá od kilkudziesięciu lat siedzi w więzieniu. Może nie mieć bladego pojęcia, co wydarzyło się ponad dwa tygodnie temu w Prescott w Arizonie.

- Ale może też wiedzieć doskonale.

Zerknęłam na Gomiego, a potem szybko wbiłam wzrok przed siebie. Z bólem pomyślałam o tym, że jego oczy nie magnetyzują mnie tak jak te Graysona.

Od nich z trudem odrywałam wzrok. W te Carlosa z trudem patrzyłam dłużej.

Ale czy wynikało to z braku uczuć, czy może z wyrzutów sumienia, nie wiedziałam. Nie miałam wglądu we własne serce – a raczej w tę jego część, która istniała przed wypadkiem.

Może uczucie do Carlosa nie było typową miłością od pierwszego wejrzenia? Może rodziło się stopniowo, powoli rozwijało, tworzyło solidny fundament, a potem wreszcie rozkwitło?

Jeśli tak, to w tej chwili mogłam sama się oszukiwać.

- Jego symbol nieprzypadkowo był przy ofercie – odezwał się Gomie.

- Raczej – przyznałam.

- Alcałá musiał coś o tym wiedzieć. Musiał mieć świadomość, że ktoś mający z nim związek jest w Prescott.

Wydawało się nie do uwierzenia, że matka i ja miałyśmy wcześniej cokolwiek wspólnego z tą sprawą. Gdzie były jakieś połączenia? Na czym polegały?

Do momentu, aż to rozpracuję, wszystko to było wprost absurdalne, niestworzone. Wyglądało jak jakiś całkowicie irracjonalny przypadek, zdarzający się raz na tryliard lat.

A mimo to logiczna część umysłu podpowiadała, że nic nie jest tu przypadkowe.

- W dodatku musimy założyć jeszcze jedną rzecz... – odezwał się Carlos.

- Jaką?

- Że ta niezidentyfikowana ofiara pochodzi z Hartford.

Zamknęłam na moment oczy i zrobiłam kilka głębszych wdechów i wydechów.

- W innych miastach raczej nie występuje ten symbol – zauważył ostrożnie Gómez.

- Wiem.

- A ja wiem, że wiesz.

- W takim razie po co w ogóle o tym gadamy?

- Po to, żebyś dobitniej sobie to uzmysłowiła.

Konfrontował mnie z niezbyt wygodną świadomością – i chciał doprowadzić do konkluzji, która nękała mnie, od kiedy tylko dowiedziałam się o żółtej karteczce samoprzylepnej.

- Łapiesz, do czego zmierzam? – bąknął Carlos.

- Niestety.

- Trzeba poinformować policję w Prescott, żeby przesała zdjęcia tego faceta do Hartford - powiedział mimo to Gomie. - Ktoś może go tutaj rozpoznać.

Milczałam, mimo że chciałam się z nim zgodzić. Facet był stąd. Nikomu w Arizonie zapewne nie przyszło do głowy, by spróbować identyfikacji w stanie znajdującym się po drugiej stronie kraju.

- Nie mogę tego zrobić - powiedziałam.

- Dlaczego nie?

- Doskonale znasz powód.

- Chyba właśnie nie - odparł cicho Carlos.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na niego, tym razem na dłużej.

- Jeśli ja lub moja matka miałyśmy z tą śmiercią cokolwiek wspólnego...

- Na pewno nie.

- Ale jeśli - podkreśliłam. - To wiesz, co się stanie. I jak przeżyje to Prodziekan.

Nie musiałam przypominać, że mój dziadek stracił nie tylko córkę, ale praktycznie także wnuczkę. Byłam jedynie powidokiem osoby, którą znał. Zresztą gdybym nagle w jakiś magiczny sposób zmieniła się także na zewnątrz, nawet by mnie nie rozpoznał.

- Muszę wiedzieć więcej, zanim to zgłoszę - oznajmiłam.

Gómez pokiwał głową z dziwną satysfakcją, jakby przez całą rozmowę dążył do tego, bym zwerbalizowała tę konkretną myśl.

- Na to sposób jest tylko jeden - odparł.

Rozejrzałam się, chcąc mu pokazać, że nie bardzo mam jak go zrealizować. On jednak myślał o czymś innym.

- Załatwiłem to widzenie z Pepecalą - oznajmił.

- Co?

- Przepraszam, że tak...

- Jak to załatwiłeś widzenie?

Obróciłam się do niego gwałtownie, a Gómez chyba dopiero teraz uświadomił sobie, że przyjmując pozycję pod oknem, odciął sobie drogę ucieczki.

- Rozmawiałem z twoim dziadkiem.

- Jaja sobie robisz? - syknęłam pod nosem.

- Wymagało to sporo przekonywania, ale...

- Co ty pieprzysz, Carlos?

Spojrzeliliśmy na siebie w sposób, który mógł doprowadzić jedynie do dalszej eskalacji tego, co się właśnie między nami działo. Mnie na usta cisnęły się oskarżenia i zarzuty, on sprawiał wrażenie, jakby to, co zrobił, było całkowicie usprawiedliwione.

Nie mieliśmy jednak okazji wdać się w pełnoprawną kłótnię.

- Coś nie tak? - rozległ się głos zza moich pleców.

Od razu się obejrzałam, dostrzegając bynajmniej nie tę osobę, którą bym chciała. Ryan Nearing podchodził do nas powolnym, ostrożnym krokiem, jakby jeszcze oceniał sytuację.

- Tylko rozmawiamy - odparł Gómez. - I jeśli nie masz nic przeciwko, wolelibyśmy dokończyć w cztery oczy.

Ryan rzucił mi krótkie spojrzenie.

- Aspen nie wygląda, jakbyście tylko rozmawiali - mruknął, wciąż podchodząc.

Carlos już otwierał usta, by coś odpowiedzieć, ale nie zdążył.

- Wszystko w porządku? - spytał Ryan, patrząc na mnie.

- Tak.

- Na pewno?

- Przecież ci powiedziała, że...

- Pytam ją, nie ciebie.

Ryan zatrzymał się przed Carlosem, wbijając w niego nieruchome spojrzenie. Wiedziałam, jak niewiele trzeba temu człowiekowi, by popełnić błąd. I miałam świadomość, że muszę zawczasu temu zapobiec.

- Wszystko okej - zapewniłam.

- Może jednak wołałabyś...

- Nie - ucięłam, nie do końca pewna, co chciał zaproponować.

Tak czy inaczej zamierzałam dokończyć tę rozmowę z Gómezem sam na sam. Ryan zawahał się, jakby czekał na jakiś tajny sygnał ode mnie, by jednak zostać.

- No dobra - rzucił. - Jakby co, jestem w sali obok.

Oddalił się, zupełnie ignorując Carlosa, a ja odetchnęłam. Spodziewałam się, że rozładowanie tej sytuacji przyjdzie mi ze znacznie większym trudem.

Sprawiło to jednak, że mój umysł wrócił na odpowiednie tory, zupełnie jakby ujarzmienie emocji Ryana pomogło mi w poradzeniu sobie ze swoimi. Obróciłam się do Gómeza i przez moment patrzyłam mu w oczy.

- Dlaczego to zrobiłeś? - spytałam.

- Bo sama nie byłaś na to gotowa.

- Może z dobrych powodów.

- Może - przyznał. - A może ze strachu.

- Przed czym niby? Pepecalá nie wygląda na kogoś, kto mógłby mi zagrozić, poza tym na pewno będzie nas rozdzielała jakaś szyba, wokół będzie roilo się od strażników i tak dalej.

Gomie znów przysiadł na parapecie.

- Nie jego mam na myśli - oznajmił.

- A kogo?

- Ciebie.

Zmrużyłam oczy, nie bardzo wiedząc, do czego pije.

- Boisz się samej siebie - dodał. - A konkretnie tej Aspen, którą byłaś. Obawiasz się, że jeśli wróci, ty przestaniesz istnieć.

Nie mogłam się oszukiwać, że nie ma racji. Poniekąd właśnie to odczuwałam, ilekroć myślałam o poprzedniej mnie.

- Pepecalá może mieć informacje - dorzucił Carlos. - Informacje, które pozwolą ci odzyskać to, co straciłaś. I to tak bardzo cię przeraża.

Następnego dnia rano poszłam z Prodziekanem na śniadanie do Mo's Midtown i z fascynacją obserwowałam, jak dziadek zajada coś, co nazywało się Egg McMoreland, a w gruncie rzeczy składało się z typowej kanapki śniadaniowej, jajka i kilku dodatków.

Ja zostałam przy naleśnikach na słodko.

Raz po raz zerkalam na zegarek, bo mój transport do więzienia miał niebawem odebrać mnie z parkingu przy 25 Whitney Street. Przez większość czasu jedliśmy w milczeniu, skupiając się przede wszystkim na swoich daniach.

W końcu jednak odłożyłam sztućce i zdecydowałam się napomknąć o słońcu w pokoju.

- Dziwi mnie, że się na to zdecydowałaś - rzuciłam.

- To naprawdę dobra kanapka.

- Mam na myśli cały ten pomysł Carlosa.

Dziadek chrząknął niepewnie, sięgnął po serwetkę, a potem otarł usta.

- Ten kawaler potrafi być dość przekonujący.

- Nie wątpię - przyznałam. - Mimo wszystko...

- Odbyłem oczywiście wcześniej rozmowę z doktorem Bearce'em - uciął Prodziekan. - Twierdzi, że trzeba korzystać z każdego sposobu, by pobudzić twoją pamięć. Być może nawet im większy szok, tym dla niej lepiej.

- Nie jestem pewna, czy to powinno działać tak, jak podłączenie elektrod do klatki piersiowej.

Dziadek się skrzywił.

- Mój mózg żyje, nie jest w stanie zapaści - mruknęłam. - Może nie trzeba go traktować elektrowstrząsami.

- Posłuchaj, jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości, należy niezwłocznie odwołać cały ten...

- Mam wątpliwości co do wszystkiego, dziadku.

Na moment zastygł w bezruchu, a potem spojrzął na swój talerz w milczeniu, jakby oczekiwał na przyzwolenie, by kontynuować. Odkroiłam kawałek swojego naleśnika, dając zielone światło.

Prodziekan na powrót zaczął zajadać.

- Będziesz tam całkowicie bezpieczna - oznajmił. - Mój znajomy o to zadba.

- Wiem, wiem.

- Wciąż jednak wolałbym ci towarzyszyć.

- Nie ma mowy - odparłam. - To jest coś, co muszę załatwić samodzielnie.

- Mimo wszystko moja obecność mogłaby zmniejszyć twoje obawy.

- Bo w razie czego znokautujesz, kogo trzeba?

Nie miałam zamiaru ani czekać na odpowiedź, ani wracać do tego, co naprawdę wywołuje we mnie strach, i szybko zmieniłam temat na pierwszy lepszy, jaki wpadł mi do głowy. Chciałam wiedzieć, jak długo dziadek tutaj przychodzi, jak znalazł to miejsce i dlaczego darzy je taką sympatią.

Historia była dość standardowa, pewnie podobne opowiadali ludzie w każdym innym miejscu na świecie. Mimo to współbrzmiała z czymś we mnie.

Prodziekan przychodził do Mo's Midtown z babcią, uwielbiała tutejsze placki ziemniaczane. Zawsze kiedy tu się pojawiał, była z nim. Nawet teraz mógłby przysiąc, że zaraz wróci z toalety i zajmie miejsce naprzeciwko. A potem razem będą wyglądać na parking, obserwować ludzi, którzy załatwiają swoje sprawy. Rzucą jedno, dwa słowa komentarza, dojedzą, a potem wrócą do domu.

W tej prostocie egzystencji kryło się prawdziwe piękno. Słuchając, czułam, że też tego chcę. Nie było niczego cudownego w gonieniu za muzycznymi wskazówkami faceta siedzącego w więzieniu. W stabilizacji, spokoju i błogim dzieleniu życia z kimś – wprost przeciwnie.

Kiedy wyszliśmy od Mo, mój transport już na mnie czekał. Dziadek dostrzegł go jako pierwszy, choć na dobrą sprawę wystarczyło, bym powiodła wzrokiem po parking. Pojazd dość mocno się wyróżniał.

- Jest twój fatygant – oznajmił Prodziekan.

- Mój co?

- Absztyfikant. Epuzer.

- Czy ty mówisz poważnie?

Byłam na sto procent pewna, że doceni konstrukcję tego zdania pytającego, ale dziadek przez większość czasu zdawał się zupełnie nieświadomy swojej manieri. Jak i chyba w ogóle sarkazmu i ironii.

- Ewidentnie smali do ciebie cholewki.

- Jezus Maria...

Drzwi czerwonego porsche 924 się otworzyły, a Grayson Joyce wychynął na zewnątrz. Nie wysiadł w całości. W jakiś sposób zrobił to połowicznie.

- Podrzucić pana? – spytał.

- Nie trzeba, chętnie się przejdę.

- Mam z tyłu miejsce.

- Chyba dla niemowlaka – odparł pod nosem dziadek, po czym obrócił się w moim kierunku.

Jego ręce drgnęły lekko na boki, jakby chciał mnie przytulić, ale w ostatniej chwili się rozmyślił. Był to z pewnością naturalny odruch powstrzymany świadomością, że z mojego punktu widzenia znamy się raptem niecały tydzień.

Kiedy jednak zrobiłam krok w stronę Prodziekana, ten natychmiast zareagował. Objął mnie i mocno przycisnął do siebie. Trwaliśmy tak przez jakiś czas, a Joyce się nie odzywał.

Po tym, jak dziadek wreszcie wypuścił mnie z ramion, spojrzałam na niego jedynie przelotnie, ale tyle wystarczyło, bym dostrzegła, że mój gest go wzruszył. Pociągnął nosem

i wskazał ręką kierunek marszu.

- Pójdę już.

- Jasne.

- Uważajcie tam na siebie.

Moment, czyżbym się przesłyszała? Owszem, Grayson miał odwieźć mnie na widzenie, ale bynajmniej nie uczestniczyć w całym procesie.

- My?

- Ach, no tak...

- Co „ach, no tak”? – rzuciłam ostro. – Coś ty wymyślił?

Przodziekan ruszył powoli w kierunku Laurel Street, dobitnie uświadamiając mi, że nie ma zamiaru prowadzić ze mną tej rozmowy. W dodatku przez jego twarz przemknął nikły, przebiegły uśmiešek.

- Doszedłem do wniosku, że nie możesz iść na to widzenie sama – rzucił na odchodnym.

Gdybym chciała odpowiedzieć, musiałabym za nim krzyżeć. Pokręciłam więc tylko głową, po czym przeniosłam uwagę na Graysona.

- Wiedziałaś o tym? – rzuciłam ostro.

- Zupełnie nie.

- Kurwa, Joyce...

Grayson wyciągnął paczkę papierosów, stuknął nią o przedramię i wyciągnął jednego.

- Kurwa, Wakefield... – odparł, kopiując moją intonację. – Nie wydawało ci się chyba, że pójdziesz tam sama.

Zbliżyłam się do niego, a on wspaniałomyślnie wydmuchnął dym na bok, bym nie weszła w nikotynową chmurę.

- Jesteś ostatnią osobą, która powinna gadać z Pepecalą – odparłam.

- Może. Ale twój dziadek o tym nie wie.

- W takim razie powinnam mu powiedzieć, dlaczego w ogóle szukasz José Alcali.

- Śmiało.

Teraz było już po fakcie. Poza tym musiałam przyznać, że obecność Graysona w pewien sposób była uspokajająca. Gdybym bowiem miała wybierać kogoś do towarzystwa, ze wszystkich znanych mi ludzi postawiłabym właśnie na niego.

Niego lub Ryana, odkryłam z zaskoczeniem.

Poczułam natychmiastowe wyrzuty sumienia spowodowane tym, że nigdzie w tym rankingu nie pojawił się Carlos, ale nie miałam zamiaru teraz tego roztrząsać. Wsiadłam do auta, a potem wychyliłam głowę na zewnątrz.

- Kończ to i jedziemy – poleciłam.

Joyce wyrzucił niedopałek, zdeptał go, a potem zasiadł za sterami Hermiony.

Kiedy przekręcił kluczyk w stacyjce, rozległ się przyjemny dźwięk silnika.

- Co dzisiaj będzie? – spytałam.

- Co tylko zechcesz – odparł prześmiewczym głosem Grayson, wskazując wzrokiem schowek po stronie pasażera.

Otworzyłam go z westchnieniem, spodziewając się kilku kaset na krzyż. Oprócz nich znajdowały się tu jakieś gumy do żucia i kilka polaroidów wykonanych przez Graysona. Zainteresowałam się nimi, bo nie miałam jeszcze okazji zobaczyć, co w ogóle zwykł fotografować.

Te przedstawiały miejską architekturę Hartford. Drewniano-murowany budynek z dużym wykuszem kojarzyłam, bo był to dom Marka Twaina znajdujący się nieopodal Laurel Street. Inne miejsca były dla mnie jednak zupełnie anonimowe.

- O co chodzi z tymi polaroidami? - spytałam.

- O nic. Po prostu lubię je robić.

- Bo?

- Sam nie wiem - odparł Joyce. - Jest coś wyjątkowego w tym, że fotografujesz coś, a kadr chwilę po tym materializuje się w twojej dłoni. No i są niepowtarzalne. Niby możesz wykonać kopię, ale to nie to samo.

- Masz tego więcej?

- Mam. Ale czas na wernisaż będzie później - rzucił. - Pogrzeb jeszcze trochę w schowku.

Dopiero kiedy to zrobiłam, uzmysłowiłam sobie, co znajduje się za kasetami. Nowy iPhone i airpods.

- Co to ma być?

- Twój dostęp do Spotify.

- Ale...

- Założyłem ci konto - oznajmił Joyce. - Jesteś już zalogowana.

Przez moment zastanawiałam się, jak powinna brzmieć moja odpowiedź. Trwało to najwyraźniej zbyt długo, bo Grayson skupił na mnie badawcze spojrzenie.

- Milczysz.

- Mhm - potwierdziłam. - Brawa dla ciebie za sprawną obserwację rzeczywistości.

Joyce wbił jedynekę, po czym wyjechał z parkingu na Whitney Street.

- Wahasz się między podziękowaniem a zasugerowaniem, żebym spierdalał? - podsunął.

- Mniej więcej.

- Zrozumiałe.

- Naprawdę nie powinienes...

- Akurat miałem przyplływ gotówki - uciął Grayson, doskonale wiedząc, do czego zmierzam.

O ile nie ukradł tego sprzętu, musiał wydać na niego większą część swojego rocznego budżetu. Z dwojga złego właściwie wolałabym, żeby ta pierwsza możliwość okazała się prawdziwa.

- Znalazłem też twój stary profil na Spotify - odezwał się.

- Co? Poważnie? Szukaliśmy go z Carlosem przecież od...

- Okazało się, że trochę się zakamuflowałaś.

- Jak? - spytałam.

Wydawało mi się, że próbowałam wszystkiego, przejrzałam profil każdej Aspen i wszystkich ludzi noszących nazwisko Wakefield. Żadna miniaturka nie przypominała mnie,

na żadnej z playlist przypiętych do tych profili nie było też nic, co kojarzyłyby mi się jako dobrze znane.

- Ghosts of Ute – oznajmił Joyce.

Powoli obróciłam do niego głowę.

- Że co? – spytałam. – Że jak?

- Tak nazywała się playlista, którą namierzyłem. Były na niej twoje ulubione kawałki Ghosta i wyglądało na to, że to całkiem niezła kompilacja, bo zebrałaś sporo lajków.

- Ale jak...

- Zakładałem, że jakąś masz – uciał Grayson. – Próbowałem więc różnych kombinacji: Aspen's Ghost, Ghost of Aspen i takie tam. W końcu doszedłem do wniosku, że jesteś zbyt nieoczywista na coś tak trywialnego.

Poczułam lekkie ciepło na policzkach i poprawiłam swój pas, jakby to mogło w czymkolwiek pomóc. Prosiłam w duchu Joyce'a o to, by przez moment nawet na mnie nie zerkał i skupiał się na drodze.

Jak na złość trafiliśmy na czerwone światło na skrzyżowaniu.

- Sprawdziłem, jaka była pierwsza nazwa miasta Aspen – podjął Grayson. – Ute.

- Nie najgorzej.

- Jak tylko wpisałem to z frazą „ghost”, pojawiła się playlista, a przy niej miniaturka z twoim zdjęciem.

Nagle moje myśli zrobiły nawrót o sto osiemdziesiąt stopni. Musiałam to zobaczyć. Przekonać się, jakie zdjęcie mogłam dodać. Czy to mogło mi powiedzieć coś o osobie, którą jestem? Pewnie nie, nawet na pewno nie. Ale i tak musiałam to zrobić.

Na fotce byłam prawie niewidoczna. Ewidentnie strzelałam selfie, ale tak, żeby było widać tylko połowę mojej twarzy. W dodatku zakryłam usta dłonią.

Cóż. Joyce rozpoznał mnie chyba tylko cudem, ale trudno. Zdjęcie przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie, liczyło się tylko to, co na playliście.

Zobaczyłam tam obowiązkowy *Spillways*, na drugim miejscu zaś widniał kawałek *Griftwood*, potem *Call Me Little Sunshine*, *Darkness At The Heart Of My Love*, *Mary On A Cross*, *Hunter's Moon*... było ich trochę, a ja znałam większość słów i melodii z nich wszystkich.

Jak niby mogłoby mi pomóc to, że włączyłabym któryś? Co do zasady doktor Bearce mógł się nie mylić, ale może po prostu w moim przypadku nie miało to sensu, skoro moja pamięć obejmowała te dźwięki.

- Nie włączasz? – spytał Grayson.

- Chyba nie.

- To rzuć okiem na pozostałe playlisty.

- A są jakieś?

- Mhm – potwierdził cicho. – Wczoraj przez pół nocy słuchałem tej, która nazywa się „Love Kills”.

Spojrzałam na Joyce'a z powątpiewaniem, on jednak skupiał się na drodze i nie wychycił moich wątpliwości.

- Ja nazwałam tak playlistę?

- Najwyraźniej.
- To niezbyt wymyślne...
- Powiedz to Freddiemu Mercury'emu – odparł Grayson.

A niech go chuj, miał rację. Przecież taki tytuł nosiła jedna z jego piosenek. A skoro taki zwyczaj muzyki jak Freddie mógł nazwać w ten sposób jeden kawałek, to tym bardziej ja mogłam pozwolić sobie na to w przypadku plejki.

Nie było jednak na niej utworu Mercury'ego ani późniejszej wersji Queen. Właściwie znajdowały się na niej same dojmujące piosenki. A przynajmniej tak by wynikało z ich tytułów i nazw wykonawców, bo nie pamiętałam ani konkretnych dźwięków, ani warstwy lirycznej.

Dziwne, szczególnie że w przypadku tej wcześniejszej było inaczej.

Nie miałam też pojęcia, dlaczego w ten sposób nazwałam playlistę. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa byłam przecież w szczęśliwym związku z chłopakiem, którego znałam od dzieciństwa, któremu ufałam i na którym mogłam polegać. Ale może po prostu generalizowałam?

- Ciekawe... – mruknęłam.
- Co?

Potrząsnęłam głową, uświadamiając sobie, że powiedziałam to na głos.

- Nic takiego.
- Mów – polecił Grayson.

Miałam ochotę zaoponować dla samego zaoponowania, ale koniec końców moja podświadomość chyba chciała podzielić się tą myślą z Joyce'em.

- Może miłość i cierpienie idą w parze – odezwałam się.

Grayson zerknął na mnie niepewnie.

- Mam na myśli to, że nikt nigdy nie śpiewał o tym, że chce żyć z miłości – powiedziałam. - Zawsze, że chce umrzeć z miłości.

Jeśli Joyce miał jakiś komentarz, to zachował go dla siebie, ja zaś skupiłam się na playliście. Skoro moja pamięć nie miała tak mocno zakodowanych tych kawałków, istniała szansa, że wyzwolą jakąś reakcję.

Włączyłam pierwszą piosenkę. *Stolen Love* Josiah and the Bonnevilles.

Jeśli nie tylko z miłości dało się umrzeć, ale także z muzyki, to właśnie przestałam żyć. Już pierwsze dźwięki tego kawałka rozbiły mnie na milion części, których nigdy nikomu nie uda się poskładać.

Moment, kiedy rozbrzmiał głos wokalisty, sprawił, że ciarki przeszły mi po ramionach, a w oczach stanęły łzy.

- Co to jest...

Nie wiedziałam, czy Joyce był w stanie usłyszeć mój łamiący się głos. Nie tylko odmawiał mi posłuszeństwa, miałam wrażenie, że moja dusza została wyrzucona z ciała, a kontrolę nad nim przejęła jakaś siła, która je unieruchomiła.

Z każdym kolejnym wersem było tylko gorzej. Miałam wrażenie, że za moment zemdleję.

- Joyce...

W końcu zreflektował się, że coś się dzieje. Raptownie obrócił głowę w moją stronę, jakby realnie się przestraszył, a ja niespodziewanie zobaczyłam, że on też przeżywa te dźwięki.

Przez moment Grayson prowadził, nie odrywając ode mnie wzroku. Chciałam powiedzieć, by patrzył przed siebie, ale nie potrafiłam oderwać od niego oczu. Coś połączyło nasze spojrzenia i splotło je tak, że żadne z nas nie potrafiło rozsupłać tego węża.

Zwolnił lekko, ale wciąż nie patrzył przed siebie, jakby nie obchodziło go, czy w coś uderzymy.

Zjechał na chodnik przy niewielkim parku, a przynajmniej tak mi się wydawało, bo obserwowałam to tylko kątem oka.

Równie niejasno dostrzegłam, że ręka Graysona, która przed momentem znajdowała się na drążku skrzyni biegów, teraz przesunęła się w kierunku mojego fotela. Nie był to żaden duży ruch. Raczej nieśmiała, niepewna sugestia, jak tęsknota serca.

Przełknęłam ślinę i zebrałam w sobie wszystkie siły, by dać temu odpór. Zatrzymałam piosenkę, a razem z nią zdawał się wyłączyć cały świat.

Potrzebowałam chwili, by odzyskać namiastkę równowagi. Joyce także.

- Moją reakcję jestem w stanie zrozumieć - wycedziłam przez zaciśnięte gardło.

Grayson natychmiast się zmitygował i cofnął dłoń.

- Ewidentnie noszę jakiś ładunek emocjonalny związany z tym kawałkiem - powiedziałam, choć miałam wrażenie, że to gigantyczne niedopowiedzenie. - Ale ty?

Joyce zamrugał szybko i się rozejrzył.

- Słuchałem go wczoraj.

Rzeczywiście, mówił.

- I to wystarczyło, żeby tak do ciebie...

- Po prostu mi siadło.

Oczyścił gardło, zupełnie jakby tym krótkim i niedbałym odchrząknięciem mógł zbagatelizować to, co przed momentem razem z nim przeżyłam.

- I tobie też, jak widać - dodał szybko. - Przypomniało ci to coś?

Nabrałam głęboko tchu, zastanawiając się nad jego pytaniem. Przykryta tą wezbraną falą emocji, nie potrafiłam nawet ocenić, z czym się wiąże.

- Może puść od początku - podsunął Joyce.

- To chyba najgorsze, co mógłbyś zaproponować.

- I jednocześnie najlepsze?

- Mhm - przyznałam.

Zrobiłam, co sugerował, a potem zamknęłam oczy i skupiłam się na dźwiękach oraz słowach, które wciąż prowadziły do destrukcji samego mojego jestestwa. Zamknęłam oczy, pozwalając, by ta siła zawiodła mnie do całkowitego unicestwienia.

Zobaczyłam przeblýski wspomnień.

Krótkie klatki, pozbawione sensu i kontekstu, związane jednak nierozzerwalnie z dźwiękami *Stolen Love*.

Znów znajdowałam się na dachu jakiegoś niewysokiego budynku. Była to chyba ta sama stacja benzynowa. Ktoś siedział obok mnie, tuż na skraju połaci. Moje nogi zwisały swobodnie,

a ta osoba otaczała mnie ramieniem.

Teraz wiedziałam, że był to jakiś chłopak. Jego ręka była silna, zapewniała spokój i bezpieczeństwo.

Odnosiłam jednak wrażenie, jakbyśmy tylko cudem wyrwali światu sposobność do tej bliskości. Jakby była zakazana.

Piosenka się skończyła, a ja nadal trwałam z opuszczonymi powiekami. Zaciskałam je tak mocno, że oczy zaczęły mnie boleć.

- Wakefield?

- Wszystko okej.

- Na pewno? - spytał Joyce. - Bo wyglądasz, jakbyś próbowała doprowadzić do implozji swoich oczodołów.

Podniosłam powieki i głęboko westchnęłam. Natychmiast zatrzymałam dalsze otwieranie, bo nie byłam gotowa na to, co się z tym wiąże.

- Prawie to miałam - oznajmiłam.

- Co?

- Wspomnienie związane z tą piosenką.

Grayson nie skwitował w żaden sposób, jedynie powoli skinął głową. Stworzył wrażenie, jakby nie musiał dopytywać i rozumiał te emocje, może nawet lepiej niż ja sama. Przypuszczałam, że to tylko iluzja, ale byłam wdzięczna, że ją przede mną roztacza.

- Dużo jest tam jeszcze takich kawałków? - rzuciłam.

- Nie pytaj.

- I wszystkie są takie mocne?

- Jak ten? Nie - odparł Joyce. - Ale dosyć.

Nie wiedziałam, czy jestem na to gotowa. Ale może nie powinnam zwlekać.

- Kiedy będziemy pod więzieniem?

- Za parę minut.

- W takim razie pewnie powinniśmy odpowiednio się nastroić.

- Mhm...

- Bojowo i tak dalej.

- Z pewnością - przyznał Grayson. - Dobrze by było, żebyśmy tam weszli na pełnej kurwie.

- I wyciągnęli z Pepecali wszystko, co chcemy wiedzieć.

- No właśnie.

Spojrzeliśmy na siebie tylko na ułamek sekundy, ale tyle nam w zupełności wystarczyło.

- Pieprzyć to - oznajmiłam.

Odpaliłam drugi kawałek - *Occasional Rain* w wykonaniu The War On Drugs. Efekt był natychmiastowy i podobny do tego, który wystąpił przy piosence Josiah and the Bonneville. Już pierwsze dźwięki sływały po moich plecach falami ciarek. Oczy mi się zaszkliły, a ręce nagle zaczęły drżeć.

- Boże...

Bałam się choćby zerknąć na Joyce'a. Bałam się, że jeśli zobaczę podobne emocje u niego, nie wytrzymam i się rozplaczę.

Chwyliłam za drzwiczki samochodu, jakbym potrzebowała jakiegoś podparcia. Mój oddech przyspieszył, na karku poczułam jakby jakiś termofor. Po chwili gorąco rozlało się na resztę mojego ciała.

Zamknęłam oczy i natychmiast wróciłam do tamtego świata. Utraconego, niedostępnego i należącego do kogoś innego.

Wciąż byliśmy na dachu tamtej stacji benzynowej. Teraz jednak stałam wtulona w niego, muzyka płynęła z komórki leżącej obok. Powoli tańczyliśmy, choć nie wiedziałam, czy można było tańcem to nazwać. Kołysaliśmy się delikatnie w rytm muzyki, tak mocno przylegając do siebie, jakbyśmy chcieli w sobie zniknąć. Wchłonąć się wzajemnie.

Ledwo piosenka się skończyła, zatrzymałam odtwarzanie. Nie byłam w stanie dłużej tego znieść.

Uświadomiłam sobie, że jesteśmy już pod więzieniem, na parkingu. Grayson siedział z dłońmi na kierownicy, patrząc przed siebie. Wyglądał, jakby się wahał, czy nie wyjść i nie zostawić mnie samej z tymi dźwiękami.

- Kurwa mać... - powiedziałam.

Dopiero teraz się do mnie obrócił.

- Dość trafny komentarz - ocenił.

- Żartujesz? To nie oddaje nawet w jednej dwudziestej tego, co poczułam...

Przez jego oczy przemknął jakiś dojmujący wyraz, jakby myślenie o moich dawnych uniesieniach miłosnych wiązało się dla niego z dyskomfortem.

- Sorry - dodałam szybko.

- Za co?

- Za nic, po prostu...

- Chodźmy może - przerwał mi, wskazując wzrokiem wejście do więzienia. - Pepecalá pewnie już czeka.

Najwyraźniej podjęliśmy decyzję, by w żaden sposób tego nie komentować. Joyce jednak nie miał zamiaru odpuścić tematu całkowicie. Tuż po tym, jak przeszliśmy kontrolę bezpieczeństwa, zapytał, jakie wspomnienia się przede mną zarysowały.

Powiedziałam mu o stacji benzynowej, siedzeniu na skraju dachu, a potem tańcu.

- To było nieprawdopodobne - dodałam.

- Co konkretnie?

Pożałowałam, że w ogóle zaczęłam, bo nie miałam dobrej odpowiedzi. Siedzieliśmy już w pomieszczeniu przypominającym długi hall, w którym razem z innymi wizytującymi czekaliśmy na Pepecalę. Znajdowaliśmy się w niewielkich boksach przedzielonych ściankami od innych i pleksiglasem od osadzonych. Niewielka czarna słuchawka na grubym kablu czekała, by ją podnieść.

- Nie wiem - odparłam. - Ale Joyce...

- No?

- To było, jakby coś... jakby wysysało ze mnie całą energię, a jednocześnie napełniało mnie zupełnie nową. Jakbym jednocześnie nie mogła oddychać i oddychała pełną piersią.

Obróciłam się do niego, on jednak wciąż patrzył wprost na pleksyglas.

- Przeżyłeś kiedyś coś takiego? - zapytałam.

- Tak.

- Z Cass?

- Mhm - potwierdził.

Pożałowałam tego pytania w momencie, kiedy je zadałam. Miałam równie wielką ochotę słuchać o nim i Cassidy, jak on o mnie i chłopaku, z którym byłam na dachu stacji. Prawdopodobnie Carlosie. Należało to sobie powiedzieć wprost.

Szczęśliwie nie mieliśmy okazji pociągnąć tego wątku, bo nagle zjawił się ten, na którego tak długo czekaliśmy.

W pierwszej chwili nie mogłam uwierzyć zarówno w sam ten fakt, jak i to, że José Alcalá wygląda w ten sposób.

Usiadł przed nami łysy, nieco przypakowany, pokryty tatuażami sześćdziesięcioletek z matowym wzrokiem i surową twarzą. Wyglądał jak jeden z tych ludzi, na których widok nocą przechodzisz na drugą stronę ulicy. Albo wchodzisz do pierwszego lepszego otwartego sklepu i czekasz, aż przejdą.

Usiadł powoli i ociepiał, a potem powiódł po nas wzrokiem. Nie podnosił słuchawki, jakby potrzebował chwili, by przesądzić, czy w ogóle zamierza to zrobić.

Wyglądał jak zakapior. Nie jak ktoś, kto z czułością opisał historię dwójki kochanków w swoich piosenkach.

Może po tylu latach nie miał już nic wspólnego z tamtą osobą? A ja przyszłam tutaj nadaremno?

W końcu Joyce podniósł słuchawkę, ale nie wyzwolił żadnego ruchu po drugiej stronie szyby. Stuknął nią lekko w pleksyglas, Pepecała w odpowiedzi uniośł brwi.

- Proszę - powiedziałam bezgłośnie.

Widziałam, że jego wzrok przesunął się po moich ustach i pewnie nie trzeba było wiele, by wiedział, w jakie słowo się ułożyły.

Wreszcie sięgnął po słuchawkę, a ja uświadomiłam sobie, że po naszej stronie jest tylko jedna. Zanim zdążyłam jednak zasugerować Graysonowi, by się jakoś podzielili, umieścił ją między nami.

Przysunęliśmy się do siebie, a ja starałam się skupić nie na jego bliskości, ale na José Alcali.

Ten w końcu przyłożył czarną słuchawkę do głowy. Jeszcze przez moment patrzył na mnie, po czym nagle wbił srogie spojrzenie w chłopaka, z którym tutaj przyszłam.

- Grayson Joyce - powiedział. - W końcu.

Miałam nieodparte wrażenie, że za nie więcej niż pół sekundy Grayson podniesie się i wyjdzie. Robił wprawdzie wszystko, by nie dawać po sobie znać, jak silny instynkt ucieczki się w nim uruchomił, ale poczułam go dobitnie.

José Alcalá wiedział, kim on jest. Nie tylko go kojarzył, ale też znał z imienia i nazwiska.

Odsunęłam się lekko, by spojrzeć na Joyce'a, ten jednak nie odrywał wzroku od siedzącego naprzeciwko mężczyzny. Zachowywał pozorny spokój, dostrzegłam jednak, że jego grdyka nerwowo się przesuwa.

Zanim cokolwiek odpowiedział, Pepecalá znów skupił się na mnie.

- I Aspen Wakefield - rzucił. - Co za niespodziewana wizyta.

Co, do kurwy...

- Zakładałem, że ktoś niebawem mnie odwiedzi - dodał José. - Ale nie stawiałem, że to będziecie wy.

Spojrzeliliśmy po sobie zupełnie zdezorientowani.

- Odebrało wam mowę?

- Zaraz... - zaczęłam. - Skąd...

- Proponowałbym, żebyś tak nie dukala - uciął Pepecalá. - Mamy ograniczony czas, a ja naprawdę chciałbym wam coś przekazać.

- Ale...

Ściągnął wrogo brwi, sprawiając, że pojedyncza wytatuowana łaza pod okiem zmieniła nieco kształt. Patrzyłam w nie z nieodpartym wrażeniem, że gdyby nie przedzielający nas przesłgias, ten człowiek mógłby rzucić mi się do gardła.

- Jeśli chcesz coś powiedzieć, po prostu to powiedz - poradził.

- Ja...

Nie byłam w stanie sformułować zbornej myśli, a moje ciało zareagowało na tę niemoc w tyle automatyczny, ile niedopuszczalny sposób. Moja dłoń powędrowała w kierunku ręki Graysona i lekko ją ścisnęła.

Joyce natychmiast odebrał sygnał.

- Skąd nas znasz? - rzucił.

Pepecalá wydał z siebie cichy pomruk, po czym zmrużył oczy i wbił spojrzenie gdzieś ponad naszymi głowami.

- Powiedzmy, że trzymam rękę na pulsie.

- W sprawie kasety?

Na dźwięk tego słowa coś się w nim zmieniło. Przez jego twarz przemknął nieudanie skrywany ból, a palce zacisnęły się na słuchawce, aż końcówki zbiełały.

- Znaleźliście ją?

- Tak – potwierdził Grayson.

- Gdzie?

- W szpitalu, do którego trafiłeś po pożarze.

José bynajmniej nie wyglądał na ukontentowanego faktem, że Grayson w ogóle ma czelność o tym wspomnieć. Z minuty na minutę przedzielająca nas szyba wydawała mi się coraz mniejszą gwarancją bezpieczeństwa.

Uznałam, że muszę jakoś rozładować napięcie, które powstało między Pepecalą a Joyce'em. A jednocześnie pokazać, że jesteśmy konkretnymi zawodnikami. I że przychodzimy tu z wiedzą, której nie powinien bagatelizować.

- Poszliśmy za wskazówkami – odezwałam się.

Myślałam, że od razu przeniesie na mnie wzrok, ale José zatrzymywał go jeszcze przez chwilę na Graysonie. W końcu jednak na mnie popatrzył, a ja poczułam, jakby w jakiś sposób sięgnął do mojego gardła i zacisnął na nim dłoń.

- Pierwsza piosenka doprowadziła nas do Bulkeley Bridge, gdzie była wskazówka precyzująca, że miejsca z drugiego kawałka należy szukać w Upper Albany.

José nie odpowiadał, a ja nabrałam tchu.

- Tam znaleźliśmy opuszczoną szkołę, a w niej kolejny symbol energii ciszy i trop świadczący o tym, że trzecia piosenka mówi o bibliotece przy Asylum Avenue.

Pepecalá wciąż patrzył na mnie nieruchomo.

- W czwartej piosence jest wskazówka, by znaleźć w zbiorach tomik poezji Joana Brossy – ciągnęłam. – *Sestyny 76*.

Rzykowałam, zakładając, że nie wie o zamknięciu biblioteki. Nie miał przecież dostępu do internetu, nie mógł tego sprawdzić. Żył odcięty od świata, a jeśli trafił tu ktoś nowy z zewnątrz, raczej nie oferował informacji na temat bibliotek publicznych.

José Alcalá czekał na więcej, a ja miałam zamiar mu pokazać, że owszem, mogłabym kontynuować, ale świadomie tego nie robię. Skrzyżowałam ręce na piersi, co sprawiło, że Joyce uniósł brew i spojrzał na mnie przelotnie.

Pepecalá w końcu drgnął. Rozejrzał się na boki, a potem nachylił w kierunku szyby.

- Więc jesteście na czwartej piosence – odezwał się.

- Mhm – potwierdził Grayson.

- Została wam jeszcze jedna.

Nie bardzo wiedziałam, dlaczego raczy nas tymi oczywistościami, ale ewidentnie do czegoś dążył.

- I jak myślicie, co się stanie, kiedy odkryjecie jej sens?

- Cóż... – odparłam. – Chyba sam wie to pan najlepiej.

Przebyski na jego twarzy były ewidentne, a zatem mogłam uznać, że nie wie o zamknięciu biblioteki i ucięciu tropu.

- Ja? – spytał. – Owszem. Ale wy nie macie o tym bladego pojęcia.

Przełożył słuchawkę na drugą stronę, jakby przerzucał piłkę z ręki do ręki. To jego nagłe ożywienie podziało na mnie alarmująco.

– Nie wiecie, w co się władowaliście – oznajmił. – I naprawdę sądziliście, że nie dowiem się, co robicie? Że przyjdziecie sobie tutaj pewni siebie i z inicjatywą, a ja nie będę wiedział, kim są Aspen Wakefield i Grayson Joyce?

Pepecalá zaśmiał się gardłowo, a potem westchnął z politowaniem.

– Do kurwy nędzy – dodał. – Jesteście głupszy, niż myślałem.

– Słuchaj... – rzucił ostrzej Grayson.

– Nie – uciął od razu José. – To wy mnie posłuchacie.

Znów przerzucił słuchawkę, znajdując się już tak blisko szyby, że jego oddech zostawiał na niej mgiełkę.

– Jesteście już martwi – rzucił.

Mimowolnie się cofnęłam, a Grayson wykonał ruch przeciwny do mojego, zupełnie jakby włączył się w nim jakiś instynkt obronny.

– Nie żyjecie – dodał José. – Rozumiecie, o czym mówię? To wasz, kurwa, koniec. Nie macie pojęcia, co na siebie sprowadziliście.

Wyglądał, jakby zamierzał dodać coś jeszcze, ale nagle machnął ręką i cisnął słuchawką w pleksyglas.

Niemal natychmiast za jego plecami zjawił się klawisz, gotowy do interwencji. Złapał go, ale Pepecalá szybko uniósł ręce i chyba zapewnił, że wszystko jest w porządku. Że i tak już skończył. A przynajmniej tyle sugerowała mowa jego ciała.

– Niech pan poczeka! – rzuciłam, podnosząc się.

Kabel od słuchawki był tak krótki, że nie mogłam się wyprostować.

– Stop! – krzyknęłam z nadzieją, że jeszcze mnie słyszy.

Spojrzał na mnie jak na jakiegoś insekta, którym nie ma sensu się przejmować, bo zaraz i tak odleci w siną dal.

– Skąd ten pana symbol w Prescott? – rzuciłam desperacko. – Skąd się wziął ten człowiek w Arizonie?

Pepecalá zmarszczył czoło i się zawahał.

Prosiłam go w duchu, by usiadł z powrotem i powiedział mi choć tyle. Cokolwiek, co pozwoliłoby poskładać w logiczny kształt te rozrzucone elementy mojej przeszłości.

José zaczął powoli opadać na krzesło, a ja odetchnęłam w duchu. Zanim jednak zdążył wrócić na miejsce, klawisz złapał go za ramię i pociągnął do tyłu. Nie słyszałam, co mówi, ale nie musiałam.

Za ten wybuch musiał wrócić prosto do celu.

Na odchodnym spojrzał jeszcze na nas z mieszaniną wściekłości i politowania. Jakby patrzył na kogoś, kto sam prosi się o tragedię.

Próbowaliśmy załatwić następne widzenie z José Alcalą, ale bezskutecznie. O ile z kolejną przysługą znajomego Prodziekana nie było żadnego problemu, o tyle ze zgodą Pepecali już tak.

Nie chciał słyszeć o tym, by ponownie się z nami zobaczyć, przez co słowa, które wypowiedział, odbijały mi się echem w głowie.

„Jesteście już martwi”.

„Nie żyjecie”.

„To wasz, kurwa, koniec”.

„Nie macie pojęcia, co na siebie sprowadziliście”.

Długo rozmawialiśmy o tym z Graysonem, choć tak naprawdę nie było o czym. Niczego więcej przecież nie mogliśmy z tych gróźb lub przestróg wyciągnąć. Wisiąły jednak nad nami jak widmo czegoś, co nieuchronnie na nas spadnie.

Zastanawialiśmy się nad tym, co należało zrobić. Jako względnie rozsądni ludzie powinniśmy przynajmniej rozważyć wyjazd z Hartford na jakiś czas. Jeśli bowiem w słowach Pepecali tkwiło ziarno prawdy, mogło być wystarczające, by sprowadzić na nas realne zagrożenie.

Najwyraźniej jednak racjonalni nie byliśmy.

Jednogłośnie zgodziliśmy się, że rezygnacja nie wchodzi w grę. Ja musiałam się dowiedzieć, jaki mam z tym wszystkim związek. Grayson musiał odmienić swoje życie. Wyrwać się z przyszłości, w którą chciał wpełznąć go los.

Pozostało nam tylko jedno: znaleźć ten przeklęty tomik Joana Brossy.

Dzwoniliśmy wszędzie, gdzie się dało, Prodziekan również nie ustawał w próbach ustalenia, dokąd trafiły zbiory dawnej biblioteki przy Asylum Avenue. Niestety okazało się, że nikt nie prowadził takiego rejestru – a książki zostały rozdysponowane między inne tego typu miejsca w Hartford. Część trafiła do rąk prywatnych, co specjalnie mnie nie dziwiło. Sama przy likwidacji jakiegokolwiek biblioteki pewnie bym się obłowiła.

Podzieliśmy potencjalne miejsca między mnie, Joyce'a, Cass, Ryana, Tysona i Rebecce. Mieliśmy sprawdzać je metodycznie, biblioteka po bibliotece, licząc na to, że gdzieś odnajdziemy właściwy egzemplarz.

Nie było to łatwe zadanie. Pomijając wszystkie akademickie i szkolne miejsca, sama biblioteka publiczna Hartford miała osiem oddziałów. Katalog był wprawdzie dostępny online, ale Prodziekan twierdził, że takie spadki po innych bibliotekach mogły nie być wprowadzone do internetowego rejestru lub zostać błędnie wpisane.

Jakkolwiek by było, w wykazie próżno szukałam jakiegokolwiek dzieła Joana Brossy. Mimo że był w Katalonii nie mniej znany niż Robert Frost u nas, tutejsze biblioteki zdawały się w ogóle nie odnotować jego istnienia.

Pewne były dwie rzeczy.

Po pierwsze, Pepecalá dobrze wybrał. Nikt nie wypożyczyłby na chybił trafił takiego tomiku poezji.

Po drugie, przed nami było zadanie praktycznie niemożliwe do wykonania.

Mimo to szczęście uśmiechnęło się do Tysona, który w oddziale Ropkins przy Main Street znalazł egzemplarz *Sestyn 76* Joana Brossy. Szybko okazało się jednak, że ten od lat był w ich zbiorach i nie trafił do nich po likwidacji żadnej biblioteki.

Znów znajdowaliśmy się więc w punkcie wyjścia.

Sprawdziwszy wszystkie oddziały miejskiej biblioteki w Hartford, nadal dzielił się między siebie kolejne lokalizacje.

Mnie przypadł odpowiednik tego miejsca po drugiej stronie Connecticut, w East Hartford. Obsługa była pomocna i zezwoliła mi na buszowanie w dziale poezji, raz po raz zjawiała się z pytaniem, czy udało się cokolwiek znaleźć.

Moja odpowiedź zawsze była przecząca.

Kiedy kończyłam przeglądać tutejsze zasoby, usłyszałam kroki od strony czytelnicy i już miałam automatycznie powiedzieć, że nadal nic, kiedy zrozumiałam, że nie dołączył do mnie nikt z personelu.

Obróciwszy się, zobaczyłam Ryana Nearinga, który wedle mojej najlepszej wiedzy powinien być teraz gdzieś w niewielkiej bibliotece stanowej po drugiej stronie rzeki, przy Van Block Avenue.

Nie było to najbardziej okazałe ze wszystkich badanych przez nas miejsc, w dodatku znajdowało się w okolicy, która nie zachęcała do spacerów. Same zniszczone, pozbawione nawet tynku budynki, świecące pustkami chodniki, stare samochody i zaniedbana, dogorywająca zieleń. Nikt nie chciał tam trafić, ale na kogoś musiało paść.

- Co ty tu robisz? - rzuciłam.

- Pomyślałem, że ci pomogę.

- Ale...

- Sprawdziłem już stanową.

- Tak szybko?

Ryan niedbale wzruszył ramionami.

- Nie mają tam wielkich zbiorów.

- I?

- I to samo, co wszędzie indziej. Jedno wielkie nic.

Zmrużyłam oczy, odkładając na półkę jakiś tomik poezji, który był zbyt cienki, by cokolwiek zmieściło się na grzbiecie. Takie były najgorsze. Wyciąganie ich, sprawdzanie, a potem odkładanie zabierało cenne sekundy, które pomnożone przeradzały się w zmarnotrawione godziny.

- A u ciebie? - spytał Ryan.

- Też nic.

Zmierzyłam go podejrzliwym wzrokiem, bo po raz pierwszy zdarzyło się, by ktoś chciał pomóc innej osobie w przeszukiwaniu przypisanego jej miejsca. Wydawało się całkowicie

oczywiste, że Nearingiem kierowały inne motywacje.

- Ale poważnie – rzuciłam. – Co tu robisz?

- Mówię, że...

- A ja ci ani trochę nie wierzę.

Ostatnim, czego chciałam, było wysłuchiwanie pozbawionych sensu zaprzeczeń. Spodziewałam się niestety, że się bez tego nie obejdzie i przed nami runda oczywistych przepychanek, które zakończą się tym, że jedno z nas wyjdzie.

Najwyraźniej jednak nie doceniłam Ryana.

- No tak – przyznał po prostu.

Nieco zbiło mnie to z pantałyku, ale szybko wróciłam na odpowiednie tory.

- Więc? – mruknęłam ponaglająco, przesuwając wzrokiem po kolejnych grzbietach. – Co cię tu przywiało?

- Chciałem z tobą pogadać.

- Gadasz.

Oderwałam na moment oczy od książek i zerknęłam na Ryana.

- Czekasz na jakieś gratulacje, że ten etap udało ci się zakończyć sukcesem? – spytałam.

Pokręcił głową z dezaprobatą, a potem zbliżył się nieco i zaczął leniwie przeglądać to, co znajdowało się na półkach.

- Gray opowiadał mi o wypadzie do więzienia – podjął.

- Nie tylko tobie. Wszyscy jesteście na bieżąco z tym, co...

- Nie to mam na myśli.

- A co?

- Drogę tam – odparł twardo Ryan.

Nagle przełknięcie śliny wiązało się z nieznacznie większym problemem niż przed momentem. Nie tego się spodziewałam. Właściwie zakładałam, że Joyce nie zająknie się słowem na temat tego, co wydarzyło się w Hermionie.

- Chcesz mi powtórzyć ten wykład na temat Graysona i Cassidy? – rzuciłam.

- A muszę?

- Nie. Doskonale pamiętam te mętne informacje, że zanim się z nią zszedł, był zupełnie inny, znajdował się w innym miejscu i tak dalej.

Ryan zbliżył się do mnie, a ja poczułam jego perfumy. Były męskie, ale miały nutę czegoś słodkiego, której próżno było szukać w tych noszonych przez Joyce'a. U niego zdawał się przebijać jakiś szorstki zapach, w pierwszej chwili niezbyt ujmujący, ale gdy dało mu się czas, rozwijał się do czegoś naprawdę obiecującego.

U Ryana było inaczej. Tutaj już na samym froncie dobrą ekspozycję miały nuty, które sugerowały coś uwodzicielskiego.

Starałam się ignorować zarówno ten fakt, jak i to, co wydarzyło się pod Bulkeley Bridge. Nadal nie miałam pojęcia, jak do tego doszło. I co, do cholery, miało to niby oznaczać.

- Mógłbyś oczywiście rozwinąć – dodałam.

- Co?

- Szczegóły. Detale. Konkretnie informacje – odparłam pod nosem. – Może gdybym wiedziała, jaki był Joyce przed zejściem się z Cass, lepiej bym go zrozumiała.

- Nie musisz go rozumieć.

Zasadniczo nie mogłam odmówić mu racji. Słowa, które wypowiedziałam, ułożyły się jednak wcześniej w mojej głowie zupełnie inaczej. Brzmiały: „może gdybym wiedziała, jaki był Joyce przed zejściem się z Cass, bardziej bym uważała i łatwiej dała mu spokój”.

Nie miałam jednak zamiaru otwarcie przyznawać się do takiego toku myśli nawet przed sobą. Co dopiero przed Ryanem patrzącym na mnie nieruchomym wzrokiem.

- Czyli co? – zapytałam. – Przyjechałeś, żeby jeszcze raz pogrozić mi palcem?

- Nie.

- W takim razie po co?

- Żeby pogadać – odparł. – A potem odwiedzić cię do domu.

- Umieję komunikację miejską.

Machnęła ręką, jakby rozganiał jakiś smród.

- Daj spokój – powiedział tylko.

Najwyraźniej to miało tłumaczyć wszystko, co potrzebowałam wiedzieć na temat autobusów krążących między Hartford a East Hartford. Wydawało mi się jednak, że po kilku ostatnich przejazdach mam w tej materii znacznie większe doświadczenie niż Ryan i jego siostra.

Właściwie cała jego rodzina.

- Dobra – burknęłam. – O czym chciałeś pogadać?

- O tym, co robimy.

Zerknęłam na niego z książką w rękę, a on oparł się barkiem o regał. Sprawiał nonszalanckie wrażenie faceta, który wie, czego chce, i zaraz weźmie to sobie bez względu na innych.

Poczułam się nieswojo i momentalnie przypomniało mi się, jak popchnął mnie na imprezie u Joyce'a. Musiał to wyczuć, bo szybko zmienił pozycję.

- Nie mam na myśli ciebie i mnie – zastrzegł.

- To dobrze. Bo nie ma żadnych „mnie i ciebie”.

- Jasne.

Nie zabrzmiało to ani trochę przekonująco, a mnie przeszło przez myśl, że nie mogę wykluczyć, iż ten facet sobie coś uroił.

- Słuchaj... – zaczęłam.

- Mam na myśli całą tę sprawę z Pepecalą.

Kamień spadł mi z serca, bo ostatnim, do czego chciałam wracać, były wydarzenia nad rzeką.

- Znaczący? – drążyłam.

- Powinniśmy odpuścić.

- Co? Na ostatniej prostej?

Nearing zwiesił głowę, jakby po raz pierwszy w życiu podejmował decyzję o wycofaniu się z czegokolwiek bez osiągnięcia celu. I jakby nie wiedział, jak sobie z tym poradzić.

- Zwariowałeś? – spytałam. – Jeśli znajdziemy tę książkę, to...

- To i tak nie dotrzemy do kasy.

- Niby dlaczego nie?

Oparł się plecami o regał, popychając wszystkie książki, na które trafił, a potem wsunął ręce do kieszeni spodni.

- Wszystko się zmieniło – powiedział. – Do tej pory zakładaliśmy, że sami idziemy tym tropem, że nikt nie jest nawet świadomy odnalezienia przez nas kasy... ale się myliliśmy.

- No i?

- Pepecalá wiedział, kim jesteście – podkreślił stanowczo Ryan. – Co znaczy, że ktoś cały czas nas śledził, przyglądał się nam i czekał. José Alcalá wysłał za nami kogoś. Jak dotąd ta osoba lub osoby nie interweniowały, ale jak tylko zbliżymy się do tej kasy...

Rozłożył ręce, jakby nie musiał dodawać nic więcej. Może faktycznie tak było.

- Nie wyjdziemy z tego cała – oznajmił.

- Bez przesady.

- A gdzie w tym przesada? Ten typ powiedział wam wprost, że już jesteście martwi.

- Wydaje mi się, że miał na myśli nas wszystkich.

- Świetnie – odparł pod nosem Ryan, a potem powiódł wzrokiem na boki. – Ten hajs nie jest tego warty.

Wsunęłam książkę z powrotem na półkę, zasadniczo uznając kolejną bibliotekę za prawie sprawdzoną.

- Dla Graysona jest – zauważyłam. – Bo nie urodził się w nadzianej rodzinie jak ty i Cassidy, bo nie miał takich samych szans, bo musiał ciuć, żeby w ogóle...

- Opuść – uciął Nearing. – Gray zawsze sobie poradzi. Czy będzie miał cały ten hajs, czy nie.

W gruncie rzeczy gotowa byłam się z tym zgodzić – przecież sama nie uznałam tego za wystarczającą motywację. Teraz jednak używałam jej, wykorzystując jako zasłonę dymną przed moją.

Wciąż byłam przekonana, że jeśli znajdę całą kasę Pepecali, ten będzie musiał wszystko mi powiedzieć. Jakoś zgubimy ludzi, którzy nas śledzili, o ile faktycznie jacyś byli. Jakoś sobie poradzimy.

Już teraz utrudniliśmy im zadanie, dzieląc się bibliotekami do sprawdzenia. Wątpiłam, by mieli na oku nas wszystkich. A my musieliśmy jedynie zachowywać czujność.

- Gadałam już o tym z Joyce'em – podjęłam.

- Tak, wiem. I poszłicie za jego życiowym mottem pod tytułem: jebać to.

- Niezupelnie.

Ryan prychnął.

- Wydaje ci się, że ci ludzie ot tak odpuszczą? – spytał. – Albo dadzą się zgubić jak jakieś dzieciaki? Zastanów się jeszcze raz.

- Zastanawiam się dość długo.

- W takim razie ogarnij się – poradził. – Bo coś jest z tobą nie tak.

Choć chciałam zaoponować, akurat z tą diagnozą nie mogłam się nie zgodzić. Było ze mną całkiem sporo rzeczy nie tak.

- Joyce'a rozumiem, naprawdę, kurwa, rozumiem - dodał Ryan. - Nigdy nawet nie widział takiej kasy, nie śniło mu się, że może ją mieć. Ilekroć rozmawiał z Cass o wspólnej przyszłości, czuł się gorszy, nigdy nie brał od niej nawet dolara na coś, co...

- Może nie powinieneś być taki pewny tego, jak się czuje Grayson.

W odpowiedzi znów usłyszałam ciche prychnięcie.

- Znam go, od kiedy byliśmy dziećmi - odparł Ryan. - Ty od jakiegoś tygodnia.

Czułam, jakby to było znacznie dłużej, jakby tydzień był całym życiem, ale przecież gdybym o tym powiedziała, tylko naraziłabym się na śmieszność. Zaległa jednak cisza, zupełnie jakby Nearing mnie do tego podjudzał.

- Wiem, wiem - rzucił. - Zdaje ci się, że znacie się od zawsze, tak?

- Tego nie powiedziałam.

- Nie musiałaś - odparł pod nosem.

Uciekłam wzrokiem w bok, żałując, że mam jeszcze ostatniej książki do sprawdzenia. Najchętniej po prostu bym się stąd ewakuowała, bo ta rozmowa zaczęła biec w niezbyt komfortowym kierunku.

- Po prostu dobrze się rozumiemy - odezwałam się.

- Gówno się rozumiecie.

- A jednak...

- On kieruje się czymś zupełnie innym niż ty - uciął Ryan. - I jego motywacje jestem w stanie zrozumieć. Twoje niespecjalnie.

- Niespecjalnie? - mruknęłam. - Więc na moim miejscu zachowałbyś się inaczej?

- No raczej.

- Zrezygnowałbyś z szansy dowiedzenia się czegoś o sobie tylko dlatego, że...

- Jakiego, kurwa, dowiedzenia się? - wpadł mi w słowo, a ja nerwowo drgnęłam. - Czego niby chcesz się dowiedzieć, co?

Płytko nabrałam tchu.

- Jak sam dobrze wiesz, te zdarzenia w...

- Co za różnica, czy miałaś coś wspólnego ze śmiercią jakiegoś typu? - Znów mi przerwał.

- Jakie to ma znaczenie?

- Żartujesz sobie?

- Nie - odparł spokojnie Ryan. - Po pierwsze nie sędzę, żeby tak było. A po drugie nawet jeśli jakimś cudem przyłożyłaś do tego rękę, to chyba lepiej, żebyś tego nie pamiętała?

- Wolałabym jednak pamiętać.

Ryan uderzył tyłem głowy o rząd książek, jakby chciał zamanifestować swoją bezsilność wobec mojego uporu.

Jakim cudem w ogóle dobrnęliśmy do tego tematu? Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że Ryan celowo do niego dążył i nie było to przypadkowe skakanie z wątku na wątek. Jeśli się nie myliłam, to było coś, czego jeszcze mi nie powiedział - ale czym chciał się ze mną podzielić.

Odłożyłam jeden z ostatnich tomików i obróciłam się do niego.

- Dlaczego tak ci na tym zależy? - zapytałam.

- Co?

- Żebym odpuściła.

- Mam to w dupie - odparł. - Chodzi mi o Graya.

Wytrzymałam jego spojrzenie, choć nie przychodziło mi to łatwo.

- Gdyby tak było, rozmawiałbyś teraz z nim - wytknęłam. - A mimo to przyjechałeś tu, żebyśmy mogli pogadać w cztery oczy. Może więc najwyższa pora, żebyś powiedział, o co chodzi.

- O to, że ten facet cię zabije.

- José? Siedzi w więzieniu, więc...

- To ktoś zrobi to za niego - uciął Ryan.

Zbliżyłam się tylko o parę centymetrów, ale tyle wystarczyło, by nagle odwrócił wzrok. Jeżeli on oddziaływał na mnie w dziwny sposób, to po drugiej stronie ta reakcja była jeszcze bardziej widoczna.

- Musisz zrezygnować - powtórzył.

- Dlaczego?

- Mówię ci przecież, że...

- Nic mi nie mówisz - ucięłam. - Kluczysz, rzucasz jakimiś ogólnikami, jakbyś się o mnie nadmiernie martwił, a potem pieprzysz bzdury o...

- Skończysz tak jak ona.

Jego ton głosu był tak chłodny, a zarazem tak pełen trwogi, że lekko się wycofałam.

- Ta dziewczyna, która zginęła? - spytałam. - Ta, o której nie chcecie rozmawiać?

Ryan nieznacznie skinął głową.

- Co się z nią stało? - dodałam.

Widziałam, że się waha.

Zrozumiałam też jednak, że to właśnie z tego powodu Ryan się tutaj zjawiał. Miał zamiar przekonać mnie, bym zostawiła tę sprawę, wreszcie przedstawiając mi szczegóły na temat tej osoby.

Kiedy na moment zamknął oczy, uświadomiłam sobie, że podjął decyzję, by mówić.

- Kim ona była? - spytałam.

Podniósł powieki, przez moment patrzył gdzieś w sufit, po czym w końcu zogniskował spojrzenie na moich oczach.

- Nazywała się June - odparł. - Była twoją matką.

Czułam się, jakby ktoś zaszedł mnie od tyłu, a potem z całej siły uderzył otwartymi dłońmi w uszy, jednocześnie przesłaniając czymś oczy. Byłam kompletnie zdezorientowana, a naturalny instykt samozachowawczy kazał uciekać. Jak najdalej od Ryana, jak najdalej od tego, co od niego usłyszałam.

Widziałam, że porusza ustami. Odnotowałam, że lekko dotyka mojej dłoni. Wyglądał, jakby się upewniał, czy wszystko ze mną w porządku, ale nie potrafiłam zdobyć się na jakąkolwiek odpowiedź.

- Co? - wydusiłam.

Jakieś niezrozumiałe słowa znów padły z jego ust. Nachylił się do mnie, mocniej ścisnął mój nadgarstek.

- Aspen?

W końcu usłyszałam jego głos na tyle wyraźnie, by rozszyfrować, jakie znaczenie niesie.

- Dobrze się czujesz?

- Chyba... chyba mi słabo...

- Jesteś blada jak ściana - odparł Ryan, a potem pociągnął mnie w kierunku korytarza. - Chodź.

Byłam kompletnie ubezwłasnowolniona, poddałam się bez najmniejszego wahania. Wyszliśmy na zewnątrz biblioteki, a w moją twarz uderzył podmuch wiatru, który w otwartej przestrzeni tej części miasta wiał bez żadnych przeszkód.

Ryan prowadził mnie w kierunku parkingu, właściwie ciągnął. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że poddaję mu się całkowicie bezwolnie, i nagle się zatrzymałam. Spojrzał na mnie z przestrachem, jakby się spodziewał, że zaraz zemdleję.

- Wszystko okej?

- Nie... tak, potrzebowałam trochę powietrza.

Wciąż patrzył na mnie oczami pełnymi obawy. Zaraz potem dotarło do niego jednak, że nie dzieje się ze mną nic złego, i zmienił się w typową wersję siebie. Troskę na twarzy zastąpił arogancki wyraz, jego ręka zaś się cofnęła, już niegotowa, by podeprzeć mnie w chwili słabości.

Dzięki temu trochę się ocknęłam. Wbiłam w niego wzrok i zrobiłam krok naprzód.

- Co ty pieprzysz? - rzuciłam.

Rozejrzał się ukradkiem.

- Jakim cudem moja matka miałaby...

- Dodaj dwa do dwóch, do kurwy nędzy.

- Staram się, ale...

- Naprawdę nie rozumiesz, co się wydarzyło? - uciął ostro Ryan, też się do mnie zbliżając.
- Nie widzisz, jak to wszystko jest powiązane?

Powiedzieć, że tego nie widzę, to jak stwierdzić, że w środku czarnej dziury panują warunki o ograniczonym natężeniu światła.

Ryan znów się rozejrzył, jakby się obawiał, że ktoś nam się przypatruje, a potem znów złapał mnie za rękę. Tym razem zaprotestowałam, wyrывая ją z jego dłoni, on zaś zareagował pełnym pretensji spojrzeniem.

Parę sekund w milczeniu wystarczyło, by zrozumiał, że może komunikować się za pomocą słów, a nie szarpaniny.

- Odejdźmy kawałek - zaproponował.

Skinęłam głową, a potem udaliśmy się na tyły budynku. Ledwo znikliśmy z pola widzenia ewentualnych ludzi Pepecali, Ryan wszedł za tutejszą pocztę, po czym obrał przeciwny kierunek. Przez chwilę lawirowaliśmy między budynkami.

- Nie przesadzasz? - spytałam.

- Nie.

W końcu znaleźliśmy się na niepozornym cmentarzu sprawiającym wrażenie niewielkiej łąki pośród budynków, na której ktoś przypadkowo rozrzucił mnóstwo nagrobków. Były stare, zniszczone, niemal wszystkie przechylone na tę czy inną stronę. Większość poczerwiała i popękała, nie dało się nawet odczytać, kto tutaj leży.

Stanęliśmy przy jednym z nich, a potem Ryan złożył dłonie jak do modlitwy. Osłonę przed gapiami zapewniało nam rozłożyste drzewo i chyba nie rzucaliśmy się przesadnie w oczy.

- Tu nikt nie powinien zwrócić na nas uwagi - oświadczył.

Zerknęłam na nagrobek, na którym ktoś zamiast typowych rzeczy zdecydował się umieścić upiornego bożka o smutnym wyrazie twarzy. Pod spodem widniał napis „tutaj spoczywa ciało Jonathana Dempsey”.

Zupełnie jakby rodzina chciała podkreślić, że Jonathan Dempsey jest gdzie indziej, tu znajduje się tylko jakiś jego powidok.

Miałam wrażenie, że ze mną w tej chwili jest podobnie.

Wróciłam myślami do pierwszego momentu, kiedy dowiedziałam się o osobie, która straciła życie przy sprawie Pepecali. Słuchałam wtedy rozmowy Cass z Joyc'e'em. Czy mówili, że chodziło o dziewczynę?

Początkowo nie mogłam sobie przypomnieć. Zaraz jednak naszło mnie przekonanie, że nie. Sama wyciągnęłam taki wniosek, bo najwyraźniej mojej podświadomości wydał się całkowicie oczywisty.

Właściwie nie mogłam nawet mieć do siebie pretensji. Logiczne przecież wydawało się, że w tę sprawę zaangażowane są osoby w naszym wieku. Kiedy więc rozmawiali o kimś w rodzaju żeńskim, naturalnie uznałam, że nie chodzi o kobietę, ale dziewczynę.

Boże.

To było najmniej istotne ze wszystkich błędnych założeń, które przyjąłam.

Spojrzałam na Ryana, który chyba nadal układał w głowie to, co zamierzał mi powiedzieć. Może już nawet zdążył pożałować, że wyjawiał mi to, co reszta od samego początku przede mną

ukrywała.

- Ryan... - powiedziałam cicho.

Oderwał wzrok od epitafium i spojrział na mnie w sposób, który kłócił się z całym jego wizerunkiem. Przywodził na myśl kogoś, kto wstydzi się za swoje czyny, jest gotów się kajać, a nawet zadośćuczynić swoim przewinieniom.

- Jak to możliwe? - zapytałam.

Nearing głęboko westchnął.

- Chcesz mi powiedzieć, że...

Urwałam, nie umiejąc dokończyć najbardziej oczywistej myśli, jaka zaświtała mi w głowie. Nie mogłam jednak od tego uciec. Scenariusz, który się z tego wyłaniał, był tak pewny, że właściwie nie musiałam dopytywać.

Potrzebowałam jednak usłyszeć to od kogoś innego. Wydawało mi się, że w przeciwnym razie nie będę w stanie przyjąć tego do wiadomości.

- To, co nas spotkało, to nie był wypadek? - jęknęłam.

- Nie.

- Jezus Maria...

Ryan obrócił się w moją stronę i wsunął ręce do kieszeni.

- Nie wiadomo, kto w was uderzył - podjął. - Kierowca...

- Zbiegł z miejsca zdarzenia, tak, wiem.

Nie dopytywałam dziadka o jego los, przekonana, że gdyby służby go namierzyły, z pewnością by mnie o tym poinformował.

- Jechał półciężarówką, która została skradziona tydzień wcześniej gdzieś w Massachusetts - dodał Ryan. - W środku nie było żadnych dokumentów, a odciski palców nie pasowały do nikogo w bazie.

- Skąd...

- Mój ojciec ma znajomego z dojciami w drogówce. Więcej nie ustaliliśmy, ale w sumie to chyba wszystko, co potrzebne, żeby potwierdzić, że June zginęła z powodu kasety.

- Ale jak?

Potrząsnęłam głową w naiwnej nadziei, że nie dam się znokautować po raz kolejny. Ryan mówił o mojej matce jak o swojej znajomej. I wspominał o niej w kontekście, z którym nie powinna mieć nic wspólnego.

- Moja mama wiedziała o kasecie?

- Oczywiście.

- Oczywiście? - wydusiłam. - Ryan, nic tu nie jest oczywiste...

Wręcz przeciwnie, dodałabym, gdyby głos nie odmówił mi posłuszeństwa. Na moment zamilkliśmy, a ja starałam się oswoić z myślą, że wszystko, co wiedziałam od momentu przebudzenia się w szpitalu, było jedną wielką złudą.

Miałam świadomość, że Grayson okłamał mnie co do powodu, dla którego szuka Pepecali...

Ale to?

To było coś zupełnie innego.

Przecież uczestniczył w tym od samego początku. Jeśli Ryan znał moją matkę, Joyce tym bardziej. Rozmawiał o niej z Cass.

Boże, czy oni wszyscy...

- Nic z tego nie rozumiem - jęknęłam.

- Wiem - odparł Ryan. - Przepraszam.

Znów potrząsnęłam głową w jakiejś kompletnie beznadziejnej próbie poukładania myśli. Weź się w garść, stara, powiedziałam sobie w duchu. Zadaż konkretne pytania i dowiedz się konkretnych rzeczy, do cholery.

- Nie przepraszaj, tylko mi to wyjaśnij - rzuciłam. - Byłam tutaj wcześniej? Szukałam już tej kasety?

- Nie.

- Ryan...

- Nigdy nie widziałem cię w Hartford - zapewnił. - Twoją matkę za to tak.

Moje gardło stało się tak ściśnięte, jakbym przyjęła jakiś alergen, po którym już nigdy nie dane mi będzie zaczerpnąć haustu powietrza.

- Nie wiem, jak to dokładnie się zaczęło - dodał Ryan. - Może to June pierwsza dowiedziała się o kasecie, a może Gray, ale...

- Oni się znali?

- Tak.

Pytanie było retoryczne, ale samo wydobyło się z moich ust.

- Jak? - spytałam gorączkowo. - Skąd?

- Nie wiem, naprawdę.

Widziałam w jego oczach, że gdyby miał na ten temat jakiegokolwiek informacje, przekazałby mi je. Do tej pory jednak nie były dla niego istotne. Nie musiał przecież wnikać w znajomość Joyce'a z jakąś kobietą, by wspólnie próbować odnaleźć pieniądze José Alcali.

- Pewnego dnia Gray oznajmił, że ma nam coś do powiedzenia - podjął Nearing. - Spotkaliśmy się u niego może dwa, trzy tygodnie przed tym, jak się tutaj zjawiłaś.

Moja matka była tu wcześniej.

Poznała ich wszystkich. W mieszkaniu Joyce'a przy Bellevue Street w Clay Arsenal, dokąd zabrał mnie drugiego dnia naszej znajomości. I gdzie słowem nie zająknął się na temat mojej mamy.

- Przedstawił nam ją po prostu jako June - ciągnął Ryan. - I opowiedział wtedy o całej sprawie z Pepecalą.

- Ale skąd o niej wiedział? Co moja matka miała do tego?

Nearing bezradnie wzruszył ramionami.

- Nie podzielił się tym z nami - odparł.

- Ale wiedzieliście... od początku wiedzieliście, że to moja mama?

- Tak.

Nawet się nie zawahał przed udzieleniem tej odpowiedzi. Musiałam chyba potraktować to jako realną gotowość do pełnej prawdomówności.

- To znaczy wtedy nie, nie znaleźliśmy cię - dodał. - Ale po wypadku Gray powiedział Cass i mnie. A potem, kiedy stało się jasne, że pomożesz nam w odczytaniu tych hiszpańskich tekstów...

- Powiedzieliście Tysonowi i Becce.

- Tak. Obawialiśmy się, że rzucą gdzieś przypadkowo imieniem June i wszystko stanie się dla ciebie jasne.

Gardło zwężyło mi się jeszcze bardziej.

- Dlaczego? - wydusiłam. - Dlaczego mnie okłamywaliście?

Brak odpowiedzi.

- Po co to wszystko? - drażylałam.

- To była decyzja Joyce'a.

- Co?

- I to z nim powinnaś gadać, jeśli...

- Gadam z tobą - ucięłam. - I chcę się dowiedzieć, dlaczego mi nie powiedzieliście, że śmierć mojej matki nie była przypadkowa, że miała z wami związek, że...

Urwałam, pilnując się, by nie podnieść głosu. Wychodziłam z założenia, że jeśli to zrobię, w jakiś sposób przestanę korzystać z moralnej wyższości. A może po prostu nie potrafiłam tego ciągnąć, bo opuścili mnie siły. Miałam ochotę chwycić za wystający z ziemi nagrobek Jonathana Dempseya i choćby na moment się pochylić.

- Powiedziałem ci wszystko, co wiem - odezwał się Ryan.

- To nie wystarczy.

- Zdaję sobie sprawę, ale...

- Skąd moja matka знаła Graysona?

- Nie wiem. Naprawdę.

- Jak często tu bywała?

W odpowiedzi Ryan bezsilnie wzruszył ramionami.

- Spotkałem ją dopiero, kiedy Gray nas przedstawił.

- I co wtedy powiedział? - zapytałam, czując, że nie dowiem się już wiele więcej niż do tej pory.

- Właściwie mówili oboje. Opowiedzieli nam historię kasety, na której zakodowano wskazówki do odnalezienia dużej kasy.

- Nigdy wcześniej nie słyszeliście o Pepecali?

- Nigdy.

Przesunęłam dłońmi po skroniach w całkowicie nieuświadomionym odruchu, jakby znikąd zaatakowała mnie dotkliwa migrena.

- Moja matka podzieliła się z wami tym, że za parę tygodni przenosi się do Hartford?

- Nie.

- Powiedziała cokolwiek, co...

- Gadaliśmy tylko o kasecie - uciął Ryan, patrząc na mnie wzrokiem sugerującym, że chciałby, naprawdę chciałby przekazać mi coś innego. - Gray i June nigdy nie powiedzieli,

skąd o niej wiedzą. Rzucili tylko niejasno, że ktoś zasłyszał coś na ulicy.

Znaczyć mogło to praktycznie wszystko. I zasadniczo nie mogłam być pewna, że mówili prawdę.

Właściwie co do nikogo nie mogłam już mieć takiego przekonania. O ile wcześniejsze przewinienia dały się jakoś wytłumaczyć, o tyle to było ponad wszelką możliwość wybaczenia.

Wszyscy byli skreśleni, co do jednego.

Zaraz jednak uświadomiłam sobie, że nie mogę stosować tej samej miary do Ryana. O dziwo to właśnie on okazał się najbardziej przyzwoity. I gdyby nie on, nadal byłabym całkowicie nieświadoma tego, co naprawdę się dzieje.

Chciał mi przekazać więcej. Chciał dać mi wszystkie informacje, których pragnęłam – sam jednak zwyczajnie ich nie miał.

– Zaraz potem zaczęliśmy szukać kasety – dodał. – Zdawaliśmy sobie sprawę, że Pepecalá śpiewa po hiszpańsku, June zgodziła się przekładać, a potem razem mieliśmy zająć się resztą. Wiedzieliśmy, że potrzeba będzie kilkorga ludzi do pomocy.

Zawahał się przed ciągiem dalszym, a ja zrozumiałam, że robi to z obawy o mnie. Nie musiałam jednak nawet się odzywać, by wiedział, że nie powinien zwlekać.

– June i Gray od początku postawili sprawę jasno – oznajmił. – Szukanie tych pieniędzy jest niebezpieczne.

– Powiedzieli dlaczego?

– Oględnie – odparł Ryan. – Twierdzili, że od lat kasetę próbują odnaleźć inne osoby i jeśli tylko się zorientują, że jesteśmy na tropie, będą problemy.

I były. Najbardziej tragiczne ze wszystkich.

– Do momentu wypadku ktoś wam zagrażał? – zapytałam.

– Nie. Wydawało nam się, że jesteśmy bezpieczni.

W końcu złapałam za nagrobek przede mną, a potem pochyliłam się ze zwieszoną głową. To wszystko przerastało mnie tak bardzo, że nie wiedziałam, jak sobie z tym poradzić. Może powinnam po prostu uciec? Zostawić to zasrane miasto, Graysona i resztę? Wrócić do Arizony?

Nie, najwyraźniej tam też nie było bezpiecznie. Zginął przecież jakiś człowiek, który miał przy sobie logo Pepecali. I może to nie my się do tego przyczyniliśmy? Może znalazł go ktoś inny?

Nie miałam żadnych odpowiedzi, a pytania wciąż się mnożyły. Każda kolejna rzecz, której się dowiadywałam o swojej przeszłości, pociągała za sobą kolejne enigmaty.

Nagle poczułam, jak Ryan kładzie mi rękę na plecach.

– To wszystko, co wiem – odezwał się. – Naprawdę.

– Wierz ci.

– Okej.

Było to krótkie, w istocie niewiele znaczące potwierdzenie, ale sposób, w jaki to powiedział, dowodził, że nie przyjął mojej deklaracji lekko.

– Musisz pogadać z Grayem – dodał.

– Nie mam zamiaru.

– Tylko on może ci powiedzieć, co...

- Nie mam zamiaru robić tego teraz - sprostowałam. - Muszę najpierw dowiedzieć się czegoś o sobie.

Wyprostowałam się, a Ryan cofnął dłoń, przesuwając nią jeszcze po moich plecach.

- Nie mogę skonfrontować się z nim bez pojęcia o mojej przeszłości - powiedziałam. - Jeśli wciąż będzie białą kartą, Joyce znów wypełni ją swoimi kłamstwami.

Ryan westchnął bezradnie, chyba nie umiejąc przesądzić, do czego zmierzam. Obróciłam się do niego i wyjaśniłam, co muszę zrobić. Załapał od razu. Tylko jedna osoba tutaj wiedziała, co wydarzyło się przed wypadkiem - i mogła mieć odpowiedzi, zupełnie tego nieświadoma.

Jeśli bowiem moja matka była zamieszana od początku, to ja zapewne też. Najwyraźniej ukrywałam to przed Carlosem, ale może nie na tyle dobrze, by całkowicie zamazać prawdziwy obraz sprawy.

- Dobra - rzucił Ryan i po raz ostatni się rozejrzał. - Ale musimy podejść do tego sprytnie.

- To znaczy?

- Ja pójdę do swojego samochodu i podjadę pod jakiś budynek w okolicy. Jeśli ktoś nas śledzi, pomyśla, że tam na ciebie czekam.

Nieglupie, skwitowałam w głowie. Przy czym zupełnie niepotrzebnie użył tego „jeśli”, chyba tylko ze względu na moją wcześniejszą rezerwę. Teraz było już dla mnie całkowicie pewne, że ludzie Pepecali się za nami ciągną.

- Ty w tym czasie pójdziesz na któryś z dalszych przystanków - dodał Ryan. - Nie powinni się zorientować, że się wymknęłaś.

Pokiwałam głową, a potem pożegnaliśmy się w najmniej komfortowy z wyobraźalnych sposobów. On zrobił krok, by się przytulić, ja wyciągnęłam dłoń. Zaraz potem zamieniliśmy się rolami.

W końcu po prostu rozłożył ręce, a ja pozwoliłam mu się objąć. Trwało to tylko kilkanaście sekund, miałam jednak wrażenie, że gdyby Ryan mógł, już by mnie nie wypuszczał.

Odsunęłam się, nie patrząc mu w oczy. Potem skierowałam się na północ, w stronę przeciwną do biblioteki.

Po drodze wybrałam numer Carlosa i powiedziałam, że musimy natychmiast się zobaczyć.

- Jasne, ale... - odparł.

- To naprawdę ważne.

- Nie wątpię, Aspen - powiedział. - Ale ja też miałem właśnie do ciebie dzwonić.

- Bo?

- Chyba znalazłem ten egzemplarz Sestyn Joana Brossy.

CZEŚĆ TRZECIA

1

Byłam wdzięczna Carlosowi za to, jak zachowywał się przez ostatnie dni. Właściwie to przez cały ten czas, od kiedy pojawił się w Hartford.

Nie narzucał się ani nie szukał kontaktu, świadomy, że odezwę się do niego, kiedy przyjdzie właściwy moment. Był tutaj, tyle wystarczyło. Nie musiał zapewniać o swoim oddaniu, nie musiał wywierać na mnie żadnej presji.

Większość na jego miejscu z pewnością by to robiła – mając na względzie własny spokój ducha, a nie osoby, która rzeczywiście go potrzebowała.

Widywaliśmy się tylko wtedy, kiedy spotykaliśmy się z resztą, by omówić postępy w poszukiwaniach tomiku poezji Brossy. Za każdym razem Gómez rzucał mi krótkie, kontrolne spojrzenia, jakby chciał zapytać, czy wszystko w porządku.

Wiedziałam, że prędzej czy później muszę się zmierzyć z tym, co do niego czułam. Czy raczej z tym, czego nie czułam.

Przekonywałam się jednak w duchu, że im dłużej poczekam, im więcej czasu dam swojemu sercu, tym większe prawdopodobieństwo, że przypomni sobie, w jakim rytmie powinno bić.

Tak się jednak nie stało.

Wciąż ciągnęło do Graysona Joyce'a. I nawet teraz, kiedy wyszło na jaw, że od samego początku mnie oszukiwał, wciąż cała pulsowałam tęsknotą za nim. Zdawała się w jakiś chorobliwy sposób podbita złością, wręcz wściekłością, ale nie znikła.

Przypuszczałam, że z czasem się wyciszy. Może kiedy do głosu dojdzie smutek wywołany największym zawodem, jaki dotychczas przeżyłam.

Tymczasem jednak siedziałam w Mo's Midtown z Carlosem, ciesząc się spokojem, jaki niosła jego obecność.

Do śniadaniowni dotarłam naokoło, przez dobrą godzinę wsiadałam na chybił trafił do autobusów. Zamotałam się tak bardzo, że Gomie musiał czekać na mnie kolejne sześćdziesiąt minut. W tym czasie przetestował kilka pozycji z menu i wszystkie oceniał dość wysoko.

A kiedy tylko przed nim usiadłam, przesunął po stole stary, ale niewyeksplloatowany tomik poezji.

Sestiny 76 były nieco grubsze, niż przypuszczałam, bo liczyły sobie sześćdziesiąt siedem stron. Było to hiszpańskie tłumaczenie pierwszego wydania, które ukazało się w siedemdziesiątym siódmym roku nakładem wydawnictwa Llibres del Mall. Przedmowę napisał Joaquim Molas, pisarz, filolog i krytyk literacki z Barcelony.

– Znalazłem to w tej filii biblioteki publicznej przy Windsor Avenue – oznajmił Carlos.

- Jedno z ostatnich miejsc, gdzie się tego spodziewałam.

- No nie? Małe, niepozorne, nowe. Ale najwyraźniej brali, co leciało, z jakichś archiwów albo zasobów innych bibliotek.

Wbiłam wzrok w *Sestyny*, które w tej chwili interesowały mnie najmniej ze wszystkiego. Zresztą nie miałam nawet pojęcia, czy to właściwy egzemplarz, a same wiersze były nieprzydatne do rozwiązania zagadki z ostatniej piosenki.

Trwała tak przez jakiś czas, kompletnie obojętna na odkrycie, na które wszyscy tak długo czekaliśmy. Pograżona we własnych myślach, bez śladu choćby przelotnego uśmiechu na twarzy.

- Aspen?

Podniosłam powoli oczy.

- Wszystko okej?

- Tak - odparłam mechanicznie, bo chyba do tego zostałam wychowana. - Wszystko w normie.

Carlos najwyraźniej nie wyczuł ironii w moim głosie, a może był tak zaaferowany znaleziskiem, że postanowił ją zignorować.

- Mamy to, wreszcie - powiedział.

Pokiwałam głową, znów patrząc na zdobyczny egzemplarz. Powinna go otworzyć, sprawdzić, poszukać czegoś, co zostawił Pepecalá. Nie mogłam się jednak do tego zmusić. W głowie krążyły mi tylko niejasne informacje na temat powodu, dla którego moja matka się tu zjawiała.

I tego, jaki związek z tym wszystkim miał Grayson.

- Czego w ogóle szukamy? - odezwał się Gomie, wyrrywając mnie z zamyślenia.

- Hm?

Postukał palcem w tomik poezji.

- Rozumiem, że tu jest klucz do czegoś, co jest w ostatniej piosence.

- No tak.

- To co w niej konkretnie jest?

- Nie słuchałeś?

- Jakoś nie miałem okazji.

Oczywiście, sama mu tego nie zaproponowałam, a trudno było się spodziewać, że Joyce wyjdzie z taką inicjatywą. A to on miał teraz kasetę i walkmana.

- Powiesz mi? - odezwał się Carlos, ja zaś uświadomiłam sobie, że na moment znów zamilkłam.

Dość tego, uznałam w duchu.

- Później - rzuciłam, odzyskując nieco rezonu. - Najpierw muszę dowiedzieć się czegoś o sobie.

- Okej... - odparł niepewnie Gómez.

- Wyszły na jaw nowe fakty.

- Jakże?

Powiedziałam mu bez wahania, bo gruntownie to przemyślałam. Wyjawiłam zarówno to, że Joyce znał wcześniej moją matkę, jak i to, że zginęła ze względu na kasotę. Tym razem nie pozostawiłam niczego dla siebie.

Carlos początkowo milczał. Nie mógł w to uwierzyć nawet dłużej niż ja. Podkreślał, że to niemożliwe, że musiało dojść do jakiejś pomyłki i to z pewnością był wypadek.

- Gomie, proszę cię - uciełam w końcu. - Nie mam czasu na wyparcie.

- Ale...

- Potrzebuję cię tu i teraz.

To najwyraźniej było jak kubeł zimnej wody. Potrząsnął głową, a w jego oczach pojawiła się gotowość do działania.

- Możesz mi pomóc czy nie? - dodałam.

- Tak, jasne, ale...

- Żadnych „ale” - przerwałam. - Muszę wiedzieć kilka rzeczy.

- Jakich?

Nadal wydawał się nieco pogubiony, ale nie mogłam mitrzyć czasu na prowadzenie go za rękę. Chciałam jak najszybciej się czegoś dowiedzieć, a on musiał stanąć na wysokości zadania.

- Kiedy pojawił się temat wyjazdu do Hartford? - spytałam.

- Cholera... po raz pierwszy?

- No.

- Nie wiem, nie jestem pewien...

- Ale mniej więcej. Kilka miesięcy przed wyjazdem? Rok? Dwa?

Gómez podrapał się po karku i skrzywił, zupełnie jakby musiał zrekapitulować całą naszą znajomość, żeby to ustalić.

- To proste pytanie - zauważyłam.

- Tylko pozornie.

- Znaczy?

- Zawsze była mowa o Hartford - odparł. - To nie tak, że temat nagle wyskoczył pewnego dnia.

- Więc długo to planowałyśmy?

- Nie powiedziałbym, że twoja matka planowała cokolwiek - mruknął. - Była dość... wolną duszą, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Nie wiem.

- Żyła z dnia na dzień - wyjaśnił. - Nie lubiła żadnych długoterminowych zobowiązań, nie planowała swojego życia.

Rozejrzałam się i westchnęłam.

- Jeśli w ten sposób chcesz mi powiedzieć, że jestem wynikiem wpadki, to nie jest to dobry moment.

Carlos docenił tę uwagę nikłym uśmiechem.

- Nie - odparł. - Chcę ci tylko powiedzieć, że z June bywało naprawdę różnie. Zdarzało się, że jednego dnia mieliśmy jakiś sprawdzian, a po nim ni stąd, ni zowąd przyjeżdżała po ciebie pod szkołę i jechałyście bezpośrednio do Phoenix na parę dni. Nie miałaś czasu nawet się spakować.

- I w ten sposób wyjechałyśmy do Hartford?

- Niezupełnie - przyznał. - Zawsze rozmawialiśmy o tym, że to kiedyś może się stać, bo wiedzieliśmy, że dziadek chce was ściągnąć do siebie. Nie wiodło wam się najlepiej, twoja mama często zmieniała pracę i nigdy nie zarabiała wiele.

Nie było to nic dziwnego, wzięwszy pod uwagę, jak bardzo ceniła sobie zobowiązania.

- A mój ojciec? Kim on był? Jest?

Carlos bezradnie wzruszył ramionami.

- Obawiam się, że odpowiedzi na te pytania mogłaby udzielić ci tylko June.

- Dobra - rzuciłam krótko. - Więc kiedy oznajmiłam ci, że wyjeżdżam?

- Tak ostatecznie? Jakoś tydzień przed.

A według Ryana moja matka była w Hartford jakieś dwa, trzy tygodnie przed naszym pojawieniem się tutaj. Musiało się tu wydarzyć coś, co sprawiło, że podjęta dość nagłą decyzję o przeprowadzce.

- Nie był to dla mnie tak wielki szok, bo jak mówię, gadaliśmy o tym od dawna i...

- Latałam z nią wcześniej do Hartford?

- Jak byliśmy mali, to tak. Potem przestałaś.

- Nie wiesz dlaczego?

- Nie.

- Nic nie mówiłam?

- Tylko tyle, że nie masz tam co robić, bo matka i tak jest poza domem.

Brzmiało to dość osobliwie, wzięwszy pod uwagę, że Prodziekan zająłby się mną być może nawet lepiej niż ona. Zapewniłby mi rozrywki, zadbałby, żebym się nie nudziła. Chyba że weszłam w wiek, w którym niespecjalnie chciałam spędzać czas z kimkolwiek poza rówieśnikami.

- Mówiłam coś o dziadku?

- Raczej niewiele. Tylko tyle, że jest spoko.

- Więc nie narzekałam na to, że...

- W ogóle na mało co narzekałaś, Aspen.

Cóż, była to jedna z niewielu rzeczy, które mogłam zapisać na plus dawnej mnie. Nie takich informacji jednak teraz potrzebowałam.

- Wspominałam kiedyś o Pepicali? - rzuciłam. - Słyszałeś kiedyś o jakiejś kasecie? Może mówiłam, że moja mama czegoś takiego szuka?

- Nie.

- A o jakiejś dużej kasie?

- Też nie.

- O ludziach, którzy mogliby się wiązać z jakimiś kłopotami?

Carlos pokręcił głową i wykonał lekki ruch sugerujący, że chciał rozłożyć ręce, ale w ostatniej chwili uznał, że byłoby to zbyt teatralne.

- Miałymy stąd jakichś znajomych? Wspominalymy kiedykolwiek o kimś z Hartford?

- Nie. Niczego takiego nie pamiętam.

- Kurwa mać...

Gómez przysunął dłoń po stole, jakby chciał zasygnalizować, że jeden analogiczny ruch z mojej strony pozwoli mu wziąć mnie za rękę.

Trwałam jednak w niezmienionej pozycji.

Nawet w tak trudnych chwilach nie czułam potrzeby bliskości z Carlosem, co po raz kolejny dawało mi do myślenia. I po raz kolejny wyzwalalo falę wyrzutów sumienia, z którymi trudno było sobie poradzić.

On tymczasem, patrząc na mnie, miał w oczach coś, czego nie mogłam pomylić z niczym innym. Miłość.

- Twoja mama musiała trzymać przed tobą w tajemnicy wszystko, co miało związek z Hartford i Pepecalą - odezwał się. - I najwyraźniej miała całkiem dobry powód.

Przygryzłam dolną wargę, zastanawiając się, czy mogę się z tym zgodzić. W końcu uznałam, że nie do końca.

- Jest jeszcze jedna możliwość - zauważyłam.

- Jaka?

- Że mama mi wszystko przekazywała, ale ja...

- Ale ty postanowiłaś się tym ze mną nie podzielić - dokończył Carlos.

Spodziewałam się usłyszeć w jego głosie choćby nutę pretensji o to, że przyjmuję takie założenie, ale nie wychyciłam żadnej.

- To mało prawdopodobne - ocenił Gómez. - Mówiłaś mi o wszystkim.

- Nie możesz tego wiedzieć.

- Mogę - odparł. - Powiedziałas mi o swoim pierwszym okresie, Aspen.

- Tak?

- Tak - mruknął. - I zapewniam cię, że nie tylko o tym.

Zerknęłam na naleśniki, które w menu figurowały pod nazwą Apple Walnut Mom's Pancakes i kosztowały pięć dolarów i osiemdziesiąt pięć centów. Niespecjalnie korzystna cena, ale warta tego, co znalazło się na moim talerzu.

Odkroiłam kawałek, żałując, że nie zajęłam się nimi wcześniej.

- Powiedziałaś mi, gdyby coś się kroilo - zapewnił Carlos.

- Okej...

Nie pytaj go, poradziłam sobie w duchu. Nie rób tego.

Wiedziałam już jednak, że jest za późno.

- Byliście kiedyś na dachu jakiejś stacji benzynowej? - zapytałam.

- Co?

- Słuchaliśmy tam muzyki? Tańczyliśmy?

Gomez mocno zmarszczył brwi, wyglądał jednak, jakby zastanawiał się nad tym, dlaczego pytam – a nie nad tym, czy taka sytuacja miała miejsce.

– Kojarzysz coś takiego? – dorzuciłam.

– Nie.

– A mimo to mam jakieś strzępki wspomnienia, które się z tym wiążą.

Tym razem Carlos pozwolił sobie na dość wymowne wzruszenie ramionami, jakby chciał zbagatelizować jedyną rzecz, którą udało mi się wyłowić z pamięci.

– Może oglądałaś jakiś film czy serial i ci się zakodowało – podsunał. – Doktor Bearce podobno mówił, że wspomnienia mogą się ze sobą mieszać i...

– Nawet jeśli, to nie mówiłam ci o tym facecie, który zginął pod pubem sportowym.

– Bo nie miałaś czasu.

Zaczęłam powoli przeżuwać, delektując się połączeniem orzechów i jabłka, dzięki którym naleśnik był zarazem chrupiący i soczysty. Całkiem niezła koncepcja.

– Na coś takiego chyba znalazłabym chwilę.

– No nie wiem – odparł Gomie, wyraźnie nie mając zamiaru przyjąć, że cokolwiek bym przed nim zataiła. – To stało się tuż przed wyjazdem, a dodatkowo mogłaś nie chcieć obarczać mnie tym ciężarem. Gdybyś mi coś powiedziała i policja później by mnie przesłuchiwała, niewykluczone, że musiałabym kłamać.

Jadłam w milczeniu, patrząc za okno.

– A zapewniam cię, że w razie potrzeby byłbym gotów to zrobić – dodał Carlos. – I doskonale o tym wiedziałaś.

Dobrze, to miało jakiś sens. Ale wciąż wymagało jednej, dość prostej weryfikacji. Może rzeczywiście samo wspomnienie na dachu stacji benzynowej było jakąś projekcją, snem czy powidokiem sceny z filmu czy serialu. Muzyka jednak nie mogła kłamać. Sięgnęłam do kieszeni po telefon, włączyłam moją playlistę na Spotify, po czym podsunęłam komórkę po stole w kierunku Gómeza.

– Co to jest? – spytał.

– Moja plejka.

– Tak, widzę, ale...

– Znasz te numery? – spytałam, wskazując na pierwsze utwory od Josiah and the Bonnevilles oraz The War On Drugs.

Gomie pochylił się nad telefonem, mrużąc lekko oczy. Przesunął wzrokiem po wszystkich kawałkach, które znajdowały się na playliście.

– Pewnie, że znam – odparł. – To twoje ulubione piosenki, słuchasz ich w kółko.

– Razem z tobą?

Znów musiał zerknąć na ekran, a ja uznałam to za symptomatyczne. Gdyby miał czuć przy nich to samo co ja, gdyby wyzwalaly w nim tak dużą emocjonalną reakcję, znałby te tytuły na pamięć.

– Niektóre tak – przyznał.

– A te dwa pierwsze?

– Czekaj, muszę puścić, żeby...

- Nie trzeba - ucięłam czym prędzej.

Wystarczyło, że wyobraźnia podsunęła mi pierwsze dźwięki *Stolen Love*, żebym poczuła wewnętrzny dygot.

Carlos szczęśliwie tego nie zauważył, nadal wpatrując się w wyświetlacz.

- Tak po tytułach akurat tych nie kojarzę - powiedział. - A co?

- Nic. Po prostu się zastanawiam.

- Nad czym?

Nad tym, z kim w takim razie ich słuchałam, odparłam w duchu.

Z jakiegoś powodu od początku wydawało mi się oczywiste, że nie robiłam tego z Gómezem. Gdyby tak było, uczucia wywoływane przez te dźwięki pojawiłyby się także wtedy, kiedy go zobaczyłam.

Teraz miałam potwierdzenie.

Boże, jeszcze jeden facet. Czy ja żyję w jakiejś symulacji?

Ilu ich, do kurwy nędzy, było? Co ze mną nie tak?

Może powinnam wcześniej się nad tym zastanowić, znaki mówiły przecież same za siebie. Praktycznie od razu zadurzyłam się w chłopaku, którego znalazłam jedynie z mamrotania przy moim łóżku. Potem wpadłam prosto w ramiona gościa, który ewidentnie był przemocowy, i nic sobie z tego nie robiłam. A ostatecznie zjawił się trzeci, z którym najwyraźniej byłam związana.

Teraz musiałam założyć istnienie czwartego. Tego, z którym słuchałam tych kawałków.

Emocje nimi powodowane okazały się zbyt mocne, by był to ktoś poznany tutaj. Zresztą ile czasu bym na to miała?

Chodziło o kogoś w Prescott, z kim łączyła mnie jakaś intensywna więź.

Może tytuł piosenki coś sugerował? *Stolen Love*? Ewidentnie chodziło o zakazaną miłość, zresztą tekst był dość jasny. Dwoje ludzi spotykało się nocą, wiedzieli, że to, co robią, jest złe, ale wydawało im się to czymś wprost przeciwnym. Dobrym.

W dalszej części wokalista śpiewał o kimś, kto jest gotów poświęcić wszystko, by ta miłość trwała. Bez względu na łamane zasady.

Okej. Więc może w grę wchodził jakiś mezalianś? Albo relacja stricte zakazana? Może z kimś starszym ode mnie?

- Aspen? - upomniał się o uwagę Carlos.

Jezus Maria, gdybym zwerbalizowała te myśli, byłyby dla niego druzgocące. Ale czy fakt, że tego nie robiłam, cokolwiek zmieniał? Czy nie byłam winna już przez to, że w ogóle je miałam?

Niestety wciąż nie znalazłam swojego kompasu moralnego i nie mogłam stwierdzić, czy moje przewinienia nie są dużo większe.

Musiałam przypomnieć sobie najbardziej oczywisty fakt: zesłam się z Carlosem nie bez powodu. Coś musiało mnie do tego popchnąć. Po prostu nie pamiętałam co.

- Byliśmy szczęśliwi? - wypaliłam.

- Słucham?

- Jako para. Układało nam się?

- Tak, jak najbardziej.

- Nie kłóciliśmy się? Nie mieliśmy jakichś słabszych momentów?

- Aspen...

- Po prostu mi powiedz.

Gómez podniósł kubek z kawą, po czym się rozmyślił i odstawił go z powrotem na stół.

- Jesteśmy ze sobą przecież dopiero od trzech miesięcy - odparł.

Uderzyło mnie to, że podczas gdy ja użyłam czasu przeszłego, on teraźniejszego. Mówiło to właściwie wszystko o tym, jak w tej chwili oboje zapatrywaliśmy się na nasz związek.

- Wiesz, że ten pierwszy okres to kraina mlekiem i miodem płynąca - dodał Carlos. - Schody zaczynają się później.

Skinęłam głową dla porządku, choć wydawało mi się, że to trochę wyrachowane podejście. I że kiedy spotka się dwójka odpowiednich osób, z żadnymi schodami tak naprawdę nie muszą się zmagać.

- A wcześniej? - spytałam. - Miałam kogoś?

- Mhm...

- Mhm?

- To nie był przesadnie dobry facet dla ciebie.

- Dlaczego nie?

- Bo to ten rodzaj człowieka, który traktuje każdego z góry, jest arogancki i wydaje mu się, że wszystko mu się należy tylko dlatego, że jest fajny i lubiany - odparł ciężko Gomie. - Nieraz powtarzałaś, że zerwanie z nim było najlepszym, co mogłaś zrobić.

Najwyraźniej jednak to właśnie związane z nim emocje wciąż tkwiły w dźwiękach z playlisty.

Chciałam zapytać, jak się nazywa. Chciałam, żeby Carlos pokazał mi jego profil w mediach społecznościowych.

Ostatecznie jednak odsunęłam to na zaś, na razie nazwałam go po prostu Duchem Aspen. Trochę od playlisty, ale przede wszystkim od faktu, że właśnie tym był. Jakaś widmową częścią dawnej mnie.

Teraz musiałam o nim zapomnieć. Przyjdzie czas na drażnienie mojej przeszłości związkowej i dowiadywanie się, co popycha mnie do chłopaków, którzy ewidentnie powinni raczej odstraszać. Chyba że...

- Kiedy się z nim rozeszłam? - spytałam.

- Jakiś rok temu.

- Więc się nie przyda...

- Do czego?

- Zrozumienia, co kombinowała moja matka.

Gómez nabrał głęboko tchu i wbił wzrok w niemal pusty parking za oknem.

- Ano nie - potwierdził. - Wygląda na to, że jedynym, który może ci to wyjaśnić, jest Grayson Joyce.

Miałam tego pełną świadomość.

Podziękowałam Carlosowi, zostawiłam kilka dolarów na stole, a potem przeprosiłam i ruszyłam na zewnątrz.

- Aspen! - zastopował mnie głos Gómeza.

- No?

Myślałam, że będzie próbował mnie powstrzymać przed samodzielną konfrontacją z Joyce'em. On jednak tylko podszedł do mnie, przytulił mnie, a potem wręczył tomik poezji, o którym zapomniałam.

Spojrzałam na niego z wdzięcznością, a on wówczas coś sobie uświadomił.

- Sorry - powiedział. - Nie masz gdzie schować.

Byłam mu wdzięczna. Nie tylko za plecak, którego mi użyczył.

Zaraz potem wyszłam na zewnątrz. Miałam serdecznie dość tkwienia w niewiedzy, potrzebowałam wszystkich odpowiedzi. Wyciągnąwszy komórkę kupioną mi przez Graysona, wybrałam jego numer.

- Muszę się z tobą zobaczyć - oznajmiłam.

Dotarcie na Clay Arsenal komunikacją miejską zajęło mi niemal równe trzydzieści minut. Joyce upierał się, że po mnie podjedzie, ale stanowczo odmówiłam. Rozmowy, która nas czekała, nie planowałam odbywać w Hermionie.

Wysiadłam z autobusu linii numer czterdzieści na przystanku obok kościoła na Main Street. O ile dobrze się zorientowałam, stamtąd miałam jakieś trzy, cztery minuty na piechotę do budynku, w którym mieszkał Grayson.

Nie spodziewałam się, że będzie na mnie czekał, kiedy wysiądę z autobusu. Tak jednak było. Palił papierosa zupełnie nieświadomy, przekonany, że wszystko jest w porządku. Zgromiłam go pełnym pretensji wzrokiem, jakby już samą swoją obecnością dopuścił się najgorszego przewinienia.

- Co ty tu robisz? - rzuciłam.

Od razu zobaczył, że coś jest nie tak, co dowodziło, że Ryan z nim nie rozmawiał i nie uprzedził go o tym, co mi wyjawiał. Idealnie.

- Czekam na ciebie - odparł.

- Miałeś to robić w domu.

- Miałem. Ale uznałem, że nie będziesz chodziła po tej okolicy sama.

- I ty niby będziesz o tym decydował?

- Jak widać.

W jakimś mimowolnym odruchu samozachowawczym szybko przyjął antagonistyczną postawę i aż dziw brał, że wystarczyło mu do tego jedno moje niezbyt przychylnie spojrzenie. Stanowiło jednak tylko preludium tego, co go czekało.

- Chodźmy - ponaglił mnie.

Zamiast się ruszyć, powiedziałam wzrokiem po okolicznych budynkach. Wszystkie z czerwonej cegły, zupełnie jakby wystarczyło kasy na ich wzniesienie, ale nie na zrobienie porządných elewacji. Wszystkie sprawiały wrażenie bloków socjalnych, choć z pewnością nimi nie były.

- Wakefield, idziemy - dodał poirytowany Joyce.

Ruszyłam bez słowa w kierunku Bellevue Street, nie mając zamiaru odpowiadać. Nawet nie spojrziałam na Graysona, analizując okolicę. Na pierwszy rzut oka wyglądała całkiem bezpiecznie - dopiero przy bliższej inspekcji dostrzegano się zwiastuny potencjalnych problemów.

Przy tej czy innej klatce schodowej stały szemrane typy, przekazujące sobie coś z rąk do rąk. Tu i ówdzie widać było przemykających tyłami budynków młodych chłopaków w za dużych ciuchach.

Z naprzeciwka szło dwóch, którzy wyglądali, jakby mieli zamiar nas staranować. Kiedy znaleźli się bliżej, zobaczyłam wyrzuszenia za ich paskami. Ani chybi broń.

Grayson położył mi rękę na plecach i lekko mnie do siebie przysunął.

- Co ty robisz? - rzuciłam.

- Nic. Udawaj, że wszystko jest okej.

Musiałam przełknąć gorycz tej sytuacji, przynajmniej na moment. I nie myśleć o tym, że dotyka mnie człowiek, od którego powinnam znajdować się jak najdalej.

Dwóch miejscowych minęło nas, wymieniając się niedbałym skinieniem głowy z Joyce'em. Właściwie było to nie tyle skinienie, ile zarzucenie głową w górę.

Zaraz potem znaleźliśmy się przed dwupiętrowym budynkiem przy Bellevue, a ja odtrąciłam rękę Graysona.

- Co jest z tobą? - mruknął.

Zamiast odpowiedzieć, wpadłam do środka. Pierwsza znalazłam się przy drzwiach mieszkania i musiałam się odsunąć, by Joyce je otworzył.

- Będziesz tak milczeć?

- Zapewniam cię, że nie.

- W takim razie...

Urwał, kiedy weszłam do środka. Od razu skierowałam się do salonu, mając nadzieję, że nie będziemy bawić się w żadne „chcesz coś do picia?” ani temu podobne kurtuazyjne zabiegi.

Stałam na środku pokoju i spoglądałam na Graysona, który właśnie do mnie dołączył.

- O co ci chodzi? - rzucił.

- O to, że jesteś zakłamanym skurwysynem, Joyce.

Jedna z jego brwi powędrowała w górę, po czym Grayson skrzyżował ręce na piersi.

- Zaczyna się całkiem nieźle - zauważył.

Nie miałam zamiaru pozwalać na ten lekki ton. I przypuszczałam, że jak tylko Joyce usłyszy, w czym rzecz, sam też nie będzie się na niego silił.

- Wiem, że znałeś się z moją mamą - powiedziałam.

Obserwowałam jego reakcję, ale ten sukinsyn potrafił naprawdę dobrze kontrolować wyraz twarzy i mowę ciała. Nie dawał po sobie znać kompletnie niczego.

- Wiem, że razem szukaliście kasety Pepecali - dodałam.

Wciąż nic. Zupełnie jakby to, co mnie zdruzgotało, po nim służyło jak po kacze. Zrób coś, powiedziałam w duchu. Zareaguj w jakikolwiek sposób, ty gnoju.

Grayson trwał jednak w bezruchu, jakby czekał na więcej.

Ewidentnie nie zamierzał mi tego ułatwić.

- Będziesz tak stał? - rzuciłam.

- A co mam robić?

- Na przykład wyjaśnić mi, kurwa, jakim prawem oszukiwałeś mnie w najbardziej perfidny sposób?

Joyce przekrzywił lekko głowę.

- Jak dużo sobie przypomniałeś? - spytał.

- Co?

- Najwyraźniej dokopałaś się do jakichś wspomnień, ale...

- Do niczego się nie dokopałam, Joyce – uciełam.

Zmrużył podejrzliwie oczy, a ja pożałowałam w duchu, że nie jestem lepiej przygotowana do tej rozmowy. Skupiłam się na tym, by zebrać jak najwięcej informacji od Carlosa, podczas gdy być może powinnam była ułożyć jakiś scenariusz tego, jak przebiegnie ta konwersacja.

Mogłam przecież przypuszczać, że Grayson potraktuje to wszystko jako dowód mojej wracającej pamięci. I nie założy, że mam informacje od jego najlepszego przyjaciela.

- Więc skąd te oskarżenia? – rzucił.

- Powiedzmy, że z dobrego źródła.

- Rozmawiałaś o tym z kimś?

- A jak ci się wydaje? – odparłam ostro.

Zacisnął dłonie na przedramionach, jakby narastające w nim emocje szukały jakiegoś ujścia.

- Z kim?

- Nie twoja sprawa – oznajmiłam.

- Chyba jednak moja.

- Nie – podkreśliłam, robiąc krok w jego kierunku. – Ty straciłeś prawo zadawania mi jakichkolwiek pytań w momencie, kiedy zdecydowałeś się łączyć jak najpodlejszy chuj.

Otworzył usta, ale nie odparował.

- Jak, kurwa, śmiałeś?

Nadal nic.

Poczułam zupełnie mi nieznaną potrzebę, by zbliżyć się jeszcze bardziej, a potem przywalić mu prosto w twarz. Może w ten sposób doczekałabym się jakiegokolwiek reakcji.

- Cass? – odezwał się. – To od niej o wszystkim wiesz?

- Już ci mówiłam, że...

- Tyson?

Dopiero teraz zrozumiałam, że będzie wymieniał wszystkie imiona i obserwował moje reakcje, by ustalić, kto sprzeniewierzył się tej zмовie milczenia, którą im wszystkim narzucił. Ryan z pewnością będzie ostatni na liście.

Od razu się odwróciłam, uznając, że nie jestem na tyle dobrą aktorką, by ukryć trafny strzał. Potrafiłam jednak z pewnością odegrać scenę, która powinna wystarczyć, żebym osiągnęła to, po co tu w ogóle byłam.

Ruszyłam więc w kierunku wyjścia, nim Grayson zdążył rzucić kolejne imię.

- Dokąd idziesz?

- Do domu.

- Moment...

- Nie, Joyce – uciełam, przecinając korytarz. – Jeśli nie masz mi nic do powiedzenia, to ja mam tobie tylko jedno: pierdol się.

Złapałam za kławkę w momencie, kiedy on chwycił mnie za ramię.

- Puszczaj.

Szybko cofnął dłoń, a kiedy się na niego obejrzałam, uniósł lekko obydwie w przeproszającym geście.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu, a ja czułam, że ważą się losy naszej przyszłości. Od tego, co miał zamiar powiedzieć, zależało praktycznie wszystko.

A mimo to Grayson milczał w najgorszy, najbardziej bezczelny sposób.

- Więc? - rzuciłam.

Nie odpowiadał.

- Albo powiesz mi wszystko tu i teraz, albo to ostatni raz, kiedy masz okazję powiedzieć mi cokolwiek - dodałam. - Wybieraj.

Ominął mnie powoli, a potem oparł się plecami o drzwi. Poczułam się trochę nieswojo, jak zwierzę złapane w jakąś pułapkę. Zapewniłam się jednak w duchu, że akurat ze strony Graysona nic mi nie grozi.

I że jeśli tylko powiem, że chcę wyjść, umożliwi mi to.

- Co chcesz wiedzieć? - spytał.

- Wszystko.

Zamknął oczy i lekko uderzył głową o drzwi. Sprawiał wrażenie, jakby chciał prowadzić całą rozmowę właśnie w taki sposób, nie musząc na mnie patrzeć.

A może po prostu szukał odpowiednich słów? Punktu zaczepienia, od którego mógłby zacząć?

Akurat w tym mogłam mu pomóc.

- Znałeś moją matkę? - rzuciłam dla porządku.

- Tak.

- Skąd?

Opuścił głowę i kiedy otworzył oczy, poczułam się, jakby starały się mnie wchłonąć. Joyce powoli przesuwiał wzrokiem po mojej twarzy, z milimetra na milimetr zbliżając się do moich ust. Kiedy na nie spojrział, odwrócił głowę.

- June знаła moich rodziców - podjął. - Przyjaźnili się jako nastolatki, właściwie trzymali się razem, dopóki nie wyjechała.

Starałam się uspokoić oddech, ale przychodziło mi to z trudem. Miałam bowiem świadomość, że za moment dowiem się tego wszystkiego, co Grayson dotychczas przede mną ukrywał.

- A ty i ja? - spytałam. - Zналиśmy się wcześniej?

- Nie.

- Więc znałeś tylko moją matkę.

- Tak.

- Jak do tego doszło?

Kiedy Joyce płytko nabrał powietrza, uzmysłowiłam sobie, że on też ma problem z uregulowaniem oddechu.

- Musisz zrozumieć, że ona już wcześniej szukała tej kasety...

- Hm?

- Starła się odnaleźć ją razem z moimi rodzicami – dodał Grayson. – Moja matka dowiedziała się o całej sprawie na jakiejś imprezie, już wiele lat po tym, jak José Alcalá trafił do więzienia.

Mruknełam potwierdzająco, by kontynuował.

- Rozmawiała tam z jakąś pielęgniarką, która po pożarze zajmowała się Pepecalą w szpitalu. Był wtedy w szoku, nie wiedział, co się z nim dzieje, przekonany, że jego dzieci żyją, a on z żoną za moment umrą. Mamrotał o kasecie z zakodowanymi dla córek wskazówkami, dzięki której miały zapewnioną przyszłość. O tym, że ukrył ogromne pieniądze właśnie z obawy przed taką sytuacją... i o tym, że są ludzie, którzy będą jej szukać.

Skinełam głową, starając się nie myśleć o tym, ile razy Joyce do tej pory mnie oszukał. Wiedziałam, że teoretycznie nie powinnam pokładać wiary w ani jedno jego słowo. Byłby to jednak luksus, na który obecnie nie mogłam sobie pozwolić.

- Matka powiedziała mojemu ojcu i June, po czym wszyscy zgodnie uznali, że muszą znaleźć kasetę.

- Byliśmy już wtedy na świecie?

- Nie – odparł Joyce. – Nie było nas nawet w planach.

- Okej.

- June w pewnym momencie odpuściła – rzucił. – Nigdy nie wiedziałem dlaczego, dopóki nie spotkałem się z nią lata później i wszystkiego mi nie wyjaśniła.

Znów uderzył lekko tyłem głowy o drzwi.

- Prodziekan mówił ci, że uciekła? – spytał.

- Tak.

- Powiedział dlaczego?

Pokręciłam głową.

- Może dlatego, że nie znał prawdziwego powodu – podjął Joyce. – Twoja matka była przerażona tym, w co się władowali. Zaczynali śledzić ją jacyś ludzie, dochodziło do dziwnych sytuacji, a w końcu ją pobili.

- Ktoś pobił moją mamę?

Grayson zerknął na mnie bez emocji. Może ja też nie powinnam im się poddawać, w końcu wydarzyło się to tak dawno temu, jeszcze przed moimi narodzinami.

- Musiały pojawić się też jakieś groźby – powiedział Joyce. – W każdym razie June uciekła z Hartford.

- A twoi rodzice?

- Zostali. Szukali dalej.

Wydawało mi się, że wiem, co teraz usłyszę. Do tej pory Grayson nie wspominał o nich nawet słowem i mimo tego, co mówił, kiedy byłam tutaj pierwszy raz, ewidentnie mieszkał samotnie.

- Co się z nimi stało? – zapytałam.

- Zginęli, starając się rozwiązać zagadkę Pepecali – odparł.

- Jezu... Jak?

- Napad z bronią w rękę. Niedaleko stąd.

Nagle poczułam, że cała ta jego niegdysiejsza troska o moje przejście z samochodu do klatki, a teraz dotarcie do budynku z przystanku była uzasadniona. Nie obawiał się nikogo z okolicy, znał tych ludzi, wychowywał się z nimi.

Bał się, że ktoś inny mnie rozpozna i skojarzy fakty. Byłam podobna do matki, wiedziałam to dzięki zdjęciom, które Prodziekan pokazał mi podczas naszego pierwszego wspólnego śniadania, kiedy zmagalam się z jego owsianką.

- Przykro mi – powiedziałam.

Joyce machnął ręką.

- Byłem za mały, żeby to pamiętać.

- A więc też za mały, żeby ich pamiętać – zauważyłam.

- Mhm.

- Wychowywałeś się w rodzinie zastępczej?

- Chciałbym – odparł, wodząc wzrokiem po suficie. – Wysłano mnie do bidula, potem trochę skakałem z miejsca na miejsce.

Miałam naturalną potrzebę, by zgłębić ten temat, dopytać o szczegóły. Upomniałam się w duchu, że nie po to tutaj jestem. I że nie powinnam pozwolić przeszłości Graysona osłabić mojego uporu.

- June ciężko to przeżyła. Przez długi czas nie interesowała się kasetą, nie chciała o niej pamiętać – dodał Joyce. – Potem jednak coś się zmieniło. Zaczęła od czasu do czasu się tu pojawiać.

- Ze mną.

- Zgadza się.

- Więc... jak mówiłeś dziadkowi, że znałeś jego adres, bo bawiliśmy się przed domem na Laurel Street...

- Mówiłem prawdę.

Zamknęłam oczy, przeklinając się w duchu za to, że wtedy tak łatwo przyjął pierwszą nasuwającą mi się wersję.

- A jednak przed chwilą powiedziałeś, że nigdy się nie spotkaliśmy – zauważyłam.

- Bo trudno nazwać toczenie piłki przez czterolatków za spotkanie.

- Mimo wszystko...

- Naprawdę chcesz to roztrząsać?

- Nie – odparłam. – Mów dalej.

Grayson znów zamknął oczy, a potem zwiesił głowę. Wiedziałam, że najgorsze, co miał mi do powiedzenia, dopiero przede mną.

Intuicyjnie wyczuwałam, że lubił moją matkę. Mówił o niej z ciepłem w głosie, nawet jakąś łagodnością, która nie była dla niego charakterystyczna. Grayson był na wskroś szorstkim człowiekiem, o czym bezustannie przypominał brak uśmiechu na twarzy. Teraz dla odmiany był całkowicie uzasadniony.

- June przez lata szukała jakiegoś tropu, ale na próżno - podjął Joyce. - Za każdym jednak razem, kiedy przylatywała, załatwiała też inną rzecz.

- Jaką?

- Sprawdzała, czy u syna jej najlepszych przyjaciół wszystko jest okej.

- Widywała się z tobą?

- Regularnie - odparł. - Niemal za każdym razem, kiedy tu była. Czasem przywoziła mi jakąś zabawkę, czasem zostawiała trochę kasy. Niedużo, bo sama nie miała wiele, ale zawsze coś.

Podziękowałam jej za to w duchu. Dobra robota, mamó.

- Trwało to tak latami - kontynuował Grayson. - Początkowo zjawiała się z tobą, ale potem już tylko sama. Nie wiem dlaczego. Może nie chciałaś latać, a może ona doszła do wniosku, że nie chce cię narażać. W każdym razie ja nie byłem świadomy żadnego zagrożenia, bo przez cały ten czas nie wspominała, po co tak naprawdę przylatuje.

- Ale w końcu to zrobiła.

- Tak - przyznał Joyce. - Parę miesięcy temu o wszystkim mi powiedziała. Także o tym, że śmierć moich rodziców nie była wynikiem jakiegoś przypadkowego rabunku.

Nie wiedziałam, jak na to zareagować. W innych okolicznościach, w innym świecie, podeszłabym do niego i poszukała odpowiedniego sposobu.

- Sprawdzali miejsca, w których mogłaby być kasetka - podjął Grayson. - Jedno za drugim, metodycznie... W końcu ktoś się zorientował, co robią, ale źle odczytał sytuację. Ktokolwiek ich zabił, był przekonany, że są blisko odnalezienia pieniędzy Pepecali, podczas gdy tak naprawdę nie mieli nawet tej jebanej kasetki.

Joyce zrobił głęboki wdech i przytrzymał powietrze w płucach.

- Wiesz, kto to zrobił? - spytałam.

- Przypuszczalnie ktoś, kogo najął José.

- Ale...

- Zakładam, że już wtedy znaleźli kogoś, kto na wolności czuwałby nad najważniejszymi sprawami - powiedział Grayson. - Ta osoba lub osoby z pewnością nie wiedzą nawet, czego strzegą. W przeciwnym wypadku...

- Sami by się do tego dobrali.

- No - potwierdził pod nosem Joyce. - I z tego samego względu Pepecalá przez te wszystkie lata nie wysłał nikogo po kasę.

- Bo nie mógł nikomu ufać.

- I dalej nie może.

Była to całkiem uzasadniona obawa, wszak do dyspozycji miał jedynie ludzi siedzących w więzieniu lub mających związek ze światem przestępczym. Kogokolwiek skaperowałby do odzyskania swoich pieniędzy, nigdy nie przekazałby mu nawet centa.

To prowadziło do jeszcze jednej, kluczowej konkluzji.

- Joyce...

- No?

- Ci ludzie nie mają pojęcia, które miejsca powinni mieć na oku.

Grayson spojrział na mnie wyraźnie niepewny, do czego zmierzam.

- Oni nie czekali na nas przy moście, w szkole czy w bibliotece - zauważyłam. - Nie wiedzieli, że którakolwiek z tych lokalizacji jest istotna. Wiedzieli za to, że my jesteśmy.

Teraz zaskoczył, choć miałam wrażenie, że sam wcześniej o tym myślał.

- Ludzie najęci przez Pepecalę przez cały czas mieli oko na ciebie i na mnie - powiedziałam. - Bo zakładali, że będziemy kontynuować robotę naszych rodziców.

- I tak się stało.

- Tak, ale...

- No?

- Wystarczy, że ich zmylimy - podjęłam. - Wystarczy, że zgubimy ogon, i będziemy bezpieczni.

Jezus Maria, w jaki sposób dotarliśmy do tego miejsca? Przyszedłam tutaj po to, by siłą wyciągać z Graysona szczegóły na temat tego wszystkiego, co się wydarzyło. A nie po to, by planować wspólne odnajdywanie pieniędzy José Alcali.

Nie miałam zamiaru tego robić. Nie z Joyce'em.

A tymczasem bez najmniejszego wysiłku rozmontował moją silną wolę i przekreślił wszystkie postanowienia. Przez sam sposób, w jaki na mnie patrzył, byłam gotowa puścić mu płazem wszystko, czego się dopuścił.

- Tak czy inaczej to niewiele zmienia - powiedział, nie dając mi ani chwili na zastanowienie. - Dalej nie mamy tego tomiku, w którym jest klucz do zrozumienia ostatniej piosenki.

Zawahałam się, a potem sięgnęłam do plecaka. Wbrew sobie wyciągnęłam *Sestyny 76* Joana Brossy i podałam je Graysonowi.

- Żartujesz sobie? - jęknął.

- Nie.

- To ten egzemplarz?

- Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa tak.

- A jest gdzieś symbol?

- Nie wiem - odparłam głosem wyzutym z emocji. - Nie sprawdzałam, miałam ważniejsze rzeczy do roboty.

Wyciągnął rękę, ale ostatecznie powoli ją cofnął. Stałam z tomikiem poezji, nie bardzo wiedząc, co z nim zrobić. W końcu rzuciłam go na stół, po czym usiadłam na kanapie obok. Joyce zajął miejsce na fotelu po drugiej stronie.

Kiedy podniosłam głowę, moje spojrzenie padło prosto na gramofon. Igła była podniesiona, a na talerzu wciąż znajdował się winyl Ghosta.

Skupiłam wzrok na Graysonie.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytałam. – Dlaczego od początku mnie okłamywałeś? W jakim celu to wszystko? Nie mogłeś powiedzieć mi prawdy? Nie mogłeś wyjaśnić, że moja mama szukała tej kasety?

Joyce milczał.

– Odpowiadaj – syknęłam.

Nie widziałam w nim żadnej gotowości, by to zrobić. Chciałam dostrzec jakąś oznakę, że szuka odpowiednich słów, że stara się sklecić jak najbardziej wyjaśniające zdania. Niczego takiego jednak nie przejawiał.

– Mów – dodałam.

– Słuchaj, Wakefield, może powinniśmy odłożyć to i...

– Niczego nie będziemy odkładać.

Jego oczy uciekły, kiedy starałam się złapać jego spojrzenie. Nagle podniósł się z fotela i zaczął chodzić po pokoju, rozmasowując kark. Ostatecznie zatrzymał się w bezpiecznej odległości i przysiadł na szafce.

– To był festiwal błędów z mojej strony – podjął w końcu.

– Tyle sama wiem.

– Nie miałem pojęcia, co robić po śmierci June.

– Więc postanowiłeś łączyć jej córce?

Nadal trzymał jedną rękę na karku, jakby odczuwał tam jakiś ból.

– Początkowo postanowiłem po prostu przy niej być – powiedział.

– I prowadzić z nią dość jednostronną konwersację.

– To też – przyznał cicho, a potem wreszcie na mnie spojrział. – Ile z tego słyszałaś?

– Może kiedyś się dowiesz – odparłam. – Ale najpierw ja dowiem się, dlaczego zdecydowałeś się brać udział w konkursie na największe leczenie w chuja w historii.

Docenił to dość klasycznym drgnięciem kącików ust.

– Nie chciałem cię w to wciągać – powiedział. – W ogóle nie planowałem tego robić, świadomy, jakie niebezpieczeństwo to by na ciebie spowodowało. Musisz zrozumieć, że...

– Niczego nie muszę, Joyce.

– Tak tylko się mówi.

Machnęłam ręką, uznając, że szkoda czasu na polemikę.

– Chodzi mi jedynie o moje wyjściowe założenie – mruknął. – Które było takie, że zrobię wszystko, żeby trzymać cię od tego z daleka.

– Nieźle się do tego zabrałeś.

– Cóż...

- Więc po jaką cholere szukałeś ze mną kasety w szpitalu?

- Potrzebowałem pomocy - odparł i rozłożył lekko ręce. - Uznałem, że samo to nie wiąże się z żadnym ryzykiem, poza tym...

- No?

- Poza tym chciałem się przekonać, ile naprawdę wiesz.

- Czyli spodziewałeś się, że udaję tę amnezję?

Nijak nie zareagowałam na jego wzruszenie ramion, choć chyba powinnam, bo było jak potwarz.

- Po odnalezieniu kasety miałem już więcej się z tobą nie kontaktować.

- Tak, pamiętam. Zostawiłeś mnie w tych pieprzonych lochach - odparłam.

Grayson z powagą skinął głową.

- Tego wymagała sytuacja - zauważył.

- No nie wiem. Moim zdaniem sytuacja wymagała jednak jakiegoś słowa wyjaśnienia.

- Tak? - rzucił. - I co miałbym ci powiedzieć? Sorry, Wakefield, ale ponieważ twoja matka została zamordowana, spodziewam się, że to samo stanie się z tobą, jeśli dalej będziesz mi pomagać?

- Może nie w tych konkretnych słowach, ale...

- Inne niczego by nie zmieniły - uciął. - Miałaś dostatecznie dużo na głowie.

Zasadniczo nie mogłam odmówić temu pewnej logiki. Do tamtego momentu to, co robił, nosiło jakieś znamiona sensowności.

- Nie miałaś z tą sprawą nic wspólnego - dodał. - Jak miałbym zrzucać na ciebie to wszystko? I narażać cię na niebezpieczeństwo, że ci ludzie się do ciebie dobią?

Zaczęłam się zastanawiać, jak zachowałabym się na jego miejscu. Pewnie podobnie. Nie chciałam ryzykować, że komuś jeszcze stanie się krzywda. Szczególnie jeśli ten ktoś w istocie nie wiedziałby nawet, kim jest.

- Zamierzałem znaleźć te pieniądze, a potem przekazać ci część należną June - ciągnął. - Nieangażowanie cię w to było najlepszym, co mogłem zrobić.

- I to była całkiem słuszna decyzja - odparłam. - Problem w tym, że dość szybko ją zmieniłeś.

- Nie tak znowu szybko.

- Pojawiłeś się na werandzie mojego domu dzień później, Joyce.

- I uważasz, że to szybko? - odparł cicho. - Chciałem być tam jeszcze tego samego wieczoru, kiedy wróciłaś ze szpitala.

Poczułam, że serce ominęło mi jedno uderzenie, którego już nigdy nie odzyskam. Patrzyłam na Graysona opierającego się o szafkę i starałam się jakoś poradzić sobie z uczuciem, które było dla mnie całkowicie obce.

Czułam wręcz bolesną potrzebę znalezienia się bliżej tego człowieka. Każda sekunda spędzona tak daleko od niego wydawała się czasem całkowicie zmarnowanym.

- Przestań - powiedziałam półszepem.

Zamknął na moment oczy, a potem smętnie pokiwał głową. Kiedy na powrót podniósł powieki, wydawało mi się, że nie wie, w którym miejscu skończył.

- Więc co się zmieniło? - spytałam.

Joyce cicho odchrząknął.

- Zgłupiałem.

- W jakim sensie?

- A jak ci się wydaje?

Znów coś dziwnego stało się z moim sercem, w dodatku te arytmiczne zmiany zdawały się wywoływać fale w całym moim ciele.

- Miałem zostawić cię w spokoju, miałem się nie kontaktować i nie wciągać cię w to wszystko. Ale nie umiałem. Spędziłem z tobą dwa tygodnie w tym szpitalu. Niby niewiele, ale wieczność.

Wiedziałam, że muszę natychmiast oderwać wzrok od jego oczu, bo czułam, jakby między nami powstawała jakaś siła, której nie będę w stanie się oprzeć.

Grayson tymczasem powoli zsunął rękę z karku i ruszył w kierunku dzielącego nas stołu.

- Nie potrafiłem z tego zrezygnować - dodał. - Bez ciebie wszystko wydawało się niewyraźne, tracące barwy, niepełne. Świat blakł, a razem z nim cały sens, rozumiesz?

Rozchyliłam lekko usta, ale nie potrafiłam dobyć głosu.

- Sam nie obejmowałem tego rozumem, ale twoja obecność tam, w szpitalu, była jak narkotyk. Chciałbym opisać to, co się ze mną działo, kiedy patrzyłem na ciebie leżącą na łóżku, ale nie umiem. Nie umiem, bo nigdy się nawet do czegoś takiego nie zbliżyłem. To było jak jakaś niestworzona energia, wypełniająca każdy fibr ciebie. Jakbym nagle obudził się z długiego, niesamowitego snu z błogim poczuciem, że wszystko jest w porządku.

Wiódł wzrokiem na boki, jakby faktycznie nie potrafił znaleźć odpowiednich słów.

- Mogłem spędzić przy tobie resztę życia - dodał. - I nigdy nie żałowałbym ani sekundy.

Zbliżył się do stołu, ale go nie obszedł. Zrozumiałam, że to sygnał - pytanie, na które musiałam udzielić odpowiedzi.

Wystarczyło, żebym powoli się podniosła, a Grayson wiedziałby, jak brzmi.

- Joyce... - powiedziałam.

Potem podjęłam decyzję.

Podniosłam się powoli, czując, że tak naprawdę to nie ja steruję swoim ciałem. Grayson spojrział mi w oczy, jakby pierwszy raz widział drugiego człowieka, a potem podszedł i delikatnie wziął mnie za rękę.

Jego dotyk sprawił, że po kręgosłupie przemknął mi nieznany impuls. Miałam wrażenie, że nawet gdybym była martwa, przywróciłby mnie do życia.

Zaraz potem Joyce przesunął dłońmi po moich ramionach i na dłużej zatrzymał się na szyi. Dotykał mnie z taką delikatnością, ale jednocześnie tak wielkim pragnieniem, że przestrzeń wokół nas zdawała się zwęzić.

Ujął moją twarz i przesunął po policzkach. Samym ruchem dłoni uświadomił mi, jak piękna jestem w jego oczach.

Mój wzrok samowolnie padł na jego usta. Pełne, lekko rozchylone, jakby Grayson miał problemy z zaczerpnięciem tchu. Ja też się z tym zmagalam. Wydawało mi się, że nie dostarczam organizmowi tlenu i zaczynam oddychać stojącym przede mną człowiekiem.

Kiedy zbliżył się jeszcze bardziej, poczułam jednocześnie rozluźnienie całego ciała i jakąś siłę, która je spina. Był to stan upojenia, paradoksu zmysłów, którego nigdy wcześniej nie doznałam. I wydawało mi się, że już nigdy nie doznam.

Musiałam zatrzymać ten moment. Nie pozwolić mu uciec.

Joyce przesunął palcami za moim uchem, a ja miałam ochotę jęknąć. Najmniejsza rzecz, którą robił, wydawała się przesiąknięta jakimś wiekopomnym, nie do końca zrozumiałym uczuciem paraliżującym nas oboje.

W końcu jego oczy znalazły się bliżej.

Usta niemal dotykały moich.

- Aspen...

Nie wiedziałam, czy słyszę moje imię, czy odczytuję je z oddechu padającego na moje wargi.

Nie mogłam dłużej wytrzymać dzielącego nas dystansu, mimo że ograniczył się już do milimetrów.

Wypuściłam powietrze prosto do jego ust, a on złapał mnie w pasie i wreszcie zrobił to, bez czego żadne z nas nie potrafiłoby dalek żyć.

Nasze usta spotkały się w wytęsknionym pocałunku, języki splotły w gorączkowym poszukiwaniu bliskości. Momentalnie zalała mnie fala gorąca, która odbierała mi wszystkie zmysły i sprawiła, że stałam jak ogłuszona.

Czułam przesuwające się, spragnione mojego ciała ręce Joyce'a. Moje dłonie robiły to samo, starając się chorobliwie poznać każdą część Graysona, zupełnie jakby za sekundę to wszystko miało się skończyć.

Nie kończyło się.

Joyce przerwał tylko na chwilę, by ściągnąć mi bluzkę. Ledwo znalazła się na podłodze, zaczął całować moją szyję, przesuwając po niej językiem, a jego ręka znalazła się na podbrzuszu i dotarła między moje nogi.

Jęknęłam cicho, nie potrafiąc nawet otworzyć oczu. Grayson wsunął drugą dłoń w moje włosy tuż przy karku, a potem delikatnie odchylił mi głowę, nie przestając mnie całować. Wszystko zaczynało dziać się coraz szybciej, w coraz większym porywie obustronnej namiętności.

Nagle Joyce zwolnił, a ja poczułam, jak delikatnie dotyka moich majtek. To także było pytanie. Niewypowiedziane, niepewne, ale niemożliwe do przegapienia.

Przyłgnęłam do jego dłoni tak, jakbym chciała, żeby mnie podniósł. Zareagował od razu, wsuwając dłoń pod moją bieliznę. Kiedy zaczął mnie pieścić, wszystko to, co przed momentem robiliśmy, wydało się tylko niewinnym uniesieniem.

Jęczałam cicho, a on nie przestawał mnie całować. Byłam upojona jego dotykiem, otumaniona bliskością, a jednocześnie zupełnie nieświadoma niczego poza tym.

Nagle poczułam, że moje ciało zaczyna drżeć, moje usta stają się suche, powieki mocno się zaciskają. Zaraz potem nogi się pode mną ugięły, wyprężyłam się do tyłu, a z moich ust wyrwał się głośny jęk.

Grayson poruszał się jeszcze przez chwilę, zanim wysunął dłoń spod mojej bielizny. Odnotowałam, jak mokre ma palce, kiedy przesuwał nimi po moich plecach. Przytulił mnie, oddychając niemal tak samo nierówno jak ja.

Trwaliśmy tak, powoli uspokajając bicie naszych serc, zupełnie jakbyśmy poszukiwali synchronizacji. Wsłuchiwalismy się w swoje oddechy, czuliśmy pulsowanie naszych ciał i duchową bliskość, której nam dostarczyły.

Nie rozmawialiśmy, bo przed momentem powiedzieliśmy sobie wszystko.

Po chwili poczułam, jak Grayson sięga po coś do kieszeni. Zaraz potem w pokoju rozległy się dźwięki *Stolen Love* Josiah and the Bonnevilles. Wtuliłam się w Joyce'a, a on mocniej otoczył mnie ramieniem.

Staralam się nie myśleć o tym, że te dźwięki należą do innej mnie. I że dzieliłam je z kimś innym, Duchem Aspen.

Teraz nie miał on żadnego znaczenia, podobnie jak wszyscy inni na świecie. Przyznanie tego przed sobą przyszło mi zaskakująco łatwo. W tej bliskości, którą dzieliłam z Graysonem, nie było miejsca ani na Cassidy, ani na Carlosa. Ani na nikogo innego.

Stolen Love zostało zastąpione przez *Occasional Rain* The War On Drugs, a ja wiedziałam, że za moment usłyszę trzecią piosenkę z playlisty mojej przeszłości.

Nie włączałam jej, obawiałam się tego, co ze mną zrobi.

Nie chodziło tylko o emocje. Chodziło o uczucia, które mogły wywołać te kawałki.

Co, jeśli je sobie przypomnę? Co, jeśli pierwszym, co wyłowię z niedostępnych zakamarków pamięci, będzie uczucie do kogoś innego?

Musiałam przestać o tym myśleć.

Musiałam się odezwać.

- Jaki jest trzeci kawałek? - szepnęłam.

- Hm?

Odsunęłam się lekko, ale tylko na tyle, byśmy z Graysonem mogli na siebie spojrzeć.

- Nie słuchałam jeszcze trzeciej piosenki.

Patrząc mi w oczy, Joyce znów przesunął dłonią po moim policzku.

- *If We Were Vampires* - powiedział.

Przełyk zacisnął mi się na sam dźwięk tego tytułu.

- Tyson Isbell and the 400 Unit - dodał Grayson.

- Słuchałeś?

- Nie raz.

Usta Joyce'a jak zwykle się nie uśmiechały, ale nie musiały. Robiły to jego oczy.

Zaraz potem usłyszałam pierwsze dźwięki tego kawałka i jedynym, co mogłam zrobić, było wtulenie się w Graysona. Zareagował od razu, obejmując mnie, a potem przytknął usta do moich włosów. Przez moment trwał w bezruchu, po czym je pocałował.

Nie wiedziałam, czy łyzy próbujące wyrwać się z kącików moich oczu wynikają z jego czułości, czy dźwięków piosenki. Miałam wrażenie, że drgające struny gitary akustycznej wprawiają w dygot całe moje jestestwo.

Poruszaliśmy się lekko, prowadzeni tymi dźwiękami, a jednocześnie nimi opatuleni. Było mi tak dobrze, że nie wyobrażałam sobie, jak wcześniej mogłam normalnie funkcjonować bez bliskości Graysona.

Kiedy *If We Were Vampires* dobiegało końca, poczułam się, jakby gasnące dźwięki tej piosenki zabrały sobie część mnie. Zaraz potem została jednak na powrót wypełniona.

Kawałek, który rozbrzmiał z głośnika, przenicował moją duszę i sprawił, że łyzy, które do tej pory jakimś cudem powstrzymywałam, spłynęły mi po policzkach.

- Co to jest? - spytałam cicho.

Joyce poczuł wilgoć na mojej twarzy, odsunął się, a potem przesunął po niej dłońmi. Zamknęłam oczy, zawstydzona, że po tym, co między nami zaszło, płaczę.

- Ghost - odparł Grayson.

- Jakoś nie brzmi...

- To tytuł. Od znanych ci już Josiah and the Bonnevilles.

Zdołałam tylko lekko skinąć głową, a Joyce z tego skorzystał, całując mnie w czoło. Próbowalam z całych sił powstrzymać kolejne łyzy, ale pozwalając pierwszym się wydostać, otworzyłam drogę kolejnym.

Grayson ścierał jedno za drugim, a kiedy w końcu podniosłam powieki, przekonałam się, że jego oczy też zaszły wilgocią. Pociągnęłam nosem, wyobrażając sobie, że mam teraz spojówki czerwone jak królik.

Zaśmiałam się głupio, co w jakiś sposób sprawiło, że na twarzy Joyce'a pojawiło się jeszcze większe uwielbienie. Choć w nie nie dowierzałam, nie mogłam tego pomylić z niczym innym.

Znów przyłgnęłam do Graysona, mając nadzieję, że całkowicie zniknę w jego objęciach.

- Przepraszam - rzuciłam.

- Za co?

- Nie powinnam się rozklejać.
 - Dlaczego nie? – odparł cicho. – Łzy zazwyczaj mówią więcej niż słowa.
- Znów nerwowo się zaśmiałam i pociągnęłam nosem.
- Rzecz w tym, że pewnych rzeczy lepiej nie komunikować – odparłam.
 - Te z pewnością powinnas.
 - Tak uważasz?

Cały czas przesuwiał dłoń po moich plecach, co pomagało mi radzić sobie z jakąś niestworzoną, irracjonalną obawą, że nagle zniknie. Że to wszystko okaże się tylko snem, urojeniem.

- Joyce... – zaczęłam.
- Nie myśl teraz o tym.
- Nawet nie wiesz, co miałam powiedzieć.
- Wiem.

Oczywiście, oboje to wiedzieliśmy.

Cassidy i Gómez. Dwie osoby, o których istnieniu na moment świadomie zapomnieliśmy.

- Jeśli mam się uspokoić, lepiej zatrzymaj tę playlistę – odezwałam się.
- Nie chcę, żebyś się uspokajała.

Chwycałam mocniej jego ciało, bo ten głos, te słowa, ten zapach, to wszystko sprawiało, że chciałam być bliżej i bliżej. Stopić się w jedność, nierozzerwalną i wieczną.

- Poza tym następny w kolejce jest Gregory Alan Isakov.
- Kto?
- Zobaczysz.
- Raczej posłucham.
- Raczej odczujesz – skorygował.

Na czas trwania tej piosenki świat całkowicie się zatrzymał. Znów wszystko poza nami bezpowrotnie znikło, a moja pamięć na powrót jakby się wyzerowała. Istniało tylko to, co przed momentem nas połączyło, istnieliśmy tylko my.

Dopiero kiedy kawałek Josiah and the Bonneville's dobiegł końca, Joyce powiedział, że tytuł następnego brzmi *If I Go, I'm Goin'*.

Kompletnie mnie zdekonstruował. Na tyle, że nie byłam w stanie wytrzymać kolejnych tak emocjonalnych dźwięków.

Skąd brało się to uczucie? Przecież niczego nie pamiętałam, nawet nie kojarzyłam tych piosenek, nie potrafiłam przypisać ich do czegokolwiek. Ale może nie powinnam się dziwić. Umysł zapominał, serce nie.

Kołysaliśmy się spokojnie jeszcze przez moment, a kiedy przeprosiłam i poszłam na moment do toalety, miałam wrażenie, że zabieram ze sobą całe ciepło ciała Graysona.

Spojrzałam na siebie w lustrze, niepewna, na kogo patrzę. Miałam włosy w nieładzie, na policzkach ślady płaczu. W oczach tylko rozmarzenie, a usta lekko zaczerwienione.

- Podobało mi się to, co widzę.
- Aspen? – rozległo się pytanie z pokoju.

Otworzyłam drzwi i wyszłam na zewnątrz. Joyce siedział na kanapie, patrząc na mnie tak, jakby nie widział mnie miesiącami.

- Wiesz, że to drugi raz, kiedy użyłeś mojego imienia? - spytałam.

- Liczysz?

- Chyba zacznę.

Chciał coś odpowiedzieć, ale zanim zdążył to zrobić, rozległ się dzwonek do drzwi. Podział jak głośny gong, który sprowadził nas na ziemię. Przez moją głowę przemknęły najgorsze typy na osoby mogące zjawiać się tu bez zapowiedzi.

Na czele tej listy była oczywiście Cass.

Wymieniliśmy z Graysonem niepewne spojrzenia, jakby każde oczekiwało od drugiego decyzji, co robimy. Otwieramy? Udajemy, że nikogo nie ma? Mamy jakieś wytłumaczenie na to, dlaczego tu jestem?

Joyce podniósł się i otworzył usta, ale sam nie wiedział, co powinien powiedzieć. W końcu ruszył do drzwi, a ja czym prędzej sięgnęłam po swoją bluzkę.

Oczywiście, że musiał otworzyć. Nie mogliśmy udawać, że nikogo nie ma, bo niewykluczone, że osoba po drugiej stronie przed momentem słyszała muzykę.

Ale nie mogłam tak się nikomu pokazać. Szybko wróciłam do łazienki i zamknęłam za sobą drzwi.

Usłyszałam, jak Joyce otwiera te wejściowe.

- Co ty tu robisz? - rzucił.

Głos, który mu odpowiedział, nie był tym, którego się spodziewałam.

Przez moment wszystkie moje procesy myślowe zawęzły się do tego, czy wyjść z łazienki, czy w niej pozostać. Ostatecznie uznałam, że poczekam na to, aż Joyce poradzi sobie z tą sytuacją.

Jeśli napomknie o tym, że tu jestem, wyjdę. Jeśli nie, będę udawała, że mnie tu nie ma.

– Muszę pogadać – odezwał się Ryan.

Usłyszałam, jak zamyka za sobą drzwi. Potem rozległ się dźwięk kroków tak zdecydowanych, że mogły należeć jedynie do przyjaciela gospodarza. Kogoś, kto czuje się jak u siebie i nie musi pytać, czy może wejść.

– Nie najlepszy moment – rzucił Joyce.

– A co robisz?

– Zajęty jestem.

– Niby, kurwa, czym?

Jeśli poprawnie oceniałam rozchodzenie się fal dźwiękowych, obaj stali w kuchni. Dobrze, w przeciwnym wypadku Ryan z pewnością dostrzegłby na stoliku egzemplarz poezji Joana Brossy i dodałby dwa do dwóch.

– Poza tym to ważne – dodał.

– I nie może poczekać?

– Nie.

Usłyszałam, jak Grayson cicho wzdycha, i mogłam wyobrazić sobie, że na jego twarzy pojawia się pewien rodzaj niechętnego przyzwolenia.

– Gadałem z Aspen – podjął Ryan.

– Tak?

– Powiedziałem jej, że...

– Wiem – uciął Joyce.

Na moment zaległa cisza.

– Jak to wiesz? Skąd?

– Przyszła tutaj.

– I?

– I wyjaśniłem jej wszystko – odparł swobodnie Grayson.

– Wszystko?

Rozległo się ciche, potwierdzające mruknięcie.

– W zasadzie powiedziałem jej nawet więcej niż tobie – dodał Joyce.

– Ale...

– Wie tyle, ile ja.

Spodziewałam się, że Grayson będzie formułował jakieś oskarżenia albo chociaż wyrzuty, że jego wieloletni najbliższy przyjaciel sprzeniewierzył się męskiej solidarności. Ryan chyba

też się na to przygotował, bo brak jakichkolwiek uwag ze strony Joyce'a kwitował milczeniem.

- Słuchaj... - podjął w końcu. - Musiałem jej powiedzieć, to nie mogło dłużej tak wyglądać.
- Wiem - odparł Joyce.
- I nie jesteś wkurwiony?
- A wyglądam, jakbym był?
- Nigdy tak nie wyglądasz, stary.

Coś w tym było, uznałam w duchu. Grayson kamuflował nie tylko uśmiech, ale też wszelkie inne oznaki silnych emocji. Zarówno tych pozytywnych, jak i negatywnych. Przeszło mi przez myśl, że tak naprawdę ekspresyjny stał się dopiero podczas naszego zbliżenia.

Nasze zbliżenie.

Jezus Maria, co myśmy najlepszego zrobili? Powinna palić się teraz ze wstydu i zmagać z przemożnymi wyrzutami sumienia. Wciąż jednak nie mogłam się zmusić do tego, by je poczuć.

To wszystko zdawało się tak właściwe, że rozpatrywanie tego w kategoriach zdrady było absurdalne.

- Więc powiedziałeś jej, że to od June wiedzieliśmy o kasecie? - spytał Ryan.
- No.
- I że twoi rodzice...
- Tak - uciął Joyce. - Wie o wszystkim.

Wypuściłam cicho powietrze z płuc, orientując się, że je w nich przytrzymywałam.

- W dodatku najpewniej słyszy tę rozmowę, bo jest w łazience - dodał Grayson.
- Poważnie?
- Mhm.

No dobrze, to był mój sygnał. Nie miałam innego wyboru, jak pociągnąć za klamkę i wyjść na zewnątrz. Spojrzałam na Ryana, a potem na Joyce'a, który od razu ruszył w moim kierunku.

- Zmiana na posterunku - oznajmił.

Odsunęłam się na tyle, by mógł spokojnie mnie minąć, mimo to musnął moją dłoń. Naraz naszła mnie durna konstatacja, że po tym, co między nami zaszło, nie mył rąk. I tak po prostu rozmawiał w najlepsze z Ryanem.

Kiedy zamknął drzwi, odchrząknęłam niepewnie.

- Wyglądasz nie najlepiej - zauważył Ryan.
- Dzięki.
- Znaczący... miałem na myśli, że...
- Trochę mnie to wszystko sponiewierało - przerwałam mu.

Zasadniczo nie skłamałam, po prostu nie sprecyzowałam, czym jest owo „wszystko”.

- No tak - przyznał. - Zrozumiałe. W końcu nie codziennie dowiadujesz się takich rzeczy.
- Ano nie. Raczej rzadko.
- I wszystko okej?

- O tyle, o ile - odparłam, modląc się w duchu o to, byśmy jak najszybciej zakończyli tę konwersację.

Przez chwilę wydawało mi się, że mój rozmówca też ma taką nadzieję. Szybko jednak mi uświadomił, że się myłę.

- Gray powiedział ci, jak zginęli jego rodzice?
- Tak - zapewniłam. - Powiedział mi wszystko.
- W porządku.

Patrzyliśmy na siebie w ciszy, która wydawała mi się nieco kłopotliwa do przełamania. Ryan wyraźnie chciał coś dopowiedzieć, ale napotkał podobną barierę jak ja.

W końcu zerknął na zamknięte drzwi łazienki, z której doszedł nas dźwięk wody lejącej się z kranu.

- I nie jesteś na niego wkurwiona? - rzucił Ryan.
- Byłam.
- Więc już nie jesteś?
- Jestem.
- Jakoś nie widać.
- Bo nie jestem Szekspirem, żeby robić dramaty - odparłam pod nosem.

Ryan spojrział na mnie z powątpiewaniem.

- Serio? - mruknął. - Tak po prostu mu odpuściłaś? Nie zabiłaś go?
- Zabiła - rozległ się głos Joyce'a, który właśnie wychodził, wycierając ręce.

Zanim dotarło do mnie realne znaczenie jego słów, rzucił ręcznik na łóżko, a potem wskazał wzrokiem tomik poezji.

- Ale przy okazji znalazła też to.
- Hm? - bąknął Ryan. - Chcesz powiedzieć, że...
- Że to *Sestyny* 76.
- Mapa skarbów i jednocześnie klucz do wszystkiego, co na mój temat wie Pepecalá - dodałam.

Nearing nieco się ożywił, wyraźnie chcąc zaproponować, byśmy w końcu się tym zajęli. Zamiast tego jednak powiódł po nas wzrokiem, jakby upewniał się, czy aby na pewno wszystko już sobie wyjaśniliśmy.

- Rozładowaliście cały ładunek emocji? - spytał.

Wraz z Graysonem odpowiedzieliśmy synchronicznie:

- Tak.

Jeśli wywołało to jakąkolwiek podejrzliwość w Ryaniu, nie dał tego po sobie poznać. Wciąż jednak nie mógł wyjść ze zdziwienia, że tak łatwo odpuściłam Joyce'owi, przez co sama postawiłam sobie pytanie, czy to dobry ruch z mojej strony.

Owszem, rozumiałam motywację Graysona. Wiedziałałam, że chciał mnie chronić, a potem... cóż, nie wyjaśnił mi w słowach, dlaczego nie wytrwał w trzymaniu się ode mnie z daleka, ale nie musiał. To także byłam gotowa zrozumieć.

Wciąż jednak miałam kilka pytań, a Ryan najwyraźniej to zobaczył, kiedy przez moment milczałam.

- Może lepiej wyjaśnijcie to sobie do końca, mogę poczekać na zewnątrz.

- Zostań – rzucił Grayson.

Zaraz potem przeniósł na mnie wzrok i uniósł jedną brew.

- Więc? – zapytał. – Chcesz dokończyć to, co zaczęliśmy?

Oż ty bezczelny, przebrzydły cwaniaku, skwitowałam w duchu. Niestety nie mogłam zwerbalizować tej myśli – ale jej sens komunikował chyba mój nikły uśmiešek.

- Przypuszczam, że będzie jeszcze okazja – odparłam.

- O, pewnie szybciej, niż się spodziewasz.

- W takim razie...

- Ale jest coś, o co jeszcze chciałaś zapytać? – uciął.

Przeszliśmy na nieco poważniejszy rejestr, a ja postanowiłam z niego skorzystać.

- O parę rzeczy.

- Na przykład?

- O to, dlaczego po tym, jak do mnie przyszedłeś, pokazałeś mi te artykuły związane z zabójstwem w Prescott.

- Jak to po co? – odparł.

- Skoro znałeś moją mamę...

- Znałem, ale to nie znaczy, że wiedziałem o wszystkim, co robiła. Ani tym bardziej, co ty robiłaś. Po prawdzie nigdy nawet z nią o tobie nie rozmawiałem.

Z jakiegoś powodu to zakłuło. Racjonalnie rzecz biorąc, nie powinno, bo moja matka nie miała przecież żadnego powodu, by poruszać z Graysonem mój temat. Przyjeżdżała tutaj, żeby załatwić konkretną sprawę, a nie szukać chłopaka swojej córce.

- Coś jeszcze? – zapytał Joyce.

- Nie. Właściwie nie.

Resztę pytań odłożyłam na zaś, wychodząc z założenia, że najlepiej będzie, jeśli myśli trochę poukładają mi się w głowie.

- Świetnie – odparł Grayson. – W takim razie zajmijmy się tą ostatnią piosenką Pepecali. I ostatnią wskazówką.

Sama powinnam do tego dążyć. Nie chodziło bowiem ani o zwykłą ciekawość, ani o całe te pieniądze. José miał ostatni element układanki, który pozwoliłby mi spojrzeć na swoją przeszłość i ją zrozumieć. Musiał wiedzieć, dlaczego Latynos z żółtą kartką przedstawiającą jego symbol zginął w Prescott.

- Wakefield? – spytał Joyce.

- Hm?

Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że stoi z walkmanem w ręce.

- Potrzebujesz posłuchać jeszcze raz?

- Nie – odparłam. – Pamiętam, co tam było.

Grayson ponaglił mnie krótkim spojrzeniem, jakby chciał zasugerować, że im szybciej przejdziemy do tematu, tym mniejsza szansa, że Ryan dostrzeże więcej, niż powinien.

- Okej... – podjęłam. – Więc w ostatnim kawałku nasi kochankowie wreszcie się godzą. Wszystkie przewinienia odchodzą w niepamięć, a oni przypominają sobie, że jedyne, co się liczy, to szczęście, które są w stanie osiągnąć tylko razem.

Próbowałam nie patrzeć na Joyce'a, ale było to silniejsze ode mnie.

– Umysł zapomina, serce nie – dodałam. – A przynajmniej tak śpiewa Pepecalá.

– I chyba ma rację – odparł Ryan.

Potwierdziłam zdawkowym mruknięciem.

– Para siedzi w miejscach znanych z poprzednich piosenek – powiedziałam. – Słuchają muzyki. Dźwięki myślą czas, nie pozwalając mu ich dopaść.

Cytowałam dokładne słowa, zapadły mi w pamięć bowiem tak, że nawet gdybym chciała, nie potrafiłabym parafrazować.

– Ona mówi, że bez niego pogrążyła się w ciemności – dodałam. – Zbierała okruchy światła, próbując utkać z nich dzień. On pogrążył się bez niej w podobnej boleści, a jedyną pocieszającą myślą było to, że ktoś gdzieś właśnie usłyszał „kocham cię” po raz pierwszy.

Grayson nerwowo się poruszył, a ja starałam się skupiać na Ryanie. Zakładałam, że jeśli utrzymam z nim kontakt wzrokowy, być może nie będę posyłać znaczących spojrzeń w stronę Joyce'a.

– On dodaje coś jeszcze – powiedziałam i na moment się zamyśliłam, starając się dotrzeć do dokładnych słów José Alcali. – „Chciałem być twoją myślą. Nawet przelotną, niezobowiązującą, migotliwą. Ale najmniej kłopotliwą ze wszystkich”.

Było to dość proste, niemal trywialne, ale jednocześnie tworzyło klamrę ze wszystkim, co znajdowało się w poprzednich kawałkach. Nie chciał dłużej się sprzeczać, nie chciał być dla niej utrapieniem ani przysparzać jej trosk. Chciał dać jej spokój, na który zasługiwała.

– Godzą się – dodałam. – Bez słów, bo to uczucie ich nie wymaga. Siedzą w ciszy, w której ich pragnienia znaczą więcej, niż gdyby je wyrazili. Nie wsłuchują się w nią, to ona wsłuchuje się w nich. W ich tęsknotę, potrzebę bliskości i pragnienie bycia razem. Jest absolutna, słyszą w niej wszystko. Drzewo rosnące tuż obok, nieboskłon ponad nimi, ziemię pod ich stopami. Cisza przybiera jedną wspólną, harmonijną tonację, i to w niej rodzą się ponownie, jako nierozrwalna jedność.

Joyce i Ryan milczeli, jakby kompletnie zapomnieli o tym, że zajmujemy się tą piosenką ze względu na wskazówki Pepecali. Sądziłam, że któryś z nich się odezwie, przełamując naszą własną ciszę, ale żaden tego nie zrobił.

– Nie zbliżają się jednak do siebie, nie mają na to czasu – podjęłam. – On musi iść do pracy, ją też woła życie. Umawiają się na wieczór, kiedy wszystko wreszcie wróci na właściwe tory. Rany zasklepią się w kształt ich miłości, koryta wyschniętych łez wypełnią się wspólną przyszłością, a czeluść między nimi zasypie bliskość.

Tego fragmentu nie potrafiłam wiernie przełożyć. Wydawało mi się, że w hiszpańskim oryginale brzmiał dużo lepiej, był pełen ciepła i obopólnego, błęgiego przekonania o tym, że wszystko będzie dobrze.

– Jak pewnie pamiętacie, melodia w tym kawałku jest chyba najoptymistyczniejsza ze wszystkich – kontynuowałam. – Dźwięki gitary akustycznej są jak promienie słońca, a przynajmniej ja miałam takie wrażenie.

Kątem oka odnotowałam, że Grayson lekko skinął głową.

- Aż do tego przejścia w drugiej minucie i trzydziestej sekundzie - dodałam. - Wtedy nagle wszystko się urywa, przechodząc w tony tak dojmujące, jakby Pepecalá inspirował się Chopinowskimi nokturnami.

Struny gitary zaczynały płakać, dodałam w duchu, bo nie miałam śmiałości, żeby powiedzieć to na głos.

- Ona ginie w drodze do niego - podjęłam. - Przechodzi przez ulicę, niedaleko miejsca, gdzie mają się spotkać, i uderza w nią rozpędzony samochód.

Joyce uniósł lekko brwi, najwyraźniej dotychczas nieświadomy tego, co w warstwie lirycznej piosenki powodowało tę nagłą zmianę melodii. Nie wiedziałam, jak zareagował Ryan, nie potrafiłam się zmusić, by oderwać oczy od Graysona.

- Spoczęła na wzgórzu pod cedrami - powiedziałam. - On stoi nad jej grobem, myśląc o tym, co przepadło. Wraz z nią umarły wszystkie słowa, które wypowiedział. Odeszła jego dusza, znikła wszelka wola trwania. Nie chciał żyć, nie chciał umierać. Chciał nigdy się nie narodzić, by nie musieć doświadczać tej straty.

Na moment urwałam, przypominając sobie te ostatnie akordy grane przez Pepecalę. Wywoływały emocje porównywalne z tymi, które odczuwałam, słuchając kawałków z mojej playlisty. Różniły się jednak rodzajem.

- Długo stoi przed grobem - dodałam. - Trwa w ciszy, próbuje znaleźć w niej ukojenie. Tak jak wcześniej z nią. Nie może jednak tego zrobić, znajdują się bowiem w dwóch zupełnie innych jej tonacjach.

Grayson zmrużył lekko oczy.

- Stąd nazwa ostatniej piosenki - dodałam. - *Otros Tonos del Silencio*.

Wszyscy potrzebowaliśmy chwili, by dojsć do siebie i skierować myśli z powrotem na właściwe tory. Mieliśmy analizować ten tekst, porównywać go z treścią wiersza Joana Brossy. A nie pograżać się w dziwnej melancholii.

- Jebany Pepecalá – rzucił Ryan.

Kaszlnęłam cicho i spojrzałam na Joyce'a, który stał przy otwartym oknie i palił papierosa, wydychając dym na zewnątrz. Wyraźnie to miał być jego komentarz.

- Pełna zgoda – odezwałam się. – I wciąż nie rozumiem, jak człowiek, który nagrał tak piękne rzeczy, może być tym samym, którego widzieliśmy w więzieniu.

- W prosty sposób – odparł Grayson.

- O, doprawdy?

- Mhm – potwierdził. – Te kawałki pisał człowiek, który miał wszystko. Do więzienia trafił ten, który nie miał nic.

- Może coś w tym jest.

Joyce zerknął na dół, po czym pstryknął niedopałkiem na ulicę. Posłałam mu pełne dezaprobaty spojrzenie, ale całkowicie je zignorował.

- Zabierajmy się do roboty – rzucił.

- W porządku – odparłam.

Podszedł do stolika i w naturalnym odruchu chciał chyba usiąść obok mnie. Zawahał się jednak, po czym zajął miejsce na oparciu fotela po drugiej stronie stołu. Przez chwilę patrzył na *Sestyny* 76, potem na mnie.

- Więc? – spytał. – Jakie tu mamy lokalizacje?

- Właściwie żadne.

- Ale tych dwoje gdzieś się spotkało.

- No tak – przyznałam. – W miejscu ich ciszy.

- Więc przy Bulkeley Bridge?

Potwierdziłam zdawkowym skinieniem głowy.

- Czyli to nam nic nie daje – włączył się Ryan. – Coś jeszcze?

Szybka wymiana spojrzeń z Graysonem sprawiła, że moje dotychczas w miarę poukładane myśli nagle rozbiły się w drobny mak. Uczepiłam się szybko jednego kawałka, który wydawał mi się istotny.

- Jest ewidentna wzmianka o pewnym miejscu – zauważyłam.

- O cmentarzu – dopowiedział Joyce.

- Tyle że w tym mieście jest ich dość dużo – mruknął Ryan.

- Nawet za dużo.

- I o ile czegoś nie pominęłaś, nie ma w tym tekście nic, co wskazywałoby na jakiś konkretny.

- To prawda - przyznałam. - Jest tylko informacja, że on pochował ją na wzgórzu pod cedrami.

- Świetnie...

- Zaraz - włączył się Grayson. - Przecież to może nie być dosłowne.

Zmarszczyłam czoło, a Ryan spojrzał pytająco na Joyce'a. Ten podniósł się, przeszedł kawałek po pokoju, a potem zatrzymał się przy szafce z książkami i o nią oparł. Czekałam, aż skrzyżuje ręce na piersi, ale tego nie zrobił.

- Wzgórze. Pod cedrami.

- Tak, to właśnie powiedziałam.

- Ale może to nie tyle miejsce, ile nazwa.

- Nazwa?

Ryan nagle pstryknął palcami.

- Cedar Hill Cemetery - oznajmił.

- Właśnie.

Gdyby panująca w pokoju atmosfera była płótnem, pokryłaby się dość jasnymi barwami. Zaraz potem jednak została zalana czarną farbą.

- Ale to główniana wskazówka - powiedział Ryan. - Ten cmentarz ma... ile? Ze sto hektarów?

- Lekko - odparł Grayson.

- I nic więcej w tej piosence nie ma? Żadnych dalszych wskazówek?

Lekko rozłożyłam ręce, sygnalizując kompletną bezradność.

- Przetłumaczyłam wam wszystko, co mogłoby mieć jakieś znaczenie - zapewniłam. - I jak sami wiecie, w tym wierszu Joana Brossy też nie znajdziemy niczego, co by nam jakoś zawęziło teren poszukiwań, więc może nie o to chodzi.

Joyce znów zaczął krążyć po pokoju, jakby czegoś szukał. Ostatecznie zatrzymał się przy oknie, które zostawił otwarte, by dym się ulotnił. Zaraz jednak zaczął uzupełniać jego stan w pomieszczeniu.

Zaciągnął się głęboko, mrużąc oczy.

- Nie - odparł.

- Nie?

- To jest właściwy trop.

- I skąd ta pewność? - spytałam. - Znaczy pomijając to, że wynika z twojej samczej arogancji i...

- Cmentarz to idealne miejsce - uciął Grayson.

- Może dla ciebie. Szczególnie jeśli będziesz dalej taki kryptyczny.

Ryan cicho parsknął, usta Joyce'a jednak jak zwykle się nie poruszyły. Nie było sposobu, by ułożyły się w jakikolwiek, choćby najmniejszy uśmiech. Musiałam w końcu się do tego przed sobą przyznać.

- Zastanówmy się – podjął Grayson. – Gdzie ukrylibyśmy taką kasę, jaką miał Pepecalá? Jakie miejsce byłoby odpowiednie, żeby nikt nigdy jej nie znalazł? I jakie przetrwałoby na tyle długo, żeby po ewentualnym wyjściu z więzienia mógł nie mieć obaw, że zostanie zrównane z ziemią, przebudowane albo...

- Niech cię chuj – przerwał mu Ryan. – Racja.

Ja także musiałam przyznać, że cmentarz to pod tym względem rzeczywiście nie najgorszy wybór. I to pomimo tego, że po ostatniej wizycie na jednym z nich z Ryanem miałam ich serdecznie dosyć.

- Dajmy na to, że wykupił jakąś parcelę na Cedar Hill – ciągnął Joyce. – A potem złożył do ziemi trumnę...

- W której zamiast trupa były pieniądze – uzupełnił Ryan.

- Właśnie. Nikt by się tym nie interesował, nikt nigdy nie rozkopałby grobu, nie dobrałby się do kasy.

- A jednocześnie można łatwo wskazać lokalizację komuś, komu chce się przekazać cały hajs.

- Albo zakodować ją w jakiś sposób – dorzuciłam od siebie.

Dzięki temu José Alcalá praktycznie mógł mieć pewność, że to, co zostawił swoim dzieciom, nie tylko przetrwa, ale także zostanie odnalezione. Gdyby odwiedziły go w więzieniu, wystarczyłoby, że skierowałyby je na odpowiedni trop. Nie musiałyby martwić się przysłuchującym się strażnikom, współwięźniom czy kimkolwiek innym.

To by jednak znaczyło, że spodziewał się, iż kiedyś może trafić za kratki. Ta myśl wydała mi się istotna, ale nie miałam czasu na jej rozwinięcie i szybko zaplątała się gdzieś z tyłu głowy.

- Założmy, że w piosence wskazał Cedar Hill Cemetery – podjął Grayson. – W takim razie w tym egzemplarzu Sestyn musi znajdować się dokładna lokalizacja grobu.

Cała nasza trójka w jednym momencie wbiła wzrok w tomik poezji.

- O ile to w ogóle ten egzemplarz – powiedziałam.

- Sprawdźmy.

Czekałam, aż Ryan lub Joyce zrobią pierwszy ruch, najwyraźniej jednak uznali, że ja powinnam go wykonać. Sięgnęłam więc po przeszło sześćdziesięciostronicową pozycję, a potem zerknęłam na starą okładkę.

- Ale wszyscy wrzuciliście to do translatora, prawda? – spytałam.

Odpowiedziały mi potwierdzające pomruki.

- No właśnie – zauważyłam. – I żadne z nas nie wychwytiło niczego, co miałyby choćby ślad jakichś współrzędnych albo konkretnych wskazówek.

Nikt nie podjął tematu, a ja otworzyłam zbiór, modląc się w duchu, bym na samym początku zobaczyła to, na co liczyliśmy. Od razu rzuciła mi się w oczy pieczętka filii biblioteki publicznej przy Windsor Avenue.

To mnie nie interesowało. Szukałam czegoś innego, strona tytułowa jednak oprócz tego była pusta.

Dopiero kiedy ją przewróciłam, przekonałam się, że trzymam w dłoniach to, czego wszyscy poszukiwaliśmy.

– Jest pieczętka dawnej biblioteki na kampusie UConn – powiedziałam.

Ryan odetchnął, Joyce na moment zamknął w oczy, jakby dziękował jakimś nadprzyrodzonym siłom, że mamy coś, co mogło stanowić klucz do wszystkiego.

Ale może coś przegapiliśmy?

Może czegoś nie uwzględniliśmy?

A może w ogóle nie o ten wiersz chodziło? Założyłam tak, bo odniesienie do niego znajdowało się w poprzednim kawałku. „Dym się porusza. I mijają dni”.

Kartkowałam tomik poezji, licząc na to, że za moment dostrzegę symbol energii ciszy, który skieruje mnie na właściwy utwór. Na próżno. Nigdzie nie dostrzegłam niczego, co świadczyłoby, że którykolwiek z wierszy jest tym, w którym Pepecalá zakodował dokładną lokalizację grobu.

Pozostało mi skupić się na hiszpańskim przekładzie *Pieśni*. Zaczęłam czytać ją po raz kolejny, sama nie pamiętając już który.

„Gram na fujarce i chodzę po domu,
a każdej nocy śnię o swoich długach;
żeby odpocząć chowam się za drzwiami,
w morzu przypadku próżnuję trzy dni,
odkrywam ścieżki zgubione wśród roślin,
gęsiego pióra za uchem i książek.

Potem układam wachlarz z czterech książek,

wszak rękawiczki przeszkadzają w domu;
patrzę na kwiaty i na zieleń roślin
choć znika głębia, kiedy toniesz w długach;
cień, który dotąd wypełniał mi dni
szykuje śnieżną pułapkę nad drzwiami.

Strach tu nie wejdzie choć stoi za drzwiami
i oścień lęku nie tknie dobrych książek;
kwiat się otwiera i starzeją dni,
u dołu ogień, co pilnuje domu;
pustynia daje zapomnieć o długach,
kiedy opuszczam swą kurtynę z roślin.

Z gry wypadają wszystkie liście roślin
i morze wznosi łańcuch **gó**r za drzwiami;
ustaje wojna tak jak myśl o długach,
przedmioty tkają przeznaczenie książek,
mimo lamentów owczarnia jest w domu.

Dym się porusza. I mijają dni.

Woda rozbiera lekko noce, dni
i skąpy kamień, co jest fantem roślin
straszny harmider czyni w całym domu;
powietrze gardzi oszklonymi drzwiami,
lustro wyraźnie są kartkami książek.
Barwy łagodzą uścisk węzła w długach.

Tu nawet wiosna bywa w wielkich długach;
skryta jest wolna. I rodzą się dni.
Stracone lekcje wszystkich moich książek,
klucz pozostawia ślady pośród roślin;
więc myśl poradzi sobie także z drzwiami
i nad kamieniem zwycięża cień domu.

Wchodzę do domu drogą jak po długach
i trzaskam drzwiami. Pewnie, że są dni,
gdy słucham roślin i doglądam książek”.

Byłam tak skupiona na tekście, że zupełnie nie odnotowałam, kto stanął obok kanapy i patrzył mi przez ramię. Gdyby nie jego perfumy, dalej byłabym tego nieświadoma. Ledwo jednak je poczułam, zmysły mi się wyostrzyły, a ja paradoksalnie poczułam się, jakby coś odcięło mnie od wszystkich bodźców zewnętrznych.

Być może przez to otepienie nie wyłapałam tego, na co zwrócił uwagę Joyce.

– Wakefield, widzisz to?

Zamiast spojrzeć na kartkę, którą wskazywał, popatrzyłam na niego. Ledwo jednak nasze oczy się spotkały, odwróciłam wzrok.

– Niektóre słowa są pogrubione – zauważył Grayson.

– Co?

– No sama zobacz.

Przyjrzałam się pierwszemu fragmentowi i dostrzegłam, że Joyce ma rację. Właściwie pogrubione były nie pojedyncze słowa, ale całe wersy.

– Odkrywam ścieżki zgubione wśród roślin – odczytałam.

– Nie brzmi ci to jak jakaś wskazówka?

– Brzmi.

Dopiero teraz zorientowałam się, że Ryan stoi po drugiej stronie, również zerkając na trzymany przeze mnie tomik.

Przesunęłam wzrokiem po dalszych akapitach.

– Potem układałam wachlarz z czterech książek – przeczytałam następny pogrubiony passus.
– To też wydaje się dość znaczące.

– Mhm.

– Dalej jest też zaznaczone to z dymem. I mijającymi dniami.

Przez większą część tekstu nie widziałam niczego wyróżnionego. Dopiero na końcu znajdowały się kolejne zaznaczone fragmenty.

- Klucz pozostawia ślady pośród roślin – kontynuowałam. – I nad kamieniem zwycięża cień domu.

Urwałam, nie widząc, by coś jeszcze zostało wskazane przez Pepecalę.

- To wszystko? – spytał Ryan.

- Na to wygląda.

- I w jaki niby sposób ma to nam pomóc zlokalizować grób?

Joyce pochylił się nade mną, a ja miałam wrażenie, że robi to tylko po to, żeby się do mnie zbliżyć. Zerknął na mnie jedynie przelotnie, tyle jednak wystarczyło, bym zrozumiała, że pragnie mojej bliskości tak samo jak ja jego.

- „Góry” – odezwał się.

- Hm?

- „Góry” są pogrubione.

Najwyraźniej podskokilił się z podstaw hiszpańskiego. A może po prostu skojarzył, bo słowo brzmiało prawie tak samo jak po angielsku.

Wskazał je, ledwo zauważalnie dotykając moich palców przytrzymujących stronę. Momentalnie jednak cofnął rękę i nie sądziłam, by Ryan mógł wyłapać, jak duży impuls przemknął przez moje ciało.

Kiedy się na niego obejrzałam, utwierdziłam się w tym przekonaniu. Był zajęty spisywaniem fragmentów wiersza na komórce. Dopiero kiedy skończył, podniósł wzrok i bezzadnie nabrał tchu.

- Ścieżki zagubione wśród roślin – odezwał się. – Wachlarz z czterech książek, poruszający się dym, góry, klucz pozostawiający ślady pośród roślin i cień domu zwyciężający nad kamieniem.

Wraz z Graysonem skinęliśmy głowami.

- I co to ma niby znaczyć?

Żadne z nas nie miało odpowiedzi, wszystko to wydawało się bowiem zarazem potencjalnie istotne, jak i całkowicie nieprzydatne.

- Mamy szukać ścieżek wśród roślin na cmentarzu? – dodał Ryan. – I śladów klucza pośród nich?

- Na to wychodzi – odparł Grayson.

- Przecież tam wszędzie jest pełno ścieżek i drzew.

- Ale nie wszędzie jest cień domu zwyciężający nad kamieniem – zauważyłam. – Podobnie wachlarz z czterech książek i poruszający się dym.

Kiedy na mnie spojrzeli, uzmysłowiłam sobie, że zabrzmiałam, jakbym miała pewne pojęcie o tym, co to wszystko może oznaczać. Problem w tym, że tak nie było. Wydawało mi się jednak, że mogę zaproponować coś sensownego.

- Powinniśmy zacząć od tego, że dym się unosi – zasugerowałam. – To było w poprzednim kawałku, pojawia się też w tym. Może więc nie było tylko wskazówką, której książki szukać.

Joyce skinął głową, Ryan zaś chyba miał zamiar sformułować pytanie, ostatecznie jednak zagubiło się gdzieś w jego otwartych ustach.

- Więc... - podjęłam. - Kojarzycie, żeby jakiś dym kiedykolwiek unosił się nad tym cmentarzem?

Popatrzyli po sobie w bezskutecznym poszukiwaniu odpowiedzi. Ja także jej nie miałam. Znałam jednak kogoś, kto mógł ją odnaleźć.

Liczyłam na to, że Mary spotka się z nami od razu, szczególnie jeśli w próbę zwerbowania jej zaangażuję dziadka. Okazało się jednak, że do wieczora ma zajęcia, więc zobaczyć się z nią na cmentarzu mieliśmy dopiero tuż przed zachodem słońca.

Długie cienie nagrobków kładły się powoli na alejkach i trawnikach, a ja miałam wrażenie, że nekropolia ciągnie się bez końca. Groby były w dużych odległościach od siebie, w okolicy znajdowało się kilka monumentów lub mauzoleów, ale nie rozpoznawałam nazwisk, które na nich widniały.

Po tym jednak, jak spotkaliśmy się pod główną bramą z Cass, Rebeccą i Tysonem, dowiedziałam się od tej pierwszej, że na tym cmentarzu leży sama Katherine Hepburn. Czy może raczej już nie ona, ale to, co z niej zostało.

Tuż obok na wieczne leżakowanie udał się J.P. Morgan, a kawałek dalej Samuel Colt, który dla przemysłu rewolwerowego był tym, kim pan Adidas dla obuwniczego. Choć tak naprawdę ów pan zwał się Adolf Dassler, a nazwa firmy wzięła się od zdrobnienia jego imienia i pierwszych trzech liter nazwiska.

Te groby mogliśmy ominąć, reszcie jednak postanowiliśmy się przyjrzeć. Wprawdzie nawet dzieląc cały cmentarz między naszą szóstkę, niewiele mogliśmy zdziałać, ale zgodnie uznaliśmy, że lepiej robić coś niż nic. Do przyjazdu Mary rozpierchliśmy się więc po całym terenie.

Sektorów do sprawdzenia było trzydzieści osiem. Mnie przypadł numer sześć, Joyce'owi znajdujący się z jakiegoś powodu tuż obok numer osiemnaście. Miałam nadzieję, że wyrobię się nieco szybciej i przejdę do niego albo on skończy przed czasem i zajdzie do mnie. Albo że spotkamy się gdzieś pośrodku.

Tymczasem pech chciał, że docierając do skraju swojego sektora, trafiłam na ostatnią osobę, z którą chciałam rozmawiać.

- Jak tam? - rzuciła z oddali Cassidy, dostrzegając mnie.

Przywołałam na twarz poprawny uśmiech, ponieważ się orientując, że tym samym zaczynam stwarzać nieco podejrzane wrażenie. Szybko wróciłam do obojętnego wyrazu - i znów pożałowałam. Wyszło jeszcze bardziej nienaturalnie.

- Na razie nic - odparłam. - A u ciebie?

- Zero czegokolwiek, co miałoby związek z tym wierszem.

Westchnęła cicho, zatrzymując się przy nagrobku, który właśnie sprawdzałam. Zanim zdążyłam zrozumieć, co Cass zamierza, ta na nim przysiadła.

Uniosłam wymownie brwi.

- No co?

- Nic - odparłam.

- Ci ludzie nie mają nic przeciwko.
- Oni nie – przyznałam. – Ale ich bliscy mogą się zdziwić.

Cassidy machnęła ręką w sposób, który mają opanowany jedynie uprzywilejowane dzieciaki.

- Nie mam już siły – oznajmiła.
- Widzę.
- Naprawdę myślisz, że to gdzieś tu jest?
- Chyba tak.
- Chyba? – jęknęła Cass. – To ciągasz nas tutaj na podstawie jakiegoś przypuszczenia?
- Właściwie wcześniej było tak samo.

Odpowiedziało mi ciche westchnienie, a ja miałam nadzieję, że Cassidy nie zmieni swojego zachowania ani na jotę. Kiedy była pełną wersją siebie, moje wyrzuty sumienia nie były tak dotkliwe.

- Nie – skwitowała w końcu. – Wcześniej było inaczej.
- W jakim sensie?
- Jak to: jakim? Nie byłaś świadoma, że lecimy z tobą w chuj.
- Uhm...

Najwyraźniej Joyce nie omieszkiał powiedzieć swojej dziewczynie, że wyznał mi całą prawdę. Nagle to, że Cass od początku o wszystkim wiedziała, zakłuło w sposób, którego się nie spodziewałam.

No nie. Chyba nie byłam aż tak małostkowa?

- Teraz specjalnie możesz nas wodzić za nos – dorzuciła. – A potem sama zjawić się po tę kasę.

- O niczym innym nie marzę.

Cassidy zerknęła na mnie tak, jakby miała zamiar przewrócić oczami, ostatecznie jednak skupiła się na jednym z nagrobków naprzeciwko.

- Czego my tu w ogóle szukamy? – zapytała.
- Nie wiem.
- No to świetnie...

- Może to być symbol energii ciszy, może być coś innego, co ma związek z piosenkami – powiedziałam. – Nie ma do tego żadnej instrukcji obsługi, gdybyś nie zauważyła.

- Zauważyłam.
- W takim razie...

- A ta twoja Mary będzie coś wiedziała?

- Mam nadzieję – odparłam, z trudem powstrzymując się przed zasugerowaniem Cass, żeby pozwalała mi kończyć zdania. – Wysłałam jej pogrubione fragmenty esemesem, miała w przerwach między wykładami czegoś poszukać.

- Ale to chyba dałaby znać, gdyby coś ustaliła?

Wzruszyłam ramionami, bo nie miałam żadnej odpowiedzi. Umówiliśmy się przed głównym wejściem na cmentarz dopiero późnym wieczorem i trudno było stwierdzić, czy

Mary odzywałaby się wcześniej, gdyby rzeczywiście na coś wpadła.

Cassidy patrzyła na mnie wyczekująco i jakby z pretensją, że konwersacja nam się nie klei. Jak jednak miałam z nią rozmawiać? Nie potrafiłam nawet spojrzeć jej w oczy, bo jedyne, co w nich widziałam, to refleksy poczucia winy.

- Nieswojo tutaj, no nie? - odezwała się.

- Hm?

- W sensie, że tyle grobów.

- Zazwyczaj na cmentarzach tak jest.

- No - przyznała cicho Cass. - Ale wiesz, jak chodzisz na jakiś od dziecka, to trochę inaczej go widzisz. Rodzice cię tam zabierali, od kiedy pamiętałaś, znasz te wszystkie nagrobki i w ogóle.

- Mhm.

- A tutaj, sama nie wiem...

Boże, niech to się skończy. Od tej funeralnej gadki mnie samej przeszło przez myśl, że najchętniej potraktowałabym Cassidy jak najcenniejszy skarb - zakopała tak, żeby nikt nigdy jej nie znalazł. Uśmiechnęłam się w duchu, nie pozwoliłam jednak, żeby wesołość przebiła się na zewnątrz.

- Wszędzie są umarli - dodała Cass, rozkładając ręce.

- I? Zazwyczaj w życiu każdego z nas więcej jest ludzi umarłych niż żywych.

Spojrzała na mnie, jakbym właśnie dokonała jakiegoś upiornego rytuału mającego przywołać duchy wszystkich, którzy tu spoczęli.

- W moim nie - odparła.

- Kwestia czasu.

- Co?

- Nic - rzuciłam szybko. - Może powinniśmy kontynuować, bo...

- I naprawdę myślisz, że coś znajdziemy?

- Taką mam nadzieję.

- Żebyś potem mogła wyciągnąć coś na swój temat od Pepecali?

Znów mruknęłam potwierdzająco, zachodząc w głowę, dlaczego Cassidy nie odbiera tych dość uniwersalnych sygnałów świadczących o tym, że druga osoba nie jest specjalnie zainteresowana rozmową.

- A skąd pewność, że on cokolwiek o tobie wie?

- Pewności nie mam - odparłam. - Tylko podejrzenia.

- Bo co?

- Bo ktoś zjawił się w Prescott z kartką, na której widniał symbol używany przez José Alcałę. I zginął tam na moment przed tym, jak ja opuściłam miasto.

Cass oczywiście o wszystkim wiedziała, ale najwyraźniej dla niej było to niewystarczające.

- W dodatku, jak doskonale wiesz, moja mama była zamieszana w to od początku - dodałam. - Pepecalá może wiedzieć coś na ten temat.

- No, niby może, ale... chyba nie sądzę.

- To chyba niedobrze.

- W sensie... nie byłoby jakby lepiej, gdybyś sama sobie przypomniała?

- Jakby byłyby.

- No więc właśnie – rzuciła Cassidy, nie wyłapując mojej sarkastycznej intonacji. – I nic ci w tej pamięci nie ruszyło?

- Nic.

Zaczynałam jednak się zastanawiać, czy nie jest to aby błogosławieństwo. Może pamiętamy zbyt wiele? Czy nie byłibyśmy znacznie szczęśliwsi, gdyby nie obciążały nas wspomnienia? I gdzie jest punkt krytyczny, po którego osiągnięciu w człowieku nie mieści się już więcej przeszłości?

Dopiero tutaj, na cmentarzu, krok od znalezienia tego, czego szukałam, zrozumiałam, że może dążyć do czegoś, co mnie unieszczęśliwi. Może powinnam to zostawić, nie grzebać w dawnych zdarzeniach i uznać, że zapomniałam swoje życie nie bez powodu?

- Gray mi mówił, że jakieś piosenki coś ci pomagają – odezwała się Cass, wyrwijając mnie z zamyślenia.

Potrząsnęłam głową, uświadamiając sobie, że Joyce powiedział swojej dziewczynie o wspólnym słuchaniu mojej playlisty. Oczywiście, że tak. Wobec niej przecież nie był tą kłamliwą bestią, która mydliła mi oczy.

Ale czy to oznaczało, że powie jej, do czego między nami doszło? Jezus Maria, pewnie tak. Prędzej czy później przecież się do tego przyzna. Nie sprawiał wrażenia kogoś, kto w ogóle zbliżałby się do granicy zdrady. A jeśli już to zrobił i ją przekroczył, to z pewnością nie zamierzał tak tego zostawić.

- Co to za piosenki? – dodała Cassidy.

- Z mojej playlisty.

- O, to dobrałaś się do swojego Spoti?

- Niezupełnie.

- To jak ją znalazłaś?

- Właściwie to Joyce'owi się udało.

- No co ty? Jak?

Przemknęło mi przez głowę podejrzenie, że jestem podpuszczana. Że Cass uświadomiła mi moją czujność swoim pytaniem, a teraz wyprowadzi jedno celne uderzenie. Skoro Grayson powiedział jej o piosenkach, napomknął pewnie też, jak je odnalazł.

- Popróbował kilku kombinacji i wpadł na coś, na co ja nie wpadłam.

- Ano tak – rzuciła sentencjonalnym tonem Cassidy. – Mocno się zaangażował, żeby ci pomóc.

- Uhm.

- Nawet kupił tego winyla.

- On chyba często jakieś kupuje, więc...

- No, od pewnego czasu już nie – ucięła Cass. – Oszczędza kasę, a ode mnie żadnej nie chce. Mówi, że prędzej by mnie okradł, niż przyjął ode mnie w prezencie.

Lekko się uśmiechnęłam, było w tym bowiem coś bardzo joyce'owego.

- Ale ile ci się udało sobie przypomnieć? - spytała nagle Cassidy.

- Tyle co nic.

- Znaczy?

- Pamiętam, że słuchałam z kimś tych kawałków z playlisty - odparłam ciężko. - Siedzieliśmy na jakimś dachu, chyba stacji benzynowej. Przytulaliśmy się, poruszaliśmy się w rytm muzyki i...

- To się nazywa tańcem.

- Chyba do końca nim nie było.

- Okeeej... - odparła z powątpiewaniem Cass. - To było tam u ciebie, w Prescott?

- Tak przypuszczam. Tu nie byłam od jakiejś dekady, a oprócz tego nie wyglądałam chyba na jakąś zapaloną podróżniczkę.

- No tak, raczej nie miałaś kasy na takie rzeczy.

Skwitowałam tę uwagę milczeniem.

- I to wszystko? - dopytała Cassidy.

- Niestety.

Zsunęła się z nagrobka, po czym otrzepała tyłek i lekko wygięła się w bok, by na niego spojrzeć. Kiedy uznała, że nie może jednoznacznie przesądzić, jaki jest stan jej spódniczki, obróciła się tyłem do mnie.

- Wszystko okej - zapewniłam.

Kiedy na powrót na mnie spojrzała, widziałam, że chce kontynuować to przesłuchanie. Nie było sensu dłużej się oszukiwać, że ta rozmowa nim nie była. Cassidy wyczuła coś między mną i Graysonem i postanowiła wy badać grunt.

Nie miałam jednak zamiaru na to pozwolić.

- Wracajmy do sprawdzania grobów - zasugerowałam. - Im więcej terenu...

- Chciałam ci jeszcze tylko coś powiedzieć.

Zakłęłam w duchu, ale przywołałam na twarz wyraz uprzejmego zainteresowania tematem.

- On naprawdę potrzebuje tej kasy - powiedziała.

- Nie wątpię.

- Nie, ale serio...

- Domyślam się.

- Nie - odparła Cass i ciężko westchnęła. - Nie domyślasz.

Zanim zdążyłam o cokolwiek zapytać, przyjęła przeproszającą minę, a potem odwróciła się i odeszła w kierunku sektora, który powinna była przez cały ten czas sprawdzać.

Co to niby znaczyło?

Czyżbym pomyliła się co do powodu, dla którego Cassidy mnie tak maglowała? Miał to być wstęp do jakiejś rozmowy na temat Joyce'a?

Bezrefleksyjnie sięgnęłam do kieszeni spodni po telefon, a potem wybrałam numer tego delikwenta. Była to naturalna, bezwiedna reakcja, której wystąpienie uświadomiłam sobie dopiero, kiedy przyniosła efekt w postaci usłyszenia głosu Joyce'a.

- Masz coś? – rzucił.

- Problem.

Odpowiedziało mi chwilowe milczenie.

- Tylko jeden?

- Tak. Nazywa się Grayson Joyce.

Byłam niemal pewna, że każdy inny człowiek na jego miejscu przynajmniej cicho by prychnął.

- Brzmi poważnie – odparł.

- Żebyś wiedział.

- Masz jakiś pomysł, jak go rozwiązać?

- Na razie nie – przyznałam. – Chyba potrzebuję konsultacji.

- To przydałby ci się ktoś z zewnątrz. Konsultacja z samym problemem zazwyczaj nie prowadzi do żadnych konstruktywnych wniosków.

- Nie wymądrzaj się.

- Nawet jeszcze nie zacząłem – odparł cicho.

- W takim razie świetlana przyszłość przed nami.

Nie odpowiedział, a ja nie potrafiłam rozczytać znaczenia tej ciszy. Z jakiegoś powodu byłam jednak absolutnie pewna, że zamiast nas dzielić, łączy. Najwyraźniej stałam się na tym polu specjalistką.

- Mary się odzywała? – spytał Grayson.

- Nagła zmiana tematu?

- Raczej próba. Uda się?

- Uda – zapewniłam, a potem nabrałam tchu. – Nie, nie odzywała się. Przyszła za to do mnie Cass.

- Co?

- Chciała pogadać o typowych sprawach. O piosenkach, których, tak się składa, że razem słuchaliśmy. O mnie, mojej pamięci, a w bonusie także o tobie. I o tym, że naprawdę potrzebujesz tej kasy Pepecali.

Znów chwilowe milczenie.

- Co jej powiedziałaś?

- Że znalazłeś Ghosts of Ute – odparłam. – Nic poza tym.

Usłyszałam, jak Joyce cicho wzdycha i po raz pierwszy odnotowałam tyle bólu w tak zwykłej czynności. Bynajmniej nie zaskoczyła mnie jego obecność.

Od kiedy poznałam Graysona, w głębi duszy wiedziałam, że to porządny gość. Przynajmniej w miarę. A w każdym razie taki, który po chwilowym porywie namiętności nie tyle ma wyrzuty sumienia, ile w nich tonie.

Musiał żałować, to było oczywiste. Poczucie winy z pewnością sprawiło, że najchętniej cofnąłby czas i wymazał wszystko, do czego między nami doszło.

- Aspen...

Dźwięk mojego imienia w jego ustach był jak poczucie ciepła w zimowy wieczór, kiedy ktoś otula cię kocem. Nie rozumiałam, dlaczego tak się dzieje. Ale właściwie nie chciałam rozumieć. Być może piękno każdego uczucia tkwiło w niemożności jego zdefiniowania.

Sprawiło także, że nie potrafiłam się odezwać.

- Jesteś tam? - spytał.

- Trochę.

Powiedziałam to tak cicho, że nie byłam pewna, czy usłyszał.

- Muszę jej o tym powiedzieć - podjął zbolałym głosem. - Nie mogę...

- Wiem.

- Gdyby to był pojedynczy pocałunek albo jakieś przypadkowe, przelotne zdarzenie, to może...

- Jasna sprawa.

Znów oboje zamilkliśmy. Nie miałam jednak zamiaru tkwić długo w ciszy, nie należała bowiem do tych komfortowych.

- Wyjaśnisz jej, że to był błąd - dodałam. - Powiesz, że byłeś otumaniony, nie myślałeś trzeźwo, że żałujesz, i zapewnisz, że nigdy więcej niczego takiego nie zrobisz.

- Nigdy niczego takiego nie zrobiłem - odparł, jakby to było oczywiste.

- To dobrze.

- Ale nie mogę jej tak powiedzieć.

Przez moment zastanawiałam się, czy na pewno dobrze usłyszałam. Moje serce zdawało się rozumieć jego słowa znacznie lepiej niż mój umysł.

Chciałam, żeby dokończył. Chciałam zadać to jedno, kluczowe pytanie, po którym usłyszę odpowiedź.

Uznałam jednak, że jej nie potrzebuję. A Joyce nie musiał słyszeć mojego pytania.

Żadne z nas się nie odzywało, a cisza się przeciągała. Poczulałam, jak uśmiech powoli rysuje się na mojej twarzy, i przycisnęłam komórkę nieco mocniej, jakbym dzięki temu mogła zbliżyć się do Joyce'a.

W końcu usłyszałam, jak cicho nabiera tchu.

- Milczymy w jednej tonacji - powiedział.

- Tak.

- Ale pogadać chyba też musimy.

- Chyba - przyznałam.

- W którym sektorze jesteś?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, usłyszałam cichy dźwięk przychodzącej wiadomości. Byłam w takim stanie, że moje ciało właściwie działało w pełni autonomicznie. Opuściłam komórkę i zerknęłam na treść esemesa.

- Obawiam się, że musimy to przełożyć - odezwałam się.

- Mary już jest?

- Przy głównej bramie - potwierdziłam. - I ponoć przyjechała z odpowiedziami.

Miałam nadzieję natknąć się na Graysona w którejś z alejek prowadzących do wyjścia, ale najwyraźniej nieco się pospieszył, bo czekał na mnie razem z Mary przed bramą. Zresztą nie tylko on, obok bowiem stał Ryan.

Czułam na sobie jego spojrzenie, kiedy się zbliżałam, ale odwrócił oczy zaraz po tym, jak zatrzymałam się przed nimi.

Przywitałam się z Mary, a potem poprosiłam, żebyśmy poczekali na resztę. Wiedziałam, że Joyce dał pozostałym znać i jeśli teraz zaczniemy, znajoma dziadka będzie musiała się powtarzać.

Kiedy wszyscy stanęli przed bramą, Mary zerknęła na zegarek, jakby się jej spieszyło.

- To już cała ferajna? - spytała.

Wyglądało na to, że przynajmniej parę osób zamierza zaoponować przed używaniem takiego określenia, ale ostatecznie wszyscy się powstrzymali.

- Tak - odparła po prostu Rebecca. - I dziękujemy, że znalazła pani czas.

- Żaden problem.

- Co udało się pani ustalić?

- Cóż... może zacznę od tego, że to nie było łatwe.

- Raczej - burknął Ryan.

Mary zerknęła na niego niepewnie.

- Gdyby było inaczej, nie prosiłobyśmy pani o pomoc - wyręczył go Tyson.

Przez moment wydawało się niepewne, czy jego koncyliacyjny ton podziała, koniec końców Mary jednak skupiła się na mnie, jakby chciała pokazać, że swoją obecnością tutaj jedynie wyświadcza przysługę Prodziekanowi.

- Skupiłam się na pierwszym fragmencie, który mi przesłałaś - podjęła. - Szczególnie że pojawiał się jeszcze raz.

- Dym się porusza - wyrecytowałam. - I mijają dni.

- Tak jest. Uznałam, że jeśli to są jakieś wskazówki dotyczące cmentarza na Cedar Hill, być może to zawęzi nam jakoś pole poszukiwań.

- W jaki sposób? - odezwał się Joyce.

- Jedyne możliwe.

Spojrzelśmy po sobie, bo żadne z nas nie widziało w tym krótkim fragmencie jakiegokolwiek wskazówki.

- Dym - powiedziała Mary, jakby to wszystko wyjaśniało.

Niepewnie powiodłam wzrokiem dookoła.

- Może w kontekście tego miejsca oznaczać dwie rzeczy - dodała wykładowniczy. - Albo krematorium, które znajduje się na terenie cmentarza, albo jakiś pożar.

- W tym pierwszym miejscu raczej nic by się nie ukryło - odezwał się Ryan.

Kobieta zmrużyła lekko oczy, a ja na dobrą sprawę dopiero teraz uzmysłowiłam sobie, że nie ma bladego pojęcia, czego w ogóle szukamy.

- Z tych dwóch możliwości pożar wydaje się bardziej prawdopodobny - odezwałam się czym prędzej.

- Cóż, założyłam podobnie.

- I? Znalazła pani coś, co tu płonęło?

Mary bezsilnie wzruszyła ramionami.

- Szczerze mówiąc, nie pamiętałam niczego takiego. Owszem, wiem, gdzie w okolicy płonęły budynki, ale żeby na samym cmentarzu? O takich rzeczach raczej się nie słyszy, mimo że znicze występują tu w nadmiarze.

Czułam, że w jej głosie wisi jakieś „ale”.

- Zaczęłam jednak przeglądać różne materiały - kontynuowała. - W końcu dotarłam do dokumentu z dziewięćdziesiątego siódmego roku, przygotowanego przez lokalne władze. Był to kwestionariusz ochrony historycznych miejsc, który zamierzano złożyć do departamentu zasobów wewnętrznych, o ile mnie pamięć nie myli. Zawierał między innymi opis lokalizacji na Cedar Hill.

- I? - rzucił Ryan.

Mary wciąż skupiała wzrok na mnie.

- Okazało się, że miałam prawo nie pamiętać tutejszego pożaru, wydarzył się bowiem w 1883 roku - oznajmiła. - Spłonęła wtedy część mauzoleum gubernatora Morgana.

Chyba nikt z nas nie kojarzył, o kim ani o czym mowa.

- Był to jedyny zarejestrowany pożar na cmentarzu.

- Okej, ale... - podjął Ryan.

- Mauzoleum wzniesiono dla Edwina Denisona Morgana - kontynuowała Mary. - W czasach wojny secesyjnej generał w armii Lincolna, potem gubernator Nowego Jorku, a ostatecznie także senator stamtąd. Zmarł w 1883 roku, postawiono mu tutaj mauzoleum, które częściowo spłonęło w wieczór przed złożeniem do niego ciała. Przypuszczam, że nieprzypadkowo, ale nie znalazłam na ten temat żadnych informacji. W dodatku w materiałach z dziewięćdziesiątego siódmego zapisano imię jako Edward, co skomplikowało cały proces dochodzenia, o które mauzoleum chodzi. Jest tutaj ich kilka, jak zapewne zauważyliście.

Z trudem słuchałam tych szczegółów, skupiając się na tym, co miało kluczowe znaczenie.

- Więc sądzi pani, że o to chodzi z dymem? - spytałam.

- A o co innego mogłoby?

- Wie pani, gdzie znajduje się to mauzoleum? - włączył się Joyce.

Zamiast odpowiedzieć, Mary jedynie się uśmiechnęła, po czym ruszyła przed siebie. Poszliśmy za nią, kierując się do sektora szóstego. Przez moment kręciliśmy się w dość przypadkowy sposób, nim znajoma dziadka wreszcie zlokalizowała odpowiednie miejsce.

Niewielki budynek stał przy kępie drzew o rozłożystych koronach, nieco na uboczu. Był wyraźnie zaniedbany, elewacja wymagała profesjonalnego czyszczenia. Zacieki z brudu były

tak stare, że przybrały praktycznie czarny kolor, a inskrypcja „MORGAN” nad wejściem była ledwo widoczna.

Właściwie to chyba nad wrotami. Całość bowiem przywodziła na myśl jakąś świątynię, a bryła kojarzyła mi się z azteckimi albo inkaskimi budowlami.

Mauzoleum było oddalone od ścieżki i nieco schowane dzięki rosnącym przy nim drzewom. Część koron nachodziła niemal na dach, sprawiając, że nawet w słoneczny dzień cała nasza grupa zmieściłaby się w cieniu.

Podczas gdy Mary mówiła o Stanfordzie Whicie, który zaprojektował ten budynek, ja zbliżyłam się do metalowych drzwi. Były zamknięte zardzewiałym łańcuchem, ale bez trudu można było wejrzeć do środka.

Znajdowało się tam kilka zamkniętych kamiennych szuflad, w których zapewne spoczywały szczątki ludzi zaliczających się do rodziny Edwina Denisona Morgana. Część miejsc była jednak wolna.

- Kto tu leży? - pytałam.

- Och, dziewiętnaście osób z rodziny.

- Dziewiętnaście? - spytał Tyson. - Dość precyzyjnie pani sprawdziła.

- Cóż... wszystko jest w wykazie internetowym. Od Elizabeth, zmarłej w lutym 1880 roku, aż po Katherine, która odeszła w kwietniu 2006 roku.

Przesunęłam wzrokiem po wnętrzu, a potem obróciłam się do Mary.

- W porządku - rzuciłam. - Co jeszcze może nam pani powiedzieć?

- Sporo rzeczy, ale nie wiem, czy okażą się przydatne.

- To znaczy?

Wykładowczyni zerknęła na górujące nad nami korony, a mnie naszła dziwna, dojmująca myśl. Te cedry milczały bardziej niż inne drzewa, bo naoglądały się więcej smutku niż one.

- Nie ma to żadnego związku z passusami, które mi przysłałaś - powiedziała Mary. - Więc nie sądzę, by pomogło.

- A ma pani coś, co się wiąże z tymi fragmentami?

- Tylko jedno - odparła, a potem wskazała niewielki głaz, który znajdował się tuż obok. - Ale nie jestem przekonana, czy...

Urwała, podchodząc do niego. Najpierw mu się przyjrzała, a potem potoczyła wzrokiem po nieboskłonie, zastanawiając się nad czymś.

- Tak, to chyba ma sens - zawyrokowała.

- Co takiego?

- W ostatnim z tych wersów jest mowa o tym, że na kamień kładzie się cień domu.

Niedokładnie tak to było, ale wydawało mi się, że właśnie taki był sens tego ustępu Brossy.

- Jeśli mauzoleum potraktujemy jako dom, w którym na wieczność zamieszkała ta rodzina, to mamy pewną korelację. Wygląda bowiem na to, że przy wschodzie budynek rzuca cień na ten głaz.

Nie wiedziałam, jak konkretnie to sprawdzić, ale Mary miała na tyle dobre pojęcie o tym mieście, że z pewnością orientowała się też co do tego, gdzie konkretnie jest wschód, a gdzie zachód.

Kątem oka nagle dostrzegłam, że Becca unosi komórkę, a kiedy spojrzałam na wyświetlacz, przekonałam się, że włączyła jakąś apkę do śledzenia wędrówki słońca po niebie.

Wszyscy czekaliśmy na choćby zdawkowe skinienie głowy z jej strony, zupełnie jak pokonani gladiatorzy w Koloseum na uniesiony kciuk cezara. W końcu Rebecca dała znak, że wszystko się zgadza.

- Więc pasują dwie rzeczy – podsumowała Cass. – A reszta?

- Z tym niestety musicie poradzić sobie sami.

Mary powiedziała to, jakby ubyło nam przynajmniej kilka lat, a ona zostawiła nas z zagwozdką polegającą na tym, by dopasować do siebie odpowiednie klocki. Tak czy owak podziękowałam jej i zasugerowałam, żeby wpadła kiedyś do mnie i Prodziekana.

Kiedy odchodziła, wszyscy rozglądaliśmy się za czymś, co nakierowałoby nas na dalsze tropy.

- Bez dwóch zdań jesteśmy w dobrym miejscu – skwitował Tyson.

- Sama nie wiem – rzuciła Becca.

- Dlaczego?

Potarła powoli szyję i zakołysała głową na boki.

- Zastanów się – podjęła. – Jakie jest prawdopodobieństwo, że Pepecali udałoby się znaleźć taki wiersz Joana Brossy, który odpowiada temu miejscu?

Tyson otworzył usta, ale się nie odezwał. Wszyscy zważyliśmy, czy to w ogóle możliwe.

- Przecież to nie tak, jak z tymi piosenkami – ciągnęła Rebecca. – Do nich sam układał słowa, a tu ograniczało go to, co napisał ten Katalończyk.

- No i? – mruknęła Cass.

- No i myślisz, że znalazłby wiersz, w którym miałyby wskazówkę pasującą akurat do tego głazu i mauzoleum?

- Najwyraźniej.

- Nie byłabym taka pewna – odparła cicho Becca.

- A ja bym była – włączyłam się.

Oczy wszystkich skupiły się na mnie, jakby fakt poparcia Cassidy sprawił, że na czole wyrosły mi czułki.

- Jeśli Pepecalá wiedział o tym pożarze, wystarczyło, żeby przeszukał wiersze, w których pojawia się coś na ten temat – powiedziałam. – Ogień, dym, cokolwiek. Może zresztą nie sprawdzał tylko twórczości Joana Brossy, może miał na podorzędziu niezliczoną ilość tomików różnych ludzi.

Nikt nie odpowiedział.

- A kiedy zobaczył, że w *Pieśni* jest też wzmianka o kamieniu, uznał, że ma to, czego szukał, a nawet więcej.

- Mógł też sam go tu postawić – wtrącił Ryan. – Żeby zgadzało się z wierszem.

- Mógł – przyznałam.

Rebecca wciąż jednak wydawała się nieprzekonana.

- Reszta wskazówek jest tak enigmatyczna, że może oznaczać wszystko – ciągnęłam. – A Pepecalá mógł umieścić je gdzieś w okolicy tak, by prowadziły do konkretnej parceli, którą

wykupił.

Becca powiodła wzrokiem po okolicy.

- W takim razie gdzie one są? - spytała.

Żeby odpowiedzieć, musiałam rzucić okiem na pogrubione fragmenty, które miałam zapisane w telefonie.

- Klucz pozostawia ślady pośród roślin - odczytałam. - Odkrywam ścieżki zgubione wśród roślin. Potem układam wachlarz z czterech książek.

Wiedziałam, w którym kierunku wszyscy się obróca. W okolicy mauzoleum było tylko jedno skupisko roślin - wysokich, rozłożystych cedrów, przy których właśnie staliśmy.

- To co? - rzuciła Cass. - Sprawdzamy?

Pytanie było na tyle retoryczne, że nie zdążyło wybrzmieć, a wszyscy ruszyliśmy w kierunku drzew. Zaczęliśmy przyglądać się pniom i gałęziom, poszukując czegokolwiek, co miałyby jakiś związek ze wskazówkami w piosence.

Kątem oka dostrzegłam, jak Joyce odsuwa liście na wysokości głowy i analizuje korę. Miałam nie odwracać wzroku, miałam w ogóle na niego nie patrzeć. Więź, która nas łączyła i przez którą grawitowaliśmy ku sobie, była jednak silniejsza.

Przesunęłam wzrokiem po jego tatuażach, chyba po raz pierwszy mając okazję im się przyjrzeć.

Nigdy nie zapytałam, co przedstawiają, dlaczego zdecydował się mieć je tylko po wewnętrznej stronie przedramion i dlaczego były tak gęste.

Kiedy Grayson opuścił ręce, zerknął w moją stronę. Wyglądało to jak przelotne, niewinne spojrzenie, dopóki nie splotło się z moim. Próbowałam jak najszybciej rozsuptać ten węzeł, ale na próżno.

Trwaliśmy tak, w bezruchu i niemocy, kompletnie zapominając o tym, że powinniśmy teraz robić coś innego. Nieświadomi ani otaczającego nas świata, ani tego, że popadliśmy w jakiś dziwny trans.

- Hej - odezwał się nagle Ryan. - Chyba coś mam.

Zamrugłam nerwowo, a potem oboje obróciliśmy się w stronę reszty. Rzuciłam jeszcze kontrolne spojrzenie Cass, by mieć pewność, że nie wychwyciła tej krótkiej chwili, która dla mnie i Joyce'a była znacznie dłuższa niż dla pozostałych.

Naraz zrozumiałam, że nie dla wszystkich. Cassidy bowiem stała ze wzrokiem wbitym prosto we mnie. Niepewnym, podejrzliwym, ale także oskarżycielskim. Natychmiast zrozumiałam, że widziała, jak z Graysonem na siebie patrzymy.

- Chodźcie to zobaczyć - dodał Ryan.

Otworzyłam usta, by zaoferować Cass jakieś wyjaśnienie, ale nie potrafiłam naprędce sklecić niczego odpowiedniego. Joyce tymczasem dołączył do Ryana, zupełnie nieświadomy tego, na czym przyłapała nas jego dziewczyna.

Niby nic. Ale takie nic czasem oznaczało wszystko.

- Cassidy! - rzucił jej brat.

Potrząsnęła głową, a potem bez słowa dołączyła do Ryana i reszty. Zostałam sama po stronie mauzoleum, uświadamiając sobie, że jeśli za moment się nie ruszę, narażę się na

niewygodne pytania ze strony pozostałych.

Szybko do nich podeszłam.

– Co macie? – zapytałam.

Wszyscy skupiali się na czymś, co znajdowało się na jednym z drzew mniej więcej w środku tej kępy. Stali tak, że zasłaniali mi pień, kiedy jednak podeszłam bliżej, Tyson się odsunął.

Nie od razu dostrzegłam, co przykuło ich uwagę. Dopiero kiedy Ryan wskazał odpowiednie miejsce na pniu, przyjrzałam się niewielkim, ale głębokim cięciom na korze.

W parkach i lasach spotykało się takie rzeczy. Zakochani zostawiali na drzewach swoje inicjały, otaczając je sercem, a potem wracali w te okolice po pięciu, dziesięciu czy piętnastu latach i patrzyli, o ile wyżej znajduje się wyżłobiony napis. Zupełnie jakby wraz z nim rosła ich miłość.

Tutaj jednak nie wycięto żadnych inicjałów. Zamiast niego na pniu widniał symbol gór. A pod nim klucz.

Klucz, który pozostawiał ślady pośród roślin.

Był umieszczony tak, że jego końcówka wskazywała niewielką, niemal niewidoczną ścieżkę prowadzącą na drugą stronę kępy drzew. Jak strzałka sugerująca odpowiedni kierunek.

Wszyscy ruszyliśmy za jej wskazaniem.

Wiedziałam, że znajdujemy się już tylko o krok od odkrycia miejsca, które w swoich piosenkach ukrył José Alcalá. Powinnam skupiać się wyłącznie na tym i nie pozwalać, by cokolwiek innego zaprzętało mój umysł.

Nieopuszczające mnie ciężkie spojrzenie Cassidy jednak znacznie mi to utrudniało. Miałam świadomość, że gdyby nie to, jak blisko byliśmy końca zagadek, wzięłaby mnie na stronę i nie odpuściłaby, dopóki by się nie dowiedziała, o co chodzi ze mną i Graysonem.

Tymczasem jednak musieliśmy się skoncentrować na tym, by nie zgubić tropu. Dróżka, którą szliśmy, była bowiem niemal niewidoczna.

- Jeśli to nie jest odkrywanie ścieżek zagubionych wśród roślin, to nie wiem, co ma nim być - odezwała się Becca.

- No - rzucił Tyson. - Wygląda na to, że jesteśmy na dobrym kursie.

Oboje wyłonili się po drugiej stronie jako pierwsi, ja szłam ostatnia, licząc, że dzięki temu stanę się mniej widzialna. Na niewiele jednak się to zdało, bo Joyce postanowił na mnie poczekać.

Kiedy mijałam ostatni z cedrów, Grayson przytrzymał gałąź, by mnie nie zaatakowała.

- Dzięki - rzuciłam.

- Do usług.

Kątem oka skontrolowałam, gdzie jest Cassidy, i bez zaskoczenia przekonałam się, że na nas patrzy. Chrząknęłam niepewnie i ruszyłam przed siebie.

Wszyscy stanęliśmy na cmentarnej alejce, nieco skonsternowani i niepewni, w którą stronę powinniśmy teraz się skierować.

- Jaka była ta ostatnia wskazówka? - spytał Ryan. - Coś z książkami?

Zerknął na mnie, jako że paradoksalnie uchodziłam w tym towarzystwie za osobę z najlepszą pamięcią.

- Odkrywam ścieżki zgubione wśród roślin. Potem układam wachlarz z czterech książek - powiedziałam.

- Zajebicie. W takim razie szukamy wachlarza z czterech książek.

Nadal się rozglądaliśmy bez pojęcia, co to miałyby oznaczać. Może jakąś metaforę? Może gdzieś niedaleko znajdowała się jakaś biblioteka albo księgarnia z takim logo? A może gdzieś w okolicy były cztery biblioteki, które połączone na mapie w jakiś wachlarz wskazałyby właściwą lokalizację?

Nie, zaczynałam tworzyć już kompletnie absurdalne scenariusze. Pepecalá skierował nas ku mauzoleum, potem przez ścieżkę tutaj. A to oznaczało, że jesteśmy na miejscu.

Ruszyłam w kierunku najbliższego grobu, a potem przesunęłam wzrokiem po nagrobku. Imię, nazwisko, data śmierci. Nic. Choć dla kogoś całe życie.

Podeszłam do kolejnego grobu, a reszta zaczęła rozpierzchać się w różnych kierunkach.

Kiedy zerknęłam na epitafium umieszczone na nagrobku, zorientowałam się, że ktoś do mnie podchodzi. Nie musiałam nawet się obracać, by wiedzieć kto. Zapach tego człowieka wystarczał.

- Co się dzieje? - zapytał cicho Grayson.

- Nic.

- To czemu zachowujesz się, jakbyś...

- W żaden sposób się nie zachowuję.

Musiałam przed sobą przyznać, że ta odpowiedź nie była najlepszą, jakiej w życiu udzieliłam. Przelotnie obróciłam głowę ku Joyce'owi, a potem skinęłam na kolejny grób.

- Ewidentnie coś jest nie tak - rzucił.

- Wiesz dobrze co.

- A... - odparł. - Czyli...

- Tak, chodzi o to - ucięłam. - I o fakt, że twoja dziewczyna widziała, jak się na siebie przed chwilą gapiliśmy.

- A gapiliśmy?

- Ty na mnie tak - odparłam pod nosem. - Ja tylko odpowiedziałam tym samym.

- Coś takiego.

Znów na niego zerknęłam.

- Czy ty jesteś poważny? - syknęłam.

- Zupełnie nie.

- Więc może powinieneś zacząć.

- Może - przyznał. - Ale wtedy...

To urwanie w połowie zdania mogło oznaczać jedną z dwóch rzeczy. Albo dostrzegł coś, czego ja nie widziałam, albo Cass postanowiła włączyć się do tej rozmowy.

Zerknęłam w bok, spodziewając się ją dostrzec, ale nigdzie jej nie było. Natychmiast więc przenieśliśmy wzrok na nagrobek, przed którym staliśmy.

Kiedy zobaczyłam, co się na nim znajduje, zrozumiałam, dlaczego Graysonowi odebrało mowę.

- O kurwa... - wydusiłam.

- Właściwie ja chciałem to powiedzieć.

Zbliżyłam się do grobu, jakbym musiała organoleptycznie potwierdzić, że faktycznie się tutaj znajduje.

Naraz jednak Joyce złapał mnie za rękę. Mocniej i bardziej zdecydowanie niż kiedykolwiek wcześniej. Raptownie się do niego odwróciłam, on jednak posłał mi spojrzenie sugerujące, bym nie wykonywała żadnych nerwowych ruchów.

Zanim zdążyłam zareagować, odciągnął mnie na bok, w kierunku kolejnego grobu.

- Co ty robisz? - rzuciłam z pretensją.

- Spokojnie.

- Nie widziałeś, co jest na tym nagrobku?

- Widziałem.

Chciałam zerknąć z powrotem na tamtą mogiłę, ale Grayson samym swoim spojrzeniem zdawał się kontrolować nawet moje oczy.

- Ale jeśli ktoś nas obserwuje, to nie umknęłoby mu, że się tam zatrzymaliśmy na dłużej - dodał Joyce.

A więc o to chodziło.

- Zachowuj się, jakby nigdy nic - dorzucił Grayson. - Nie rozglądaj się, nie wykonuj nerwowych ruchów.

- Ale...

- Nie mam wątpliwości, że dalej jesteśmy śledzeni.

Przewyciężenie naturalnej potrzeby, by powieść wzrokiem dookoła, wymagało ode mnie sporego wysiłku.

- Widziałeś kogoś? - zapytałam.

- Nie.

- Więc skąd pewność?

- Stąd, że jeśli do tej pory byliśmy obserwowani, to najpewniej dalej tak jest.

Skupiliśmy się na grobie, przed którym staliśmy, zupełnie jakby znajdowało się tu coś interesującego.

- Zdążyłaś przeczytać tamten napis? - zapytał Joyce.

- Zdążyłam.

Nie musieliśmy zamieniać więcej słów. To, co ktoś umieścił tam jako epitafium, było nader wymowne. I trafiło w samo serce.

- Dobra - rzucił Grayson. - Na razie nie mów o tym nikomu.

Obejrzałam się na resztę grupy, która oddalała się w przeciwnych kierunkach, metodycznie sprawdzając kolejne parcele. Nie czułam wielkiej potrzeby, żeby wszystkim się z nimi dzielić, ale nie zamierzałam też zatrzymywać czegokolwiek dla siebie.

- Nawet Cass? - spytałam.

- Nawet.

Zmrużyłam lekko oczy, na powrót skupiając się na Graysonie.

- Chyba nie myślisz, że ona ma z tymi ludźmi cokolwiek wspólnego? - jęknęłam.

- Nie. Ale jeśli powiesz, co znaleźliśmy, jej albo reszcie, nawet wbrew sobie zainteresują się tym grobem. Może nie podejda, może nie będą mu się przypatrywać, ale co jakiś czas zerkną tam w ten sposób, na który wyczuleni są śledzący nas ludzie. Takie zachowanie zdradzi więcej niż słowa.

Ciężko wypuściłam powietrze z płuc, zastanawiając się, czy mogę przyznać Joyce'owi rację. Być może tak. Prędzej czy później pozostali i tak się wszystkiego dowiedzą. Jeżeli jednak ktoś miał na nas oko, najroztropniej było opuścić cmentarz, nie wskazując konkretnego miejsca.

Bez tego nikt inny go nie znajdzie. Tylko my mieliśmy kasotę, tylko my wiedzieliśmy, jak brzmiały zawarte na niej wskazówki.

- Wrócimy w nocy - odezwał się Joyce. - Wszyscy razem.

- Okej.

Rzuciłam to lekkim tonem, zaraz potem jednak uświadomiłam sobie, że być może jestem zbyt beztroska.

- I co wtedy? - dopytałam. - Rozkopiemy grób?

- A dlaczego nie?

- Joyce...

- Nikt tam nie leży - uciał. - Potraktuj to jako skrytkę Pepecali.

- Traktuję - odparłam. - Ale tak czy inaczej potrzebujemy jakiegoś sprzętu, żeby wydobyć trumnę, a potem ją otworzyć.

- Wszystko załatwię.

Zasadniczo nie potrzebowałam żadnego dodatkowego potwierdzenia. Zaległo milczenie, a ja mimowolnie zaczęłam obracać głowę w kierunku grobu wskazanego przez Pepecalę.

- Przestań - szepnął Grayson.

Zakłęłam w duchu i skupiłam się na kolejnym, ku któremu ruszyliśmy. Najwyraźniej Joyce miał rację, mówiąc, że pozostali mogą wszystko zdradzić. Na dobrą sprawę nie byłam pewna, czy ja w pierwszej chwili przypadkiem tego nie zrobiłam.

Nie, zapewniłam się w duchu, że ci, którzy nas śledzili, potrzebowaliby znacznie więcej, żeby rozkopać któryś z grobów. Nerwowe zachowanie przy jednym z nich byłoby niewystarczające.

- Mogłeś wcześniej o tym wspomnieć - rzuciłam półgębkiem.

- O czym?

- Że będziemy się bawić w konspirację.

Grayson zerknął na mnie z niedowierzaniem.

- Znaczy miałem ci przypominać, że ktoś się za nami ciągnie praktycznie od samego początku?

- Tak.

- I może jeszcze dorzucić do tego, że Ziemia kręci się wokół własnej osi?

- Wystarczyłoby tylko tamto.

Mruknął na odczepnego i pochylił się nad mogiłą, przed którą staliśmy, jakby coś przykuło jego uwagę. Załapałam w mig i zrobiłam to samo. W dodatku staliśmy przy niej nieco dłużej niż przy pozostałych.

- Wystarczy? - zapytałam.

- Jeszcze chwila.

Obejrzałam się na resztę grupy, która była już w takiej odległości, że musielibyśmy do siebie krzyczeć, by istniała szansa, że się usłyszymy.

- Myślisz, że tyle wystarczy, żeby ich zmylić? - rzuciłam pod nosem.

- Zobaczymy.

Zawahałam się, niepewna, czy nie powinniśmy w jakiś bardziej entuzjastyczny sposób przyglądać się temu miejscu pochówku. Ostatecznie uznałam, że nie jesteśmy dostatecznie dobrymi aktorami, by to przeszło.

Naszła mnie też jednak inna, całkiem sensowna myśl.

- Joyce...

- No?

- Może nie powinniśmy dzisiaj tu wracać.

Spojrzał na mnie kątem oka, po czym przykucnął przy grobie.

- Dlaczego? - rzucił.

Zajęłam pozycję obok niego.

- Bo jeśli ci ludzie mają zamiar nas ubiec, to będą spodziewać się właśnie tego - oznajmiłam. - Że pojawimy się tutaj od razu, pod osłoną nocy, i zabierzemy się do roboty. I będą tu na nas czekać.

Grayson trwał przez moment z rękami opartymi na kolanach, a potem przechylił się na bok.

- To co proponujesz? - spytał.

- Poczekać i wrócić tu jutro w nocy - odparłam. - Jeśli dziś zamierzają przyjść tu sami, zjawią się przy tym grobie, bo ewidentnie wzbudził nasze zainteresowanie.

- Ewidentnie.

- A jeśli postanowią czekać na nasz ruch, to...

- ...się rozczarują, bo nikt się nie zjawi.

- Właśnie.

Grayson się podniósł, a ja zrobiłam to samo.

- Wcale nie najgorszy pomysł - ocenił.

- Powiedziałaabym, że nawet bardzo dobry.

- Może nie przesadzajmy.

Posłałam mu karzące spojrzenie, ale padło w próżnię, albowiem Grayson ruszył już w kierunku reszty naszej paczki. Zasadniczo było to dość dobre posunięcie. Dla przyglądających się nam z oddali ludzi musiało wyglądać to tak, jakby czym prędzej musiało podzielić się czymś z pozostałymi.

Ci prędko pomiarkowali, że coś znaleźliśmy, i wyszli nam naprzeciw.

- Macie jakiś trop? - odezwała się Rebecca.

- Mamy - odparł ku mojemu zaskoczeniu Joyce. - Ale oprócz tego mamy też problem.

- Jaki?

Nikogo ta wieść nie zelektryzowała, a ja potrzebowałam chwili, by zrozumieć dlaczego. W końcu dotarło do mnie, że z ich punktu widzenia trafiliśmy na kolejną odpowiedź. Nie na miejsce, w którym Pepecalá ukrył swoją fortunę.

- Gray? - rzucił Ryan.

- Zaraz wam wszystko wyjaśnię - zapewnił Joyce, a potem wskazał ręką wyjście. - Ale najpierw ulotnijmy się stąd.

Jeśli ktoś zamierzał protestować, poległ w starciu z determinacją Graysona. Po chwili wszyscy znaleźliśmy się na zewnątrz, po czym Joyce oględnie zarysował co i jak. Nie każdy zareagował tak, jak tego wymagała nasza konspiracja, ale nie miało to wielkiego znaczenia.

Zaciekawione, nerwowe spojrzenia kierowane w stronę wejścia na cmentarz nie mogły zdradzić dokładnej lokalizacji grobu. A jeśli na jakikolwiek wskazywały, to na ten, przy którym z Graysonem zatrzymaliśmy się na dłużej.

Ustalenie, że wrócimy tutaj jutrzejszej nocy, zajęło więcej czasu, niż się spodziewałam. Dla mnie był to całkiem logiczny sposób działania – ale może dlatego, że to ja na niego wpadłam. Inni byli kapani w zdecydowanie gorętszej wodzie.

Rozumiałam, dlaczego tak jest. Powodowały nami zupełnie inne pobudki.

Oni chcieli znaleźć kasę. Ja chciałam tylko znać jej lokalizację.

Tyle mi bowiem wystarczyło, by wyciągnąć z José Alcali całą prawdę.

Jeszcze w drodze do domu zadzwoniłam do Prodziekana z informacją, że potrzebuję natychmiastowego widzenia z Pepecalą. Spodziewałam się pytań, wykrętów i kilku chłodnych spostrzeżeń, że po raz drugi nie uda się tego załatwić tak z dnia na dzień. Zamiast tego usłyszałam jednak tylko: „zrobię, co w mojej mocy”.

Zaraz potem się rozłączyliśmy, a ja na dobre uświadomiłam sobie, że jadę ku Laurel Street ostatnim samochodem, którym powinienam. I z ostatnią osobą, z którą powinienam.

Szczęście w nieszczęściu, że z głośników Hermiony płynęły dźwięki jednej z rockowych kaset Joyce'a, *Fire of Unknown Origin* Blue Öyster Cult, a nie mojej playlisty. Wciąż była to jednak sytuacja potencjalnie niebezpieczna i kłopotliwa.

Nie zakładałam, że Grayson zaproponuje, by mnie podwieźć. Zrobił to jednak zaraz po tym, jak wszyscy zgodziliśmy się, by wrócić na cmentarz jutrzejszej nocy. Początkowo zanosilo się na to, że w aucie będzie towarzyszyła nam Cass, ale ostatecznie uznała, że pojedzie z Ryanem.

Wydawało mi się to najzwyczajszym w świecie testem dla Graysona. Testem, który oblał, nie protestując ani nie przekonując Cassidy, by jechała z nim. Sposób, w jaki wtedy na niego spojrziała, wciąż za mną chodził. I miałam wrażenie, że Joyce również nadal czuje na sobie tamten wzrok.

Wszystko to było tak uwierające, że nie bardzo wiedziałam, jak w ogóle podjąć ten temat. Może należało po prostu trzymać się innego. Problem polegał jednak na tym, że omówiliśmy wszystko z resztą. Cały plan na jutro był gotowy, każdy wiedział, co musi ze sobą zabrać, o której się zjawić i tak dalej.

Rozglądałam się po ulicach i chodnikach, zupełnie jakbym gdzieś w przestrzeni miejskiej mogła znaleźć coś, co posłuży za przyczynę do rozmowy. Na próżno.

W dodatku kasetę się skończyła i żadne z nas nie pofatygowało się o to, by przewrócić ją na drugą stronę. W końcu to ja podjęłam inicjatywę. Rozległ się charakterystyczny dźwięk, kiedy radio wypływało nagranie, a ja się zawałam.

Na stronie „A” były znacznie lepsze kawałki. Ot, choćby ten tytułowy, a w dodatku *Burning For You* czy *Sole Survivor*. Na „B” ponadprzeciętnie podobała mi się zasadniczo tylko *Joan Crawford*, choć Bogiem a prawdą, cały ten album był dość dobry.

Obróciłam kasetę w ręce, a potem włożyłam ją tak jak poprzednio i nacisnęłam „REV”. Kiedy się przewijała, chrząknęłam cicho i ukradkiem zerknęłam na Joyce'a. W przeciwieństwie do mnie był całkowicie zrelaksowany. Prowadził jedną ręką, drugą opierając na drzwiach.

Po chwili uświadomił sobie, że na niego patrzę, więc szybko odwrócił wzrok. Wsłuchiwałam się nerwowo w dźwięk przewijanej kasety, zachodząc w głowę, czemu to trwa tak długo.

- Lubię z tobą milczeć – odezwał się nagle Grayson.

Niemal udławiłam się powietrzem.

- Co?

- Nic.

- Ale...

- Po prostu dobrze się z tobą milczy.

- Okej.

Taśma magnetyczna w końcu obróciła się do końca, a ja szybko wcisnęłam play. Miałam nadzieję schować się w dźwiękach.

Joyce jednak założył sobie inny plan.

- Co jest? – rzucił.

- Nic.

- Aha – burknął. – Więc tak bez powodu zachowujesz się jak surykotka na pustyni?

- Jak co, proszę?

- No wiesz, te takie zwierzęta, które prostują się i obracają na wszystkie strony, jakby...

- Nie mam nic wspólnego z surykotką.

- Trochę masz – ocenił Grayson.

Obróciłam się w jego stronę, chcąc kontynuować całkiem zasadną argumentację, kiedy uświadomiłam sobie, że chciał tylko wciągnąć mnie w jakąkolwiek rozmowę. Miałam ochotę go przekląć, w ostatniej chwili jednak się powstrzymałam.

- Nie widziałeś, jak Cassidy na nas patrzyła? – zapytałam.

- Widziałem.

- I nie czujesz się jak ostatni chuj?

- Czuję.

Przewróciłam oczami, bo moja cierpliwość do tych lakonicznych odpowiedzi była na wyczerpaniu.

- Jezus Maria, Joyce – mruknęłam. – Mówił ci ktoś kiedyś, że gdybyś był książką, to co najmniej dwutomówką?

- Chyba nie.

Szturchnęłam go lekko, a on w odpowiedzi z premedytacją szarpnął kierownicą, aż zakolysało Hermiona.

- Uważaj może, co? – rzuciłam.

- To nie atakuj podczas jazdy.

- I skup się na moment – dodałam, ignorując jego odpowiedź. – Mówię o poważnych sprawach.

- Wiem – odparł. – Ale nie umniejsza im to, że sobie z nich żartują.

- Mogłyby polemizować.

- Nie sądzę, żeby miały taką zdolność.

Westchnęłam bezsilnie, a potem wyprostowałam się i wbiłam wzrok przed siebie. Może najlepiej było po prostu odpuścić. I wziąć sobie do serca to, co powiedział przed momentem

Grayson. Dobrze się milczy w dobrym towarzystwie.

Pewnie udałoby mi się wytrwać w tym postanowieniu aż do Laurel Street, gdyby nie to, że Joyce postanowił przejąć inicjatywę.

- Porozmawiam z nią – odezwał się.

W ogóle nie tego oczekiwałam. Właściwie nie miałam żadnych pragnień ani nadziei związanych z tym, co się wydarzyło. Przeciwnie, gdyby ktoś kazał mi wyciągnąć z tego jakies predykcje, powiedziałabym, że nic się nie zmieni. Absolutnie nic.

- Jesteś pewien? – spytałam.

- Co do...

- Tego, że chcesz z nią o tym rozmawiać?

- Dlaczego miałbym nie chcieć? – spytał spokojnie Grayson. – Przecież mówiłem ci, że innej możliwości nie ma.

- Tak, ale...

Co „ale”, co „ale”, głupia babo? Po co zaczynasz zdanie, którego nawet nie umiesz skończyć?

Joyce czekał na odpowiedź, ja jednak gotowa byłam raczej stawiać sobie w duchu kolejne pytania.

- Może najpierw my powinniśmy o tym pogadać – odezwałam się.

- Przecież gadamy.

- Chodzi mi bardziej o... taką rozmowę, wiesz.

Uniósł brew, wciąż patrząc na drogę przed nami.

- Znaczy nie zakładałam w ogóle, że... – zaczęłam. – Żebyś nie myślał, że... no, rozumiesz.

- Chyba nie do końca.

- O Jezu, Joyce – syknęłam. – Przestań się pastwić.

Przez oczy Graysona przemknęło rozbawienie, a przynajmniej tak mi się wydawało. I jeśli się nie myliłam, to chyba zaczęłam być specjalistką od dostrzegania uśmiechu tam, gdzie on w naturze nie występuje.

- Spokojnie – powiedział. – Nie musimy niczego przesądzać.

- Mimo wszystko kiedy powiedziałam, że to był błąd, zaprzeczyłeś.

- Niezupełnie – odparł. – Stwierdziłem tylko, że nie mogę tak powiedzieć Cassidy.

Wróciłam myślami do tamtego momentu i nie mogłam przypomnieć sobie konkretnych słów, które padły. Ich wydźwięk wydawał mi się jednak wtedy jasny.

- Nie matacz – rzuciłam pod nose.

- Nie mataczę. Tak powiedziałem.

- Ale zrobiłeś to w sposób, który sugerował, że nie uznajesz tego za błąd.

Grayson krótko nabrał tchu, a potem oparł głowę na dłoni. Mimowolnie zatrzymałam wzrok na jego palcach, między którymi leżały kosmyki włosów.

- Sam nie wiem, jak to traktować, Wakefield – powiedział. – Nigdy niczego takiego nie zrobiłem.

- Nigdy?

Pokręcił głową, uznając chyba, że nie musi powtarzać. Zamilkł jednak na chwilę, a potem pokiwał głową na boki.

- Oho... - odezwałam się. - Więc jednak jakaś sytuacja była.
- Była - przyznał. - Ale nie taka.
- Znaczący nie posunąłeś się tak daleko?
- Nie.
- Nie włożyłaś dziewczynie ręki do majtek?

Grayson powoli obrócił głowę w moją stronę, kompletnie ignorując to, że mamy przed sobą skrzyżowanie i czerwone światło. Zanim jednak zdążyłam go upomnieć, zaczął zwalniać. Najwyraźniej wystarczyło mu, że kątem oka kontroluje sytuację.

- Naprawdę musiałaś? - spytał.
- Ale co? Tylko opisałam, co się stało.
- Właściwie to nie bardzo.
- To jak ty byś to opisał?

Joyce się zawahał, a potem odwrócił wzrok.

- Nie opisałbym - odparł. - Zaszкодziłbym tylko wspomnieniu.

Chciałam się odezwać, ale przy tak postawionej sprawie nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

- A nie wiem, czy będą kolejne - dodał Grayson. - Więc muszę oszczędzać te, które mam.

Z trudem przełknęłam ślinę.

- Chciałbyś, żeby były?
- To nie ode mnie zależy.
- Joyce...

Nie wiem, czy w ogóle życzył sobie, żebym dokończyła to zdanie. Jeśli tak, to postanowił się tym ze mną nie dzielić, wpatrując się w sygnalizację przed nami. Czekałam na jakiś znak od niego, on jednak milczał.

W końcu światło zmieniło się na zielone, Grayson wbił jedynekę i powoli ruszyliśmy przed siebie. Nie zostało wiele czasu, nim dotrzemy na Laurel Street, a ja miałam wrażenie, że marnujemy go na milczenie.

Tyle że wcale tego nie robiliśmy.

Tylko w takiej sytuacji dźwięki i słowa cokolwiek znaczyły. Zatrzymałam więc kasete, a potem wyciągnęłam komórkę i przesunęłam playlistę na kolejne utwory, których jeszcze nie słuchałam.

Nie pytając Joyce'a, co o tym sądzi, włączyłam *Nautical Disaster* Justina Rutledge'a. Wsłuchiwałam się w drganie strun gitary akustycznej, które sprawiły, że powietrze w pudle rezonansowym się poruszało. Ta mechanika działania nie miała jednak nic wspólnego z tym, co przeżywałam, kiedy docierały do mnie dźwięki powstające w jej skutek.

Nagle wyobraźnia zarysowała przede mną obraz utraconej przeszłości. Dźwięki przeniosły mnie do zapomnianego wspomnienia, znów na dachu tamtej stacji benzynowej. Teraz widziałam nieco więcej, rozumiałam, że to jakaś placówka Texaco.

Była noc, tuż obok rozciągały się pusty parking i sklepy. W nieruchomym, jeszcze przesiąkniętym żarem dnia powietrzu unosił się zapach benzyny. Nie wiedziałam, kto wpuścił

mnie na dach budynku ani kto jest na nim obok mnie.

Jedynym wyraźnym elementem było charakterystyczne logo Texaco – czerwony okrąg, a w nim biała gwiazda z literą „T”.

Nie zostałam długo w tym wspomnieniu. Rozpłynęło się równie szybko, jak się pojawiło, moja pamięć bowiem nadal bawiła się ze mną w chowanego.

Zaraz potem rozbrzmiał kolejny kawałek, *Mystery of Love* Sufjana Stevensa, a ja wróciłam do tego, co tu i teraz. Do Joyce’a. Wciąż milczeliśmy, wciąż słuchaliśmy. Wyrwani z rzeczywistości i niemal całkowicie nieświadomi tego, że stoimy już pod domem dziadka na Laurel Street.

Nie patrzyliśmy na siebie, doskonale wiedząc, że jedno krótkie spojrzenie byłoby jak katalizator reakcji łańcuchowej, której nie potrafilibyśmy powstrzymać.

Powinnam zapauzować odtwarzanie, powinnam pożegnać Joyce’a i wysiąść z auta. Zamiast tego pozwoliłam, by z głośników iPhone’a popłynęła kolejna piosenka, *Up To My Neck In You* Marka Kozelka.

Trzy kawałki z rzędu to było dla mnie za dużo. Nie potrafiłam tego udźwignąć, mój oddech stał się nierówny, oczy szukały jakiegoś punktu zaczepienia. W końcu znalazły go u Graysona, który obrócił głowę w moim kierunku.

– Najbliżej mi do tego numeru – odezwał się Joyce.

– Hm?

Tylko tyle potrafiłam z siebie wydusić, a on nie skwitował w żaden sposób. Zaczęłam wsłuchiwać się w słowa, które kreśliły obraz mężczyzny targanego problemami, będącego głupcem, popełniającego błędy – aż do momentu, kiedy spotkał kobietę, dzięki której wszystko się zmieniło.

Czułam, że jakaś niewidzialna siła zaciska się na moim gardle, a fala ciepła otacza moje ciało. W naturalnym odruchu sięgnęłam do drzwi, by wpuścić do auta nieco powietrza. Grayson jednak odczytał to jako sygnał, że postanowiłam wyjść.

– Przyjadę jutro wieczorem – powiedział.

– Okej...

Spodziewałam się, że zjawi się wcześniej, żeby pojechać ze mną do Pepecali, ale najwyraźniej nie miał tego w planach. Albo właśnie je zmienił.

– Chyba że chcesz, żebym podrzucił cię na to widzenie?

– Nie, nie ma sprawy – odparłam szybko. – Zresztą nie wiem, czy Prodziekanowi uda się je załatwić.

– Jasne, ale gdybyś...

– Poradzę sobie – zapewniłam.

– Tylko pamiętaj...

– Będę pamiętać – odparłam.

Już wcześniej ustaliliśmy jedną kluczową rzecz, bez której widzenie z Pepecalą ściągnęłoby na nas wyłącznie problemy. Przekazałam ten warunek dziadkowi, kiedy do niego dzwoniłam, i kilkakrotnie podkreślałam, że to konieczność.

Nie wiedziałam, czy uda mu się go spełnić. Jeśli nie, nici ze spotkania z José, nie będę ryzykowała.

Złapałam za klamkę, a potem szybko otworzyłam drzwi. Wysiadłam równie zdecydowanie, zawahałam się dopiero, kiedy miałam zamknąć Hermionę. Zamiast tego obróciłam się i pochyliłam w stronę Joyce'a.

- Na playliście został jeszcze jeden kawałek - powiedziałam.

- Wiem. Ale nie słuchałem go.

- Nie?

- Za każdym razem zatrzymywałem się na którymś z wcześniejszych, włączałem od nowa i... sama wiesz, jak jest. A potem uznałem, że skoro tak, to może pierwszy raz posłuchamy go razem.

W ustach zrobiło mi się sucho, na dłoniach wprost przeciwnie.

- Dobra - powiedziałam.

- Może jak będzie po wszystkim?

- Okej.

W jakiś sposób Graysonowi udało się wykorzystać wzrok jako skuteczną metodę unieruchomienia mnie. Tkwiłam zgięta, zaglądając do auta, i nie potrafiłam tak po prostu odwrócić się i odejść.

- Do tego czasu pogadam z Cass - rzucił nagle Joyce.

- I co konkretnie jej powiesz?

- Że doszło do czegoś, co wywróciło mój świat do góry nogami.

Na moment zamknęłam oczy, starając się spacyfikować wszystkie atakujące mnie emocje. Czułam się jak ostatni ocalały na placu boju, samotny, zupełnie bezbronny i niemający gdzie szukać ratunku.

- Słuchaj, Wakefield... - dodał Grayson i pochylił się ku siedzeniu pasażera. - Nie chcę cię w to wciągać.

- Tyle że już w tym jestem.

- Tak, ale... wiesz, co mam na myśli.

- Niezupełnie.

Byłam prawie pewna, że Joyce nie zaoferuje żadnych daleko idących wyjaśnień.

- To sprawa między nią a mną - powiedział.

- Z tym chyba też nie mogę do końca się zgodzić.

- Mam na myśli tylko to, że musimy to rozwiązać między sobą.

Rozumiałam tyle, że nie zamierza wciągać mnie w dramę, która rysowała się na horyzoncie. Nie chce czynić mnie odpowiedzialną za rozpad związku? Jezus Maria, nie wiedziałam nawet, czy on myśli o tym w tych kategoriach. Równie dobrze mogło się okazać, że powie o wszystkim Cassidy, przyzna się nawet do jakiegoś uczucia czy jego namiastki wobec mnie, a ona mu wybaczy i razem pójdą dalej drogą życia.

Chciałam drażyć ten temat. Miałam potrzebę, by już tu i teraz dotrzeć do sedna. Zauważyłam jednak, że zapaliło się światło na ganku, i natychmiast się wyprostowałam.

W drzwiach stał Prodziekan, przypatrujący mi się pytająco. Szybko zmienił wyraz na bardziej przepraszący, jakby uświadomił sobie, że przerwał mi w czymś istotnym.

- Czy wszystko w porządku? – spytał.

- Tak, zaraz przyjdę.

- Dobrze – odparł, ale zamiast się wycofać, szerzej otworzył drzwi. – I powiodło mi się, jeśli chodzi o załatwienie ci widzenia z panem Alcałą.

Uniosłam brwi z niedowierzaniem wywołanym nie tyle samym faktem, ile tytułaturą, którą Prodziekan przyjął.

- Świetnie – skwitowałam.

- W materii tej drugiej prośby także.

- To idealnie.

- Czy jesteś pewna, że...

- Zaraz przyjdę, dziadku – zapewniłam.

Chyba dopiero teraz odebrał sugestię, by się wycofać. Skinął głową, po czym nieco się ociągając, wrócił do środka. Ja zaś znów lekko się pochyliłam ku Hermionie.

- Muszę lecieć – oznajmił Joyce, nim zdążyłam cokolwiek powiedzieć.

- A, no tak. Jasne.

Patrzyliśmy na siebie w tak oczywisty sposób, że właściwie trudno było dziwić się Cass. Rozszyfrowanie tego wzroku nie wymagało najmniejszej spostrzegawczości.

Ewidentne było bowiem, że każde z nas chce znaleźć się jak najbliżej tej drugiej osoby. Ale jednocześnie żadne z nas nie miało zamiaru wykonywać żadnego ruchu, który by do tego prowadził.

Raz daliśmy się zaskoczyć. Teraz wiedzieliśmy już, do czego prowadzi ten poryw serca.

Mimo to nie mogłam tak po prostu odejść. Chciałam, żeby Grayson choćby wziął mnie za rękę. Chciałam zapytać, co konkretnie zamierza powiedzieć Cassidy. Chciałam się dowiedzieć, co do niej czuje. Jak się na to zapatruje. Co zamierza.

Joyce wbił jednak bieg, a ja odebrałam sygnał.

- Gdybyś zmieniła zdanie co do tego widzenia, daj znać – powiedział.

- Dobra.

Skinął głową, a ja cofnęłam się i zamknęłam drzwi. Nie tak chciałam się z nim żegnać, zupełnie nie tak.

Zanim odjechał, obrócił się w moją stronę i przez chwilę na mnie patrzył. Był to tylko moment, ale wydawało się, że Grayson próbuje rozciągnąć go do granic możliwości.

Zaraz potem czerwone porsche 924 ruszyło w kierunku Niles Street.

Odprowadzałam je wzrokiem, przynajmniej przez chwilę.

Po przejechaniu kilkuset metrów bowiem raptownie się zatrzymało, drzwi się otworzyły, a Grayson szybko z niego wysiadł i ruszył ku mnie.

Nawet gdybym próbowała nie pójść w jego kierunku, moje ciało znalazłoby sposób, by to zrobić. Szłam przed siebie zupełnie nieświadoma tego, że jestem na ulicy, nie na chodniku. Joyce'em zdawał się zawładnąć podobny trans.

Nie zatrzymaliśmy się, praktycznie wpadliśmy w swoje ramiona. Grayson otoczył mnie rękoma, a ja wtuliłam się tak mocno, jakby sama jego bliskość była antidotum na całe zło tego świata.

Zamknęłam oczy i trwałam w bezruchu. Miałam nadzieję, że moje życie od tej pory będzie tą chwilą.

Nie potrzeba mi niczego więcej poza obecnością Joyce'a. I aż do tej pory nie wiedziałam, że tyle wystarczy, żeby czuć się tak pełną. Zanurzałam się w tej błogości, całkowicie się jej poddawałam i nie dopuszczałam do siebie myśli, że kiedyś może się skończyć. Zdawała się wieczna.

Nie wiedziałam, jak długo tam staliśmy. Nie rejestrowałam przejeżdżających samochodów ani przechodniów, którzy z pewnością nas dostrzegali. Nikt jednak nie zwrócił nam uwagi na to, że blokujemy jeden pas.

Z zamkniętymi oczami wciągałam zapach Graysona, a on powoli i delikatnie gładził moje plecy, jakby się obawiał, że zaoponuje, jakby nie miał śmiałości prosić o więcej. Wiedziałam jednak, że od wybuchu dzikości dzieli nas bardzo cienka granica.

- Nic z tego nie rozumiem - odezwał się Joyce.

- Ja też nie.

- To nie powinno się dziać - dodał.

Miałam podobne wrażenie, jednocześnie jednak czułam, że powinno. Że musiało. Że było nieuniknione.

- Co zrobimy? - spytałam cicho.

- Nie wiem.

Usłyszałam, jak Grayson cicho wzdycha, i opadł mnie strach, że poluzuje chwyt, a potem cofnie ręce. Zamiast tego jednak przytulił mnie trochę mocniej.

- Porozmawiajmy najpierw z Cass i Carlosem - dodał.

Boże, Carlos. Przecież praktycznie zapomniałam o jego istnieniu, tymczasem miał w tej sprawie równie istotną pozycję co Cassidy. Dlaczego miałyby być inaczej? Mój zanik pamięci nie zmieniał przecież obiektywnych faktów. A one sprowadzały się do tego, że byliśmy razem.

Chciałam przekonywać się, że tak jest tylko z punktu widzenia Gómeza. Ale prawda była taka, że tę samą perspektywę mieli przecież wszyscy inni, którzy nas znali. Wszyscy poza mną.

Tak czy inaczej byłam mu winna dużo więcej niż zwykłą rozmowę.

- W porządku – powiedziałam. – Jutro?

- Po sprawdzeniu grobu.

- Naprawdę chcesz czekać? – spytałam.

- Tak będzie lepiej.

Może Joyce obawiał się komplikacji, a może podświadomie odwlekał coś, z czym nie chciał się mierzyć.

Kiedy się ode mnie odsunął i spojrział mi w oczy, zobaczyłam, że podjął tę decyzję wbrew sobie. Zupełnie jakby sam chciał jak najszybciej ruszyć dalej, ale jakaś siła go powstrzymywała.

- O co chodzi? – zapytałam łagodnie.

Uciekł wzrokiem na bok, ale zaraz na powrót zogniskował go na moich oczach.

- To wszystko jest dość skomplikowane – odezwał się.

- Co ty nie powiesz?

- Mam na myśli, że nie pamiętasz nawet, co czujesz do Carlosa.

- Fakt – przyznałam. – Który każe mi sądzić, że może to coś, czego nie powinnam pamiętać.

- Nie możesz tego wiedzieć.

- Mogę – odparłam. – Prawdziwe uczucie odżyłoby na widok osoby, która je wywołuje.

Grayson zdawał się mieć jakąś ripostę na końcu języka, ale powstrzymał się przed jej sformułowaniem.

- Tak czy inaczej nic nie pamiętasz, Aspen – powiedział po chwili.

- Wyobraź sobie, że jestem tego świadoma.

- Ale...

- Co?

- Wiesz, co mam na myśli.

- Nie wiem – odparłam. – Nie pierwszy i zakładam, że też nie ostatni raz.

Joyce westchnął cicho, wciąż trzymając dłonie na moich biodrach. W jakiś sposób sam jego dotyk sprawiał, że drżały. Nic takiego nie występowało w przypadku Carlosa, nie pojawiała się nawet namiastka czegoś podobnego.

- Jestem pierwszą osobą, którą zobaczyłaś – podjął w końcu Grayson. – Pierwszym, co zapeliło tę pustą kartę otaczającego cię świata.

- I?

- To może wpływać na to, jak postrzegasz mnie i to, co jest między nami.

Uniosłam lekko brwi, a potem ujęłam jego dłoń i położyłam w miejscu, gdzie biło do niego moje serce. A może już nawet nie było moje.

- Obawiam się, że tam nie trafia się na zasadzie „kto pierwszy, ten lepszy” – oznajmiłam.

Prawie się uśmiechnął. Lewy kącik ust lekko się uniosł i właściwie naciągając nieco definicję uśmiechu, można by takim mianem obdarzyć ten grymas. No, może nie do końca. Powiedzmy, że była to jedna dwudziesta piąta uśmiechu. Tak czy inaczej odrąbiłam częściowy sukces – i chyba już wiedziałam, którędy wiedzie droga do tego, by zobaczyć pełny, niezaprzeczalny uśmiech na twarzy Graysona Joyce'a.

Teraz jednak pokręcił tylko głową, a potem objął wzrokiem moją twarz. Robił to z takim uwielbieniem, że znów poczułam się, jakby uważał mnie za coś, co nie powinno istnieć.

Widziałam, że chce mnie pocałować. Ja także tego pragnęłam. Miałam jednak bolesną świadomość tego, że o ile wcześniej nie mieliśmy wyboru, bo zaskoczył nas ten wzajemny magnetyzm, o tyle teraz byłaby to świadoma decyzja.

Nie mogliśmy jej podjąć, mając na względzie innych.

Joyce przesunął mi kosmyk włosów za ucho, a potem jeszcze raz mnie przytulił. Kiedy znów się odsuwał, trzymał lekko moją dłoń, jakby nie mógł się zmusić do rozstania. Ja też nie potrafiłam go wypuścić.

Ostatecznie jednak zwalczyliśmy to wszechmocne przyciąganie i Grayson ruszył powoli w kierunku Hermiony. Raz po raz oglądał się przez ramię, a kiedy zatrzymał się przy aucie, posłał mi długie spojrzenie.

– Nie słuchaj tej piosenki beze mnie – powiedział.

Uśmiechnęłam się i lekko uniosłam dłoń na pożegnanie. Potem patrzyłam, jak porsche wchodzi w zakręt i moment później za nim znika.

Nabrałam głęboko tchu, starając się ocenić, ile z tego, co się właśnie wydarzyło, miało miejsce naprawdę.

Czy wcześniej czułam coś podobnego? Czy było możliwe, że coś takiego wiązało mnie z kimś innym?

Ledwo to pytanie pojawiło się w mojej głowie, spadła na mnie świadomość, że nie mogę mieć pewności. Był przecież Duch Aspen. I skoro same dźwięki z mojej playlisty wywoływały podobne uczucia, to musiały mieć podłoże w czymś zbliżonym do tego, co właśnie przeżyłam z Joyce'em.

Wydawało się to niemożliwe. Ale tylko z mojego obecnego punktu widzenia – dawna Aspen mogłaby przecież uważać zupełnie inaczej.

Być może pamiętała chłopaka, który wywoływał w niej znacznie większe emocje niż Grayson we mnie.

Zamknęłam oczy i zwiesiłam głowę, przeklinając się w duchu za to, że nie mogę być pewna nawet własnych uczuć. Co, jeśli zależały od okoliczności? Co, jeśli teraz patrzyłam tylko na światło świecy samotnie stojącej w całkowitym mroku? Czy gdybym postawiła ją pośrodku pochodni, reflektorów lub innych, większych świec, dalej świeciłaby dla mnie tak samo mocno?

Odwrociłam się i ruszyłam w kierunku domu, nie odnajdując w sobie sił, by o tym myśleć. Ledwo jednak weszłam do środka, zobaczyłam czekającego na mnie w przedpokoju Prodziekana.

Patrzył na mnie na wskroś analitycznie, a ja wiedziałam, że ma mnóstwo pytań. Zanim zdążył je zadać, sama zaoferowałam odpowiedzi. Przedstawiłam mu nawet analogię ze świecą, a on słuchał w milczeniu.

Kiedy skończyłam, czekałam na jakąkolwiek odpowiedź, ta jednak nie nadchodziła.

– I? – zapytałam. – Co o tym sądzisz?

– O czym konkretnie?

- Że nie mogę być pewna nawet tego, co czuję?

Dziadek skinął lekko głową w kierunku kuchni, a kiedy do niej weszliśmy, nastawił wody i wrzucił dwie torebki herbaty do kubków. Nie było to zbyt pomocne, szczególnie że nie rozumiałam umiłowania Prodziekana do tego rodzaju trunku, ale nie miałam zamiaru narzekać. Może po prostu potrzebował zająć czymś ręce.

- Jesteś w takiej samej sytuacji, jak każdy inny, Aspen - odezwał się, kiedy woda się zagotowała.

- Chyba jednak nie.

- Ależ tak - uparł się. - Próbujesz racjonalnie ocenić coś, czego nie powinnaś.

Zmarszczyłam czoło, patrząc na kubek, który przede mną stawał. Sam uniósł kilkakrotnie saszetkę, ja swojej pozwoliłam po prostu być.

- Miłość wymyka się rozsądkowi - podjął. - Wszystko, co robi, robi po to, żeby mu umknąć. Nie możesz przykładać do niej tej samej miary, co do innych rzeczy. Nie możesz zrobić tabelki z plusami i minusami potencjalnego partnera, a potem podjąć decyzji na podstawie sporządzonego bilansu. Tak samo nie możesz zmierzyć uczucia. Nawet gdybyś pamiętała wszystkie poprzednie, nie miałabyś żadnej miary, dzięki której dałoby się je porównać.

Wyciągnął torebkę na niewielki spodek, a potem podsunął mi go po stole.

- Więc twoim zdaniem wszystkie są takie same?

- W żadnym wypadku.

- W takim razie o czym mowa?

- O tym, że nie zrationalizujesz miłości - odparł. - Ona albo jest, albo jej nie ma. I nie istnieje żaden sposób, by stwierdzić to za pomocą umysłu. Serce jednak zawsze go wyręcza. Zawsze wie.

Otworzyłam usta, zamierzając drążyć, ale naraz naszło mnie przekonanie, że nie muszę tego robić. Rozumiałam, do czego dążył dziadek. I być może miał rację.

Moje serce wyręczyło umysł.

Podjechałam pod zakład karny autobusem, uparłam się bowiem, żeby Prodziekan mnie nie podwoził. Wydawało mi się, że dzięki temu nastawię się bardziej bojowo. Będę czuła się bardziej dorosła, bardziej samodzielna, bardziej na równi z człowiekiem, z którym miałam się zmierzyć.

Nie ulegało bowiem wątpliwości, że czeka mnie starcie. W dodatku takie, którego wygranie będzie oznaczało dowiedzenie się czegoś o sobie samej. Właściwie tylko te były warte wysiłku.

Wchodząc do więzienia, starałam się odsunąć od siebie wszystkie myśli, które utrudniłyby mi zadanie. Graysona oczywiście nie mogłam wyrugować całkowicie, ale przestałam katować się przynajmniej połową rozważań z nim związanych.

O Carlosie i Cass nie myślałam wcale. I była to naprawdę miła odmiana po połowie nocy spędzonej na zmaganiu się z wyrzutami sumienia.

Skupiałam się na człowieku, który czekał na mnie w sali widzeń.

Kiedy do niej weszłam, od razu go zobaczyłam. Siedział w bezruchu, z obojętnym wyrazem twarzy świadczącym o tym, że widział już wszystko i doświadczył wszystkiego.

José Antonio Alcalá Fernández.

Siadając naprzeciwko niego, wciąż nie mogłam uwierzyć, że to ten sam człowiek, który napisał wszystkie te piękne słowa. Słowa, które prowadziły mnie nie tylko do zakodowanej lokalizacji, ale także do Joyce'a.

Uspokoiliam oddech, a potem sięgnęłam po słuchawkę. Pepecalá zrobił to samo.

- Nie wyglądasz najlepiej, Aspen - zauważył.

- Powinien pan zobaczyć siebie.

- Ja już nie muszę - odparł matowym głosem. - Ani wyglądać, ani robić niczego innego.

Na chwilę zamilkłam.

- Niewątpliwie - zgodziłam się. - W tym także nie musiał pan godzić się na to widzenie.

- Klawisz był dość przekonujący. Poza tym ciekaw jestem, co dla mnie masz.

- Nic.

Jego wzrok wędrował pomiędzy moimi oczami, co sprawiało, że czułam się bardziej nieswojo niż poprzednio.

- To pan coś dla mnie ma - oznajmiłam.

- Doprawdy? Co takiego?

- Prawdę - odparłam. - Na temat mnie i tego, co wydarzyło się w Prescott.

José Alcalá zawiesił spojrzenie gdzieś nade mną.

- Chyba ostatnio tam nie byłem.

- Ale ktoś od pana był.

- Tak?

- Poda mi pan imię i nazwisko tego człowieka - powiedziałam. - A potem wyjaśni, co robił w moim mieście.

- Niestety nie mam pojęcia, o czym mowa. A nawet gdyby było inaczej, dlaczego miałbym to robić?

Przysunęłam się bliżej z nadzieją, że moja zdecydowana mowa ciała powie mu wszystko, co trzeba. Pepecalá jednak nie zareagował. Oczywiście wiedział, co sugeruję. Spodziewał się jednak blefu.

- Dobrze pan wie dlaczego - odparłam.

Wzruszył bezradnie ramionami, jakby mimo najlepszych chęci nie miał odpowiedzi na to pytanie.

Przysunęłam się jeszcze bliżej, by mógł bez trudu dostrzec szczerość w moich oczach.

- Znalazłam grób - powiedziałam.

- Cóż... gratuluję. Chyba nigdy nie jest za wcześnie, by sobie jakiś wybrać.

- Nie mój.

José patrzył na mnie wzrokiem sugerującym, że chce zapytać, czy aby jestem pewna. Nie zwerbalizował tego jednak, być może uznając, że ktoś mógłby to usłyszeć i potraktować jako groźbę karalną. A może po prostu przypisywałam mu więcej złej woli, niż jej w rzeczywistości przejawiał.

- Poszłam na cmentarz Cedar Hill - podjęłam. - Odszukałam tam mauzoleum, którego część kiedyś spłonęła, a potem ścieżką między drzewami przeszłam na drugą stronę.

Pepecali nagle zrzedła mina. Nie fatygował się nawet tym, by to ukryć, bo na tym etapie wszelkie pozory przestawały mieć znaczenie.

- Potem znalazłam właściwą mogiłę - dodałam. - Tę, na której zamiast krzyża znajduje się symbol czterech otwartych ksiąg ułożonych w wachlarz.

Miałam wrażenie, że José Alcalá za moment zejdzie. Wyglądało na to, że naprawdę spodziewał się blefu - na tyle, że był kompletnie nieprzygotowany na inny scenariusz. Miałam go.

- Zastanawia mnie jedna rzecz - kontynuowałam. - Te imiona i nazwiska, które widnieją na płycie nagrobnej, to bohaterowie albumu? Zakładam, że tak, bo w jakim innym celu kazałby pan pod nimi umieścić fragment jednej z piosenek?

Nie musiałam nawet zamykać oczu, by to sobie przypomnieć. Wprawdzie patrzyłam na mogiłę tylko przez moment, ale tyle wystarczyło, bym zapamiętała każdy detal.

Napisy informowały, że w tamtym miejscu spoczywali Santiago i Mila. Którzy wreszcie odnaleźli ciszę we wspólnej tonacji.

- Napisał pan naprawdę piękne piosenki - powiedziałam. - Szkoda, że wydał je pan własnym sumptem, a nie z jakąś wytwórnią. Ale oczywiście rozumiem. Gdyby zrobił pan inaczej, Bóg jeden wie ile osób dostrzegłoby wskazówki.

Z pewnością właśnie tego się obawiał. I na moje oko nie miało to nic wspólnego ze śmiercią jego rodziny.

- To były prawdziwe osoby? - odezwał się. - Santiago i Mila?

Pepecalá patrzył na mnie w sposób, którego nie mogłam rozszyfrować. Nie miałam pojęcia, czy będzie szedł w zaparte, czy wprost przeciwnie.

- Znał ich pan?

- Nie - odparł w końcu José. - To po prostu osoby, które się nie minęły.

Uniosłam brwi, nie bardzo wiedząc, co o tym sądzić. Zapisałam jednak na plus całej sytuacji, że Pepecalá nie zaprzecza.

- Większość się mija - dodał chrapliwym głosem zniszczonego człowieka. - Ze sobą, z innymi, z uczuciami. Spotykasz kogoś, zakochujesz się w nim, ale on zakochany jest w kimś innym. A ta osoba jeszcze w kimś innym. Zazwyczaj to jak niedopasowana układanka, jakby Bóg sobie z nas drwił. Lub jakby nie chciało mu się przesunąć tego wszystkiego o jedną osobę w lewo lub w prawo.

José nabrał tchu i uniósł wzrok, a na jego czole pojawiły się podłużne zmarszczki. Wyglądało to tak, jakby nagle odkrył część siebie, o której zupełnie zapomniał przez te wszystkie lata odsiadki. Część, którą kojarzyłam z kasety.

- To historia nikogo - podjął. - A więc też historia każdego.

Skinęłam głową jak w zwolnionym tempie.

- Rozumiem - odparłam.

- Doprawdy?

Pepecalá ocknął się i rozejrzał nerwowo, jakby się obawiał, że ktoś usłyszał jego wywód.

- Co ty możesz rozumieć, dziecko? - spytał. - Nie masz jeszcze pojęcia, jak wygląda prawdziwy świat. W dodatku straciłaś pamięć, tak?

- Tak - potwierdziłam cicho. - A pan najwyraźniej jest ze wszystkim na bieżąco.

- Na tyle, na ile mogę być.

- Więc pewnie pan wie, że właśnie ze względu na ten brak pamięci tutaj jestem.

Zmrużył oczy i na moment zamilkł, sugerując, że powinnam rozwinąć. Nadal jednak nie byłam pewna, jak do niego podejść i w jakim duchu z nim rozmawiać. Jako kogo powinnam go w ogóle traktować? Wrażliwego artystę? Czy przestępcę od lat przebywającego z innymi kryminalistami?

- Myślę, że wie pan na mój temat więcej niż ja - powiedziałam.

- W jakim sensie?

Lekko przygryzłam dolną wargę, zanim się upomniałam, by nie zdradzać nadmiernych emocji.

- Przyleciałam tu z Prescott w Arizonie.

- Tak, wiem.

- I stało się to moment po tym, jak jakiś Latynos stracił tam życie.

José nie odpowiedział.

- Nie miał przy sobie żadnych dokumentów, jedynie żółtą kartkę samoprzylepną z symbolem, który oboje znamy. Energii ciszy.

Pepecalá blade się uśmiechnął, jakby fakt, że rozpoznałam znaczenie tego znaku, przyniósł mu satysfakcję.

- Byłam widziana w pubie, pod którym znaleziono ciało – dodałam, idąc na całość, bo miałam wrażenie, że żadna z tych rzeczy nie jest dla José Alcali nowością. – Razem z moją matką.

Pokiwał tylko głową.

- Wie pan, kim był ten człowiek? – spytałam wprost.

- Tak.

Ta prosta odpowiedź kompletnie zbiła mnie z tropu.

Moje ciało lekko się zatrzęsło, a ja miałam nadzieję, że jakimś cudem rozmówca tego nie dostrzeże. Wzrok Pepecali jednak nagle się zmienił, pojawiła się w nim tyle niespodziewana, ile niezrozumiała dla mnie opiekuńczość.

Z kogoś, kto miał zamiar stawać ze mną w szranki, przemienił się w dobrotliwego wujka, a przynajmniej takie wrażenie odniosłam. Jakim cudem? Co wywołało aż tak diametralną metamorfozę?

Próbowałam coś wydusić, ale bezskutecznie. Jednocześnie miałam wrażenie, że wcale nie muszę.

- Chciałabyś zapewne, żebym zaczął od początku? – spytał José, znów mnie zaskakując.

- Chętnie...

- Dobrze. Nie mamy wiele czasu, ale postaram się streszczać.

Może ta nagła zmiana była tylko jakąś taktyką? Ale nie wyglądała na udawaną. Zaczęła się, kiedy tylko wspomniałam o Santiago i Mili – i była tak drastyczna, że praktycznie nie mogłam już dostrzec tamtego surowego mężczyzny uwięzionego tu od ponad trzech dekad. Widziałam jedynie autora tekstów z kasyety.

- Przede wszystkim cieszę się, że dotarłaś do grobu – rzucił.

- Słucham?

- Wiele lat czekałem, aż ktoś to zrobi.

Potrząsnęłam głową, niepewna, czy nie uroiłam sobie słów, które właśnie dotarły do moich uszu.

- O czym pan mówi?

Przez zbolałą twarz José Alcali znów przebił się nieznacznym uśmiechem.

- Nagrałem to wszystko wiele lat temu jako zabezpieczenie dla mojej rodziny – oznajmił. – Na wypadek, gdyby coś mi się stało.

- Tak, tyle wiem.

- Nic nie wiesz, drogie dziecko.

Poczułam, że ręce mi się poca, ale zwalczyłam potrzebę, by otrzeć je o spodnie. Przycisnęłam mocniej słuchawkę do ucha, jakbym dzięki temu mogła zrozumieć więcej z tego, co Pepecalá miał zamiar mi powiedzieć.

- Jak myślisz, skąd wzięły się te pieniądze? – spytał.

Wzruszyłam ramionami.

- I jak sądzisz, czym się zajmowałem, zanim tu trafiłem?

- Cóż...

- Niczym dobrym - wyjaśnił, a potem objął wzrokiem salę, w której się znajdowaliśmy. - I nie bez powodu tutaj jestem, rozumiesz?

Chyba faktycznie zaczynałam rozumieć.

- Przyszedłem na świat w rodzinie żyjącej na skraju ubóstwa - zaczął ciężko. - Nie mieliśmy nic, mieszkaliśmy pokotem u jakichś ludzi albo w opuszczonych ruderach, których w tym mieście było chyba więcej niż gdziekolwiek indziej. Ledwo wiązaliśmy koniec z końcem, o jakiegokolwiek nauce dla mnie czy mojego rodzeństwa nie było mowy.

Przysunęłam się nieco bliżej dzielącej nas szyby.

- Imałem się wszystkiego, czego mogłem - ciągnął José. - I w końcu wpadłem w towarzystwo, które dawało gwarancję zarobku. Zacząłem robić rzeczy, których nie chciał podejmować się nikt, kto miał perspektywy. Wymuszenia, rozboje, kradzieże, na co tylko akurat była okazja. Nie bogaciłem się, wręcz przeciwnie, ubożałem z każdym kolejnym pobitym czy okradzionym człowiekiem. Zdobywałem jednak pieniądze. I zaufanie w środowisku.

Pepecalá urwał na moment, po czym zerknął na boki. Zrozumiałam, że stara się usłyszeć głosy z przyległych boksów i stwierdzić, którzy osadzeni w nich siedzą.

- Przerzucałem narkotyki z jednego stanu do drugiego - podjął nieco ciszej. - Dostawałem też do transportu inne rzeczy. W końcu szefostwo zaufało mi na tyle, że miałem podebrać kilka walizek pieniędzy i przewieźć je do Hartford.

Głębokie, pełne bólu westchnięcie dowodziło, że José postrzega ten moment jako punkt zwrotny, w którym całe jego życie weszło na kurs kolizyjny z rzeczywistością.

- Musisz zrozumieć, że na tamtym etapie miałem dosyć - kontynuował. - Moja żona też. Mieliśmy małe dzieci, a ja zajmowałem się sprawami, które prędzej czy później sprowadziłyby na mnie śmierć, pozbawiając całą rodzinę źródła dochodu. Nie mogłem tego dłużej ciągnąć.

- Więc ukradł pan te pieniądze?

- Nie tylko je, ale także życie ludzi, którzy przewozili je ze mną.

Zamknęłam powieki, nie wiedząc, jak patrzeć w oczy kogoś, kto właśnie przyznał się do co najmniej podwójnego zabójstwa.

- To za to pan tutaj trafił?

- Ostatecznie tak - przyznał Pepecalá. - Ale to nie najgorsza kara, która na mnie spadła.

Z trudem przełknęłam ślinę.

- Zainscenizowałem oczywiście całe zdarzenie tak, jakby nasz transport został zaatakowany - podjął. - Zadbałem o to, by moje obrażenia były na tyle poważne, żeby nikt nie podejrzewał mnie o ustawienie sytuacji.

- I?

- Początkowo wszystko było w porządku, wprawdzie leżałem w szpitalu podpięty do całej maszynarii, ale uznawałem, że to dodaje wiarygodności mojej wersji. Mijały miesiące, kasa leżała bezpieczna w grobie, który zawczasu wykupiłem, a ja zaczynałem być pewny, że nikt mnie o nic nie podejrzewa. Ale nie doceniłem tego, jak szybko zaufanie zmienia się w nieufność. Zbyt wielu wpływowych ludzi było przekonanych, że zagarnąłem te pieniądze dla siebie.

- Wtedy nagrał pan kasetę?

- Nie, zrobiłem to dużo wcześniej.

Oczy José Alcali lekko się zwężyła, wciąż trzymając ten sam azymut - mnie.

- Długo przygotowywałem się do całej tej sprawy - przyznał. - Od początku wiedziałem, że muszę zapewnić dzieciom i żonie jakieś zabezpieczenie, ale jednocześnie nie podawać lokalizacji. Musieli być przekonujący, gdyby coś mi się stało, a w domu zjawiliby się ludzie, którzy... przesłuchaliby ich na każdy możliwy sposób, sama rozumiesz.

- Mhm.

- Muzyka zawsze była moją ucieczką - powiedział Pepecalá. - Nawet w najgorszych momentach prowadziła mnie do miejsca, gdzie wszystko inne znikало. Grałem, na czym się dało, od kiedy tylko pamiętam. Zazwyczaj były to instrumenty pożyczone od innych w podobnej sytuacji życiowej. Kiedyś dostałem gitarę od kolegi ojca, który grywał gdzieś przy Bushnell Park i uśmiechał się za każdego dolara wrzucanego przez przechodniów do jego kapelusza.

José potrząsnął głową, jakby uświadomił sobie, że nie może pozwolić tej historii meandrować. Ja zaś z pewną nerwowością zerknęłam na zegarek w komórce.

- Znałem to miasto, schodziłem je wzdłuż i w szereg - powiedział. - Tułaliśmy się po nim tak długo, że stało się jak członek rodziny. Wiedziałem, jak i gdzie umieścić wskazówki, na które trafiają moje dzieci lub żona.

- Powiedział im pan więcej, niż jest na kasecie?

- Oczywiście. Zostawiłem sporo tropów, dzięki którym byłoby im łatwiej, ale...

Kiedy urwał, jego oczy zaszyły mgłą. Miałam wrażenie, jakby jakaś przemożna siła uderzyła mnie prosto w spłot słoneczny, i na moment stałam się znokautowana bólem Pepecali.

- Nigdy nie było im to dane - dodał w końcu. - Kiedy moi szefowie w końcu przesądzieli, że ukradłem te pieniądze, postanowili mnie złamać. Nie bawili się w żadne tortury, groźby ani inne środki zastępcze.

Kiedy José zamykał oczy, wiedziałam, co usłyszę.

- Spalili mój dom - powiedział. - Zamordowali moją rodzinę.

Gdyby nie dzieląca nas szyba, nie powstrzymałabym się przed tym, by ująć dłoń tego człowieka. Zamiast tego jednak milczałam. Wydawało mi się, że to najlepsze, co mogę zrobić, bo żadne słowa nie były godne, by przerywać tę ciszę.

- Znalazłem człowieka, który podłożył ogień - dodał José. - I odebrałem mu życie.

Po raz pierwszy chyba cieszyłam się, że ktoś zrobił coś podobnego.

- Zaraz po tym przyszedłem na komisariat przy Girard Avenue i przyznałem się zarówno do tego, jak i do zabicia dwóch ludzi z transportu. Odmówiłem składania dalszych wyjaśnień. Nie pamiętam procesu, nie pamiętam pierwszych dni w więzieniu. Chciałem po prostu umrzeć. I żałowałem, że się na to nie zdecydowałem.

W nieuświadomionym ruchu poprawiłam nieco słuchawkę, a José nabrał głęboko tchu. Kiedy podniósł powieki, spodziewałam się zobaczyć łzy. Na próżno. Zdawało mi się, że jego oczy przez te lata całkowicie wyschły.

- Żyłem tak, jak da się tutaj żyć - dodał. - Przez kilka lat byłem jak widmo, potem jednak stopniowo zacząłem wracać do świata. To długi czas, Aspen. Szczególnie kiedy każdy dzień dłuży się jak rok.

- Wyobrażam sobie - wydusiłam, choć nie byłam do końca pewna, czy faktycznie jestem w stanie objąć to wszystko umysłem.

- Miałem na wolności dobrych przyjaciół - oznajmił. - Takich, z którymi wychowywałem się na przedmieściach, rozumiesz. Relacje, które wtedy powstają, są nie do przerwania. Nie niszczyją z czasem, przeciwnie, umacniają się.

- Rozumiem.

- Byli gotowi oddać za mnie życie, a ja za nich - ciągnął Pepecalá. - Więc trzymanie na oku kilku miejsc nie wiązało się dla nich z żadnym wyrzeczeniem.

Dla porządku skinęłam głową.

- To oni się wami interesowali - dodał José. - Ale nigdy w żaden sposób by wam nie zagrozili.

Właściwie dopiero teraz zorientowałam się, że mimo faktu bycia przez kogoś śledzoną nie czułam zagrożenia. Żadna z tych osób nigdy nawet do nas nie podeszła, nie zagroziła nam, że jeśli nie przestaniemy szukać, źle skończymy.

Jedynym, który sformułował takie ostrzeżenie, był sam Pepecalá.

- Chodzili za wami dla waszego dobra - powiedział.

- Jak to?

Znow ciche westchnięcie, a potem wzrok skierowany w lewo i w prawo.

- Przez pierwsze lata odsiadki nie myślałem o tych pieniądzach, chciałem o nich zapomnieć - oznajmił José Alcala. - Po pewnym czasie jednak na widzeniu mój przyjaciel oznajmił, że stały się miejską legendą. Że ludzie ich szukają, przekonani, że je gdzieś ukryłem.

- To samo mówił mi Grayson. Ale nikt nie trafiał na żaden trop, bo ten znajdował się w archiwum szpitala.

- Zgadza się - potwierdził Pepecalá. - Większość kaset spłonęła w moim domu. Ocalała ta jedna, którą miałem przy sobie. A nosiłem ją, bo zamierzałem dać ją jednemu z przyjaciół. Tyle że go nie zastałem.

A więc tyle wystarczyło, by życie tak wielu osób się zmieniło. Kogoś nie było, ktoś inny schował jakąś niewielką rzecz do kieszeni czy gdziekolwiek indziej.

- Na dobrą sprawę zapomniałem o jej istnieniu - podjął José. - Przypomniał mi o niej po latach ktoś... cóż, ktoś, kto sprawił, że tutaj teraz jesteś.

- To znaczy?

- Twoja mama.

Mimowolnie cofnęłam się od przedzielającej nas szyby, jakby zaczęła emanować jakimś niebezpiecznym żarem, a ja mogłabym się oparzyć.

- June знаła moją żonę - powiedział Pepecalá. - Była od niej młodsza, ale przyjaźniły się, załatwiały jakieś lokalne sprawy razem, później były w tym samym klubie książkowym. Dość często się widywały.

- Lokalne sprawy? Ale wy przecież mieszkaliście... gdzieś na South Endzie?

- Ostatecznie tak. Trochę czasu spędziliśmy jednak w walącej się ruderze przy Marshall Street.

José chyba pomiarkował, że nie bardzo wiem, o czym mowa.

- To równoległa do Laurel – powiedział.

- Okej.

- W każdym razie twoja mama i moja żona miały kontakt. Coraz bliższy, więc gdyby nie doszło do tego, do czego doszło, to...

Urwał i pokręcił głową, jakby snucie wizji przyjaźni dwóch kobiet na przestrzeni lat było zbyt dotkliwie.

- Później dowiedziałem się, że moja żona powiedziała June o kasecie.

- Co takiego?

- Może nie wszystko – skorygował Pepecalá. – Ale w jakiejś rozmowie rzuciła coś na jej temat. I dała do zrozumienia, że ta kasetka zapewni im godne życie. June potraktowała to wtedy jako nadzieję, że EP-ka dobrze się sprzeda. Dopiero po latach uznała, że było w tym coś więcej.

Układałam sobie to wszystko w głowie, starając się odtworzyć odpowiednią chronologię zdarzeń. Nie pomagało, że José nie posługiwał się konkretnymi datami. Najpewniej jednak po prostu ich nie znał.

- Na tamtym etapie dawno było mi obojętne, czy ktoś znajdzie pieniądze – podjął. – Miałem oczywiście od początku część na rachunkach bankowych, stąd stać mnie tutaj na to i owo. Więcej jednak nie potrzebuję, bo na co? Uznałem więc, że jeśli ktoś kiedykolwiek podąży tropem kasety i odnajdzie pieniądze, niech z nich korzysta.

Zachmurzona twarz nieco rozjaśniała, ale wyglądało to raczej jak chwilowa anomalia niż stała zmiana.

- W końcu jeden z moich przyjaciół poinformował mnie, że ktoś rozpytuje o kasetę – dodał José. – Kiedy dowiedziałem się, że to June Wakefield, w pierwszej chwili nie skojarzyłem. Mało bywałem w domu wtedy, kiedy powinienem... Nie znałem przyjaciółek mojej żony. Ale jak tylko zaskoczyłem, o kogo chodzi, zacząłem się interesować.

Powoli kiwała głową jak w jakimś transie.

- Nie wiem, co konkretnie skłoniło June, by na powrót zainteresować się sprawą sprzed lat. Może zła sytuacja finansowa.

- Może.

- Wiem, że twoja mama pracowała na stacji benzynowej, ale...

- Na stacji?

- Tak.

- Wie pan jakiej? Pamięta pan?

Na czole Pepecali znów pojawiły się głębokie bruzdy.

- Wydaje mi się, że Texaco – odparł.

Cóż, a więc przynajmniej wiedziałam, kto załatwił mi wejście na dach. Wciąż jednak nie miałam pojęcia, z kim tam byłam.

Słuchając tego, co mówił José Alcalá, zupełnie zapomniałam nie tylko o tym, że przedziela nas szyba, a jego głos dobywa się ze słuchawki, ale także o tym, gdzie jesteśmy. Wydawało mi się, że rozmawiam z poczciwym starym znajomym, który długo czekał, by opowiedzieć mi o pewnych rzeczach.

Miałam wrażenie realnej znajomości. Ale czy taka nas nie łączyła? Przecież słuchając jego piosenek, dostawałam wgląd w jego duszę, być może nawet pełniejszy, niż byłoby to w innej relacji.

Zanim przyszedłam do sali widzeń, byłam przekonana, że w najlepszym wypadku będzie się wykręcał i kluczył, w najgorszym kpił i drwił, a na końcu groził.

Pepecalá zdawał się jednak prawdziwie ukontentowany faktem, że ktoś odnalazł jego kasetę i podążył ścieżką, którą wyznaczała. Zupełnie jakby wreszcie znalazł kogoś godnego odkrycia tej tajemnicy.

- Zakładam, że June była pod ścianą - kontynuował. - Zaczęła zastanawiać się nad tym, co przegapiła lata temu, może rekapitulowała to wszystko. I w końcu przypomniało jej się to, co moja żona mówiła o kasecie.

- Niewykluczone - przyznałam.

- Tak czy inaczej przyleciała kilka razy do Hartford, sprawdzała jakieś miejsca, w których bywałam, ale szybko zrozumiała, że... cóż, to nie były środowiska, które życzliwie patrzyłyby na obcych. Potrzebowała kogoś, kto ma z nimi choćby niewielką styczność, więc zwróciła się do kogoś, kogo знаła. Kogoś, kim się poniekąd opiekowała, kogoś...

- Do Graysona Joyce'a.

- Zgadza się - odparł nieco podejrzliwie José.

Szybko wyjaśniłam, co powiedział mi Joyce, przekonując się, że historia ich znajomości nie była dla Pepecalá tajemnicą. Naprawdę trzymał rękę na pulsie, a jego przyjaciele dowiedzieli się wszystkiego, czego powinni.

- Zaczęli więc razem szukać mojej kasety, co prędzej czy później musiało zwrócić na nich uwagę ludzi, którzy przez te lata bynajmniej nie zapomnieli o skradzionych pieniądzach.

Czułam, jak całe moje ciało się napina, zupełnie jakbym przygotowywała się na jakiś cios.

- Tutaj moja wiedza powoli się kończy - zastrzegł José. - Wiem, że jeden z tych ludzi przyleciał do Prescott. Ani chybi chciał wyciągnąć z twojej mamy, ile wie. I zakładam, że nie zamierzał po prostu pytać... Jeśli ich metody się nie zmieniły, sama rozumiesz, co ci groziło.

- Mnie?

Oczywiście. Głupie pytanie.

- Nie mam wątpliwości, że znalazłaś się w takim samym zagrożeniu, jak moje dzieci - odparł ciężko Pepecalá. - I June również była tego świadoma.

- Więc...

- Stawiam, że ten człowiek zaatakował was w pubie lub przed nim. I że ty lub twoja matka się broniliście. Lub ktoś pomógł wam w tej obronie.

Zamknęłam oczy i starałam się skupić na własnym oddechu. To, co mówił José, miało sens.

Jeśli naprawdę odebrałyśmy komuś życie, zrobiłyśmy to w samoobronie. Tylko czy mogłam używać liczby mnogiej? Może tak. Przecież nie stałabym biernie, gdyby moja matka walczyła z napastnikiem.

Może udało nam się pokonać go tylko dzięki łutowi szczęścia. A może rzeczywiście ktoś nam pomógł.

- Dlaczego w takim razie przeprowadziłyśmy się do Hartford? - spytałam.

- Nie sądzę, by tak było.

- Ale...

- Wydaje mi się, że była to przykrywka, dzięki której twoja mama mogła spokojnie mieszkać u ojca, nie narażając się na pytania, co z twoją edukacją i tak dalej - uciał Pepecalá, a ja zrozumiałam, że przez ostatnie tygodnie miał aż nadto czasu, by snuć różne scenariusze.

Ostatecznie jednak musiałam pamiętać, że to wszystko było właśnie nimi. Nie faktami, ale scenariuszami pisanymi przez José Alcałę na podstawie tego, co uznał za najbardziej prawdopodobne.

- Nie wątpię, że rozważaliście to od lat - powiedział. - I nie wykluczam, że chodziło o to, byście miały dach nad głową, kiedy w Prescott June skończyły się pieniądze.

- Ale myśli pan, że mojej matce chodziło o coś innego.

- Tak mniemam - przyznał. - Wiedziała, że nie znajdzie tych pieniędzy szybko, musiała mieć tu metę na stałe. A do tego potrzebowała dobrej wymówki. Udawałaby, że zamierzacie tu zostać, kiedy tak naprawdę cały swój czas poświęcałaby na to, żeby się stąd wyrwać.

- Znów...

- Słucham?

Dopiero kiedy dopytał, uświadomiłam sobie, jak cicho mruknęłam. Ale może to i dobrze. Pepecalá nie musiał przecież znać całej historii mojej rodziny - choć na tym etapie i tak miał o niej dość dobre pojęcie.

- Ludzie, którym ukradłem te pieniądze, nie planowali jednak odpuszczać - dodał. - To, co się wydarzyło na skrzyżowaniu Laurel z Farmington...

- Tak, wiem. Joyce mi mówił.

José pokiwał głową, a potem otworzył usta, jakby chciał coś dodać. Zaraz jednak je zamknął, a ja zrozumiałam, że przekazał mi wszystko, co mógł. Pozostałe rzeczy byłyby z jego strony już czystymi spekulacjami.

Musiałam jednak zapytać o coś jeszcze.

- Wie pan, kto to zrobił?

Oczy Pepecali lekko się zwięzły.

- Masz na myśli tego, kto prowadził póciężarówkę? - spytał.

- Raczej tego, kto zniszczył całe moje życie. Ale tak.

- Nie wiem, przykro mi - odparł José. - Przypuszczam, że ktoś, kto nie miał nic do stracenia. Być może wisiał pieniądze tym ludziom, a może tylko w ten sposób mógł uratować swoich bliskich. Wątpię, żeby był to ktoś wyżej w hierarchii, bo nikt nie ryzykowałby, że tam zginie.

- W porządku...

- Chciałbym powiedzieć ci więcej, Aspen - zapewnił Pepecalá. - Ale obawiam się, że to wszystko, co wiem.

Pokiwałam smętnie głową, a potem obejrzałam się przez ramię w półświadomym odruchu. Zamierzałam się ewakuować, José uświadomił sobie to nawet wcześniej niż ja.

- Poczekaj jeszcze moment - zaapelował.

- Oczywiście.

- Nie mogę powiedzieć ci więcej o przeszłości, ale być może pomogę w kwestii tego, co cię czeka.

- Hm?

- Dzięki tym pieniądzązom z pewnością będziesz mogła wynająć jakichś ludzi, dowiedzieć się więcej, może nawet odnaleźć człowieka, który w was uderzył, ale... jeśli moje zdanie ma dla ciebie jakąkolwiek wagę, to pójdź za moją radą.

- Jaka?

- Żeby to zostawić.

Naturalnie spodziewałam się, że właśnie tak będzie brzmiała. Cała historia José Alcala dowodziła, że od tych ludzi najlepiej trzymać się z daleka. I że to, co wielu wydawało się błogosławieństwem, tak naprawdę było najgorszym z możliwych przekleństw.

- Weź te pieniądze i wyjedź stąd - poradził Pepecalá. - Razem ze swoimi znajomymi. Najprędzej, jak się da. I najdalej, jak się da.

- Nie wiem, czy to wchodzi dla nich w grę.

- Musi - odparł José. - Jeżeli tu zostanieie, skończycie tak, jak nasze rodziny.

Ledwo jego słowa wybrzmiały, uświadomiłam sobie, że połączyła nas szczególna więź. To z pewnością właśnie ona popchnęła Pepecalę do tego, by mi wszystko wyjawić. Kasetka kasetka, ale nie powiedziałyby żadnej z tych rzeczy, gdyby czuły, że nie ma komu.

- Nikt nie wie, że trafiliśmy na ten trop - odezwał się. - Skoro to ktoś od pana nas śledził, jesteście w pełni bezpieczni.

- Nie ma takiej gwarancji.

- W dodatku jeśli nie będziemy wychylać się z tymi pieniędzmi...

- Wierz mi, Aspen - uciął José. - Oni prędzej czy później zrozumieją, że macie ich kasę. Śmierć twojej mamy powinna ci wystarczyć za przestrożę.

Może faktycznie by tak było, gdybym tylko razem z nią nie straciła także mojej pamięci. Pocucie dojmującej pustki i straty skutecznie odwiódłoby mnie nie tylko od szukania kolejnych wskazówek, ale przede wszystkim od zbliżania się do tych przeklętych pieniędzy.

Nie miałam jednak tego emocjonalnego fundamentu, który uczyniłby przestrożę realną. Rozważania na temat tego, co stało się z June Wakefield, nie wiązały się dla mnie z żadnymi większymi emocjami, bo wciąż w gruncie rzeczy była dla mnie obcą osobą.

Racjonalna część umysłu podpowiadała jednak, że powinnam przynajmniej porozmawiać o tym wszystkim z Graysonem. Jego też z pewnością mieli na oku.

– Nie popełniaj mojego błędu – dodał Pepecalá. – Nie idź za szybko naprzód, bo nigdy nie będziesz już w stanie wrócić do miejsca, w którym byłaś.

Widziałam, że chce rozwinąć tę myśl. Może jeszcze dobitniej wyjaśnić, dlaczego połakomił się na tę kasę, zamiast metodycznie odkładać. Byłam jednak przekonana, że usłyszałam już wszystko, co powinnam.

– Rozważ też jeszcze jedno wyjście – dodał José.

– Jakie?

– Oddać im to wszystko.

Nie powiem, żebym się nad tym nie zastanawiała. Mnie pieniądze nie były jednak potrzebne tak, jak Joyce'owi. Prodziekan zapewniał mi byt, miałam przed sobą przyszłość. Grayson w każdej chwili mógł obudzić się bez grosza przy duszy, a college kosztował.

– Przekonasz go – dodał Pepecalá.

– Słucham?

– Oboje wiemy, że to Grayson chce tych pieniędzy. Ale ufam, że jeśli z nim porozmawiasz...

– Rozmowa nie zmieni faktów – ucięłam.

– Faktów nie. Ich interpretację jednak tak.

– To znaczy?

– Grayson może przewartościować swoje priorytety, o ile pokażesz mu, że chcesz być jednym z nich.

Poruszyłam lekko głową i szybko poprawiłam słuchawkę, by mój głos wpadł prosto do niej.

– Co proszę? – rzuciłam.

– Widziałem przecież was razem. I wierz mi, po latach w samotności człowiek staje się niezwykle wyczulony na ludzi z zespolonymi sercami.

Rozejrzałam się niepewnie, czując, że znów robi mi się gorąco.

– Wy jesteście jednymi z nich – dodał José. – Nie pozwól, by te pieniądze zniszczyły coś, co mogło być.

Myślałam, że doda coś jeszcze, ale najwyraźniej uznał, że właśnie z tą myślą chce mnie zostawić. Odłożył bowiem słuchawkę, lekko się do mnie uśmiechnął, a potem powiedział coś w kierunku strażnika.

Obserwowałam, jak klawisz do niego podchodzi, a potem prowadzi go w stronę wyjścia.

Zostałam sama z kalejdoskopem swoich myśli. Patrzyłam przed siebie, dopiero teraz dostrzegając niewyraźne odbicie w refleksyjnej powłoce szyby.

Siedziałam tak aż do momentu, kiedy podszedł do mnie funkcjonariusz i zapytał, czy wszystko w porządku. Potwierdziłam, a potem powoli ruszyłam ku innemu światu, który rozpościerał się za murami tego miejsca.

Musiałam z kimś porozmawiać, rozważyć to wszystko, co usłyszałam od Pepecali. Do tej pory skupiałam się na tym, żeby odkryć jak najwięcej zamazanych kart mojej historii – być może teraz powinnam jednak pomyśleć o przyszłości.

Wiedziałam, co powiedziałby Prodziekan, więc podejmowanie z nim tematu było bez sensu. Joyce'a nie mogłam tak bezpośrednio zaatakować, chciałam najpierw sama wszystko poukładać sobie w głowie.

Został mi Carlos. Był na bieżąco, nie musiałam mu wiele tłumaczyć, poza tym zasługiwał na to, by wiedzieć, co najprawdopodobniej wydarzyło się w Prescott.

Umówiliśmy się na wieczór w restauracji Coracora w West Hartford, niedaleko cmentarza, by nie tracić czasu. Usiedliśmy na kolorowym patio, które usilnie starało się udawać wesołe, beztrudne miejsce. Urządzono je jednak na kawałku parkingu, stawiając parę doniczkowych kwiatów i różnobarwnych parasoli, efekt więc nie porywał.

Wcześniej mieścił się tu podobno McDonald's, co dało się wyczuć po architekturze i usytuowaniu. Ale może dodawało to tej knajpie nieco osobliwego uroku. Jedzenie w każdym razie było naprawdę niezłe – spod znaku chifa, a więc chińsko-peruwiańskie.

Jadłam ceviche z krewetkami, relacjonując Carlosowi wszystko, czego dowiedziałam się od Pepecali. Na końcu postawiłam kluczowe pytanie.

- Myślisz, że warto?

Gómez skończył przeżuwać coś, co w menu figurowało jako tallarín saltado, a było chyba po prostu smażonym makaronem z kurczakiem.

- Nie wiem – odparł, ocierając usta.

- To może byś się dowiedział?

Carlos odłożył widelec i spojrzał na mnie.

- Nie powiedzieliście mi nawet, ile tam jest kasy – zauważył.

- A to ma znaczenie?

- Ma.

- Więc jeśli jest odpowiednio dużo, to warto ryzykować życie? – spytałam.

- Tak to zazwyczaj działa.

Upiłam łyk wody, niezadowolona nie tylko ze słów Gomiego. Chciałam spróbować pisco sour, który był narodowym napojem peruwiańskim, ale rozbiłam się o fakt, że nie chciano nam tu sprzedać alkoholu.

- Więc system wartości układa się według ilości danych rzeczy? – rzuciłam.

- Tego nie powiedziałem, ale...

- Dokładnie to powiedziałaś.

Carlos bezradnie wzruszył ramionami.

- To nie wiem – odparł. – Może częściowo tak jest, ale prawdziwe pytanie brzmi inaczej.

- Niby jak?

Gómez wbił wzrok w swój talerz, jakby nie miał śmiałości, by przy jego zadawaniu patrzeć mi w oczy. Po tej reakcji właściwie wiedziałam już, czego mogę się spodziewać.

- Czy bardziej chcesz poukładać sobie tu życie, czy pomóc Joyce'owi się stąd wyrwać – oznajmił.

- To nie wydaje mi się przeciwstawne.

- No dobra, ale... wiesz, co mam na myśli.

- Chyba się domyślam.

Carlos przełknął ślinę, a potem na powrót zajął się swoim daniem. Wiedziałam, że muszę zaferować mu jakąś prawdziwą odpowiedź, a nie ten lichej wykręt, który przykryłam milczeniem.

Tak naprawdę przecież nigdy nie odbyliśmy poważnej rozmowy o nas. A jeśli Gomie miał oczy, to wiedział, że między Graysonem a mną coś się dzieje.

- Potrzebuję trochę czasu, żeby dowiedzieć się, kim jestem – odezwałam się.

- Wydaje mi się, że dobrze wiesz.

Prychnęłam cicho.

- Chciałabym – odparłam. – Ale to nie takie proste.

- I myślisz, że nie może być?

- Raczej nie.

- A ja sądzę, że tak – odparł nieco pewniejszym głosem Carlos. – Wystarczy zajrzeć w serce i zobaczyć, co się tam znajduje.

Naraz poczułam, że muszę oddalić się od tego tematu. Chciałam za wszelką cenę uniknąć rozmów o tym, czym jest miłość. Czy wynika z jakiegoś porywu i zanika, kiedy ten się kończy? Czy jest czymś rodzącym się w bólach, okupionym cierpieniem, co można czuć tylko, jeśli pamięta się jedno i drugie?

Nie potrafiłam tego przesądzić, w dodatku zmagalam się z doskwierającą świadomością tego, że Gómez nie jest w stanie pomóc mi tego zrozumieć.

Czułam, że mogę mu ufać. Wiedziałam, że mogę na nim polegać. Ale nie miałam pojęcia, czy gdybym dała nam czas, znów wywołałby we mnie te uczucia, które żywiła wobec niego poprzednia Aspen.

- W końcu będziesz musiała coś postanowić – odezwał się Carlos.

- Czyli zamierzasz mnie ponaglać?

- Co? Nie – odparł szybko. – Tylko że... no cóż, za tydzień mam lot powrotny.

Tydzień. Tydzień, by przesądzić, czy mam wobec tego człowieka jakieś moralne zobowiązanie. I czy jestem w stanie obdarzyć go jakimś uczuciem.

Gomie w końcu podniósł wzrok, a ja zobaczyłam w jego oczach gotowość, by powiedzieć to, co od początku chodziło mu po głowie.

- Nie chcę wracać sam – wypalił nagle. – Leć ze mną.

- Co?

- Po dzisiejszej nocy nie będziesz tu bezpieczna. Możesz wziąć swoją część pieniędzy, a potem...

- Żartujesz sobie?

- Nie – odparł dla porządku. – Powrót do Prescott nie tylko zażegna niebezpieczeństwo, ale też da ci okazję, żeby...

- Żeby co? Wrócić do życia, którego kompletnie nie pamiętam? Które należało do kogoś innego?

- Miałem na myśli raczej to, że pomoże ci je sobie przypomnieć.

Zamknęłam oczy i głęboko westchnęłam, starając się uspokoić. Sama nie wiedziałam, skąd te nerwy, Gómez nie proponował przecież niczego niedorzecznego. Przeciwnie, brzmiało to

jak dość sensowny plan. Pod każdym względem.

Mimo to po chwilowym milczeniu zmieniłam temat, a on do niego nie wracał. Może rozumiał, że potrzebuję czasu, żeby bez presji się nad tym zastanowić. Czasu i spokoju. Na razie bowiem miałam w głowie nadmiar myśli, a w dodatku świadomość, że za parę godzin odkopimy to, co przed laty ukrył José Alcalá.

Wydawało mi się, że czasu jest jeszcze sporo. Ani się jednak obejrzałam, wieczór zaczął powoli kierować się ku nocy.

Cmentarz Cedar Hill nie miał stałych godzin otwarcia, bramę zawsze zamykano o zmierzchu. Dziś miało się to wydarzyć około dwudziestej.

Z Coracory nie mieliśmy żadnego dobrego połączenia autobusowego, Carlos zamówił więc ubera i po jakichś pięciu minutach byliśmy u celu.

Brama była już zamknięta, ale przejście przez płot nie nastęczało większych problemów. Zgodnie z planem nie włączaliśmy latarek przez pierwszych kilkaset metrów. Zrobiliśmy to dopiero wtedy, gdy podchodziliśmy do mauzoleum, widząc z oddali kilka źródeł światła.

Były całkowicie nieruchome, jakby Joyce, Cass, Rebecca, Tyson i Ryan zastygli w jakimś nabożnym marazmie. Wyobrażałam sobie, że stoją w szeregu ze wzrokiem wbitym w epitafium Santiaga i Mili, starając się ogarnąć umysłem to, że dotarliśmy do kresu wędrówki.

Żadnych więcej piosenek. Żadnych wskazówek ani jeżdżenia po mieście. Wreszcie byliśmy w miejscu, do którego dążyliśmy, każde z różnych przyczyn.

Cmentarz był całkowicie pusty i miałam wrażenie, że mogliśmy zacząć jeszcze przed zachodem słońca. O tej porze roku pewnie mało kto zapuszczał się w rejony, gdzie znajdowały się najstarsze parcele.

Kiedy podchodziliśmy z Carlosem do grobu, ten spojrział na mnie jakby w ostatniej próbie przekonania mnie, byśmy zawrócili. Jakby sugerował, że te kilka metrów sprawi, iż już nigdy nie odnajdę drogi powrotnej.

Nie mogłam wykluczyć, że tak było. Ale gdybym miała podjąć racjonalną decyzję, czy nie zrobiłabym tego już wcześniej?

Dostałam wszystko, czego szukałam. Mogłam zostawić już całą tę sprawę i nie oglądać się do tyłu.

Po takim czasie było to jednak niemożliwe. Stałam się zaangażowana – jeśli nie w cały proces szukania skrytki Pepecali, to w Joyce'a.

– Hej – rzuciłam, podchodząc do reszty.

Nikt mi nie odpowiedział, a ja odczułam, że atmosfera jest napięta, momentalnie kojarząca się z powietrzem naładowanym nadchodzącą burzą.

Zbliżyłam się do Graysona, który był błydy jak ściana.

– Co się dzieje? – zapytałam.

Potrząsnął głową, z trudem odrywając wzrok od mogiły.

– Ktoś... – wydusił.

Nie dokończył, Cassidy jednak go wyręczyła.

– Ktoś był tu przed nami – dokończyła. – I zabrał wszystko.

- Co? - wypaliłam.

- Grób jest pusty - dodał Ryan.

Gwałtownie oderwałam wzrok od Graysona i przekonałam się, że mają rację. Ziemia była rozkopana, a drewniana trumna otwarta i ziejąca pustką.

Nie miałam pojęcia, jak długo tam staliśmy. Początkowo owidnięci jakąś unieruchamiającą nas siłą, a potem nagle pobudzeni inną, przeciwną.

Wydawało mi się, że cały cmentarz wypełnił się naszymi podniesionymi głosami, protestami i gestami pełnymi niedowierzania. Chodziliśmy tam i назад, przyglądając się ziemi wyrzuconej z grobu, jakby jakimś cudem ta mogła z powrotem znaleźć się na trumnie i jakby wszystko to mogło się nie wydarzyć.

Po początkowym szoku przyszedł czas na spekulacje.

Wersji nie było wiele, wszyscy wiedzieliśmy, że mogły wydarzyć się tylko dwie rzeczy. Albo Pepecalá po widzeniu ze mną kazał przenieść pieniądze, albo śledził nas ktoś, do kogo te środki pierwotnie należały.

Pierwszą ewentualność odrzuciłam, ale inni nie byli gotowi tego zrobić.

Mój pierwotny, uzgodniony z Joyce'em plan zakładał, że po rozmowie ze mną Pepecalá trafi na cały dzień do infirmerii. Prodziekan wszystko załatwił, lekarze mieli przeprowadzić jakies rutynowe badania, a potem zatrzymać José na jakiś czas.

Musieliśmy mieć pewność, że ten nie skontaktuje się z nikim, kto sprzątnąłby nam całe te pieniądze sprzed nosa.

Po fakcie okazało się, że dziadkowi jednak nie udało się tego załatwić, ale zapewniłam go, że to nie problem. Pepecalá nie potrzebował tych środków, w dodatku zdawał się zadowolony, że ktoś wreszcie do nich dotarł. Decyzję o ich odkopaniu zostawił mnie.

Nie chciało mi się wierzyć, że pozorowałby to wszystko tylko po to, żeby potem polecić komuś otwarcie grobu. Było to całkowicie bez sensu.

Za najbardziej prawdopodobną przyjąłam więc wersję, że to ludzie, których José okradł, wreszcie odzyskali swoją kasę.

Wszyscy byli wściekli, mnie jednak ta świadomość nie napełniała żadną złością. Owszem, byłam zawiedziona, widząc, jak Joyce to przeżywa – i mając świadomość, że jego mająca na horyzoncie przyszłość właśnie się rozplynęła.

Ostatecznie jednak odczuwałam ulgę, że ktoś podjął decyzję za mnie. Byliśmy bezpieczni.

Jakąś godzinę, może dwie po powrocie na Laurel Street zadzwoniłam do Graysona. Za pierwszym razem nie odebrał, za drugim tak. Od razu pomyślałam, że pewnie jest z Cass. Piją, by zalać rozgoryczenie i złość, ani myśląc o tym, by ktokolwiek im przeszkodził.

– Gdzie jesteś? – spytałam.

– W domu.

– Sam?

– Sam – potwierdził.

Głos miał nieswój, przybity, ale też wrogi. Zupełnie jakby o to, co się wydarzyło, był gotów obwiniać cały świat, łącznie ze mną.

- Może wpadnę? – spytałam.

Zamiast odpowiedzi usłyszałam ciche westchnięcie.

- Mamy tę ostatnią piosenkę do sprawdzenia – zauważyłam.

Nadał nic.

- Te, której miałam nie słuchać bez ciebie.

- Tak, pamiętam.

- Więc?

- Może jutro, Aspen.

Zanim zdążyłam rozpoznać znaczenie tego tonu i sformułować jakąkolwiek odpowiedź, Grayson się rozłączył. Ja zaś zastępnym z komórką przy uchu, niepewna, jak powinnam traktować tę obcesowość.

Zanim odłożyłam telefon, ten zawibrował w mojej dłoni.

Wiadomość od Joyce'a była krótka.

„Przepraszam”.

Nie dodał nic więcej – i być może nie musiał. Przy tym wszystkim, co się działo, nie zapytałam go nawet, czy wciąż zamierza porozmawiać z Cassidy.

Z pewnością nawet nie zaczął, kiedy bowiem spotkaliśmy się na cmentarzu, Cass nie wyglądała, jakby coś poza pustym grobem wywoływało w niej roztrzęsienie. Nie rozmawiali o nas. Ale być może zrobili to później?

Odjeżdżali spod Cedar Hill razem, a w takiej sytuacji przecież nietrudno było o to, by emocje wzięły górę. By od słowa do słowa przejść do kolejnej dewastującej rzeczy.

Szczególnie wzięwszy pod uwagę, jak wyglądał wtedy Grayson. Sprawiał wrażenie, jakby było mu wszystko jedno – jakby przestało liczyć się cokolwiek poza tym, że ktoś splądrował ten grób przed nami.

Jego oczy zgasły, ramiona opadły, a kąski ust obniżyły się bardziej niż kiedykolwiek. Od druzgocącego odkrycia minęło raptem parę minut, które postarzyły Joyce'a o parę lat.

Czy tak niespodziewane byłoby, że wyznałby Cassidy prawdę? I tak stał w rześistej ulewie, nie mając żadnego schronienia w zasięgu wzroku. Równie dobrze mógł zrobić krok naprzód, bo niewiele to zmieniło.

Uznałam, że dowiem się wszystkiego jutro. Przyjadę do niego, spokojnie zastanowimy się nad przyszłością. Z pewnością będę musiała zabrać go na kolejne widzenie z Pepecalą, by sam się przekonał, że José nie miał nic wspólnego z tym, co się wydarzyło.

Co będzie potem? Nie miałam pojęcia.

Wiedziałam jednak, że przed Graysonem wciąż jest przyszłość. Owszem, mogło zabraknąć mu pieniędzy na kontynuowanie nauki w college'u, ale mogliśmy przecież spróbować je zebrać.

Na wzięcie ich od Ryana czy Cass nie było szans, ale może Joyce zgodziłby się na pożyczkę? Nawet jeśli Cassidy nie będzie chciała mieć z nim cokolwiek wspólnego, Ryan z pewnością prędzej czy później stanie na wysokości zadania.

A przynajmniej taką miałam nadzieję. Szczególnie że to ja byłam osobą, która ten ewentualny scenariusz mocno skomplikowała.

Zasypiałam, układając sobie w głowie argumenty na jutro.

Nie miałam jednak okazji ich wygłosić.

O siódmej rano zadzwoniła do mnie Cass, by powiedzieć, że Grayson Joyce odebrał sobie życie.

Zrozumienie jest trudniejsze od cierpienia. Pograżałam się w tym drugim, nawet nie próbując zbliżyć się do tego pierwszego.

Na przemian wpadałam w stany całkowitej katatonii lub niepowstrzymanej nawałnicy łez. Miałam wrażenie, że ten płacz nie targa mną, ale całą rzeczywistością, rozdzierając ją na strzępy.

Nie potrafiłam ich pozbierać. Wydawało mi się, że nawet gdyby mi się to udało, nie pasowałyby do siebie. A gdybym zdołała je jakoś dopasować, nie miałabym niczego, dzięki czemu mogłabym je spoić.

Byłam całkowicie rozbita.

Cass powiedziała mi przez telefon wszystko to, co powinno się przekazywać w cztery oczy. O ile w ogóle istnieje dobry sposób, by poinformować o czymś takim.

To Tyson znalazł ciało Joyce'a.

Przyjechał po niego rano, miał zamiar zabrać go na uczelnię. Nikt nie otwierał, on jednak przekonał się, że drzwi nie są zamknięte. Już kiedy je uchylił, wiedział, że wydarzyła się tragedia.

Natychmiast wpadł do mieszkania i zobaczył Graysona. Powiesił się w łazience.

Nie zostawił żadnego listu, żadnej ostatniej wiadomości. Igła gramofonu tarła o skraj winyla Bóg jeden wie jak długo. A może nawet on w takich momentach odwracał wzrok.

Cassidy powiedziała, że ostatnimi dźwiękami, które musiał słyszeć Joyce, były kawałki z płyty Ghosta, którą dla mnie kupił. Ja jednak nie podzielałam jej zdania. Coś podpowiadało mi, że zanim ją włączył, słuchał czegoś innego.

Tyson od razu dopadł do Graysona, uniósł jego nogi. Zaraz potem udało mu się ściągnąć go na ziemię. Cass nie przekazała mi szczegółów, ale fakt, że Tyson zadzwonił po karetkę dopiero po chwili, mówił mi całkiem sporo.

Musiał widzieć, że nie ma już kogo ratować.

Walczyłam ze sobą, by nie szukać zdjęć ofiar powieszonych. Oglądałam dostatecznie dużo dokumentów i seriali, żeby umysł zarysował przede mną upiorny widok, który na miejscu musiał zastać Tyson. Nie mogłam jednak pozwolić, by utrwalił się rzeczywistością.

Był nierealny, podobnie jak to, co się wydarzyło.

Zaprzeczałam temu, wypierałam świadomość, że to stało się naprawdę. Przekonywałam się, że Joyce za moment zadzwoni i powie, że doszło do jakiejś pomyłki, że lekarze zbyt szybko stwierdzili zgon. Ktoś źle sprawdził puls, ktoś niepotrzebnie przykrył go prześcieradłem, ktoś się pomylił i w trumnie umieścił ciało innej osoby.

Oszukiwałam się tak długo, jak mogłam.

Nawet msza żałobna, a potem opuszczenie trumny do ziemi nie sprawiły, że ten koszmar nabral realnych kształtów. Nic nie mogło tego zrobić.

Jednego dnia był tutaj, ze mną. Zatrzymał się na Laurel Street, wyskoczył z Hermiony i popędził prosto do mnie. Mówił o naszej przyszłości.

Drugiego dnia nigdzie go nie było. Zostały jedynie powidoki, które czekały na mnie wszędzie, gdzie spójrzałam.

Jak mógł mi to zrobić? Jak mógł zrobić to nam wszystkim? Jaka myśl mogła popchnąć go do tego, by odebrać sobie i nam przyszłość?

Nie potrafiłam odnaleźć odpowiedzi na te pytania.

Grayson Joyce spoczął na Cedar Hill Cemetery, w północnej części, oddalony od miejsca, gdzie Pepecalá wykupił parcelę. Żadne z nas się nie odzywało, nikt nie zdołał zabrać głosu podczas nabożeństwa żałobnego.

Oddychałam tym samym powietrzem co pozostali, ale miałam wrażenie, że tylko w moim przypadku nie dostarcza ono tlenu do płuc. Robiło mi się coraz słabiej, zaczynałam ślaniać się na nogach. Prodziekan podtrzymał mnie, szepnął, czy wszystko w porządku, czy chcę odejść, ale skwitowałam to milczeniem.

Wiedziałam, że organizm w końcu zacznie odmawiać mi posłuszeństwa. Od kilku dni praktycznie nie jadłam. Piłam tylko tyle, ile wmusił we mnie dziadek, do toalety prawie nie chodziłam. Prysznic wzięłam wczoraj, ale sprowadził się do tego, że stałam pod dyszą i pozwalałam, by zimne krople spływały po moim ciele razem ze łzami.

Chciałam jakimś cudem przekonać samą siebie, że tam, gdzie nie ma śmierci, nie ma także życia. Że stanowi ona jego nieodłączną część. Nie potrafiłam jednak w żaden sposób tego zrobić. Wydawało mi się, że nastał koniec wszystkiego.

Uzucie spotęgowało się, kiedy Ryan, Tyson i pozostali koledzy Joyce'a zaczęli podchodzić do grobu, a potem rzucać na trumnę garście ziemi. Dziewczyny tego nie robiły, nie wiedziałam dlaczego.

Może była to jakaś niepisana zasada? Może byłoby to jakieś faux pas? Nie miałam zamiaru wnikać, bo i tak nie potrafiłam zbliżyć się do dziury w ziemi, w której znikła trumna.

Kiedy było po wszystkim, podszedł do mnie Ryan. Otoczył mnie ramieniem i był gotowy przytulać mnie tak długo, jak tego potrzebowałam. Od razu jednak się odsunęłam.

Nie wiedziałam, o czym i jak z nim rozmawiać. Z innymi także nie.

Przez kilka dni, które minęły od samobójstwa Joyce'a do jego pogrzebu, egzystowałam w kompletnej pustce, nie pozwalając, by ktokolwiek wypełnił ją słowami czy gestami. Byłam sama. Musiałam być sama.

- Pojedź ze mną tam - odezwał się Ryan.

Pociągnęłam nosem, a potem podniosłam na niego wzrok. Najlepszy przyjaciel Joyce'a padł ofiarą tej samej dekonstrukcji duszy, która spotkała mnie. On także nie mógł w to uwierzyć. On także wyglądał jak wydmuszka człowieka. Ledwo jednak to dostrzegałam.

- Do mieszkania przy Bellevue - dodał, widząc, że nie wiem, o czym mowa.

- Nie.

- Trzeba tam zrobić porządek. Zabierzesz tę płytę, a ja...

- Nie mam zamiaru.

Zbliżył się o krok, jakby chciał mi zdradzić coś, czego nie powinien. Od razu obróciłam się do niego bokiem, a mój wzrok powędrował ku niewielkiemu grobowi. Jak coś tak niepozornego mogło mieścić tyle smutku i cierpienia? Jak mogło być jedynym, co pozostało po życiu kogoś takiego jak Grayson?

- Muszę powiedzieć ci o kilku rzeczach - odparł po chwili Ryan.

- Jakich?

- Pogadamy na miejscu. Chodź.

Ruszył w kierunku swojego auta, ale ja nie miałam najmniejszego zamiaru iść w ślad za nim. Wizyta w mieszkaniu Joyce'a wydawała mi się najgorszym, co mogłabym zrobić, choć sama nie wiedziałam dlaczego.

Może chodziło o to, że odkryłabym te części jego życia, których nie znałam? Wiedziałam, że to by mnie zniszczyło, wiązałoby się bowiem ze świadomością, że Grayson sam nigdy mi o nich nie powie, a ja nie powinnam się o nich dowiadywać teraz, kiedy go zabrakło.

Ryan zatrzymał się, zawahał, a potem z powrotem do mnie podszedł.

- Zrozumiesz więcej - rzucił.

- Nie chcę rozumieć.

- W takim razie nigdy nie ruszysz dalej.

Nie musiałam odpowiadać, by wiedział, że to także mnie nie interesuje.

- Daj spokój... - powiedział. - Nie możesz tak po prostu...

- Chcę zostać tu, gdzie jestem.

- Bo?

Znów nie spieszyłam się z odpowiedzią. Nie miałam ochoty na płonne rozważania ani dyskusje. Trzymałam się od nich z daleka przez tych kilka dni nie bez powodu.

- Bo wydaje ci się, że musisz zanurzyć się w tym smutku, żeby był prawdziwy? - dodał. - Że będziesz fair wobec Graya, tylko jeśli pozwolisz, żeby razem z nim umarła część ciebie?

- To nie kwestia przyzwolenia, Ryan.

W jego oczach pojawił się ból, którego nawet nie próbował ukryć. Zazwyczaj nie pozwalał emocjom aż tak prześwitywać przez maski, które nosił. Teraz jednak wszyscy pokazywaliśmy prawdziwych siebie.

- Chciałby, żebyś dowiedziała się o niektórych rzeczach.

- Nie możesz tego wiedzieć.

- Mogę - odparł Ryan. - Bo sam mi o tym powiedział.

Zmrużyłam lekko oczy - i nawet ten niewielki ruch powiek wystarczył, by spod nich spłynęły łzy. Szybko otarłam je wierzchnią stroną dłoni i znów pociągnęłam nosem. Nie miałam pojęcia, jak wiele ich wypłakałam. Gdyby jednak ich zasób był skończony, dawno wystąpiłby deficyt.

Nie obchodziło mnie, że ludzie patrzą. Nie interesowało mnie nawet to, że Cassidy widziała cały proces mojego rozpadu. Nic nie miało znaczenia.

Nic poza tym, co przed momentem powiedział Ryan.

- Co? - rzuciłam. - Rozmawiałeś z nim o... o czym właściwie?

- O tobie.

- Ale...

- I o tym, co chciał ci powiedzieć po tym, jak rozstanie się z Cass.

Uderzyło mnie to tak mocno, że miałam ochotę zgiąć się wpół. Jednocześnie poczułam, jak coś zaciska mi się na gardle i klatce piersiowej, a całe ciało się kuli pod jakąś obezwładniającą siłą.

Chciałam zapytać, upewnić się, czy Joyce naprawdę to powiedział. Nie musiałam.

- Rozmawialiśmy tamtego wieczoru – dodał Ryan. – Po powrocie z cmentarza.

- Jak to: rozmawialiście? I nie mówił nic, co mogłoby...

- Nie.

Znałam teorię. Wiedziałam, że ludzie mający targnąć się na własne życie nie zdradzają się z takim zamiarem. Ci, którzy o tym mówią, zazwyczaj tak naprawdę tego nie planują. Należało obawiać się tych, którzy milczeli.

A Grayson milczał niemal nieustannie.

- Przysięgam, gdybym tylko cokolwiek...

- To nie twoja wina – ucięłam od razu.

Ryan raptownie pokręcił głową.

- Gdybym zobaczył jakiś znak, że...

- To nie była twoja wina – powtórzyłam.

Unióś głowę i potoczył wzrokiem po niebie. Dziś bezchmurnym, jakby natura lub jakaś siła wyższa chciała podkreślić, że nasze ziemskie troski nie są na tyle istotne, by wszystko się do nich naginało.

Staliśmy tak z Ryanem przez chwilę, wpatrzeni w świat, który był całkowicie oderwany od naszego bólu.

Potem bez słowa ruszyliśmy w stronę jego auta.

Wyłączył radio od razu, kiedy do niego wsiedliśmy. Na Bellevue Street dotarliśmy w całkowitej ciszy, a kiedy wyszłam na zewnątrz, usłyszałam całą kakofonię miejskich dźwięków.

Psy ujadły gdzieś w oddali, dzieciaki się przekrzykiwały. Szybko przebrzmiał sygnał odległej karetki lub radiowozu. Ktoś gdzieś zahamował z piskiem opon, ktoś gdzieś po raz pierwszy usłyszał od kogoś „kocham cię”.

Nie wiedziałam, skąd ta myśl z ostatniego kawałka Pepecali. Być może moja podświadomość w jakiś sposób próbowała podsuwać mi spostrzeżenia, które sprawią, że spojrzę nieco przychylniej na otaczający mnie świat.

Nie chciałam jednak dopuszczać jej do głosu. Ryan miał trochę racji. Wydawało mi się, że gdybym choć na sekundę przestała się smucić, sprzeniewierzyłabym się czemuś, czego wymagał ode mnie Joyce.

Była to oczywista bzdura. Gdyby mógł cokolwiek mi powiedzieć, wyraziłby raczej chęć, żeby moje życie nie zakończyło się wraz z jego zniknięciem.

- Idziesz? – rozległ się głos Ryana.

Stałam przed ceglany budynkiem, patrząc na niego pustym wzrokiem. Pamiętałam aż za dobrze, co się wydarzyło, kiedy ostatnim razem tam byłam. Nigdy tego nie zapomnę.

- Aspen?

- Daj mi chwilę.

- Nie powinniśmy tutaj tak stać.

- Nic nam nie grozi - zapewniłam.

Nie wiedziałam, czy ktokolwiek zwrócił na nas uwagę. Zwyczajnie nie interesowało mnie, czy ktoś może mnie tu zaatakować, czy nie.

Wciąż stałam przed budynkiem, przesuając wzrokiem po starej czerwonej elewacji, mogąc myśleć tylko o tym, co wydarzyło się w środku. Jak miałam tam wejść? Jak miałam minąć łazienkę, w której Joyce się powiesił?

Przegapiłam moment, w którym podjęłam decyzję.

Ani się obejrzałam, byłam już na korytarzu mieszkania Graysona. I to właśnie wtedy, właśnie tam, uświadomiłam sobie, że on naprawdę odebrał sobie życie.

Uderzyłam barkiem o ścianę, jakby targnął mną jakiś spazm, a Ryan natychmiast znalazł się obok i mnie przytrzymał. Odtrąciłam jego rękę, sama nie wiedząc dlaczego, a potem osunęłam się po ścianie na podłogę.

- Jezu, Aspen, może...

- Nie - ucięłam, spodziewając się, że chce mnie stąd zabrać.

Nie miałam zamiaru na to pozwalać. Nie teraz, kiedy wreszcie dotarła do mnie świadomość tego, co zrobił Joyce.

- Dlaczego? - wydusiłam.

Ryan przykucnął obok mnie, a kiedy spojrzałam w jego oczy, ujrzałam w nich bezbrzeżny ból. Nie kołatał gdzieś z tyłu, nie próbował się chować. Był doskonale widoczny.

- Jak mógł... - spróbowałam jeszcze raz. - Jak...

Siedziałam na podłodze w przedpokoju, tuż obok zamkniętych drzwi łazienki, na których wciąż widniała policyjna taśma. Zrozumiałam, że to właśnie jej widok mnie znokautował. To ona sprawiła, że w końcu przejrzałam na oczy i zobaczyłam śmierć Graysona w prawdziwym świetle.

- Dlaczego to zrobił? - dodałam.

Ryan głęboko nabrał tchu, a potem usiadł obok mnie i oparł się plecami o ścianę. Uderzył w nią lekko tyłem głowy, jakby dzięki temu mógł znaleźć odpowiednie słowa.

- To nie był pierwszy raz, kiedy próbował - odezwał się.

- Co takiego?

- Te tatuaże na jego przedramionach...

- O czym ty mówisz?

Kiedy zwrócił na mnie wzrok, zrozumiałam, że właśnie po to mnie tutaj zabrał. Chciał przedstawić mi historię, której nie znałam.

- Próbował kiedyś się zabić - odparł ciężko Ryan. - Podciął sobie żyły, i to nie w poprzek, jak w filmach, ale wzdłuż. Tak jak robią to osoby, które rzeczywiście chcą odebrać sobie życie.

Zamknęłam oczy i też uderzyłam potylicą o ścianę.

- Cassidy go znalazła. Zadzwoiła po karetkę, zabrali go do szpitala, potem zamknęli na jakiejś obserwacji... ostatecznie wszystko było dobrze. A przynajmniej o tym nas wszystkich przekonywał.

Boże, jak to możliwe?

Jak mogłam to przegapić? Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

- Rany się zagoiły, a Gray chciał o tym zapomnieć, zostawić to za sobą - kontynuował Ryan.
- Dość długo planował te tatuaże tak, by ślady po cięciach były niewidoczne.

I udało mu się.

Powinam była im się przyjrzeć. Gdybym tylko zbliżyła się do Graysona, nie wznosiła muru między nim a mną, z pewnością bym się zorientowała. Wystarczyłoby przecież, żebym przegładziła dłońią jego ręce. Wyczułabym blizny.

Jak mogłam nie zapytać go o te tatuaże? Nie wnikać, czemu są tylko z jednej strony?

- Przestań - rzucił nagle Ryan.

Przesunęłam dłońią po twarzy, jakbym tym trywialnym gestem mogła wyzerować swoje myśli.

- Nic nie robię - odparłam.

- Twoja mina mówi co innego.

Westchnęłam z bólem, nie mając zamiaru wdawać się w bezsensowne sprzeczki, w których i tak byłabym nieobecna.

- Nie mogłaś wiedzieć, bo Gray zrobił wszystko, by to ukryć.

- Mimo to...

- Cały czas powtarzał, że kiedy patrzy wstecz, ma wrażenie, że to ktoś inny targnął się na jego życie, nie on.

Zamknęłam mocno oczy, jakbym chciała powstrzymać łzy. W istocie jednak nie obawiałam się, że popłyną. Chyba wreszcie skończył mi się ich zapas.

- Dlaczego wtedy to zrobił? - spytałam.

- Nie wiem.

Podniosłam powieki i bezsilnie obróciwszy głowę do Ryana, popatrzyłam mu głęboko w oczy.

- To nigdy nie jest racjonalna decyzja - powiedział. - Postępujesz wtedy przecież wbrew instynktowi samozachowawczemu. Nie ma na to wytłumaczenia. A jeśli nawet jakieś istnieje, to jest niewystarczające dla tych, którzy zostają.

- Ale musieliście przecież o tym rozmawiać, Joyce musiał coś ci powiedzieć...

- Mówił.

- Co konkretnie?

Ryan wzruszył bezradnie ramionami.

- Że po prostu nie mógł dłużej.

- Bo?

- Nie ma żadnego „bo”, Aspen - odparł ciężko Ryan. - Te decyzje są wywoływane jakąś nierównowagą chemiczną w mózgu. Powodem może być wszystko. Odrzucenie przez bliskich, brak perspektyw na przyszłość, nie wiem, przegrana ulubionego zespołu... Kurwa, słyszałaś

przecież o tych wszystkich artystach, którzy się zabijali, bo wypuścili nową płytę czy film. Zdążyło je zobaczyć może kilka osób, ktoś sformułował jakąś niepochebną opinię... i tyle.

Może miał rację, że nie było żadnego „bo”, żadnego „dlaczego”. Przynajmniej jeśli chodziło o osoby takie jak Joyce. Potrafiłam bowiem zrozumieć tych nieuleczalnie chorych, niemających władzy nad swoim ciałem, skazanych na śmierć w męczarniach.

Sytuacja Graysona mieściła się jednak na drugim biegunie takiego świata. Miał przed sobą całe życie. Życie, które odebrał nam wszystkim.

– Kiedy o tym gadaliśmy, momentami wydawało mi się, że sam tego nie rozumiał – podjął Ryan. – Nie wiem, może powinien chodzić na jakąś terapię, przepracować to... Może to jakoś by pomogło.

A może nie, przeszło mi przez myśl. Może zawsze zrzucamy winę na jednostkę, która czegoś nie zrobiła, podczas gdy wina rozkłada się po równo na niej i środowisku, w którym żyje.

Może gdyby to ono dało mu większe możliwości, zapewniło lepszą wizję przyszłości, nie musiałby chodzić na żadną terapię.

Moje myśli znajdowały się w dziwnym, chaotycznym wirze, zderzając się ze sobą, mijając się, łącząc i rozbijając. Nie potrafiłam przyjąć jednej wersji, ułożyć tego wszystkiego w logiczną, racjonalną całość.

Ale może to nie było konieczne?

Może powinnam zostawić swoją sferę wewnętrzną w stanie permanentnego rozbicia i dysonansu? Co mi szkodzi? Dlaczego miałabym cokolwiek w sobie układać, by móc normalnie funkcjonować?

Życie w stałości, w pełni szczęścia i w nieustannym spokoju było przecież mrzonką. Nikt tak nie egzystował. Każdy zmagał się z entropią otaczającego świata, z przeciwstawnymi emocjami w sobie, z wzajemną niezgodą własnych myśli. I im szybciej to zaakceptuję, tym szybciej będę umiała po prostu żyć.

Podniosłam się, wspierając o ścianę, a potem ruszyłam powoli do salonu. Kiedy do niego wszłam, przekonałam się, że wszystko jest tak, jak zostawił to Grayson.

Ryan stanął tuż za mną, pogrążony w milczeniu nie mniej niż ja.

To on jednak w pewnym momencie postanowił je przerwać.

– Nie mogliśmy wiedzieć – powiedział.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

Chyba ani on, ani ja nie zabrzmieliśmy przekonująco.

– Impulsem mogło być wszystko – powtórzył z emfazą Ryan. – To nie musiało być nic tak dużego jak ta pusta skrytka Pepecali. Mogła wystarczyć jakaś kłótnia, jakaś uporczywa myśl, cokolwiek...

– Jak na przykład to, że zdradził swoją dziewczynę i zamierzał się z nią rozejść?

– Nie to miałem na myśli.

– Ale to z pewnością mogło się przyłożyć, prawda?

– Nie – odparł bez wahania Ryan. – W żadnym wypadku.

Obróciłam się do niego, chcąc się przekonać, skąd płynie ta pewność.

- Nie słyszałaś, jak o tobie mówił. Właściwie już od kiedy siedział przy tym łóżku w szpitalu. To było...

Ryan urwał, szukając odpowiednich określeń. Widziałam jednak, że na próżno.

- To było trochę tak, jakby wcześniej nie mówił, rozumiesz?

Uniosłam lekko brwi.

- Jakby dopiero po poznaniu ciebie znalazł słowa.

Musiałam odwrócić wzrok, okazało się bowiem, że najwyraźniej zachowałam w sobie kilka łez. Zwiesiłam głowę i stałam na środku pokoju, niepewna, co powinnam zrobić. Wszystko wydawało się bezcelowe, ta rozmowa również.

- Mogłeś powiedzieć mi o tym wszystkim na cmentarzu - zauważyłam. - Po co mnie tu przywiozłeś?

Ryan objął wzrokiem pokój.

- Gdzieś tu jest ta kaseta - oznajmił.

- Pepecali?

- Tak. Joyce schował ją po tym, jak mu ją oddałaś.

Milczałam, skupiając się wyłącznie na moim oddechu. Robiłam wszystko, by nie wracać do momentu, kiedy przekazywałam mu kasetę.

- Pewnie chciałby, żebyś ją miała - dodał Ryan. - Ale nie mogłem jej znaleźć.

- Poszukam.

- Jasne - odparł ciężko. - Gdybyś chciała coś jeszcze, to weź.

Rozejrzałam się po pokoju, nie bardzo wiedząc, do czego mogłabym rościć sobie jakiegokolwiek prawo. Nagle jednak zorientowałam się, że Ryan patrzy na gramofon i płytę winylową, która nadal znajdowała się na talerzu.

Któs pokusił się jedynie o to, by wyłączyć sprzęt i unieść igłę. Nikt nie zamknął przezroczystej pokrywy, nikt nie umieścił ramienia na podstawie.

- Poczekam na zewnątrz - dodał Ryan.

Zanim zdążyłam go zatrzymać, był już w przedpokoju. Potem rozległ się dźwięk zamykanych drzwi, a ja zostałam sama ze wspomnieniem o Graysonie.

Przez jakiś czas wciąż trwałam w bezruchu, obawiając się poruszyć. Czułam się jak jakiś intruz, którego nie powinno tutaj być.

Mimo to po chwili zaczęłam powoli chodzić po salonie. Przyjrzałam się książkom na szafce, a potem zdjęciu, które stało w ramce obok. Przedstawiało Cass i Joyce'a. Ona, cała roześmiana, całowała go w policzek, on był kompletnie niewzruszony, jak zawsze.

Uderzyła mnie świadomość, że nigdy nie zobaczę uśmiechu Graysona. Nigdy nie przekonam się, jak wygląda radość w jego wydaniu.

Kurwa mać. Fakt, że nie dane mi było tego zrobić, też powinien dać mi do myślenia. Przecież ten człowiek był nieustannie pogrążony w jakiejś melancholii.

W dodatku to, co mówili mi na jego temat Ryan i Becca...

Ich słowa o tym, że zanim Joyce związał się z Cassidy, był zupełnie innym człowiekiem, nabrały zupełnie innego znaczenia. Wtedy przyjął, że rozrabiał czy skakał z kwiatka na kwiatek. Teraz wiedziałam, że chodziło o coś zupełnie innego.

Elementy tej układanki cały czas były obecne. Po prostu nie wiedziałam, jaki obraz mam z nich ułożyć.

Powinłam była zapytać o tyle spraw, powiedzieć mu o tak wielu rzeczach. Trzymałam jednak słowa dla siebie, a teraz przepadły na zawsze. Złożyłam je w tamtej trumnie razem z ciałem Joyce'a.

Westchnęłam, upominając się w duchu, by nie rozpatrywać tego, na co już nie mam żadnego wpływu. Postanowiłam skupić się na jednej, prostej czynności – odnalezieniu tej kasety.

Była moją pamiętką po Graysonie. To ona sprawiła, że nasze losy się splotły.

Przypominałam sobie ten pierwszy moment, kiedy usłyszałam jego głos. A potem to, jak wreszcie udało mi się otworzyć oczy. Jak po raz pierwszy zobaczyłam Joyce'a. Wyglądał jak problem tylko czekający na to, by się zdarzyć.

Otarłam policzki, a potem zaczęłam przeglądać szafki. Wysuwałam szuflady, sprawdzałam zawartość, zachodząc w głowę, gdzie Grayson mógłby schować kasetę. Nie chciał trzymać jej na widoku, to oczywiste. Ale nie miał przecież powodu, żeby tak skrzętnie ją ukrywać.

W końcu ją znalazłam. Znajdowała się w niewielkim pudełku, które Joyce upchnął na samym końcu jednej z szafek, głęboko za jakimiś starymi czasopismami, książkami i rupieciami.

Pod kasetą znajdowała się koperta pełna polaroidów. Wyciągnęłam je i zaczęłam przeglądać, aż w końcu zatrzymałam się na jednym, który przedstawiał zachód słońca na Laurel Street, tuż pod domem Prodziekana.

Grayson musiał zrobić to zdjęcie za którymś razem, kiedy mnie odwoził. Nie, przecież bym widziała. Musiał przyjechać specjalnie po to.

– Boże, Joyce... – powiedziałam do zdjęć.

Naraz uświadomiłam sobie coś jeszcze.

Nie przesłuchaliśmy tej ostatniej piosenki na playliście. Kiedy rozstawaliśmy się dzień przed otwarciem skrytki Pepecali, Grayson rzucił jeszcze, żebym nie słuchała tego kawałka bez niego, bo on też go nie włączał.

Siedziałam w absolutnej ciszy, zastanawiając się, co powinnam zrobić. W końcu zdałam sobie jednak sprawę, że nie jestem w niej sama. Joyce przecież mi towarzyszył.

Podniosłam telefon, przesunęłam na dół playlisty, a potem po raz pierwszy zerknęłam na wykonawcę i tytuł ostatniej piosenki. The Postal Service – *Such Great Heights*.

Włączyłam play, z głośnika popłynęły pierwsze dźwięki. Paradoksalnie dojmujące i wesołe zarazem, przywodzące na myśl promienie słońca przebijające się przez chmury, z których leje się deszcz.

Uśmiechnęłam się smutno, bo miałam wrażenie, że tym utworem Joyce w jakiś sposób próbuje mnie pocieszyć.

Walcząc z powracającymi łzami, skupiłam się na kolejnych polaroidach. Odłożyłam jeden przedstawiający most Bulkeley, a potem ten, na którym Grayson utrwalił strych opuszczonego budynku przy Albany Avenue.

Przy dźwiękach The Postal Service przejrzałam niemal wszystkie, został mi tylko jeden, ostatni polaroid. Wstrzymałam oddech, niepewna, czy jestem na to gotowa. Miałam wrażenie, że tutaj kończy się dla mnie obecność człowieka, bez którego nie chciałam żyć.

Uniosłam zdjęcie i znieruchomiałam.

Zostało wykonane z ręki na dachu stacji benzynowej, w oddali widać było logo Texaco.

Grayson Joyce uśmiechał się od ucha do ucha, trzymając aparat. Ja zaś wtulałam się w niego, jakby miało nie być jutra.

Ciąg dalszy w tomie drugim,
pt. *Kadry niedogaszonych wspomnień.*

POSŁOWIE

Ta powieść o mały włos przepadłaby tak, jak niewypowiedziane słowa Graysona i Aspen – i tak jak mnóstwo innych napisanych i niewydanych książek na całym świecie.

Napisałem ją w wakacje 2014 roku, wysłałem do kilku wydawnictw, spotkałem się z kilkoma miłymi słowami i z kilkoma przypadkami milczenia, ale nie wyniknęło z tego nic konkretnego. Schowałem ją więc do szuflady i zabrałem się do pisania kolejnej książki – która po latach ostatecznie ukazała się jako *Projekt Riese*.

Wciąż jednak nie zapomniałem o *Innych tonacjach ciszy* – co jakiś czas wracały myśli związane z tym, jak mogła dalej potoczyć się historia i czy zasługuje na jakieś dopowiedzenie. Zajmowałem się jednak innymi rzeczami, w grudniu bowiem wyszedł *Chór zapomnianych głosów*, a potem... *Chyłka i Forst*.

A jak wiemy, ta dwójka potrafi zaanektować lwią część nie tylko mojego czasu.

Pamiętam, że po wydaniu pierwszej Chyłki głowiłem się z wydawcą, którą książkę powinniśmy wyciągnąć z moich przepastnych szuflad i opublikować jako następną. Rzecz była ważna, bo *Kasacja* biła wtedy pierwsze rekordy sprzedaży i widzieliśmy już, że coś jest na rzeczy. Praktycznie od razu zrobiliśmy pierwszy dodruk, potem kolejne, a Chyłka z Zordonem piełi się w górę na topkach sprzedażowych i ewidentnie nie mieli zamiaru brać jeńców.

Przebiełem się. Po dwóch latach od debiutu wreszcie mogłem to powiedzieć. Księgarnie zgłaszały potrzeby na zatowarowanie większej liczby egzemplarzy, sieci same z siebie chciały reklamować *Kasację*, widząc, jak szybko schodzi, a mainstreamowe media zaczęły wystosowywać zaproszenia, z których średnio korzystałem, bo wołałem skupić się na pisaniu nowych książek lub poprawianiu starych.

Wiedzieliśmy, że trzeba sensownie zaplanować kolejną premierę, bo nagle pojawiło się spore grono czytelników, którzy na nią czekają.

Chodziła mi po głowie pewna saga historyczna z akcją rozgrywającą się na Wschodzie (której do dziś nie wydałem), zastanawialiśmy się nad powieścią więzienną (której do dziś nie wydałem) i thrillerem prawniczym retro (który, o dziwo, wydałem – ale dopiero w 2016 roku jako *W cieniu prawa*).

Pamiętam też, że podczas któregoś biegu zadzwoniła do mnie Monika Długa, moja ówczesna redaktorka, a teraz właściwie szefowa wszystkich szefów. Wiem dokładnie, w którym miejscu mojej starej trasy przy torach kolejowych w lesie się zatrzymałem, żeby z nią pogadać.

Podsunała mi wtedy pomysł, żebyśmy wydali *Inne tonacje ciszy*. Miała tylko opis książki i zarys fabuły, a ja szybko zapewniłem, że jak wrócę do domu, prześlę jej tekst. Tymczasem jednak ruszyłem w dalszy bieg, już tylko z jedną myślą w głowie.

Biegałem wtedy dziennie po siedemnaście, osiemnaście kilometrów, więc czasu na przemyślenia było całkiem sporo, szczególnie jak się człowiek wyłączył i wpadł

w endorfinowy trans.

Zacząłem przypominać sobie historię Aspen i Joyce'a, analizować, co jest tam do poprawienia i tak dalej. Na którymś kilometrze naszła mnie myśl, że to, co zamierzam zrobić, jest cokolwiek niebezpieczne.

Był to czas, kiedy globalne triumfy święcił John Green (całkiem zasłużenie zresztą) i powoli rozkręcała się pierwsza fala YA na świecie. Nie dotarła jeszcze do Polski, ale wszyscy wiemy, jak działa nasz rynek – nieustannie poszukuje „polskiego Stephena Kinga”, „polskiego Harlana Cobena”, „polskiego Jo Nesbø” i tak dalej. Towarzyszyła mi więc obawa, że przez tę książkę, wydaną w tym konkretnym momencie, może przyłgnąć do mnie łątka, z którą niespecjalnie mi było po drodze.

Po premierze *Kasacji* chciałem zajmować się kryminałem, zgłębiać tajniki kryminalistyki, przypominać sobie aspekty prawne ze studiów *et cetera*. To właśnie ta droga pisarsko mnie fascynowała i to nią chciałem podążać.

Inne tonacje ciszy i książki z innych gatunków poszły więc do szuflady. Pół roku później ukazała się *Ekspozycja*, czyli pierwszy Forst. Po niej kontynuacja Chyłki, *Zaginięcie*. Potem powrót do Forsta w *Przewieszaniu*. Szalony pomysł z trylogią skandynawską pod pseudonimem i *Enklawa*. Później *Rewizja*, *Trawers*...

I Bogu niech będą dzięki, że tak się stało.

Tamta wersja *Innych tonacji ciszy* była bowiem tak tragicznie beznadziejna, że nigdy nie powinna się ukazać.

Wtedy oczywiście nie byłem tego do końca świadomy – każda książka pozostawia po pisaniu pewną ranę. I kiedy jest jeszcze świeża, odbiera nieco racjonalnego, chłodnego oglądu na wszystko wokół.

Wracałem jednak co jakiś czas do tej powieści. Tam coś podczytałem, tam coś sprawdziłem czy poprawiłem. Monika zresztą co jakiś czas przypominała mi o niej, a potem pałeczkę przejęła Zuzanna, która figuruje jako redaktorka w stopce redakcyjnej tej książki.

Przyszedł więc w końcu dzień, kiedy wyciągnąłem ją z szuflady. Stało się to po napisaniu *Zarzutu*, a więc siedemnastemu tomu z Chyłką (o ile dobrze liczę, bo sporo się tego uzbierało).

Byłem tuż po wyjściu z mocnego ciągu kryminalnego – w lutym ukazał się *Kabalista*, w kwietniu *Langer*, w czerwcu *Widmo Brockenu*, a wraz z nadejściem sierpnia miał wyjść właśnie *Zarzut*.

Już po *Langerze* miałem dosyć zbrodni. Łapałem nieco oddechu przy pisaniu Chyłki i Osicy w jednej książce, opisywaniu życia uczuciowego Wiktora czy wspólnego funkcjonowania Joanny i Zordona.

Byłem jednak kryminalnie przebodźcowany i potrzebowałem odskoczni w coś, co ze zbrodnią nie ma wiele wspólnego. Moment wydawał się idealny, by sięgnąć po *Tonacje*. I tak właśnie zrobiłem.

Po czym napisałem mojej najbliższej przyjaciółce, że ta książka nadaje się na szrot.

I rzeczywiście tam było jej miejsce. Początek okazał się w porządku, postacie ciekawe, narracja płynęła – ale cała powieść zmierzała donikąd. Nie wiedziałem, co opowiadała. Nie miałem pojęcia, co chce mi powiedzieć.

Jak wspomniałem w przedmowie, pisałem tę książkę w czasie barcelońskich wojaży. Pierwotnie akcja działa się w dużej mierze właśnie w tym mieście. I ze wstydem przyznaję, że była prawie jak przewodnik po Barcelonie.

Mnóstwo czasu i energii zmitreżyłem na opisywanie uliczek, jedzenia, takich czy innych dzielnic, historii i tak dalej. Aspen była jak Wokulski w Paryżu, który zachwyca się każdym kamieniem – tyle że Prus pisał o nim w czasach, kiedy dostęp do Street View był cokolwiek niemożliwy, a Ryanair nie latał codziennie do stolicy Katalonii za stówę. Poza tym nie ucierpiała na tym fabuła – u mnie było odwrotnie.

W dodatku przez połowę książki nic się nie działo. Odłożyłem ją więc w cholerę i zabrałem się do pisania nowego Seweryna, który od dawna dopominał się, by opowiedzieć kolejny etap jego historii z Burzą.

Światła w popiołach tak bardzo grawitowały w kierunku wątków obyczajowych, że nie mogłem tego zignorować. Już w trakcie pisania tej książki wiedziałem, co zrobić, kiedy ją skończę (to znaczy jeśli; bo dopóki nie postawisz ostatniej kropki, dopóty nie wiesz, czy faktycznie skończysz).

Wyrzucę *Inne tonacje ciszy* do kosza. A potem zacznę pisać tę historię od nowa.

Tak też zrobiłem, przenosząc akcję całkowicie do Hartford i zmieniając w tej książce właściwie wszystko. Aspen, Grayson i Cass nie polecili do Barcelony, by szukać Pepecali. Ostał się tylko jeden wiersz Joana Brossy (w pierwszej wersji to w nich znajdowały się wskazówki). Pojawił się Ryan. W wypadku zginęła tylko matka Aspen, a nie jej ojciec. I tak dalej.

Przy pisaniu pierwszych stron byłem bliski rezygnacji. Wydawało mi się, że przepisuję coś, co już znam, a to nie ma dla mnie tego głównego waloru kreatywnego, który sprowadza się do tworzenia czegoś z niczego.

Im dalej jednak szedłem, tym bardziej trafiałem na nieznaną gruntu. Opowieść niemal natychmiast zaczęła skręcać w zupełnie innych kierunkach niż jej poprzedniczka. A ja wpadłem w wir, z którego trudno już było się wydostać.

Mniej więcej w połowie zrozumiałem też, że postawienie kropki w tym wypadku nie będzie oznaczało końca historii. Przeciwnie, może okazać się dopiero jej początkiem.

Taką mam nadzieję. Ale jak zawsze wszystko zależy z jednej strony od bohaterów – i tego, czy będą dopraszać się o swoje dalsze losy. A z drugiej od Ciebie – i od tego, czy potowarzyszysz im w kolejnych etapach ich życia.

Mam nadzieję, że tak.

I że niebawem znów spotkamy się w Hartford.

Remigiusz Mróz

Warszawa–Opole, 6 lipca 2023 roku

PS Playlisty oczywiście można znaleźć u mnie na Spotify.

Ta należąca do Aspen i Joyce'a nazywa się po prostu „Inne tonacje ciszy”.

Ta, na której znajdują się kawałki Ghosta i te grane z kaset w Hermionie, jest pod „Duchy Aspen”.

Miłego odsłuchu.

PO POSŁOWIU

Jeszcze jedna rzecz. Jeśli zmagasz się z podobnymi problemami jak Joyce, a szczególnie jeśli podobnie jak on nie mówisz o nich nikomu, pamiętaj, że są ludzie, którzy chcą Cię wysłuchać. Każdy z nas ma ich w swoim otoczeniu, nikt z nas nie jest tak osamotniony, jak myślisz.

Grayson nie był też, niestety, osamotniony w podejmowaniu prób samobójczych. Obecnie w Polsce rocznie jest ich około piętnastu tysięcy, z których co trzecia kończy się śmiercią. A to znaczy, że codziennie na swoje życie targa się ponad czterdzieści osób. Więcej niż jedna klasa szkolna.

W Stanach ta liczba wynosi przeszło sto trzydzieści osób – co przy różnicy w populacji daje dość ponure pojęcie o tym, jak wygląda sytuacja u nas.

Co gorsza, statystyki te z roku na rok rosną, szczególnie wśród młodzieży. Nie pomagają social media, których nadrzędnym ekonomicznym celem jest doprowadzenie do erozji relacji międzyludzkich. Nie pomagają bierność w przyzwalaniu na hejt. I w końcu nie pomaga to, że przestajemy ze sobą rozmawiać o sprawach trudnych.

A jeśli już to robimy, musimy obwarować to trigger warningami, które w moim przekonaniu przynoszą efekt odwrotny do zamierzonego – odseparowują ludzi zagrożonych tymi sprawami od rozmowy na ich temat.

Tak czy inaczej myślę, że warto pamiętać o jednej rzeczy – w jakkolwiek głębokiej, oguszającej, obezwładniającej ciszy się znajdujemy, zawsze jest ktoś, kto pomoże nam ją przełamać.

A tu parę numerów. Można zadzwonić i nawet pomilczeć.

Telefon zaufania dla dzieci i młodzieży

116 111

(całodobowo, 7 dni w tygodniu)

Telefon zaufania dla osób dorosłych

116 123

(od poniedziałku do piątku, w godzinach 14.00–22.00)

Infolinia dla dzieci, młodzieży, rodziców i nauczycieli

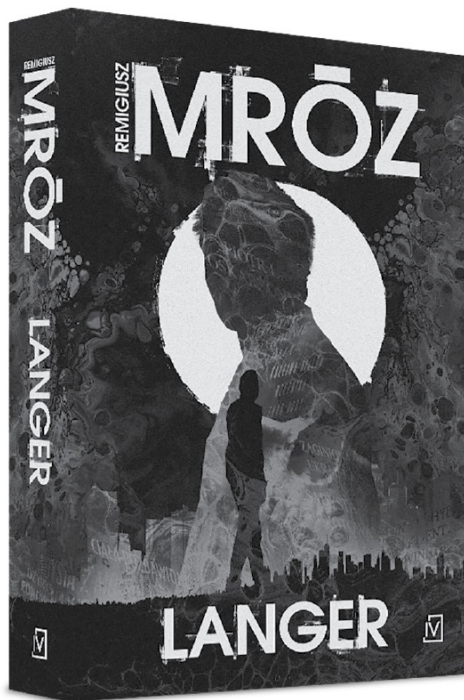
800 080 222

(całodobowo)

Dziecięcy Telefon Zaufania Rzecznika Praw Dziecka

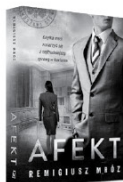
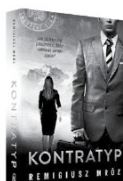
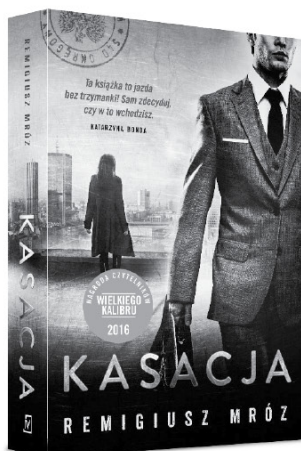
800 12 12 12

(od poniedziałku do piątku, w godzinach 8.15–20.00)



PIOTR LANGER NIE WYMAGA OPISU.

SPOTKAJ SIĘ Z CHYŁKĄ I ZORDONEM!



NAJPOPULARNIEJSZA SERIA PRAWNICZA W POLSCE